



UUK

EDMUND NIZIURSKI

NOWE PRZYGODY MARKA PIEGUSA

Wydawnictwo LITERATURA
Łódź, 1997
Wydanie I



SPIS TREŚCI

SPIS TREŚCI	2
ROZDZIAŁ I	3
ROZDZIAŁ II	12
ROZDZIAŁ III	25
ROZDZIAŁ IV	67
ROZDZIAŁ V	85
ROZDZIAŁ VI	96
ROZDZIAŁ VII	111
ROZDZIAŁ VIII	122
ROZDZIAŁ IX	130
ROZDZIAŁ X	147
ROZDZIAŁ XI	167
ROZDZIAŁ XII	174
ROZDZIAŁ XIII	182
ROZDZIAŁ XIV	193

ROZDZIAŁ I

NA POCZĄTKU BYŁO NIEPOSŁUSZEŃSTWO POSPOLITE •
MAREK KUPUJE ANAKONDE • MUSTAFON IDIOSYMKRAZY

Czy tych fatalnych zdarzeń nie można było przewidzieć? Oczywiście, że można było i to, co się stało w ów feralny piątek, nie było ani dla mnie, ani dla detektywa Hippollita Kwassa, ani dla nikogo, kto znał Marka, żadnym zaskoczeniem. A czy można było temu zapobiec? O, to już inna sprawa! Wszak Markowi stale przytrafiały się przygody z byle czego i byłoby naiwnością mniemać, że niedawna przeprowadzka rodziny Piegusów z Bielana do Szczęśliwic mogła tu cokolwiek zmienić. Marek sam powinien o tym dobrze wiedzieć, ale... no, cóż, jak wiemy, rozsądek nie należał do najsilniejszych stron tego chłopca.

W piątek po południu pani Piegusowa powiedziała:

— Marku, jestem na dziś umówiona z moim bioenergoterapeutą i zostawiam mieszkanie pod twoją opieką, bo pan Surma i Alek wrócą dopiero późnym wieczorem. O piątej przyjdą ludzie z firmy „Minotaur”, wiesz, tacy w pomarańczowych ubraniach i będą nam zakładać alarm przeciwko złodziejom. Przyrzeknij, że będziesz ich pilnował i nie wyjdiesz ani na chwilę!

— Przyrzekam, mam — rzekł szybko Marek niecierpliwie zerkając na zegar. Chciał, żeby matka wyszła jak najprędzej i miał swoje powody.

— Pamiętaj, masz tutaj siedzieć plackiem i poza tymi ludźmi z „Minotaura” nikogo nie wpuszczaj!

— Cioci Dory też nie? — Marek zainteresował się wyraźnie.

— Ciocię Dorę tak, bo ciocia Dora należy do rodziny — wyjaśniła matka — zrozumiałeś?

— Tak, mam.

— To okropna dzielnica, kręcą się tu różne podejrzone typy. Więc uważaj, jak ktoś zadzwoni do drzwi najpierw upewnij się przez judasza, czy to nie jakiś oszust, albo nie daj Boże, znów ten komornik, co nas nachodzi i chce nam zabrać telewizor, żeby zaspokoić wierzycieli.

— Mam, a kto to są wierzyciele?

— To tacy ludzie, co wierzyli, że tato odda im pożyczone pieniądze. Przecież wiesz, że nasz kochany tatuś narobił długów i bimba sobie.

— Wcale nie bimba — zaprotestował Marek — tylko leczy się w sanatorium.

— Raczej się tam ukrywa — rzekła z goryczą matka — a nam zostawił cały ten pasztet na głowie, więc uważaj. . .

— Będę uważał, mamó, ale po czym poznam tego komornika?

— Jest wielki, łysy, gładko wygolony i uśmiecha się lisio. . .

— Lisio?

— Tak i jeszcze jedno. Nie sprowadzaj mi tutaj żadnych kolegów!

— Ależ mamó. . .

— W żadnym wypadku. Znoszą mi jakieś paskudztwa w rodzaju barakudy.

— Barakuda nic jest paskudztwem — jęknął Marek patrząc niecierpliwie na zegar — ona jest całkiem miła, co mama chce od barakudy?

— Nie życzę sobie. . . masz talent dobierania samych stukniętych kolegów. . . zupełnie nieodpowiedzialnych. Wiesz, jak łatwo wpadasz w tarapaty, nie chcę, żeby przez tych łobuzów coś ci się przytrafiło. Trzymaj się od nich z daleka, zwłaszcza od tego przygłupa, co lata na materacu i od tego idioty, co okręca sobie szyję węzem dusicielem jak szalikiem.

— Nie wiem, o kim mama mówi — mruknął Marek urażony, że tak się traktuje znanego sportowca Adriana Swędziaka, mistrza lotów na parolotni oraz znakomitego znawcę i przyjaciela zwierząt Sylwestra Baruszyńskiego z klasy siódmej B, prezesa Kolegium Zwierzęcego (jak wiadomo pod tą nazwą kryło się po prostu kółko przyrodnicze Markowej budy).

— A wracając do cioci Dory — dodała matka już w drzwiach — bądź dla niej, synku, bardziej grzeczny.

— Kiedy ona wciąż mi zagląda do gardła i każe połykać pastylki.

— Ale pożyczyła nam pół miliarda starych złotych na mieszkanie. Pomyśl o tych miliardach, synku, a przełkniesz jej pastylki gładko.

Kiedy matka wyszła, Marek ponownie spojrzął na zegar i zakręcił się niespokojnie. Dochodziła czwarta, a o tej właśnie godzinie miał odbyć ważne spotkanie w Salamandrze właśnie z prezesem Baruszyńskim, czyli Baruchem i dokonać życiowej transakcji, a mianowicie zakupu na wyjątkowo korzystnych warunkach dwu węży dusicieli. Chodziło o dwie młodziutkie, zaledwie metrowej długości, anakondy, ale Marek liczył na to, że uda mu się podchować „maleństwa” do czasu, aż osiągną podaną w encyklopedii długość jedenastu metrów. Tym sposobem Marek zostałby właścicielem najdłuższych dusicieli w kraju. To była kusząca perspektywa. . .

Skąd ta okazja na tani zakup? Otóż od pewnego czasu mówiło się w budzie, że prezes jest w poważnych opałach domowych. I rzeczywiście, Marek sam to potwierdził wczoraj, kiedy spotkał Sylka po drodze do szkoły. Biedny Baruch

wyglądał jak siedem nieszczęść. Jego dawniej pełne rumiane policzki były zapadnięte i pobladłe, jego niegdyś żywe oczka za okularkami teraz były podpuchłe tudzież zaczerwienione i wydawały się jeszcze mniejsze niż zwykle. Mówił cicho, nieswoim chropawym głosem, a jego ulubiona tresowana biała myszka Miki, którą stale nosił w kieszeni, łąziła mu po szyi i twarzy domagając się żalonym piskiem śniadania, lecz on nawet tego nie zauważył. Świadczyło to niewątpliwie o głębi jego prostracji.

— Co z tobą, chłopie? — zapytał ze współczuciem Marek.

— Nie pytaj — zachrypił Sylek — to już koniec.

— O czym ty mówisz? Koniec czego?

— Wszystkiego — zajęczał. — Koniec z moimi zwierzętami i ze mną też koniec... Ona powiedziała, że sprzeda moje zwierzęta, a jak nie kupią, to odda je do uśpienia, bo tylko zabierają mi czas, bo przez nie marnuję moje zdolności i nie rozwijam się... W domu będzie tolerowała tylko kanarka albo... kotka.

— Tak powiedziała? Ale... ale kto?

— Jak to kto?! No, ona, ta malowana balerina.

— Ba... balerina? — wytrzeszczył oczy Marek.

— No, pani Baruszyńska numer dwa — Baruch uśmiechnął się gorzko. — Ty nie wiesz, że teraz mam nową, piękną mamę?

Zatkało mnie.

— Na zawsze?

— Nie wiem. Moje ciotki mówią, że ona zatrzymała się u nas tylko przelotnie, po drodze do Metropolitan Opery w Nowym Jorku, albo do Hollywood. Jest młoda, energiczna, troskliwa i lubi uszczęśliwiać. Mnie też postanowiła... Powiedziała, że dotąd rośłem jak psi grzybek pod płotem, a naprawdę to jestem brylant...

— Brylant? Ty?

— Nie oszlifowany. Tak powiedziała. I powiedziała, że ona mnie oszlifuje i postara się mądrze, z pożytkiem dla mojej kariery, zagospodarować mój wolny czas.

— Ładnie powiedziane.

— A wszystko dlatego, że nie chce być, jak te złe macochy z bajek i przyrzekła mojemu tacie, że zadba o moją przyszłość. Tak mi powiedziała.

— Niebezpieczna historia! Przestraszyłeś się?

— Z początku nie bardzo, ale potem... — głos prezesa załamał się, otarł oczy.

— Co potem? — dopytywał Marek.

— Czy ty wiesz, co ona mi zrobiła?

— No... zaczęła organizować ci wolny czas.

— Właśnie, ale jak?

Marek wzruszył ramionami.

— Zgadnij!

— No, nie wiem... Zafundowała ci lekcje tenisa?

— Ba, żeby to! — jęknął Baruch.

— Może kurs komputerowy?

— Gdzie tam, ona gardzi komputerami. Mówi, że zabijają prawdziwą sztukę.

Wpadła na bardziej oryginalny pomysł.

— Załatwiła ci kurs chińskiego?

— Nie, nie zgadłeś.

— No, to nie wiem.

— Ona powiedziała, że mam dobry głos i słuch, i że zrobi ze mnie śpiewaka, tenora!

— Śpiewaka?! Tenora?! — Marek wytrzeszczył oczy.

— Operowego. Ona jest bardzo ambitna.

— O... operowego tenora?! Z ciebie? To obłąd.

— No właśnie. Ale ona tak nie uważa. Wmówiła sobie, że mogę zostać sławnym artystą, takim jak Caruso, Kiepusza czy Pavarotti... I na początek urządziła mi po trzy godziny solmizacji dziennie.

— So... solmizacji?

— No, wiesz, musisz czytać nuty z solfeża i wyśpiewywać: do-do, re-re, mi-mi, fa-fa... całą gamę do góry i z powrotem, a potem jeszcze inaczej: sol mi, sol mi, la sol, la sol i parasol. Oszaleć można. Tak mi dosoliła, bracie! Trzy godziny dziennie aż do zachrypnięcia!

— To okropne! — wykrzyknął Marek przejęty losem prezesa.

— Nie mam już na nic czasu — jęknął Baruch — nawet tyle, żeby nakarmić zwierzaki. Najbardziej żał mi anakond dusicieli. Widziałeś je, są milutkie...

— No, nie wiem, czy to słowo akurat pasuje do nich — rzekł Marek. — Ja bym powiedział, że są po prostu wspaniałe i... groźne. Lubię groźne zwierzęta — dodał po chwili.

— To jeszcze mikrusy, mają dopiero po metrze wzrostu, prawie niemowlaki, ale zobaczysz, jak urosną. Wtedy dopiero będą groźne! — oznajmił Baruch. — Niestety, nie doczekamy tego — dodał ponuro. — Jutro ma się ukazać to ogłoszenie w gazecie o ich sprzedaży. Balerina już dziś wsadziła je do wanny i zamknęła łazienkę na klucz. Nie wiem zupełnie, co robić... jak je ratować... — otarł zaczerwienione oczy.

I wtedy nagle olśniła Marka śmiała myśl: to jest przecież jedyna życiowa okazja, żeby stać się szczęśliwym posiadaczem dusicieli i byłby głupkiem żołądnym, gdyby jej nie wykorzystał, powiedział więc do Barucha:

— Sytuacja jest krytyczna, ale uszy do góry, Baruch, nie płacz! Ocalimy te maleństwa!

Sylek ściągnął brwi.

— Ciekawym jak — jęknął.

— Wezmę je do siebie.

— Żartujesz! — Baruch z wrażenia zdjął okulary.
— Po prostu kupię... — oświadczył Marek — jeśli sprzedasz mi tanio — dodał Marek.
— Tanio?
— No, wiesz, to specjalna sytuacja... a ja nie śmierdę groszem... więc jeśli nie policzysz drogo...
— Nie policzę — rzekł szybko Sylek. — Sprzedam ci za pół darmo z uwagi... no właśnie z uwagi na horrendalną sytuację. Dasz tylko stówę.
— Za oba?
— Coś ty... stówę od łebka, razem dwie stowy. To żalosny handelek, ale mam nóż na gardle!
— Oszalałeś? Uszczyp się w łędźwie! Skąd wezmę tyle? Nie! Widzę, że chyba nic z tego. — Marek udał zniechęcenie.
Sylek chrząknął.
— A ile dasz?
— Pięćdziesiąt za oba, z tym, że zapłacę w dwu ratach. Teraz połowę, a drugą pierwszego października, jak dostanę od starych kieszonkowe.
Baruch rozważał przez chwilę w milczeniu, a potem westchnął ciężko i machnął zrezygnowany ręką.
— Zgoda, to żalosny handelek, ale mam nóż na gardle. Odstąpię ci te maleństwa za pięćdziesiąt, ale pod dwoma warunkami...
— Jakimi?
— Po pierwsze będę mógł codziennie odwiedzać te ślicznotki, a po drugie będę miał prawo odkupić je w tej samej cenie od ciebie, gdy tylko Balerina odleci od nas do Metropolitan Opery albo do Hollywood.
— Wierzysz w to? — Marek pokręcił głową.
Baruch zacisnął zęby i zapatrzył się w dal...
Więcej targów nie było. Warunki umowy zostały jasno ustalone i przyjęte. Umówili się, że spotkają się jeszcze dziś o godzinie czwartej w cukierce Salamandra, Marek przyniesie pieniążki, a Sylek — węże.
Jak już wiemy, transakcja ta była dla Marka niesłychanie korzystna, toteż gdy tylko trzaśnięcie drzwi windy upewniło go, że mama zjeżdża w dół, zaraz rzucił się do regału z książkami i z poradnika „Jak przyrządzać zupki dla niemowląt” (którego od lat nikt nie wyciągał z półki, bo wszyscy w domu już wyrosli z zupek niemowlęcych) wyjął dwadzieścia złotych, a potem już w swoim pokoju wydobł z obrazka z postacią anioła stróża trzy banknoty po dziesięć złotych (chowane tam przed wścibskimi siostrami) i wymknął się z mieszkania z nieco nieczystym sumieniem, bo przecież przyrzekł mamie, że do jej powrotu nie ruszy się z chaty. Owszem, miał pewne skrupuły... niestety z przykrością muszę przyznać, że nader szybko uporał się z nimi. To głupie — pomyślał — zdręzczać się jakimiś wyrzutami, obwiniać się i niepokoić. To bez sensu! Nic się przecież nie stanie, jak

wyskoczy z mieszkania na tę małą godzinke. Wszak ci od alarmu przyjdą dopiero o piątej, a transakcja z prezesem Baruszyńskim nie zajmie więcej jak kwadrans, więc zdąży bez problemu wrócić do domu na czas. Tak, problem właściwie jest tylko jeden: żeby się Baruszyński nie rozmyślił, albo... albo nie znalazł lepszego kupca.

Pędzony niepokojem, nie czekając na windę zbiegł na dół sadząc po dwa stopnie naraz. Gdyby wiedział, w jaką historię się pakuje! Ale biedak zapomniał zbyt łatwo chyba i przedwcześnie o swoim pechu, zresztą trudno się temu dziwić, bo tu w Szczęśliwicach koledzy go całkiem rozpuścili; jak tylko dowiedzieli się, że jest prawdziwym Markiem Piegusem, tym samym, o którym czytali w książce, z miejsca stali się dla niego bardzo uczynni i mili. I wszyscy chcieli się z nim zaprzyjaźnić. Mistrz Adrian Swędziak od razu zaproponował Markowi wspólny trening na paralotni, Bąbel i Syfon z miejsca chcieli go przyjąć do swojej agencji PIPIUS, a Pinkwas do swojego rockowego zespołu nie pytając nawet, czy ma jakieś umiejętności wokalne. Tak więc rozpieszczony Marek nie pamiętał, że musi być dwakroć czujniejszy i ostrożniejszy niż inni, bo los lubi mu płatać przygody „z niczego”. Jego myśli zaprzętały tylko anakondy. Myślał, że dziś wieczorem trzeba będzie je nakarmić i wykąpać. Musi zapytać Barucha, co im dać do jedzenia i gdzie urządzić im siedlisko. W łóżku? Pod łóżkiem? Czy lepiej zawiesić je na ścianie. Oczywiście przejściowo, do czasu aż kupi im porządne terrarium.

Na dworze chciał pobiec do autobusu na przełaj przez trawnik, ale niespodziewanie przytrzymała go czyjaś mocna ręka. Pomyślał, że to rozgniewany dozorca, zdrewniał i obrócił się, ale to nie był dozorca, to był śmieszny zadyszany grubasek z parasolem. Miał wyłupiaste jak u ryby oczy, czarną kręconą jak u barana karakułowego czuprynę i wielką czarną brodę; w rękę trzymał czerwoną reklamówkę z napisem MIĘDZYNARODOWE TARGI KSIĄŻKI.

— Przepraszam, młody człowieku — odezwał się łapiąc z trudem powietrze — nie pogniewasz się, że oprę się na twoim ramieniu i nieco odsapnę, bo naprawdę gonię resztkami; mam tętniak, niewydolność serca i bąblowiec wątroby. Jestem ruiną człowieka, a kiedyś był taki dzygit ze mnie. Pozwól, że się przedstawię. Nazywam się Mustafon Idiosynkrazy i jestem pochodzenia turko-tatarsko-ujgurskiego, lecz, jak sądzę, zechcesz poświęcić mi chwilę uwagi i nie masz uprzedzeń rasowych.

— Nie mam uprzedzeń — odparł zaskoczony Marek — ale bardzo się śpieszę.

— To moment — rzekł czarnobrody rzucając wokół niespokojne spojrzenia. — Czy nie widziałeś tu gdzieś strażaków?

— Strażaków? Nie — Marek potrząsnął głową — a bo co? Pali się?

— Tylko grunt pod moimi nogami. Znalazłem się w opałach, synku.

— Jest pan ofiarą, jak mój tata?

— Ofiarą? Czego? W jakim sensie?

— Ofiarą rozbuchanej konsumpcji; tak powiedział nasz sublokator, pan Surma, kiedy tata za jednym zamachem kupił na raty opla vectrę, telewizor, fax, komputer i telefon komórkowy, a teraz ścigają go komornicy. Ale nie wiem, czy pan Surma ma rację, bo on jest trapistą.

— Trzymacie w domu trapistę jako sublokatora? — Mustafon spojrzął podejrzliwie na Marka. — Może pomyliłeś się, dziecko?

— Nie, on jest trapistą, bo zawsze czymś się trapi. Tak powiedział pan Cedur. Czy pan też jest trapistą? — Marek przyjrzał się bacznie Mustafonowi.

— Nie w tym sensie, chłopcze. Mój kłopot jest, że tak powiem, innego kalibru.

— To co panu dolega?

— Gonią mnie...

— Więc jednak komornicy!

— Nie. Strażacy.

„To wariat — pomyślał Marek. — Chyba urwał się prosto z domu bez klamek”. A głośno powiedział:

— Czy dobrze pan się przypatrzył? Może to po prostu policja, albo tacy w białych kitlach?

— Nie, to strażacy, młody człowieku, a mówiąc ściśle złoczyńcy przebrani za strażaków. Mówisz, że nie widziałeś żadnego?

— Żadnego, proszę pana.

— To dobrze, zatem mam chwilę oddechu. Zażyję odrobinę mikstury — to mówiąc wydobył z zanadru płaską flaszeczkę i wysączył z niej resztę zawartości, po czym z ulgą zdjął sobie czarną brodę i wytarł starannie chusteczką pot z szyi.

Marek przyjrzał na niego w osłupieniu. „To nie wariat, to raczej jakiś zbiegły, maskujący swe oblicze kryminalista” — pomyślał i zdjął go strach przed tym człowiekiem.

— Gorąco, nie masz pojęcia, jak taka broda grzeje — Mustafon wachlował się chusteczką. — Czemu tak na mnie patrzysz, przyjacielu?

— Pan ma sztuczną brodę? — wykrztusił Marek.

— W rzeczy samej — westchnął Mustafon. — Prawdę mówiąc cały jestem mniej lub więcej sztuczny i nieprawdziwy — to mówiąc ściągnął z głowy kędzierzawą perukę odsłaniając krótko ostrzyżone na jeża włosy lisiego koloru, po prostu — rude. — Czemu masz taką minę? Coś nie tak?

— Kim pan naprawdę jest?! — wybełkotał płaczliwie Marek.

— Dobrze pytanie — Mustafon parsknął jak koń. — W tej chwili, moje dziecko, jestem śmiertelnie zmęczonym człowiekiem, osaczają mnie i nie mam już szans dotrzeć do celu. Ale chyba jestem niedaleko... To jest ulica Archiwistów, prawda?

— Tak, proszę pana.

— A zatem jeszcze nie wszystko stracone... nie wszystko stracone — sapał grubas wachlując się kędzierzawą peruką. — Pozostało zapasowe wyjście, wariant awaryjny... ulica Archiwistów numer jedenaście, który to dom, synku?

Marek, zaskoczony, zmarszczył brwi.

— To ten drugi wieżowiec z żółtymi balkonami. Ja tam mieszkam.

— Znasz niejakich Piegusów? — zapytał grubas.

Marka aż zamurowało... Poczuł rosnący niepokój. Nie był pewien, czy dobrze postąpił, wdając się w rozmowę z podejrzanym nieznanym i zdradzając mu swój adres. No, ale stało się, i skoro już się wygadał, to może warto przynajmniej dowiedzieć się, o co temu grubasowi chodzi.

— Ja właśnie jestem Piegus — oświadczył śmiało.

— Ty?! — Mustafon przyjrzał mu się uważnie. — Chyba mnie nie nabierasz... twoja powierzchowność zgadza się z opisem, tak, zupełnie się zgadza...

— Z czym opisem?! Z jakim opisem! — zdenerwował się Marek, ale Mustafon poklepał go tylko po ramionach z poufałością może trochę przesadną.

— Ty masz kuzyna Alka, prawda? Czy jest w domu? — zapytał.

— Nie, proszę pana, wyjechał na cały dzień do Izabelina na konferencję z Japończykami od dzudo...

— No cóż, synku, w takim razie muszę cię o coś poprosić, to nam uprości sprawę. Przepraszam, ale nie mam innej alternatywy.

— Mnie? Poprosić? — Marek nastroszył się instynktownie.

— Wyglądasz na uczciwego chłopca, zresztą, jak powiedziałem, nie mam innego wyjścia — to mówiąc wcisnął zdumionemu Markowi swoją czerwoną reklamówkę. — Weź... i zaopiekuj się tym! Tylko przez parę godzin — dodał szybko.

Marek spojrział nieufnie.

— Co tam jest w środku?

— Zobacz!

Marek zajrzał do reklamówki, a potem wsadził do niej rękę i wyciągnął dużą, misternie rzeźbioną szkatułkę.

— Co to za pudełko?

— To cenne puzderko, mój chłopcze.

— Przyjemnie pachnie — zauważył Marek.

— Bo jest zrobione z drzewa sandałowego.

— Czy mogę zobaczyć, co się w nim mieści? A może to tajemnica?

— Nie. Proszę bardzo, jak chcesz, możesz zerknąć, bylebyś wszystko włożył z powrotem... żeby nic nie zginęło.

Marek otworzył puzderko i zobaczył w nim skarpetki w pomarańczowe prążki, dezodorant, czerwone szelki, kasetę magnetofonową, dość dziwny kluczyczek, kawałek żółtego sera, piętke suchego chleba, krawatę na gumce i jeszcze jakieś paprochy i papierki po cukierkach, po prostu śmieci!

Zawartość puzdra wydawała się dość osobliwa, ale przecież nie groźna i Marek odetchnął nieco.

— Co mam z tym zrobić?

— Nic takiego... po prostu weź i schowaj u siebie. Rzeczy w tym puzderku nie wyglądają na ważne i drogie, ale zdarzyłoby się wielkie nieszczęście, gdyby wpadły w niepowołane ręce. Jeszcze dziś wieczorem ktoś zgłosi się po te fanty. Oddasz mu je. Ot i wszystko.

— Jak poznam tego człowieka?

— Poznasz go po tym, że poda umówione hasło. Zapamiętaj je! Po powitaniu powie on mianowicie: „Uczę jazdy na wielbłądach”, wtedy ty odpowiesz: „Dziękuję, dostaję od tego choroby morskiej”. Na co on odpowie: „Przepraszam, sapienti sat!”. Kiedy hasło zostanie wymówione, wręczysz puzderko temu człowiekowi.

— No, nie wiem — bąknął Marek. — Nie bardzo mi się to wszystko podoba... nie znam przecież pana. Wolałbym...

— Nie bój się i nie odmawiaj — przerwał Mustafon. — Zrób, o co cię proszę, a przysłużysz się sprawiedliwości. Imię twoje znajdzie się na ustach wszystkich, będą cię pokazywać w telewizji i pisać o tobie w gazetach.

Marek chrząknął zaaferowany. Ciekawiło go to tajemnicze puzderko z pachnącego drzewa sandałowego i cała ta dziwna przygoda, lecz z drugiej strony nie był pewien, czy może wierzyć temu nieznanemu o śmiesznym wyglądzie i czy nie pakuje się znów w jakąś niebezpieczną kabałę. Chciał zażądać dodatkowych wyjaśnień, ale grubas dziwnie szybko nabrał sił i sadył już wielkimi krokami w stronę ulicy Dickensa, jakby w parasolu miał silnik odrzutowy.

Marek spojrzął w rozterce na zegarek. Już sześć minut po czwartej! W cukierni Salamandra Baruch niecierpliwi się już pewnie. Ścigać grubego nie było ani czasu, ani sensu. Wracać do domu i zostawić tam reklamówkę też nie! Marek rzucił się biegiem w przeciwną stronę.

ROZDZIAŁ II

SALAMANDRA I WĘŻE • SUPERSTRAŻAK FASTRYGA • KTO ZAMIENIŁ CZERWONE REKLAMÓWKI? • W SZPONACH „RUTONIMU”

Cukierenka na ulicy Budżetowej na Ochocie nosiła niegdyś dumną nazwę Superata choć popularnie nazywano ją Budżetówką, lecz popadła w długi i została sprywatyzowana. Kupił ją pan Marian Lewak, były podróżnik i obieżyświat; na jego temat krążyły w dzielnicy rozmaite plotki, nie wiadomo, w jakim stopniu prawdziwe. Podobno dorobił się okrągłej sumki dziesięciu milionów dolarów jako łowca i dostawca egzotycznych gadów do terrariów bogatych rezydencji na całym świecie. Część fortuny stracił jednak na ryzykownych zagrywkach giełdowych, część zostawił swoim pięknym żonom, a miał ich podobno po jednej z każdej ludzkiej rasy i z każdej części globu. Ze skromną resztą walutą zawitał na starość do Warszawy i został właścicielem Budżetówki, którą prędko przechrzcił na Salamandrę. Cukierenka stała się wkrótce popularna w całej dzielnicy, gdyż jej atrakcją były nie tylko znakomite lody w dwudziestu czterech smakach i wielkie ciastka „mamuty”, lecz przede wszystkim ciekawe i oryginalne terraria ze szkła pancernego ciągnące się wzdłuż ścian. Można tam było podziwiać żywe węże ze wszystkich kontynentów (z wyjątkiem oczywiście Antarktydy), w tym okazy najbardziej jadowite. Podobno ich obserwacja w trakcie jedzenia przysmaków znakomicie pobudzała apetyt i zwiększała obroty cukierni. Tu także w każdy wtorek i piątek miłośnicy węży, czyli ofiofile, oraz sprytni handlarze urządzały sobie prywatną, i chyba nielegalną w świetle przepisów, giełdę tych cieszących się coraz większym zainteresowaniem zwierząt, tu wreszcie oficjalnie odbywali swoje zebrania członkowie Konfraterni Hodowców Węży Jadowitych, natomiast nieoficjalnie i nieco wstydliwie zaglądali do Salamandry utytułowani członkowie Akademickiego Towarzystwa Ofiologicznego, gdy chcieli na własne oczy zobaczyć jakiś rzadki okaz gada, którego dotąd znali tylko z opisu.

Tego dnia też, jako że był to piątek, Salamandra zapchana była ofiofilami i handlarzami. Marek rozglądał się uważnie, lecz Sylka nie zauważył. Najgorsze obawy i podejrzenia zaczęły na nowo przychodzić mu do głowy. Może Baruch

znieczepliwiony czekaniem i spóźnialstwem Marka opylił węże komuś innemu łamiąc umowę wstępną, którą zawarł był rano z Markiem i ulotnił się? W takim razie ktoś powinien go widzieć. By upewnić się Marek podszedł do bufetu, gdzie królowała Liliana, wiotka, melancholijna dziewczyna o długich rzęsach.

— Przepraszam — zagał — czy nie widziała pani chłopca z dwoma węzami? Pani go zna, to taki okrągły okularnik, taki serdel. . . nosi mysz w kieszeni.

— Serdel?

— Nazywa się Baruszyński. Sylek, albo Sylwek Baruszyński.

— Ach, trzeba było od razu tak mówić — rozjaśniła się Liliana. — To ten szkolny prezes od zwierzątek, miły chłopak, pożyczył mi na imieniny mówiącą papugę. Była bardzo dobrze wychowana i mówiła gościom same komplementy. Wszyscy byli zachwyceni! . . . Nie, niestety, prezesa dzisiaj tu jeszcze nie widziałam, ale nie gorączkuj się tak, może przyjdzie, tylko się trochę spóźni. Mówił mi, że ostatnio ma jakieś kłopoty w domu i jest bardzo zajęty. Siądź, poczekaj parę minut i zjedz swoje ulubione pistacjowe lody! — kusila. — Dzisiaj z okazji giełdy jako stały klient dostaniesz ode mnie dwie porcje w cenie jednej!

Liliana może mieć rację — pomyślał Marek. — Prezes po prostu się spóźni i wiadomo, z jakiego powodu, z powodu Baleriny. To macocha, to ta okropna macocha pewnie zatrzymała go w chacie i dręczy solmizacją.

Nieco uspokojony tym wyjaśnieniem Marek dał się namówić Lilianie na „podwójne pistacjowe z rumem”, usiadł przy drzwiach i czekał. Kończył właśnie zjadać pierwszą porcję i zastanawiał się, czy zjeść drugą, gdy usłyszał gwar wielu głosów i do zatłoczonego lokalu wepchała się gromadka nowych gości, wszyscy w wieku szkolnym. Rozgadani i podnieceni otaczali małego grubaska z wiklinowym koszykiem w ręce. Marek wiedział, że w takich koszykach przynosi się tutaj węże. Serce zabiło mu mocno. Do licha, czyżby konwojowali prezesa Baruszyńskiego? Zerwał się z miejsca i dopadł do nowo przybyłych.

— Baruch! — zawołał usiłując przekrzyczeć zgiełk ofiofilów.

Pulchny mężczyzna w okularach odwrócił się, ale to nie był Baruch, to był . . . znany botanik, specjalista od chorób roślin doniczkowych, emerytowany profesor Edwin Mamuszko. Przed dwoma laty zbierając rzadkie zioła w stanie Assam w Indiach został ukąszony przez ukrytą w trawach kobrę królewską. Cudem uniknął śmierci, a wypadek ten paradoksalnie sprawił, że dzielny profesor przerzucił swe naukowe zainteresowania na węże. Stał się podporą Towarzystwa Ofiologicznego i rzeczoznawcą Konfraterni Hodowców Węży Jadowitych. W ten piątek, jak się okazało, profesor Mamuszko przyniósł z sobą wyjątkowo atrakcyjny okaz żmii koralowej i to było przyczyną tak wielkiego podniecenia ofiofilów.

Marek też zbliżył się zaciekawiony. Właśnie profesor Mamuszko narzędziem podobnym do wielkiego widelca wkładał żmiję do terrarium. Urzeczony pięknem kolorowego gada Marek pomyślał, czy nie lepiej by było hodować zamiast anakond takie właśnie urocze stworzenie. Żmija koralowa zajmowałaby mniej miej-

sca i mniej jadła, a jej jad można by sprzedawać wytwórniom surowic czy innych leków... i zarabiać na tym... Tylko mama... No cóż, mama nie musiałaby wiedzieć, że to urocze kolorowe zwierzątko jest tak potwornie jadowite. Co prawda cena takiego węża przerasta wielokrotnie możliwości Markowej kieszeni, ale chyba będzie można rozłożyć należność na raty. Na pewno piszą coś o tym w prospektach reklamowych, których stos leży przy bufecie. Marek sięgnął po jeden egzemplarz i chciał schować do plastikowej torby od Mustafona, lecz stwierdził, że nie ma jej przy sobie. Musiał ją chyba zostawić przy stoliku. Ruszył niespokojnie w jego stronę i odetchnął. Czerwona wielka reklamówka z napisem MIĘDZYKRAJOWE TARGI KSIĄŻKI leżała spokojnie na krzeselku...

W tym momencie zadzwonił telefon i rozległ się jedwabisty miękki głos Lili:

— Pan Marek Piegus junior proszony jest do aparatu.

Marek szybko wsunął resztę lodów, porwał reklamówkę i podbiegł do lady. W słuchawce usłyszał zachrypły, wystraszony głos.

— To ja, Sylwek, Przepraszam za zwłokę. Masz forszę?

— Tak — odparł Marek.

— To dobrze, tylko mała komplikacja. Balerina zadała mi dodatkowe ćwiczenia i zamknęła na klucz w pokoju... Cholerna megiera!...

— Jak ty się wyrażasz o swojej matce? — zgorszył się Marek.

— To macocha, nie matka. Powiedziałem jej, że mam kupca na dusiciele i muszę skoczyć do Salamandry, ale ona nie uwierzyła. Będziesz musiał tu przyjść we własnej osobie i pokazać forszę, dopiero wtedy uwierzy, że jej nie nabieramy. Tylko pośpiesz się, bo za kwadrans wychodzi...

— No, nie wiem, czy zdążę — rzekł Marek — o piątej mam być w domu. — Nie przedłużając rozmowy odłożył słuchawkę i szybko zajrzał do prospektu. Cena koralowej żmii wynosiła ponad dziesięć tysięcy... i nigdzie nie pisało o możliwości rozłożenia jej na raty. W tej sytuacji realne było tylko kupno anakond. Tak, to była jedyna możliwość i postanowił się jej trzymać.

Dziesięć minut później stanął przed drzwiami mieszkania Baruszyńskich w bloku przy ulicy Baleya i nacisnął guzik dzwonka. Z głębi mieszkania dobiegał żałosny śpiew prezesa Barucha:

— Sol mi! Sol mi! Fa mi! Fa mi! Do do! Re re! Laaa-do! Si-ii-do!

W judaszu ukazało się czujne oko z długimi czarnymi rzęsami.

— Widzę cię — usłyszał ostry alt kobiecy. — Nie kryj się, nie kuczaj!

— Wcale nie kuczam — oburzył się Marek.

— Nie zasłaniaj twarzy! Zostałeś rozpoznany — oznajmił głos. — Ty jesteś Marek Piegus, poznaję cię po piegach, ty jesteś tym zwyrodnialcem, co zdemoralizował naszego Sylka. To ty namawiasz go do trzymania obrzydliwych stworzeń, przez ciebie nie mógł rozwinąć swoich talentów wokalnych...

— Ależ, proszę pani... — chciał przerwać Marek, ale pani Baruszyńska numer dwa mu nie dała.

— Zabraniam ci pokazywać się tutaj! Pewnie znów przyniosłeś Sylkowi padalca, albo coś równie obrzydliwego.

— Nic mu nie przyniosłem! — odparł Marek starając się opanować nerwy. — Nie tylko nic nie przyniosłem, ale, przeciwnie, przyszedłem coś mu zabrać, a raczej coś kupić.

— Coś?!

— Któreś z tych obrzydliwych zwierząt, jak pani mówi. Zgadzam się z panią, że Sylek ma ich chyba za dużo.

Spokojny ton Marka zrobił pewne wrażenie na Balerinie.

— Co cię interesuje na przykład?

— Anakondy.

— Anakondy?! — wykrzyknęła Balerina — Myślisz o tych strasznych dusielcach?

— Tak, właśnie o nich. Pani ich nie lubi, a ja akurat mam na nie chętkę...

Chyba niezgrabnie się wyraził i Balerina zaraz to wykorzystała.

— Ty masz chętkę, ale czy inni w twoim domu też?

— Nie... nie bardzo rozumiem — zmieszał się Marek.

— Pytam, czy twoja matka wie, czym ją chcesz uszczęśliwić? Czy jest świadoma twoich obłądnych pomysłów? Zaraz do niej zadzwonię i zapytam. Jaki macie numer?

— Nasz telefon jeszcze nie jest podłączony — zełgał Marek.

— Naprawdę? Sprawdzimy w biurze numerów. Wejź na chwilę — otworzyła drzwi. — A ty ćwicz, nie przerywaj! — zganiła prezesa Barucha, który wystraszony pojawił się w przedpokoju i dawał Markowi jakieś rozpaczliwe niezrozumiałe znaki.

Marek pojął, że sprawy źle stoją.

— To ja już sobie pójdę... nie przeszkadzam, porozmawiamy kiedy indziej — oznajmił starając się, by jego rejterada nie wyglądała na tchórzliwą ucieczkę.

— Zaczekaj — powiedziała Balerina już łagodnie z dziwnym uśmiechem na dużych czerwonych ustach. — Napijesz się herbaty i pogawędzimy. Czy nikt ci nie mówił, że masz niezwykle głośny głos? Powinieneś ćwiczyć... Zrobię ci próbę solmizacji. Sprawdź twój słuch.

Ale Marek nie miał najmniejszej ochoty pakować się w ręce tej niebezpiecznej kobiety i przytomnie dał dyla. Zwolnił dopiero na dole schodów, gdy zobaczył, że nikt go nie ściga. Spojrzał na zegarek i przestraszył się. Była za dziesięć piąta. W żaden sposób nie zdąży na piątą wrócić do domu... Czy ci ludzie od alarmu zechcą zaczekać pod drzwiami? Popędził na najbliższy przystanek, ale dwie sekundy za późno.

Czerwony autobus właśnie ruszał. Marek bezradnie odprowadził go wzrokiem.

Za to gdzieś blisko odezwał się jęk syreny. Zza rogu ulicy wyłonił się długi biało-niebiesko-pomarańczowy wóz z pokracznym, czarnym napisem „Ruatonim”. Marek wytrzeszczył oczy. Nigdy jeszcze nie widział podobnego wehikułu. Z przodu wyglądał jak ultranowoczesny ambulans służby zdrowia, a z tyłu — jak wóz strażacki, ale dość nietypowy. Prócz złożonych drabin i zwiniętych węży sikawek widać było inny dziwny sprzęt niewiadomego przeznaczenia, a spod pokrowców sterczały groźnie szare lufy. Czyżby armatek wodnych? Zdziwienie Marka wzrosło do czwartej potęgi, gdy ten niezwykle wehikuł zatrzymał się tuż przed nim. Syrena umilkła, drzwi otworzyły się.

W środku w dwu rzędach siedzieli strażacy, wszyscy ubrani w pomarańczowe żaroodporne hełmy i uniformy. I wszyscy w grubych, różowych, zapewne ochronnych okularach. Z wozu wychylił się zwalisty strażak ze złotymi gwiazdkami na epoletach i hełmie. Wyglądał na komendanta sekcji. Miał kwadratową szczękę, oczy zasłaniały mu takie jak u innych, podobne do gogli, wielkie okulary o grubych szklach. Jego brzydką, wyraźnie zdeformowaną, twarz szpeciły dodatkowo liczne blizny i szramy.

— Cześć, zuchu! — powiedział do Marka. — Co cię tak замуrowało? Nie podoba ci się moja twarz? Faktycznie, nosi pewne pamiątki po naszych bojowych akcjach. Wielokroć była zszywana, łatana i cerowana. Dlatego nazywają mnie Fastryga.

— Fastryga? — skrzywił się Marek. — Ja bym pana nazwał Superstrażakiem.

— Dziękuję. Pochlebiasz mi, chłopcze — uśmiechnął się Fastryga. — Sympatyczny małolat z ciebie. Sądzę, że nie odmówisz nam informacji. Czy nie widziałeś w okolicy biegnącego śmiesznego grubasa z parasolem?

— A bo co? — odpowiedział Marek pytaniem na pytanie. Na wszelki wypadek postanowił być ostrożny w wypowiedziach.

— To niebezpieczny piroman — wyjaśnił Fastryga. — Podpalacz terrorysta. Ścigamy go.

— Te... terrorysta? — Marek ściągnął brwi. — Nie zachowywał się jak terrorysta, raczej jak zbieg... wystraszony zbieg!

— Więc jednak widziałeś go! — zauważył z uśmiechem Fastryga.

— Tak, ale nie miałem pojęcia, że to terrorysta.

— On się świetnie maskuje i przybiera kabotyńskie pozy. Ale to groźny przestępca.

— Nie wyglądał na groźnego, zwłaszcza kiedy zdjął brodę i perukę... raczej na bardzo zmęczonego — stwierdził Marek.

— Wygląd myli, już powiedziałem ci, chłopcze — rzekł nieco zniecierpliwiony Fastryga. — Ja też wyglądałam na zbója i zabijakę, prawda? A jestem gołębiego serca — zarechotał. — Wszyscy koledzy potwierdzą.

Strażacy pokiwali głowami i też zarechotali.

— Miałeś szczęście — ciągnął Superstrażak — że wyszedłeś cało z tego spotkania. On ma na sumieniu już wielu chłopców w twoim wieku. Wkłada im do teczek bomby w kształcie... puzderek.

— Nie może być! Nie wierzę! — Marek spojrział na Fastrygę nieufnie.

— A jednak. Gdybyś zechciał podjechać z nami do naszej komendy, pokazalibyśmy ci ich zdjęcia, całą bogatą dokumentację. Obawiamy się, że dzisiaj znów podłoży bombę, popełni morderstwo lub podpalenie, albo jedno i drugie... Być może już to zrobił i szykuje się do następnego zamachu, ponieważ stosuje zasadę serii. Bardzo by nam pomogło, gdybyś zechciał powtórzyć, o czym z tobą rozmawiał, bo mogły mu się wypsnąć jakieś słowa, które zdradzają jego plany...

Marek wiercił się w miejscu niespokojnie.

— Chciałbym panom pomóc, ale bardzo się śpieszę.

— Dokąd, zuchu?

— Do domu. O piątej mają przyjść instalatorzy i muszę być na miejscu.

— A gdzie mieszkasz?

— W bloku, Archiwistów jedenaście.

— Nie ma sprawy. Wskakuj, podwieziemy cię!

Marek skwapliwie skorzystał z propozycji, i usadowił się w wozie tuż przy drzwiach, koło Fastrygi.

— A teraz opowiedz dokładnie, co ci się przydarzyło z tym osobnikiem — rzekł Fastryga.

— Dostarczył do mnie na ulicy pod blokiem — odparł Marek. — Nie mam pojęcia, dlaczego zaczepił akurat mnie.

— To proste jak włos Eskimosa — rzekł Fastryga. — Zaczepił cię z powodu twoich piegów.

Rozległ się chóralny śmiech w tyle wozu. To znów jak na komendę śmiali się wszyscy strażacy.

Marek przygryzł wargi, chciał powiedzieć tym nietaktownym gburom coś przykrego, ale opanował się i zapytał siląc się na obojętny ton:

— Co z tym wspólnego mają piegi?

— W jego chorym umyśle piegi i rude włosy kojarzą mu się z ogniem, dlatego zawsze zaczepia piegowatych i rudych, zagaduje ich chytrze, mami miłymi słówkami i prezencikami i próbuje wciągnąć do swojej brzydkiej zabawy — wyjaśnił Superstrażak. — Czy ciebie też mamił?

— Tak, mamił mnie — odparł Marek. — Powiedział, że nazywa się Mustafon Idiosynkrazy, jęczał i udawał chorego.

— I może podarował ci coś? — dopytywał Fastryga.

— Nie, nic.

— Na pewno nic? Przypomnij sobie.

W kieszeni Superstrażaka zapiszczał telefon. Fastryga podniósł go do ucha.

— Tak... zgadza się — powiedział. — To na pewno ten chłopiec. Zakończymy aferę szybciej niż myśleliśmy. Postępujcie dalej według instrukcji! — Fastryga odłożył telefon i uśmiechnął się swą pokiereszowaną gębą do Marka.

— A jednak nie powiedziałeś nam prawdy, zuchu. Czyżbyś nie miał do nas zaufania? Zrobiłeś mi dużą przykrość. Nasz agent widział, jak Mustafon dał ci reklamówkę, tę, którą chowasz pod fotelik.

Marek zaczerwienił się.

— Och, to tylko zwykła reklamówka — usiłował bagatelizować.

— A co jest w tej reklamówce?

— Nic takiego... — Markowi nie podobała się ciekawość strażaka i postanowił nie mówić mu prawdy.

— Ale to dziwne — ciągnął Fastryga. — Nieznajomy daje ci na ulicy torbę... Czemu to zrobił?

— Bo... bo go poprosiłem — wykrztusił Marek. — Potrzebna mi była taka duża reklamówka do... do spakowania węży — opowiedział o anakondach, które zamierzał kupić.

— Do spakowania węży? — zaśmiał się Fastryga. — Co ty mi za michałki pleciesz, zuchu? Nie mogłeś wymyślić czegoś lepszego? Źle robisz, chłopczyku, ukrywając prawdę przede mną. Wiem, że mogą cię denerwować moje pytania, ale tu chodzi o twoje bezpieczeństwo. Już ci mówiłem i jeszcze raz powtarzam, Mustafon lubi wręczać prezenty w ładnym opakowaniu, albo prosić o przechowanie jakichś niby cennych szkatulek pod pretekstem, że jest ścigany, więc jeśli tak się stało w twoim przypadku, powiedz, bo to, co ci dał, to może być... to nawet na pewno jest... BOMBA!

— Bomba?! W reklamówce? — słowa Fastrygi zrobiły pewne wrażenie na Marku.

— Podaj mi ją ostrożnie — rzekł Fastryga — zaraz sprawdzimy... tylko pamiętaj, pomału, bez gwałtownych ruchów!

— Tak jest, proszę pana — Marek z lękiem podał mu reklamówkę.

Fastryga zajrzał do niej i... osłupiał.

— A to co?! — zdumiony wyciągnął z torby... składany cylinder „szapoklak”, a potem — małą czarną pałeczkę, krążek zwiniętej taśmy koloru cielistego, dwa czarno słoiczki, imitację pistoletu i kalkulatorkę kieszonkową.

Nie mniej zdumiony Marek przetarł oczy i próbował zrozumieć, co się stało.

— No i gdzie ta bomba? — wybełkotał. — Mów... mówiłem panu, że tam nie ma nic takiego...

Fastryga wciąż niedowierzając odkręcił wieczko słoiczka i wsadził do środka palec i cofnął go ze wstrętem.

— To jakieś ohydne robaki! Coś tu poszachrował? — krzyknął nagle do Marka.

— Ja... poszachrowałem?! Co pan! — oburzył się Marek.

— Ty, mały spryciarzu, to nie ta torba, którą dostałeś od grubego. Zdążyłeś już się jej pozbyć! Mów, co z nią zrobiłeś? Komu dałeś puzderko?

— Skąd pan wie, że tam było jakieś puzderko?

— Wiem więcej niż sobie myślisz, koleżko. Wyglądałeś mi na szczerego zucha... uczciwego harcerza, ale coś mi się widzi, że lepszy krętacz z ciebie. To spotkanie z Mustafonem Idiosynkrazym, to nie był czysty przypadek, ty byłeś umówiony...

— Wcale nie! — zaprzeczył gorąco Marek.

— Ejże, chłopcze — Fastryga przyglądał mu się podejrzliwie — czy ty od początku nie robisz balona z dobrego strażaka Fastrygi?

— Czemu miałbym robić? Pan naprawdę myśli, że ja...

— Myślę, że to puzderko po prostu komuś dalej przekazałeś, a teraz chcesz mieć nam w głowie, ale nie powinienes kryć Mustafona, to zły człowiek... A może to twój wujek?!

— Mustafon?! Mój wujek?!

— Albo wspólnik!

— Co panu przyszło do głowy?!

— To mów, co zrobiłeś z puzderkiem!

— Ja... ja naprawdę nic nie wiem. I nie obchodziło mnie, co jest w tej reklamówce. Cały czas myślałem tylko, żeby się nie spóźnić na spotkanie z Baruszyńskim, a jak pan mi nie wierzy, to trudno... Dziękuję za podwiezienie i wynoszę się — Marek rozgniewał się i chciał wstać, ale Fastryga przytrzymał go i poklepał pojednawczo po ramieniu.

— No, no, dobrze... przypuśćmy, że ktoś ci zamienił reklamówkę, a ty nie zauważyłeś, ale chyba wiesz, co było w tej kasetce, albo, powiedzmy, w tym puzderku.

— Skąd mogę wiedzieć? — zdziwił się Marek.

— Chłopcy w twoim wieku lubią zaglądać do tajemniczych przesyłek. Na pewno ją otworzyłeś z samej ciekawości i zerknąłeś, co tam jest w środku. No, nie bój się i przyznaj, to przecież żadna zbrodnia.

— Nigdy nie zaglądam do cudzych przesyłek, listów i kasetek, to nieładnie. Jak pan może posądzać mnie o takie rzeczy? Wsiadam! Nie podoba mi się ta rozmowa — Marek wzburzony zerwał się z miejsca. — O, Boże, co to?! Gdzie my jesteśmy?! — spojrzał przez szybę. — Proszę zatrzymać! Minęliśmy mój blok...

— Minęliśmy? Niemożliwe — Fastryga udał zdumienie.

— Pan mnie umyślnie zagadał!

— Ja?! Słyszycie, co on mówi? — Fastryga zwrócił się do siedzących w dwu rzędach strażaków. — Czy ja zagadywałem tego zucha?

Strażacy kolejny raz roześmiali się jak na komendę bardzo brzydkim recho-tliwym śmiechem jak chór żab. Tylko jeden z nich, wielki muskularny strażak o gorylej budowie nie roześmiał się, natomiast wydobył dwie czarne rękawiczki,

skropił je obficie cieczą z małej buteleczki i zaczął starannie przecierać chusteczką. Ostry zapach benzyny rozszedł się po wozie. Ten widok i ten zapach coś przypomniał Markowi, coś mało przyjemnego, bo nagle ogarnął go dziwny niepokój... po prostu zaczął się bać.

— Dokąd mnie pan wiezie?! — wykrztusił przerażony — ja... ja nie chcę... ja wysiadam! Proszę stanąć!

— To niemożliwe — Fastryga uśmiechnął się zimno. — Właśnie dostaliśmy przez radiotelefon wiadomość: nowy akt terroru! Zlokalizowano Mustafona. Wtargnął do kawiarni Baobab na Banacha i podłożył bombę zapalającą ukrytą w bukietcie kwiatów. Wybuchła, gdy wsadzano ją do wazonu. Ogólna panika i pożar! Pędzimy tam, nie wolno nam stracić ani jednej chwili! Tym bardziej, że zaraz przyjedzie telewizja i będą nas pokazywać w akcji.

— Ale ja umówiłem się w bardzo ważnej sprawie na piątą, ja nie mogę... — jęknął Marek.

— Zdążysz — przerwał Fastryga — uwiniemy się błyskawicznie! Stosujemy nowoczesne super-hiper metody i technikę dwudziestego pierwszego stulecia! A w razie najmniejszego spóźnienia dostaniesz od nas zaświadczenie, że znalazłeś się w stanie wyższej konieczności i musiałeś uczestniczyć w akcji przeciwogniowej.

Marek uspokoił się nieco.

— Pan żartuje, naprawdę napisałby pan?

— Oczywiście.

— I mógłbym z wami gasić prawdziwy pożar?

— Jeśli chciałbyś...

— O, tak! — zapalił się Marek — i od razu pomyślał, jaką furorę zrobiłoby to w szkole. — Czy mógłbym sikać w ogień tą dużą sikawką?

— Jeśli ci to sprawi przyjemność...

— I strzelać z armatki wodnej.

— Jeśli potrafisz, to proszę bardzo...

— I będę pokazany w telewizji?

— Jeśli ci tak zależy! Ale wszystko pod warunkiem, że będziesz grzeczny i zaraz powiesz dobremu wujkowi Fastrydze, co naprawdę zrobiłeś z tym cholernym puzderkiem.

— O, rany, pan znów to samo, nudno się robi!

— Posłuchaj, chłopcze, to nie zabawa, ty chyba wciąż nie zdajesz sobie sprawy, w co się wplątałeś, o jakie otarłeś się niebezpieczeństwo. To cud, że jeszcze żyjesz!

— Myśli pan, że Mustafon jest aż tak groźny?

— Śmiertelnie groźny! Jak bestia w dżungli, jak tropikalny gad...

— Jak boa dusiciel? Jak anakonda? — zainteresował się Marek.

— Rzekłbym, jak jadłowita czarna mamba — sprecyzował Fastryga. — Do tej pory nikt, kto otarł się o Mustafona i wdał się z nim w najmniejszą konwersację, nie uszedł cało, ponieważ łobuz ten na zakończenie rozmowy ma zwyczaj traktować swojego rozmówcę kindząłem.

— Kindząłem?! — Marka zatkało z wrażenia.

— Dokładnie pod czwarte zebro.

— Nie widziałem u niego niczego podobnego do kindżału.

— Nosi go w rękawie. Oto z kim miałeś do czynienia! Czy teraz powiesz nam całą prawdę?

— Już powiedziałem — rozżościł się Marek. — Niech pan mi da spokój, bo mam tego po same dziurki w nosie.

— Znakomicie, jak chcesz, zuchu — Fastryga uśmiechnął się kwaśno i sięgnął po radiotelefon. Przez chwilę rozmawiał z kimś półgłosem, po czym nacisnął guziczek przy swoim fotelu. Syrena strażacka dostała czkawki i umilkła, włączył się natomiast urywany sygnał dźwiękowy karetki pogotowia.

Na ten sygnał strażacy powstali z miejsc, ściągnęli pomarańczowe hełmy tudzież uniformy i wtedy okazało się, że każdy z nich miał przy pasie kaburę z pistoletem. Wydostali spod ławek plastikowe torby, wyjęli z nich białe fartuchy oraz czepki służby zdrowia i zaczęli sprawnie się przebierać. . .

Marek patrzył na to wszystko z rosnącym osłupieniem.

— Co tu się dzieje? — wybełkotał.

— Spoko, chłopcze, to tylko mała zmiana planu — rzekł Fastryga. — Przed minutką otrzymałem wiadomość, że było przekłamanie na linii. Zniekształcono wiadomość o kawiarni Baobab z winy naszego agenta, który ma pypcia na języku. W rzeczywistości podłożono tam nie bombę lecz bombonierkę i nie wybuchło, tylko nadmiernie spuchło. . . kucharzowi ciasto drożdżowe. Pożaru w Baobabie więc nie ma i dziś chyba nie będzie, bo Mustafona widziano już w Izabelinie. Przeniknął do Fundacji Zdrowia Alberta podając się za profesora, specjalistę od leczenia izotopem kobaltu i demonstrując tak zwaną bombę kobaltową. Nietrudno się domyślić, że nie była to żadna bomba kobaltowa, lecz terrorystyczna bomba wybuchowa. . .

— Rozumiem, pożaru nie będzie — rzekł markotnie Marek — ale po co oni wdziewiają białe fartuchy? — wskazał na strażaków.

— To mała transformacja, chłopcze. Pora, bym ci wyjaśnił pewne rzeczy. Nowoczesna ekonomia pracy wymaga wykorzystania czasu i energii tych dzielnych ludzi w systemie non-stop! Czasy tradycyjnych wąsko profesjonalnych strażaków skończyły się. „Ruatonim” jest nowym sprywatyzowanym przedsiębiorstwem o szerokim wachlarzu specjalności. Wchodzimy w skład Agencji Uniwersalnej Ochrony „Agguno”. Walczymy nie tylko z ogniem, lecz z każdym innym żywiołem, z każdym zagrożeniem życia, zdrowia i majątku. Jak powiedziałem, zanoszą się na nowe kłopoty z Mustafonem. Wzywają nas do Izabelina. Jedziemy

tam pod sztandarem służby zdrowia, zaskoczmy Mustafona, obezwładnimy i... udzielimy mu fachowej pomocy medycznej.

Fastryga uśmiechnął się krzywo swoją zszywaną gębą.

— Wy? Pomocy medycznej?! — Marek spojrział na niego nieufnie.

— Świadczymy pełny asortyment usług w tym zakresie, także usługi psychiatryczne tudzież chirurgiczne, łącznie z przeszczepami serca i wątroby. Przy sposobności robimy gratis pedicure, co bardzo sobie chwalą nasze klientki. Podobnie jak nasze masaże, mamy kadrę najlepszych masażyści. Lecz nasza główna specjalność to operacje plastyczne, a ostatnio również małe dyskretne zabiegi na mózgu dla mężów stanu. Ceny umiarkowane, dla posłów pięćdziesiąt procent zniżki po okazaniu legitymacji. Gwarantujemy pacjentom po zabiegu błyskotliwość wystąpień publicznych, swadę i elokwencję, celność polemiczną, zabójcze dla adwersarzy riposty, łatwość podejmowania optymalnych decyzji, zdolność wnikliwej oceny sytuacji...

— Nie wierzę! — mruknął zniecierpliwiony Marek.

— Ależ tak, chłopcze, mamy rewelacyjne wyniki! W dziewięćdziesięciu procentach uzyskujemy znaczącą poprawę ilorazu inteligencji, ty też mógłbyś sobie poprawić.

— Ja?

— Zawieziemy cię na zabieg gratis.

— Nie, dziękuję! — przestraszył się Marek. — Wystarczy mi to, co mam. Mój przyjaciel, pan Anatol Surma, sakso-wiolonczelista mówi, że z nadmiarem inteligencji można mieć kłopoty.

— W każdym razie powinienes dać się zbadać, zuchu — Fastryga przyglądał się Markowi krytycznie. — Wyglądasz nienadzwyczajnie. Oczy podkrążone, twarz wymoczka, ty chyba chory jesteś, dziecko.

— Ja?

— Nie wiem, może mi się tylko zdaje, ale warto cię zbadać!

— Mnie nic nie jest, ciocia Dora niedawno mnie badała. Ja chcę wysiąść, nie jadę dalej, a pan mnie umyślnie zagaduje! — Marek rzucał niespokojne spojrzenia na olbrzyma w czarnych rękawiczkach, który właśnie wdziewał biały fartuch. Na jego lewej ręce zwracał uwagę duży marynarski tatuaż. Kogo ten człowiek przypominał? — Marek wyteżył gorączkowo pamięć. Te czarne rękawiczki, zapach benzyny, goryla budowa i ten tatuaż! I nagle przypomniał sobie. Tak, o pomyłce nie może być mowy. To Bosmann! Teofil Bosmann! Poznał tego draba w dramatycznych okolicznościach, gdy był porwany i więziony przez bandę Alberta Flaszka. Od razu przed oczyma stanęła mu jak żywa cała galeria przestępców, z którymi miał wtedy do czynienia... Wieńczysław Nieszczególny, osobnik o końskiej twarzy najbardziej przebiegły, najzręczniejszy opryszek świata podziemnego stolicy, elegancki pachnący jaśminem doktor Bogumił Kadryll, niezrównany kieszonkowiec, Chryzostom Cherlawy, złoczyńca nikczemnej postury obdarzony „siedmiorgiem

talentów” i takąż liczbą potomstwa. I wreszcie on, obecny w tym wozie zbrodniarz-atleta zwany Teosiem Dusicielem, albo Czarnopalcym! Jego obecność nie może wróżyć nic dobrego! Dreszcz przeszedł Marka po skórze.

— Co ci jest? Dziwnie zbladłeś, zuchu — zagadnął go rozbawiony Fastryga. — To te dzisiejsze przeżycia... za dużo wrażeń, a system nerwowy słaby. Mały zastrzyk dobrze ci zrobi.

— Co?! Zastrzyk?! — Marek zerwał się przerażony.

— Siadaj! — Fastryga pchnął go na fotel. — Bądź mężczyzną! Ten zabieg pomoże ci także na pamięć, która wyraźnie szwankuje! No, nie bój się, taki duży chłopiec... Nic nie będzie bolało. Pan Teofil ma wprawę i delikatną rączkę.

— Teofil?! — Marek zdrętwiał do reszty. — Nie!!! Żadnych zastrzyków! Nie chcę, nie godzę się! Pan żartuje...

Ale to nie były żarty. Marek zobaczył, że Bosmann zaczął napełniać strzykawkę cieczą z żółtej fiolki. Sprawa była jasna, Marek nie miał już wątpliwości. Wpadł w ręce niebezpiecznych gangsterów. Cała historia ze strażakami i Mustafonem Idiosynkrazym — wszystko, co napłótł mu Fastryga było bajką, wielką zgrywą, a naprawdę cały czas chodziło tylko o jedno... chodziło tylko o to cholerne puzdro.

Co robić teraz? Uciekać... uciekać stąd za wszelką cenę, póki jeszcze jest czas. Ale jak? Przecież nie puszczą go, nie pozwolą się wymknąć... Chyba tylko cud mógłby go ocalić. „Boże — pomyślał rozpaczliwie — żebym choć raz zamiast pecha miał szczęście!” Ale czy to mądre czekać beczynnym na szczęście? Kuzyn Alek, znany sportowiec mówi: „szczęście lubi, żeby mu pomóc”. Akurat przejeżdżali koło bazaru na Banacha. Wóz zwolnił, bo na Grójeckiej jezdni była zwężona. Prowadzono roboty drogowe. Bosmann ruszył do Marka z napełnioną strzykawką...

„Teraz albo nigdy — pomyślał Marek — muszę zaryzykować!”

— Kadryll! — wykrztusił głośno przerażonym głosem patrząc w okno.

— Co ty bredzisz? — Fastryga zmarszczył brwi, a Czarnopalczy zastygł w miejscu.

— Bo... Bogumił Kadryll! O... i Wieńczysław Nieszczególny! — bełkotał Marek.

— Gdzie? — zdenerwował się Bosmann.

— Tam! Śledzą nas! — Marek wskazał palcem na słup uliczny, a gdy obaj złoczyńcy odwrócili głowy, pchnął z całej siły Bosmanna na Fastrygę i wyskoczył z wozu przy akompaniamencie straszliwego zwierzęcego ryku. To był z bólu Fastryga, bo Czarnopalczy waląc się na niego, wbił mu w ucho igłę strzykawki.

Lawirując między uwięzłymi w korku samochodami Marek, co tchu w pierś, pognął na pobliski przystanek. Z ambulansu wyskoczyli ludzie „Ruatonimu”, ale nie zdołali złapać małego zbiega, bo właśnie zniknął w drzwiach odjeżdżającego czerwonego autobusu i zagrał im szyderczo na nosie.

— Przeklęty szczył! — jęknął Fastryga trzymając się za przeklute ucho. —
Czekaj, dopadnę cię jeszcze, smarkaczu!

ROZDZIAŁ III

TAJEMNICA PUZDRA Z DRZEWA SANDAŁOWEGO • NIE-
ZWYKŁE PRAKTYKI AGENCJI OCHRONY „MINOTAUR” •
GŁOŚNA GRUPA PRZED WYZWANIEM • PRZYCZYNEK DO
DOMOWEJ HODOWLI DUSICIELI • STRYJ DIONIZY I JEGO
KUFER

Ta pachnąca szkatułka z drzewa sandałowego musiała być naprawdę bardzo ważna i cenna, skoro draby z „Ruatonimu” uruchomiły tak wielką akcję, żeby ją zdobyć — myślał Marek wysiadając z autobusu na trzecim przystanku. — Nie wiadomo, kim jest Mustafon Idiosynkrazy, czy to w ogóle jego prawdziwe nazwisko. Może to również przestępca, rabuś niewiele lepszy od Fastrygi czy Bosmana. Ale równie możliwe i prawdopodobne, że to jakiś facet ze służb specjalnych, agent „na usługach sprawiedliwości”, jak sam to po prostu określił. W każdym razie zaufał Markowi, powierzył mu ten zagadkowy depozyt i jakoś nieładnie byłoby stracić go w taki głupi sposób. . . Trzeba zrobić wszystko, żeby go odzyskać. Dużo zależy od tego, kto zamienił torby! Czy zrobił to umyślnie czy niechcący, przez nieuwagę.

Marek jeszcze raz zajrzał do środka, jakby tam szukając odpowiedzi. Lecz zawartość reklamówki nie tylko nie ułatwiała mu rozwiązania zagadki, lecz wprowadzała dodatkowy mętlik w głowie. Komu mógł służyć ten głupi zestaw przedmiotów: mała pałeczka jak do dziecięcego bębena, żabka elektroniczna zdalnie sterowana, czarny cylinder, sztuczne pająki i jaszczurki, jakieś okropne wielkie czarne robaki, jakieś obrzydliwe, włochate larwy. . . i pistolet-zabawka; taki sam leżał na wystawie znajomego pobliskiego sklepu z reklamową metką:

ŚMIGUS-DYNGUS! NOWOŚĆ!

Specjalny pistolet

na wodę kolońską.

Być może są to „skarby” jakiegoś młokosa, ale ten cylinder?! Marek założył go sobie na głowę i chciał przejrzeć się w szybie wystawy, ale cylinder był tak

wielkich rozmiarów, że opadł mu aż na oczy. Zdjął go szybko, zawstydzony, bo spostrzegł, że przechodnie przystają i przyglądają mu się rozbawieni.

Tak, ten cylinder zupełnie tu nie pasuje. Więc chyba to nie jest kolekcja stukniętego małolata, a w takim razie czyja?

Z pewnością wszystko się wyjaśni w Salamandrze! Jest szansa, że właściciel torby spostrzegł swoją pomyłkę i odda mu zamienioną reklamówkę.

Liliana powitała uśmiechem Marka i wyjęła spod lady jego czerwoną torbę. — To pan Radżaputra zamienił. Jest trochę roztargniony, bo to artysta. . . Bardzo się niepokoił, ule uspokoiłam go, że jesteś porządnym chłopcem i gdy spostrzeżesz, że torby zostały pomyłone, na pewno odniesiesz nie swoją, choćby w niej było samo złoto.

— Złota nie było — odparł Marek stawiając na ladzie reklamówkę — ale były dziwne rzeczy.

— O tak, spodziewałam się tego — Liliana roześmiała się rozbawiona — wyobrażam sobie, jaką miałeś minę, jak je oglądałeś. No cóż, sam pan Radżaputra też nie jest zwykłym człowiekiem. Sprawdź, czy wszystko w porządku i czy nic nie zginęło — podała Markowi odzyskaną reklamówkę.

Marek zajrzał do środka i odetchnął na widok puzdra. Otworzył je. Z puzdra też nic nie zginęło.

— W porządku — mruknął. — Gdzie jest ten pan o dziwnym nazwisku? Chciałbym go zobaczyć.

— Niestety, pan Radżaputra musiał wyjść. Śpieszył się do cyrku. Było mu przykro, że ciebie też naraził na kłopoty, kazał cię przeprosić i oczywiście podziękować za zwrot rekwizytów. Wszystko z nerwów. . . Ostatnio nie najlepiej mu się wiedzie.

— To dziwne nazwisko i te. . . te, jak pani powiedziała, rekwizyty. . . Kim właściwie jest ten pan?

— Jeszcze nie domyśliłeś się? Pan Radżaputra jest czarodziejem.

— E, pani nabija się ze mnie. — Marek roześmiał się.

— Nie. On naprawdę jest presti. . . prestidi. . . prestidigitatorem! Uf, co za słowo!

— Prestidigi. . . tatem? — wykrztusił zdumiony Marek.

— Co cię tak dziwi? — Liliana wzruszyła ramionami. — Do nas, na lody, przychodzą ludzie wszystkich zawodów, także czarodzieje. A pan Radżaputra jest początkującym, ale dyplomowanym, wykształconym iluzjonistą. Czy wiesz, co to znaczy?

— To taki gość, co robi różne sztuki, na przykład wyciąga królika z cylindra — powiedział Marek i wesoło wybiegł z Salamandry.

Oglądając się, czy nikt go nie śledzi, popędził szybko do domu. Na siódmym piętrze pod drzwiami mieszkania czekało już czterech ludzi o wyglądzie głodomorów i długich jak u szympanów rękach. Wszyscy mieli pomarańczowe

firmowe ubrania robocze z nadrukiem MINOTAUR oraz takiegoż koloru szaliki i rękawiczki. Stali rzędem pod ścianą, wszyscy bardzo kędzierzawi i jacyś czerniawi, a tak wychudzeni, jakby morzono ich głodem od miesięcy. Zachodziła obawa, że nie starczy im sił, by wbić choć jeden gwoździak w ścianę i że mogą się przewrócić od byle przeciągu.

— Przepraszam za spóźnienie — Marek chrząknął zakłopotany. — Proszę wejść — otworzył drzwi. — Panowie chyba bez obiadu, może byście przekasili coś przed pracą, mam pół kilo kaszanki i dwa serdelki w lodówce... — zaproponował przyjaźnie, ale oni nawet nie drgnęli tylko patrzyli jakoś ponuro, by nie powiedzieć wrogo, a z pewnością podejrzliwie.

— Do licha, co z panami? Czy panowie dobrze się czują?

— Czują się całkiem dobrze, synku — usłyszał sympatyczny głos.

Z głębi korytarza wyłonił się piąty osobnik ekipy „Minotaura” z walkie-talkie przy uchu. Był tęgi, rumiany i wąsaty, a na piersi miał małą plakietkę z napisem:

EULALIUSZ TREL
kierownik sekcji alarmów

— Panowie się pewnie denerwowali, że nikogo nie ma w mieszkaniu — wykrztusił Marek — bardzo mi przykro.

— Nie szkodzi, synku, ja rozumiem, młodzi ludzie w twoim wieku mają mnóstwo ciekawszych zajęć niż pilnowanie mieszkania. — Kierownik Trel uśmiechnął się do Marka. — Czemu masz taką niewyraźną minę?

— Niewyraźną?

— Rzekłbym: strutą.

— Zawsze mam taką, a w dodatku ci pańscy ludzie... Wyglądają na głodomorów, jakby nic nie jedli od wczoraj, chciałem ich poczęstować kaszanką, mówię do nich... a oni nic, stoją jak kołki, nie raczą się odezwać i tylko patrzą na mnie spode łba, bardzo nie... nieprzyjaźnie patrzą.

— Wybacz im, pewnie nie zrozumieli, o co chodzi. Nie znają języka. To Anglicy, synku.

— Anglicy? — zdumiał się Marek patrząc na kędzierzawych — zatrudniacie Anglików?

— W rzeczy samej, bierzemy ich na staż, zapewniamy wyżywienie i mieszkanie... dobrzy, spokojni robotnicy, mało jedzą, przeważnie owsiankę i te takie kurne flaki z miseczki...

— Cornflakes?

— O, właśnie! Dżentelmeni, proszę do środka! — Trel pogonił Anglików.

Kędzierzawi stażyści ruszyli żwawo i wtedy Marek zauważył, że wszyscy czterej kuleją na lewą nogę. Ale to nie było ostatnie zaskoczenie, gdy w przedpokoju zdjęli szaliki i rękawiczki, Marek zobaczył, że z długich rękawów zamiast

dłoni wystają im specjalne metaliczne protezy będące w istocie precyzyjnym aparatem chwytym, podobnym do tego, jaki widział na wystawie robotów laboratoryjnych.

— To przecież inwalidzi! — spojrzał zdumiony na Trela.

— Istotnie, synku, to inwalidzi pracy. Zatrudniamy ich w ramach rehabilitacji i przysposobienia do zawodu. Pracują z korzyścią dla siebie, a także, nie będę ukrywał, z dużym pożytkiem dla naszej firmy. Rzecz w tym, że nasza firma potrafi twórczo i, że tak powiem, konstruktywnie wyzyskać ich kalectwo. Zaopatrujemy ich w odpowiednie wyspecjalizowane protezy będące jednocześnie precyzyjnymi narzędziami pracy, o wiele bardziej funkcjonalnymi od ludzkiej ręki i sprawniejszymi, zwłaszcza w manipulowaniu detalami mikroelektronicznymi. Należy dodać, że tego rodzaju sztuczne ręce mogą pracować we wszelkich, także ekstremalnych, warunkach. Można je zanurzać w żrących kwasach, wkładać do rozpalonych pieców, dotykać nimi rozżarzonych metalicznych elementów... I jeszcze jedno, co chciałbym podkreślić: nie zostawiają na żadnej powierzchni odcisków palców! To bardzo ważne.

— Ważne? Dlaczego ważne? — Marek zamrugał oczyma, ale kierownik Trel zignorował to pytanie i szybko zmienił temat.

— Porozmawiajmy o alkoholach — powiedział — gdzie w tym mieszkaniu trzyma się alkohol?

— Alkohol? — Marek wytrzeszczył oczy.

— Likieri, koniaki, brandy, dżin, scotch whisky, te rzeczy, synku.

— Nie rozumiem... po co to panu... o co chodzi?

— Chodzi o to, że należy je zabezpieczyć, bo mogłyby stracić moc.

— Stracić? A to dlaczego?

— Podczas montażu instalacji wytworzy się tu silne pole elektromagnetyczne, synku, a to szkodliwe dla alkoholi. Wyobraź sobie, co tu się będzie działo, kiedy zaczniemy generować!

— Generować?! — Marek słuchał oszołomiony.

— Generować generatorami. Wszystko wtedy nam tutaj zadrga, zafaluje, będą szalały UKF-y, herce, kiloherce i megaherce.

— Myśli pan, że to może mieć taki wpływ? Jakoś nie mogę sobie wyobrazić.

— To stwierdzono naukowo. Następuje wtedy swoisty rozkład alkoholu.

— Coś w rodzaju elektrolizy?

— Właśnie! Przykre obniżenie procentowości... napojów wysokowych.

— Pierwszy raz słyszę — mruknął nie przekonany Marek — jak to możliwe? — zastanawiał się.

— Źle cię uczyli fizyki tudzież chemii, synku! — zasapał zniecierpliwiony Trel. — Ale wróćmy do rzeczy, czy zechcesz powiedzieć mi wreszcie, gdzie wy, Piegusowie, przechowujecie wasze likierki i koniaczki *et caetera*?

— Nie mamy żadnych likierków i koniacków, proszę pana — oświadczył nieco zażenowany Marek. — Mamusia zwalcza te napoje w ramach odnowy biologicznej.

— Niemożliwe?! — Trel spojrział z niedowierzaniem na Marka. — Ani jednej butelczyny? W takim szacownym, tradycyjnym polskim domu? Co ty mi opowiadasz, synku? Uprzedzam cię — pogroził Markowi palcem — nie próbuj niczego ukrywać przed majstrem Trelem, bo oprócz elektrolizy może nastąpić gwałtowna dializa oraz perforacja, i skutki będą opłakane, a ty będziesz odpowiedzialny! Więc utrzymujesz, że nie ma ani kropli trunku w tym szlachetnym domostwie?

Marek przestraszył się nieco.

— Nie powiedziałem, że ani kropli — jęknął — nie ma wprawdzie żadnej brandy ani whisky, ale jest półtorej flaszki czystej krakowskiej.

— To już lepiej — odetchnął Trel — a gdzie ta krakowianka?

— W głowie tatusia.

— Co ty powiedziałeś, synku? Jak to w głowie?

— Pan Poczobutt, przyjaciel naszej rodziny, wyrzeźbił z gliny i wypalił tatusiową głowę, no i podarował tacie na imieniny. Ona w środku jest pusta, obliczona na cztery butelki, to bardzo pojemna głowa. Tata przechowuje w niej czystą, żeby mama nie widziała. Trzyma ją wysoko, na szafie z książkami.

— Zaopiekujemy się nią — powiedział Trel.

— Czy... nic jej się nie stanie? — zaniepokoił się Marek.

— Zamkniemy ją w specjalnym pojemniku ochronnym i umieścimy w pakamerze.

— Panowie urządzili tu gdzieś pakamerę?

— Tak. Mama ci nie mówiła, że musimy tu mieć pakamerę?

— Nie... nic nie mówiła, a gdzie ją urządziliście?

— W salonie. Masz coś przeciwko?

— No, nie wiem... mama nic nie mówiła, ale czy musicie od razu w salonie? Dlaczego?

— Bo tam jest telewizor. Chłopaki będą chcieli oglądać pszczołkę Maję.

Marek spojrział podejrzliwie na majstra.

— Pszczołka Maja nie idzie — zauważył.

— Nie idzie? No cóż, w takim razie muszą wystarczyć im Muminki i Smurfy.

Osobliwa skłonność Anglików elektroników do telewizji dziecięcej wydała się Markowi zgoła niestosowna i w innych, normalnych okolicznościach z pewnością zainteresowałby się bliżej osobą superspeca (jak go nazywał w myśli), czyli Eulaliusza Trela i jego ekscentryczną ekipą, ale, jak wiemy, sytuacja nie była normalna i rozpaloną wyobraźnię Marka zaprzętały całkowicie niedawne przejścia z niejakim Fastrygą i z ludźmi z „Ruatonimu”, a „prezent”, którym go obdarzył Mustafon Idiosynkrazy, nie dawał mu spokoju. Toteż nie czekając aż mistrz

Eulaliusz zabierze się do zabezpieczania tatusiowego alkoholu, szybko przerwał rozmowę.

— Nie ma sprawy, bierz się pan do roboty — rzekł menedżerskim tonem, który podsłuchał u ojca — tylko niech ci Anglicy nie naśmiecą, bo mama się będzie gniewała — dodał ostro i czmychnął do pokoju pana Surmy.

Na pianinie stał odtwarzacz magnetofonowy. Marek wsunął w jego paszczę kasetę Mustafona i nacisnął klawisz. Rozległy się dźwięki melodii znanego utworu, niestety fatalnie nagranej i w trzecim takcie zepsutej wskutek fałszywej nuty. Niemal jednocześnie powietrze przeszył świdrujący przeraźliwy jazgot alarmu.

Marek wyłączył odtwarzacz, zatkał palcami uszy i wybiegł z pokoju. Przy drzwiach wyjściowych wśród płataniny pstrokatych kabelków siedziało na podłodze dwu elektroników dłubiąc w skomplikowanej aparaturze. Obok nich stał okrakiem na drabinie superspec Eulaliusz ze słuchawkami na uszach i opukiwał ścianę koło pawlacza.

— Co się dzieje?! — krzyknął Marek.

Mistrz Eulaliusz położył palec na ustach. Jeszcze przez chwilę badał starannie okolicę schowka, po czym zdjął słuchawki i zapytał grzecznie:

— O co chodzi, synku?

— Ten ryk... to wycie... — jęknął Marek wciąż zatykając uszy.

— Rutynowa próba sygnału, synku. Efektowne, prawda? — uśmiechnął się zadowolony superspec — robi wrażenie, niezawodne w razie włamania. Zaraz się przekonamy...

— Czy... nie można już przerwać, czy to musi trwać tak długo?

— Niestety tak — wyjaśnił superspec — musisz wziąć pod uwagę, synku, że społeczeństwo w swej masie, a także twoi szanowni sąsiedzi to otepiałe, ociężałe mamuty, nieskore do reakcji na zwykłe sygnały. Stąd firma nasza stosuje sygnały specjalne...

— Nazywa pan sygnałami to... koszmarnie wycie, te odrażające ryki, te obmierzłe jazgoty i miauczenia?!

Mistrz Eulaliusz Trel chrząknął urażony.

— Nasze sygnały mają atesty Instytutu Psychologii i Psychiatrii PAN. Jak wykazały naukowe badania tylko takie sygnały zdolne są wywołać, że tak się wyrażę, pospolite ruszenie gnuśnego narodu, zaludniającego tutejsze blokowiska... Cicho! — przyłożył ucho do drzwi — zdaje się, że coś słyszę. Chyba mamy efekt, synku!

Istotnie w klatce schodowej dały się słyszeć wzburzone, gniewne okrzyki i tupot wielu nóg.

— To lokatorzy — jęknął przerażony Marek — biegną tu!

— O to właśnie chodziło — zadowolony superspec zatarł ręce — sygnał działa bez zarzutu, przekonałeś się, synku. Zanim zjawi się tu ktoś z zawodowej ochrony czy zaalarmowana policja, będziesz mógł liczyć na pomoc dzielnych sąsiadów. —

To powiedziawszy wyłączył sygnał, otworzył drzwi na klatkę schodową i uspokoił lokatorów: — To tylko próba instalacji alarmowej. Proszę się rozejść.

W głębi mieszkania ukazał się jeden z elektroników. Marek zobaczył, że osobnik ten chodzi po pokojach z kamerą wideo.

— Niech pan zobaczy, co on robi — zwrócił się do Eulaliusza.

— Kto? — Eulaliusz zmarszczył czoło.

— No, ten tam — wskazał Marek — on wszędzie łązi i nagrywa!

— Ach, masz na myśli tego z kamerą — roześmiał się Eulaliusz. — To dla dokumentacji. Musimy dokładnie poznać całe mieszkanie, to znaczy, co gdzie jest. Cały stan przed włamaniem.

— Po co? — zapytał Marek.

— Żeby nie błądzić po omacku, jak będzie tu włamanie. Będzie łatwiej zorientować się...

— Komu? Złodziejom?

— Żarty cię się trzymają, synku — superspec chrząknął z niesmakiem — oczywiście chodzi o naszą ekipę ochroniarzy, która się tu natychmiast zjawi...

— Wasza ekipa? Czy nie wystarczą sąsiedzi?

— Twoja mama życzyła sobie wariant „A-I” usługi, czyli pełne zabezpieczenie i ochronę. W razie alarmu natychmiast przyjeżdża tu uzbrojona ekipa naszych ochroniarzy, łapią i obezwładniają złodziei.

— Skąd będą wiedzieć o włamaniu?

— Alarm odezwie się jednocześnie w naszej centrali, a złodzieje od początku będą widzialni na naszym monitorze.

— I całe nasze mieszkanie?

— Tak, synku, możesz spać spokojnie, cały czas będziecie u nas na podglądzie.

— I na podsłuchu też? — zaniepokoił się Marek.

— Oczywiście. Niczego nie potrzebujecie się już obawiać. Będziecie stale pod naszą troskliwą kontrolą, najbardziej czułą i nowoczesną — zapewnił wyraźnie zachwycony mistrz Eulaliusz, ale Markowi jakoś nie bardzo się to spodobało.

— A... a czy można to będzie wyłączyć?

— Wyłączyć? Co wyłączyć?

— Tę całą aparaturę kontrolną.

— No... można, ale po co?! — zdziwił się superspec.

— Bo... bo wie pan, cały czas być na podsłuchu i podglądzie? To krępujące.

— Krępujące? Skądże! Można się przyzwyczaić.

— Myśli pan?

— Wielu ludzi, ważnych ludzi, ba, całe narody tak żyją.

— W każdym razie to nie... nieprzyjemne.

— Ale bezpieczne.

— Ja chcę pilota do wyłączenia! — rozzłościł się Marek.

— Oczywiście! Jak sobie życzysz — Eulaliusz podał mu przełącznik z dwoma przyciskami i czerwonym sygnałem.

Marek wypróbował go od razu. Działał bez zarzutu.

— W porządku? — superspec uśmiechnął się lisio, a może Markowi tak się tylko zdawało.

— Bo ja wiem? — Marek spojrział na superspeca podejrzliwie — alarm to on wyłącza, ale czy wyłącza także wasz podgląd i podsłuch?

— Maruda z ciebie, synku — rzekł nieco już zniecierpliwiony Eulaliusz. — Nie masz do nas zaufania?

Marek wzruszył ramionami.

— Obiecałem mamie, że będę ostrożny, proszę pana, bo ja mam pecha i przygody z byle czego, nawet dzisiaj. . . — Marek ugryzł się w język.

— Co dzisiaj? — zainteresował się superspec.

— A. . . jedni tacy chcieli mnie porwać.

— Co ty mówisz! Kto taki?

— Faceci z „Ruatonimu”. Byli w pomarańczowych ubraniach, podobnych do tych, które wy nosicie. To gang na wysokim poziomie. Jeżdżą w obłądnym, wielofunkcyjnym wozie!

— Gang?! Chyba poniosła cię fantazja, synku.

— Nie, wiem coś o tym, nauka nie idzie w las, proszę pana. Już raz byłem porwany przez szajkę Alberta Flaszka, był tam taki jeden bandzior-atleta, Teofil Bosmann, zwany Czarnopalcym albo Dusicielem, może pan słyszał. . . Zapamiętałem go dobrze i, proszę sobie wyobrazić, dzisiaj go zobaczyłem w tym obłądnym wozie, między ludźmi „Ruatonimu”. Był z nimi! Chciał mi zrobić zastrzyk! . . . Pan mi nie wierzy?

— Masz chorobę wyobraźnię, synku, rzekłbym brudną, zaśmieconą przez tę cholerną telewizję i filmy, przez te wszystkie thrillery i horrory. Dość tych bredni! — zdenerwował się superspec i wlaź z powrotem na drabinę, po czym założywszy słuchawki na nowo zabrał się do badania ściany przy pawlaczu.

— Chyba coś mam — ożywił się po chwili — tak, o pomyłce nie może być mowy, znamieny akustyczny syndrom, wyczuwam materię o osobliwej konsystencji. . . Słuchaj no, synku — zwrócił się do naburmuszonego Marka — czy twoi starzy nie mają tu jakiejś skrytki?

— Skrytki? — Marek zamrugał oczyma.

— Albo ukrytego sejfu.

— My?! — Marek skrzywił się gorzko — ale gdzie tam, proszę pana!

— No, no, nie bój się, powiedz — nalegał łagodnie Eulaliusz — mnie trzeba wszystko wyznać jak na spowiedzi świętej! Rozumiesz, synku, jeśli mam skutecznie zabezpieczyć mieszkanie, muszę dokładnie wiedzieć, gdzie macie skrytki i sejfy! Żadnych tajemnic! Rozumiesz chyba?

— Tak, proszę pana, ale my naprawdę nie mamy żadnych skrytek ani sejfów.

— To gdzie trzymacie brudasy?
 — Brudasy? Chodzi panu o brudną bieliznę?
 — Chodzi mi o sztony, to znaczy hm... melony, no wiesz, synku.
 — Sztony-melony? — wybełkotał Marek — nie rozumiem.
 — Melony, czyli bańki! Bańki, bańki, synku — zasapał zirytowany Eulaliusz. — Macie tu chyba gdzieś bańki?
 — Bańki to ma ciocia Dora — odrzekł markotnie Marek. Jak raz zachorowałem, to mi postawiła te bańki na plecach, chociaż strasznie wierzgałem. Potem miałem tam czarne kółka i chłopcy przezywali mnie lampartem.
 — Dosyć — zatrząsł się superspec — nie zawracaj mi głowy lampartem! Do ciebie trzeba mieć żelazne nerwy, synku! Nierozgarnięty jesteś, czy tylko udajesz głupka?! No, dobra — westchnął zrezygnowany — odstawmy na razie bańki, ale chyba wiesz, co to zielone?
 — A, zielone! — ożywił się Marek — trzeba było od razu tak mówić!
 — Więc rozumiemy się? — odetchnął Eulaliusz.
 — Tak. Zielone, to zielone.
 — Więc gdzie są?
 — Czyje?
 — Przecież nie moje. Wasze.
 — Zielone przejedliśmy, proszę pana.
 — Żartujesz sobie! Wszystkie?
 — Co do jednego centusia, proszę pana.
 — Ale przecież jakieś pieniądze gdzieś twoi starzy trzymają?
 — Mamusia trzyma w torebce, a tato po prostu w kieszeni, jeśli mają, co zdarza się teraz raczej rzadko.
 — Pewnie wszystko lokują na kontach w banku, przypomnij sobie, nie mówili przypadkiem o banku, że tam coś mają?
 — Tak, faktycznie mówili, że mają w banku...
 — Co mają?
 — Ujemne saldo.
 — Ty synku chyba nabijasz się ze mnie.
 — Ja? — Marek zdziwił się szczerze.
 — No, cacy, pal sześć walutę! — jęknął Eulaliusz. — Mogę zrozumieć, że twoi starzy nie lokują mamony w biletach, ale na pewno gdzieś tu trzymają twarde.
 — Twarde?
 — No, powiedzmy świnki.
 — Twarde świnki?
 — Albo jakieś cacuszka.
 — Cacuszka?
 — Świedła... kamyczki... błyskotki...

— Kamyczki, błyskotki?

— Nie powtarzaj głupio, bo to zaczyna być denerwujące, tylko odpowiedz jak grzeczny chłopczyk, gdzie mamusia chowa swoją biżuterię. . .

— A, chodzi panu o pierścionki?

— Nareszcie dogadaliśmy się. . . chodzi o pierścionki, łańcuszki, bransoletki, i o jakieś lepsze ciuchy. . .

— Mama wszystko zaniósła do krwiopijcy.

— Do kogo?! — Eulaliusz wytrzeszczył oczy.

— Do pana Tuburdy, co ma lombard.

— To faktycznie bardzo przykre, ale chyba zostawiła sobie jakieś futro?

— Nic, wszystko zaniósła, nawet parasol i srebrną puderniczkę.

— Niesamowite — bąknął zawiedziony Eulaliusz. — A co ze sprzętem?

— Chodzi panu o garnki, szczotki i ścierki?

— Chodzi mi o sprzęt hi-fi, no, wiesz, magnetofony, magnetowidy, odtwarzacze, kamery, fotoaparaty, kompakty, kasety. . . te rzeczy, synku, no i komputery. . .

— Wszystko, co było, wywieźliśmy do cioci Dory, żeby komornik nie zajął. Został nam tylko ten grat telewizor. Naprawdę poza nim nic tu nie ma.

— No, to po co wam instalacja alarmowa?! — wykrzyknął wzburzony super-spec.

— Bo mama się boi. Widzi pan, my wciąż mamy wizyty nieproszonych gości, bo ja. . . to znaczy my. . . stale nam się przydarzają niesamowite rzeczy. Raz nawet zakradł się do nas sam Wieńczysław Nieszczególny, na pewno pan słyszał o tym niebezpiecznym przestępcy, a teraz w dodatku mama boi się tych okropnych ściągaczy.

— Jakich znowu ściągaczy?

— Ściągaczy długów. Oni potrafią wdrzeć się zniecka o każdej porze dnia i nocy. Mają pistolety, straszą i grożą, mama mówi, że niektórzy porywają nawet dzieci. Są o wiele bardziej niebezpieczni niż komornicy. Wszystko dlatego, że tata nabrał pożyczek, żeby uruchomić interes, ale nie bardzo mu wyszło. . .

Eulaliusz słuchał z coraz markotniejszą miną.

— Nam też tu dzisiaj chyba nie wyjdzie — przygryzł wąsa.

— Co nie wyjdzie? — zapytał Marek, ale Eulaliusz zignorował pytanie i wrócił do opukiwania ściany, aczkolwiek już bez większego przekonania.

Do przedpokoju zajrzał najmniejszy z Anglików elektroników, za nim ukazało się pozostałych trzech, wszyscy ze spakowanymi torbami. Zatrzymali się w progu nie chcąc przeszkadzać mistrzowi w nasłuchu i tylko, by zwrócić jego uwagę, jeden z nich chrząknął, drugi wytarł nos, a trzeci i czwarty zakaszleli dyskretnie.

Eulaliusz obrócił się na drabinie.

— Już tutaj? Robicie fajrant? A co z Gargamelem? — zamruczał. — Dał w końcu tym cholernym pętaikom Smurfom porządny wycisk?

— E tam, te małe skubańce znów zrobiły go w konia — odparł najmniejszy z Anglików czystą polszczyzną z nienagannym stołecznym akcentem prosto z Targówka i Szmulowizny.

— A tak w ogóle było tam na co popatrzeć?

— Nic ciekawego, szefie. „Mur ceglany, głuche ściany, cztery kąty, grzejnik piąty”. Gargamelada całkowita. Dziady tu jakieś alarm sobie zakładają. Szkoda czasu i atlasu. Spadamy!

— Zaraz, chwileczkę... ta ściana nie jest głucha! — wykrzyknął superspec i podniecony poprawił mikrosluchawki w uszach — ta ściana mówi — zastukał ponownie — I chyba ciekawe rzeczy ma do powiedzenia! Chłopaki, prędko przecinak i młotek.

Elektronicy podali mu żądane narzędzia. Eulaliusz splunął w dłoń, przeżegnał się jak przy ryzykownym przedsięwzięciu i dwoma uderzeniami wbił przecinak w ścianę. Rozległo się głośne cmoknięcie, jakby ktoś nagle wyrwał korek z butelki i ze ściany trysnęła fontanna podejrzanej cieczy prosto w rozdziawione gęby elektroników. Zatkaną ich na moment. Silny odór niedoczyszczonego bimbru podgazował powietrze. Prysznic nie oszczędził także Marka.

— O, mamó! Co pan zrobił?! Mama się będzie gniewała! — jęknął wystraszony Marek przetykając palącą cieczą.

Natomiast elektroników opanowało przyjemne podniecenie.

— Jasny gwint! Czego to ludzie nie wykombinują w tych blokach!

— Bezbłędny odwiert, szefie!

— To najprawdziwsza émoga!

— Bełt jak cholera!

— Wściekła gołda!

— Lepsza niż berbelucha z praskiej Szmulowizny!

— Siedemdziesiąt procent jak obszył!

— No, no, panowie znawcy — krzyknął z wysokości drabiny superspec — bez komentarzy i wydziwiania! Ruszcie się, ochlapusy! Nie marudzić, bo tu się marnuje dar boży! Dawać mi tu migiem wiadra, kotły i sagany! I półcalowy szlauch. Upuścimy tej ścianie juchy! No, moczymordy, biegiem!

Elektronicy ochoczo podali mu wąską rurkę i pognali do kuchni. Wiader i kotłów nie było, musieli zadowolić się dużymi garnkami i miedzianym saganem. Mistrz Eulaliusz sprawnie wsunął rurkę w ścianę i zaczął po kolei napełniać naczynia „darem bożym”.

— No i proszę, synku — rzekł do ogłupiałego Marka — a mówiłeś, że nic tu nie macie! — roześmiał się. — Więc po to był wam potrzebny alarm! Bawimy się w konkurencję z monopolem spirytusowym i mamy, hm, z tego powodu małego pietra. Udajemy głupawych kapcanów, a po cichu pędzimy sobie bimber! Ciekawe tylko, gdzie chowacie aparaturkę destylacyjną?... Ej, spryciarze Piegusy! — coś w rodzaju podziwu zadźwięczało w głosie superspeca.

— To nie my — jęknął Marek — ja nie wiem, skąd to się wzięło — bełkotał coraz bardziej przerażony — bo nagle zamiast jednego zobaczył trzech identycznych śmiejących się superspeców i trzy identyczne drabiny.

— Nie ma się czego wstydzić, synku — rzekli jednocześnie wszyscy trzej superspece. — Nie widzimy nic zdrożnego w antymonopolowych działaniach i popieramy wszelkie przejawy inicjatywy w tym względzie, także — twojego tatusia...

— To... to nie tak! — zaprotestował gorąco Marek — pan nic nie rozumie, my prze... przeprowadziliśmy się tu dopiero niedawno... to pewnie ci, co tu przedtem mieszkali... I... I lepiej niech się pan trzyma drabiny, bo... bo widzę, że pan ma niebezpieczny przechył i zaczyna się pan kręcić!

— Nie bój się o mnie, synku, to tylko tobie w główce się kręci. Twój tatuś...

— Niech pan zostawi mojego tatusia, bo wywalę te wszystkie garnki! — krzyknął Marek i chwycił się klamki, bo poczuł, że podłoga dziwnie ucieka mu spod nóg.

— Ech, ty dzieciaku, uspokój się — kruk krukowi oka nie wykole — Eulaliusz zrobił poważną minę — chyba gramy z twoim tatą w tym samym klubie, a ja szanuję tajemnice zawodowe!... Ależ wy tego macie! Tu trzeba by z cysterłą podjechać — wyciągnął rurkę ze ściany, zatkał dziurę palcem, wypluł na pół żutą gumę i zaczopował nią otwór, po czym zeskoczył z drabiny i zawołał do elektroników:

— Zabieramy się chłopcy z tego szlachetnego domostwa. A ty włóż łepkę pod prysznic, zanim matka wróci — poklepał Marka po plecach. — Nie upiłeś się chyba w trupa i trafisz sam do łazienki?

Rechocząc z zadowolenia wyszli gęsiego ciężkim, kaczym krokiem. Każdy oburącz przyciskał do brzucha wielki garnek z alkoholem. Został po nich ostry odór „ćmogi”.

— Panowie, a nasze garnki?! — zawołał Marek z dość opóźnionym refleksem.

— Odliczymy z rachunku — odkrzyknął beztrosko Eulaliusz.

* * *

Marek wybiegł z mieszkania gotów ścigać zuchwalców, ale oni już zaczęli zjeżdżać windą w dół. Chciał ich dogonić schodami, lecz z przerażeniem zobaczył, że zrobiła się z nich ruchoma wirująca wstęga, jakaś straszna diabelska spirala. Przywarł do podłogi, żeby nie upaść, zrozumiał, że nie ma żadnych szans w tym obłądnym stanie, w jakim się znajduje. Zrezygnował z pościgu i na czworakach popętlął do łazienki. Tu wsadził głowę pod prysznic i trzymał ją tam chyba z pół godziny, trzymałby jeszcze dłużej, gdyby w pewnej chwili, poprzez szum wody, nie doleciało go jakby znajome bębnienie i brzdąkanie. Zrazu myślał, że

to w zbolącej głowie mu tak bębni i brzdąka, ale potem usłyszał dzwonki, trzy krótkie i jeden długi. To był umówiony sygnał z najbardziej zaprzyjaźnionymi kolegami. Tak mieli dzwonić, żeby od razu było wiadomo, że to oni przychodzą z wizytą, a nie jakieś szemrane typy. Ruszył więc do przedpokoju i z ulgą stwierdził, że ogólne wirowanie ustało, tylko nogi ma jeszcze chwiejne, a w czaszce małe łupanie.

Umówiony sygnał powtórzył się. Mimo to dla pewności Marek popatrzył uważnie przez judasza. Ujrzał bęben, ćwierć gitary i pół bladej małżowiny, dużej i mocno sfałdowanej, a na dole ozdobionej kolczykiem. Nie ulegało wątpliwości, że jest to fragment „absolutnego” ucha niejakiego Jana Sebastiana Pinkwasa, osobnika absolutnie nieprzeciętnego i obdarzonego absolutnym słuchem. Gdy nadto udało się w chwilę później zidentyfikować znajomy, wydatny nos á la Szopen, niestety zepsuty niegustownym czerwonym pryszczem, stanowiącym wiarygodną, choć mało elegancką, wizytówkę sympatycznego skądinąd wybitnego perkusisty Jacusia Bachorka, o pomyłce nie mogło być mowy. Za drzwiami stał obiecujący zespół młodzieżowy hard-rocka a mianowicie... „Głośna Grupa przed Wyzwaniem”. Trzeba przyznać, że nazwa ta była wyjątkowo trafnie dobrana, ponieważ na razie niewątpliwie największą zaletą zespołu była głośność, a z tego powodu niekulturalni sąsiedzi wyzywali ich często od świrusów i troglodytów, lecz oni znosili to godnie, z podniesionym czołem, a wrogość sąsiadów traktowali... no, właśnie, jak jeszcze jedno wyzwanie, które rzuca im niedobry świat.

Marek uchylił drzwi. Mimo że z Głośną Grupą łączyły ich przyjazne stosunki, to po tych wszystkich przejściach nie miał dziś nastroju do rocka i nade wszystko pragnął spokoju.

— Czego chcecie? — warknął raczej opryskliwie, ale nie uraziło to bynajmniej absolutnego ucha Jana Sebastiana Pinkwasa.

— Jak to, Marek, zapomniałeś? — rzekł spokojnie. — Umówiłeś nas na dzisiaj z panem Anatolem Surmą. Pan Anatol miał nam zostawić nuty i mieliśmy trochę poćwiczyć...

— A pan Anatol miał ponadto razem z panem Cedurem sprawdzić słuch absolutny Sebka — dodał Jacuś Bachorek. — Pan Cedur miał przynieść z Akademii Muzycznej specjalne ultraczułe instrumenty. One miały naukowo wykazać, czy Sebek jest fenomenem muzycznym klasy zero.

— No, to macie pecha — rzekł Marek. — Pana Anatola nie ma. Przykro mi...

— Ale chyba zaraz wróci? — zapytał Pinkwas.

— Nie wiadomo. Pojechał odholować pana Cedura, bo pan Cedur zasnął przy kierownicy i miał wypadek. Boję się, że holując pana Cedura, pan Surma sam uległ wypadkowi i jest w tej chwili holowany. Pan Surma jest bardzo roztargniony i nieuważny, a obaj panowie byli ostatnio przepracowani i niedosypiali, bo założyli niedawno własną orkiestrę i dają z siebie wszystko, bo pan Anatol mówi, że

czasy są wymagające i teraz, żeby do czegoś dojść, trzeba dać z siebie wszystko. Tak że chyba dzisiaj z waszego grania — nici!

— To nic — rzekł niezrażony Pinkwas — poćwiczymy sami, weźmiemy tylko nuty, które nam miał zostawić. Właż, Bachorek! — popchnął małego perkusistę obwieszzonego bębnami.

Marek chciał powstrzymać intruza, ale zaraz cofnął się ze wstrętem, ponieważ od perkusisty zajechało silnym odorem rybiego tłuszczu, a zapach ten kojarzył się Markowi ze zniechęcającym zapachem tranu, którym ciocia Dora karmiła go niechętnie od wczesnego dzieciństwa. Jacuś perkusista nie miał pod tym względem żadnych zahamowań i smarował się obficie reklamowanym olejkiem „eskimo”, produkowanym według oryginalnej receptury eskimoskiej. Podobno preparat ten działał dobrze na trądzik i na porost włosów.

Nim Marek zdołał poskromić obrzydzenie i zagrozić drogę intruzowi, łobuz był już wraz ze swoimi bębnami w pokoju pana Surmy. Za nim wcisnął się idol Pinkwas ze swoim absolutnym uchem oraz dwie pozostałe gwiazdy hard-rocka: Mariusz i Dariusz.

— O, choina! — wykrzyknął Pinkwas. — Ile tu instrumentów!

Chciał porwać puzon, ale zobaczył, że jest przykuty łańcuchem do ściany. Rozejrzał się i stwierdził, że wszystkie instrumenty z wyjątkiem nowiutkiego saksofonu są na łańcuchach.

— To eksponaty — wyjaśnił Marek.

— Eksponaty?

— Pamiątkowe. Na tych instrumentach pan Surma do-czołgał się do sławy. Jak pan Surma umrze, będzie tutaj izba pamięci, takie małe muzeum. Pan Surma już teraz je przygotowuje.

— Zapobiegliwy człowiek! — zauważył Pinkwas.

— Nie ruszajcie niczego i spływajcie... — Marek urwał nacje, bo usłyszał dźwięk dzwonka.

— To pewnie pan Surma! — Pinkwas zerwał się i pognął do przedpokoju, za nim reszta zespołu.

„Pan Surma? Nie, to nie może być pan Surma — pomyślał z niepokojem Marek — pan Surma nie dzwoniłby, ma przecież klucze od drzwi, to musi być kto inny... na przykład... na przykład Fastryga albo Bosmann, albo obaj razem, albo cała szajka „Ruatonimu”... tak, to na pewno oni!” — zadrżał i włosy zjeżyły mu się na głowie.

Zaferowany zakręcił się po pokoju.

— Nie otwierać! — krzyknął rozpaczliwie. — Zajrzyjcie najpierw przez judasza — powiedział — tam mogą się czaić mordercy.

— Co ty?! — zaśmiał się Jacuś Bachorek, ale przystawił oko do wizjera. — Tam nikogo nie ma! — stwierdził.

— Jak to nikogo? Pokaż! — Mariusz odepchnął go od drzwi i sam zajrzał.

— Faktycznie, żadnego obiektu! — wymamrotał rozczarowany.
— Co wy gadacie — zdenerwował się Pinkwas przykładając do drzwi swoje absolutne ucho — przecież wyraźnie słyhać...
— Co słyhać? — zaniepokoił się Marek.
— Jęk, sapanie i syk.
— Syk? — Marek znieruchomiał nagle.
— Dokładnie to dwa syki, jakby węży.
— O, Boże — Marek zamrugął oczami. — To chyba Baruszyński. Tak, to na pewno on tam stoi... Ale czemu go nie widać?

To mówiąc ostrożnie otworzył drzwi. Okazało się, że miał rację z wyjątkiem jednego szczegółu. Pod drzwiami istotnie był Baruszyński, z tym że nie stał, ale leżał! I od razu się wyjaśniło, czemu nie mógł być przez wizjer widoczny. Biedak wił się na podłodze opleciony węzami, sapiąc, czerwony z wysiłku próbował uwolnić się z ich uścisku.

— Cześć, Marek — wykrztusił. — Udało mi się wyrwać z chaty i przyniosłem ci te ślicznotki... to znaczy... towar.

— Właśnie widzę, bawicie się w najlepsze.

— Tak... ba... bawimy się — wykrztusił Baruszyński. — One mnie owijają, a ja wyplątuje się... Dobra gimnastyka, wyrabia mięśnie...

Pinkwas i Bachorek przykucnęli koło niego i przyglądali się ciekawie.

— Słabo ci idzie z tym wyplątywaniem — zauważył Bachorek.

— Chyba zaplątały się w supeł — jęknął Baruszyński.

— Nie bój się — uspokoił go Bachorek — zaraz je odwinimy! — Pomóżcie, chłopaki — zwrócił się do Głośnej Grupy przed Wyzwaniem. — Łapcie gady za ogony i odwijajcie!

Nie musiał dwa razy powtarzać. Chłopcy z grupy ochoczo zabrali się do dzieła. Marek, przejęty, też rzucił się do pomocy. Nie wierzył, by operacja poszła gładko i był przygotowany na ciężkie zmagania z anakondami, ale sprawa nagle przybrała niespodziewany obrót. Ku ogólnemu zaskoczeniu węże w jednej sekundzie rozluźniły swój uścisk i oswobodziły Baruszyńskiego, natomiast błyskawicznie rzuciły się na Bachorka; nim zdolał odskoczyć, oplotły mu nogi i powaliły go na podłogę. Wszyscy zamarli w bezruchu zaskoczeni tym równie piorunującym jak zdumiewającym atakiem.

Sytuacja zrobiła się nader nieprzyjemna. Sparaliżowany ze strachu perkusista wpatrywał się w węzowe paszcze, które powoli, wahadłowym ruchem to zbliżały się z sykiem do swej ofiary, to cofały... Ich ruchliwe rozdwojone języki raz po raz migały w powietrzu, tuż koło nosa Jacusia Bachorka.

— Ratunku! — wymamrotał. — Co tak stoicie?! Nie gapcie się! Zróbcie coś!

— Spoko, po co te nerwy — rzekł prezes Kolegium Zwierzęcego rozcierając sobie szyję — one chcą tylko pobawić się z tobą. Nie bądź drętwy! Pomocuj się trochę z nimi.

— Dziękuję — wykrztusił Bachorek. — One chcą mnie ugryźć, one wpuszczają mi jad!

— Nie bądź śmieszny, one nie gryzą, one tylko czasem duszą.

— O... obawiam się, że właśnie jestem duszony — oznajmił przerażony Jacuś perkusista.

— Naprawdę ściskają cię? — zainteresował się prezes Baruszyński. — Ale możesz jeszcze oddychać?

— Nie mogę — jęknął Bachorek. — Weźcie je, pomóżcie... mi... one... one na serio dobrały się do mnie.

— To dlatego, że są głodne — orzekł prezes. — Smaruj, Marek, do kuchni i przynieś im coś na ząb! Najbardziej lubią filety z mintaja, cztery kilo wystarczy...

— Cztery kilo?! — wykrzyknął Marek.

— Będą to trawić przez cztery dni, a ty będziesz miał spokój.

— Kiedy my nie mamy filetów z mintaja i w ogóle...

— Trzeba było od razu mówić; w takim razie muszą wystarczyć kurczaki. Cztery kurczaki, ale spore!

— Skąd ja ci wezmę kurczaki! — zdenerwował się Marek.

— No, to przynieś jakieś inne ptaszki, od biedy mogą być kanarki.

— Nie mamy kanarków i chyba nic, co by się nadawało dla nich do jedzenia.

— Nie wierzę! Poszperaj w lodówce, na pewno znajdziesz coś lekko strawnego i smacznego.

Marek wybiegł.

— Czemu ja?! — wybełkotał płacząco duszony Bachorek. — Czemu wybrały sobie właśnie mnie, a nie na przykład Pinkwasa? To niesprawiedliwe! — zastanawiał się wyraźnie rozgoryczony.

— Nie rozklejaj się! Nie masz powodów do rozżalenia — zbeształ go Baruszyński. — To zaszczyt, że ciebie wybrały, one nie duszą byle kogo.

— Cie... ciekawe, czemu za... zawdzięczam ten zaszczyt — zajęczał półżywy Bachorek — jestem chudy, kościsty, najmniejszy z grupy i... i w dodatku mam pryszczki!

— Ale dla nich jesteś apetyczny, bo masz piękny, rybi, jakby mintajowy zapach.

— Myślisz o kremie „eskimo”?

— Tak, mam wrażenie, że silnie na nie działa, podnieca ich apetyt.

Wrócił Marek z dwoma serdelkami na talerzyku.

— Salceson zjadł kuzyn Alek. To wszystko, co znalazłem.

— Trudno, spróbujemy z serdelkami — prezes Baruszyński sprawnym ruchem wsunął je gądom do pysków.

Udało się! Zajęte połykaniem serdelków rozluźniły uścisk i można było łatwo wydostać Jacusia Bachorka z ich splotów.

— Nic ci nie jest? — zapytał z niepokojeni Marek.

— Jeszcze parę sekund, a połamałyby mi żebra i udusiły... — sapał na pół żywy perkusista chwytając łapczywie powietrze.

— To dlatego, że biedactwa są przestraszone. Nowy dom, nieznane twarze... Ale jak się oswoją, wszystko się zmieni — zapewnił prezes. — Będzie wam z nimi wesoło. To pomysłowe i dowcipne stworzenia, zobaczycie, jakie potrafią robić zabawne kawały.

Marek zmarszczył brwi.

— Kawały, mówisz?

— Tak, będziecie mieli codziennie przyjemność i rozrywkę nie z tej ziemi, a one będą szczęśliwe, że mieszkają w domu, gdzie się je rozumie i kocha... bo u nas... szkoda mówić. — Sylek westchnął z goryczą. — Wiesz, jaka jest Balerina. Zupełnie ich nie rozumie. One lubią spać z kimś ciepłym i włożyć jej pod kołdrę w nocy, ale Balerinie nie sprawia to przyjemności. Myślę, że twoja mama jest na innym poziomie, nie ma uprzedzeń gatunkowych i miło wam będzie razem.

Niestety, Marek wcale nie był tego pewien i, mówiąc szczerze, po tym, co widział, odechciało mu się anakond. Puszczając mimo uszu głędzenie prezesa zastanawiał się właśnie, jak się wyłgać od kłopotliwego kupna, gdy ujrzał Bachorka z bębnami przemykającego się do salonu; za nim podążał chyłkiem Pinkwas z saksofonem pana Surmy, a za Pinkwasem Dariusz i Mariusz z elektrycznymi gitarami — cała Głośna Grupa przed Wyzwaniem w komplecie wraz ze sprzętem do nagłaśniania.

— Wy dokąd?! — zawołał. Zostawił Baruszyńskiego i rzucił się za nimi. — Co chcecie robić?!

— Poćwiczmy trochę — powiedział Pinkwas próbując saksofonu.

— Tutaj?!

— Świetna akustyka, dużo miejsca, eleganckie wnętrze.

— I te świeczniki na ścianie takie fajne! Z wygibasami! — dodał zadzierając głowę Bachorek. — Fantazyjnie powykręcane jak kinkiety w operze! To robi dobrą aurę. Żujesz? — wyciągnął z kieszeni nową garść pestek i chciał poczęstować Marka.

— Spływajcie! — krzyknął Marek. — A ty przestań śmiecić! — odepchnął Bachorka z jego pestkami.

— Zaraz, przećwiczmy tylko ten kawałek od pana Anatola, bądź kolega! — wymamrotał Pinkwas mocując się z saksofonem.

— Żadnych ćwiczeń! Lada chwila wróci mama. Wiecie, że ona was nie uznaje...

— Tylko pięć minut, chłopie! Bądź człowiekiem.

— Dobra — Marek westchnął zrezygnowany — ale ani minuty dłużej i bez decybeli! Macie grać cicho.

— Jak to cicho? — zdumiał się Bachorek szykując bębny.
— Bo właśnie nam założyli alarm. On jest superczuły. Sam się włącza, reaguje na każdy hałas. . .
— Nasza muzyka nie jest hałasem — zauważył urażony Pinkwas.
Do salonu zajrzał prezes Baruszyński.
— Marek, to ja już pójdę. . . Zapłacisz później — nie będę naciskał.
— Zaczekaj! — Marek zatrzymał go. — Co do tych węży, to ja. . . to znaczy my. . . — chrząknął zakłopotany.
— Nie ma problemu — przerwał mu Baruszyński. — Zostawiam ci instrukcję — wetknął Markowi w ręce zeszyt w czerwonej okładce. — Masz tam napisane, co i jak. Wszystko o węzach masz w tym zeszycie.
— Tak, ale ja chciałbym właśnie. . .
— Wiem, chciałbyś znać całą prawdę, bo słyszałeś różne złośliwe plotki, które rozsiewają o mnie i o moich węzach nieprzyjaciele. . . No, więc bądź spokojny, jeszcze nikogo nie udusiły. I nieprawdą jest, że straszę nimi dzieci albo że używam ich do hipnotyzowania dziewczyn. Natomiast prawdą jest, że ten większy wąż ma zeza i dlatego dziwnie patrzy, no dobrze, ma zeza, ale co to szkodzi? Ma zeza i bolą go zęby, więc chodzi do dentysty. Pamiętaj, wizyta w piątek, masz zresztą zapisane. A ten drugi, mniejszy, bierze zastrzyki na anemię u ofiologa. I jak tylko się ochłodzi musisz im kupić ubrania. . .
— Ubrania?
— Takie ocieplane pokrowce, a raczej futerały, wyglądają jak długie, długie pończochy, albo jeśli wolisz kiszki. . . Kaloryfery słabo grzeją, a te anakondy to przecież zwierzaki z gorących tropików i u nas stale marzną, no i łatwo się przeziębają, jak zobaczysz, że są osowiałe i nie mają ochoty nawet na duszenie, musisz im zmierzyć temperaturę. . . zaraz pokażę ci, jak to się robi. . . O, Boże, gdzież one się znowu podziały?! — Baruszyński rozglądał się zdenerwowany.
— Zaraz. . . — zreflektował się Marek — chyba wiem gdzie. Coś mi się skojarzyło. „Kinkiety z wygibasami” — tak się wyraził Bachorek i gapił się na ścianę, a przecież nasze kinkiety są proste, bez wygibasów, więc. . . — nie dokończył i rzucił się do salonu.
— Nie grać! — krzyknął.
Ale było już za późno, bo ułamek sekundy wcześniej Pinkwas dał znak kolegom i cały dom zatrzęsł się od potężnych dźwięków hard-rocka. Zachwiały się i kinkiety. W dodatku włączył się alarm i rozpętało się prawdziwe piekło decybeli. Marek patrzył osłupiały. Świece na ścianie poruszały się coraz wyraźniej i. . . urwały się w pewnej chwili spadając prosto na grających chłopaków. Wrażenie było niesamowite, ale Marek wiedział, że to tylko sugestywna iluzja. Tak naprawdę to pospadały tylko węże uwieszone na kinkietach.
Mariusz i Dariusz poderwali się przerażeni i rzucili do ucieczki strząsając z siebie anakondy.

— Stójcie! — krzyknął Pinkwas zatykając sobie palcem „absolutne” ucho. — Bez popłochu!

Ale nagle jemu samemu głos zamarł w gardle, bo zobaczył mniejszego węża wążącego mu do rury saksofonu.

Rzucił instrument i tchórzliwie wycofał się z pokoju. Za nim pośpieszył Bachorek z bębniami.

Marek poczekał spokojnie aż wsiądą do windy i wyłączył alarm.

— A ty co tak stoisz?! — popędził Barucha. — Szukaj tych gadów piekielnych. Znów się gdzieś pochowały.

— No pewnie, że się pochowały — odburknął Sylek. — Kto by zniósł takie ryki, jazgoty i wycia?...

Urwał, bo rozległ się natarczywy dzwonek.

Marek z niepokojem przystawił oko do judasza, ale zobaczył tylko kamizelkę koloru lila opinającą wydatny brzuch gościa. Musiał to być ktoś o nieprzeciętnych gabarytach.

— Kto tam? — zapytał wystraszony. — Czy pan komornik?

— Nie bój się, Marku! — zabrzmiał tubalny, skądś znany Markowi głos. — To ja, Kiwajłło, nie poznajesz?

— Stryj Dionizy? — zdziwiony Marek otworzył drzwi. Jego zdziwienie jeszcze bardziej wzrosło, gdy do mieszkania wtoczyło się najpierw dwu eleganckich tragarzy w uniformach hotelu Marriott i wniosło wielki staroświecki kufer. Dopiero za nimi ukazała się ogromna, atletyczna postać starszego pana, znanego podróżnika, kolekcjonera i rzeczoznawcy dzieł sztuki użytkowej Dionizego Kiwajłły, którego Marek nazywał stryjem, choć naprawdę był on stryjem mamy Marka.

— Jesteś sam? — zapytał Marka — Matki nie ma?

— Wyszła, ale niedługo wróci.

— Nareszcie większe mieszkanie — zauważył stryj odprawiwszy tragarzy. — Jak się wam tutaj mieszka?

— Na razie całkiem dobrze.

— A czy nie odwiedzali was tu jacyś dziwni ludzie? — Dionizy ściszył głos.

— Tylko ci od alarmu — odparł Marek.

— Założyliście alarm? To dobrze, bardzo dobrze. Zatrzymam się u was dwa dni, moje dziecko. Byłem zaproszony na międzynarodową konferencję ekskluzywnego Klubu Globtroterów w hotelu Marriott. Dzisiaj się zakończyła, a ja nie mam opłaconego dalszego pobytu w Mariocie, więc skorzystam z waszej gościnności, gdyż mam jeszcze parę spraw do załatwienia.

— To... to fajnie, cieszymy się, stryju — Marek nie odrywał wzroku od kufra — ka... kapitalna skrzynia — zauważył — tylko gdzie ją ulokować? I chyba jest nieporęczna w podróży. Walizki byłyby wygodniejsze.

— Nie służy mi do przewożenia bagażu — rzekł nieco urażony Dionizy. — Dziwię się, że nie zapamiętałeś. To przecież słynny kufer dziadka Hieronima, ten, który po żmudnych poszukiwaniach znalazłem ukryty w lochach pułtuskich.

— Coś przypominam sobie — mruknął Marek — ale to było takie odrapane pudło, nabijany żelastwem grat.

— Grat?! — Dionizy zasapał dotknięty do żywego. — Wyjątkowo niestosowne określenie. Jak możesz... coś podobnego... Dzieło sztuki nigdy nie może być gratem!

— Przepraszam, nie znam się, po prostu tak wyglądał, był stary i zniszczony, a ten kufer jest całkiem nowy!

— Nowy?! — rozzłościł się stryj. — Jaki nowy?! Siedemnasty wiek! Mam certyfikaty biegłych. Czarny dąb... gdańska robota mistrza Decybeliusa! Zabytek klasy zero! Po konserwacji i renowacji odzyskał dawną świetność. Demonstrowałem go dzisiaj na konferencji Towarzystwa Kolekcjonerów Powściągliwych gdzie wzbudził ogólny podziw — to mówiąc wydobyl z kieszeni podręczną miotełkę i troskliwie, by nie rzec z czułością, zmiotł niewidzialny pyłek z eksponatu. — I był to, mój chłopcze, zarazem pożegnalny pokaz kufra — dodał melancholijnie — gdyż przekazuję go w darze Muzeum Narodowemu — spojrzął na zegarek. — Za czterdzieści minut zjawią się pracownicy Muzeum. Ten, nie zawaham się powiedzieć, historyczny akt darowizny kufra dokona się tutaj i będziesz miał zaszczyt być jego świadkiem.

— Tutaj? — zdziwił się Marek. — Dlaczego tutaj?

— Ze względów bezpieczeństwa, moje dziecko. Rzecz w tym, że jestem śledzony. Już od dłuższego czasu inwigilują mnie podejrzani osobnicy, niewątpliwie ludzie z organizacji przestępczej, żerującej na rynku dzieł sztuki. Być może zasznicy Wieńczysława Nieszczęólnego i Bogumiła Kadrylla, lub nawet oni sami, oczywiście w maskującym przebraniu. To specjaliści od charakteryzacji.

— I naprawdę stryj uważa, że chodzi im o ten kufer jako... jako dzieło sztuki?

— Najwyższej sztuki, chłopcze! — zasapał Dionizy. — Budzące niezdrowe żądze kolekcjonerów, a także nieposkromione apetyty złodziei starożytności, przedmiot szczególnego podziwu prawdziwych znawców... Dlatego przez ostatnie dni żyłem bez przerwy w nerwach. Aby zmylić tropy wymknęliśmy się z kufrem z hotelu bocznym wyjściem, kuchennymi schodami, że tak powiem, z duszą na ramieniu, ale chyba niezauważeni... no i szczęśliwie jesteśmy tutaj. Specjalnie wybrałem to miejsce dla aktu przekazania, bo nie rzuca się w oczy... Spokojne mieszkanko, pospolity blok, jakich wiele, sądzę, że oko Nieszczęólnego też tu nie sięga...

— Myśli stryj?

— Jestem pewien i nareszcie oddycham spokojnie, czuję się rozluźniony jak zawodnik na mecie. Do pełnego relaksu przydałoby się odświeżyć co nieco, a ty dasz mi potem coś na ząb, przekąsiłbym trochę przed kolacją — to mówiąc stryj

Dionizy znikł z małym neserem w drzwiach łazienki. Po chwili dobiegł stamtąd Marka plusk wody i wesoły śpiew Dionizego, który zabawnym falsetem usiłował wykonać arię Figara z opery Rossiniego.

Z kuchni wyskoczył prezes Baruszyński. Z białą obwódką wokół ust wyglądał jak kłown. Marek spojrział na niego ze wstrętem. Łobuz pod pozorem szukania węży myszkował po mieszkaniu, spenetrował lodówkę i wypił stamtąd resztę śmietany.

— To ja już sobie pójdę — oświadczył bezczelnie oblizując pulchne wargi.

— Jak to pójdziesz? — zdenerwował się Marek. — A węże?

— Spokojna głowa — uspokoił go Baruszyński — znajdą się. Powyłożą w nocy, będą szukać ciepła i wejdą wam do łóżek. — To powiedziawszy pośpieszył do wyjścia.

— Hej, ty, Baruch stój! — Marek skoczył za nim, ale grubas już dopadł do drzwi. Tu omal nie zderzył się z jakimiś trzema drabami w panterkach, lecz udało mu się przytomnie dać nura pod ich nogi i wypaść na schody.

— Co to?! Kim panowie są? — wybełkotał wystraszony Marek na widok pakujących się do mieszkania intruzów z pistoletami w rękach.

— Cześć, smyku! — rzekł przyjaźnie największy z drabów, rudawy blondyn o opływowych kształtach. — Przybywamy na wezwanie. Firma „Minotaur”, Gienio Kotowski do usług — przedstawił się. — Pospolicie nazywają mnie Gargamelem. Ty też możesz tak do mnie mówić. . .

— Ja nikogo nie wzywałem. . . — jęknął Marek.

— Był alarm, smyku. Urządzenie zadziałało bezbłędnie, zarówno dźwiękowo jak wizualnie. Mój szef, Lal Trel, który cię mile wspomina, przysłał mnie tu, bym cię bronił. . . bo monitory ukazały buszujących po mieszkaniu opryszków, widzieliśmy także osobnika, który terroryzował węzami. . .

— To niezupełnie tak, to byli moi koledzy. . . — próbował wyjaśnić Marek, ale ochroniarze rozbiegli się już po mieszkaniu.

Z łazienki wyszedł Dionizy, już odświeżony i pachnący, gwizdząc melodię z opery Carmen Bizeta.

W tej samej chwili dwu ochroniarzy, duży i większy, rzuciło się na niego z wyciągniętymi splotkami.

— Stać! Jest pan aresztowany! Ręce na kark i pod ścianę! — krzyknął duży.

— Ależ panowie, co wy. . . to jakieś nieporozumienie — próbował tłumaczyć stryj, ale oni nie słuchali.

— Rozkrok! — wrzasnął większy i nie czekając aż Dionizy zastosuje się do wezwania próbował go obmacać i sprawdzić, czy nie ma broni. To był błąd. Ochroniarz nie wiedział z kim ma do czynienia. Stryj z łatwością obezwładnił go od razu swoim niezawodnym chwytem i zacisnął mu ramię pod gardłem. Niestety tym razem i Dionizemu nie na wiele się to zdało. Dwaj pozostali ochroniarze natychmiast wycelowali w niego pistolety.

— Puść człowieka! — ryknął Gargamel i na znak, że nie żartuje, oddał strzał ostrzegawczy w ścianę. Oddał strzał i osłupiał, gdyż natychmiast z otworu po kuli trysnęła fontanna podejrzanego cieczy o zapachu bimbrowym prosto w oczy i w łysinę starszego pana. To nieco zdeprymowało stryja i ochłodziło jego bojowe zapały. Uznał, że ma do czynienia z podstępными, bezwzględnymi typami, którzy prócz broni konwencjonalnej stosują broń chemiczną. Zaniechał więc na razie demonstrowania swoich przewag fizycznych i ograniczył się do protestów słownych.

— To bezprawie! To naruszenie nietykalności! Żądam natychmiast wyjaśnień!

— To mój stryj! — oburzył się Marek. — To Dionizy, a nie żaden opryszek. Czego chcecie od niego?

— Niestety dałeś się nabrać, smyku — rzekł z łagodnym uśmiechem Gargamel.

— Ja? Nabrać?!

— To nie jest twój stryj, to przebrany za twojego stryjka niebezpieczny przestępca.

— Przebrany? Za stryja — wybełkotał Marek.

— To jego stary numer, przebierać się, zmieniać powierzchowność... lecz jednej rzeczy nie potrafi zmienić...

— Nie... nie... — przerwał wzburzony Marek — to niemożliwe... ja znam stryja... poznałbym... to pomyłka.

— O pomyłce nie może być mowy — uśmiechnął się pobłaźliwie Gargamel. — Czy czujesz ten zapach bijący od niego?

— Zapach?!

— Intensywny zapach jaśminu! Gdybyś był obeznany ze światem przestępczym stolicy tak jak my, wiedziałbyś, że zapach jaśminu nieomylnie wskazuje, że mamy do czynienia z doktorem Bogumiłem Kadryllem, niezwykle utalentowanym i wykształconym złodziejem. Pracuje on zawsze w stroju wizytowym, jakby właśnie wracał z ekskluzywnego przyjęcia, o właśnie tak jak ten pan tutaj, który podaje się za twojego stryja i roztacza wokół siebie zapach jaśminu, też dokładnie jak ten pan, gdyż zwykł był przed każdą akcją zraszać się obficie perfumami, względnie wodą kwiatową o tym właśnie zapachu. Jest to niewątpliwie niebezpieczna słabość, rzekłbym — nałóg, od którego nie może się uwolnić. Znakomity i niezaprzeczalny autorytet w tych sprawach, niezapomniany detektyw Hippolit Kwass przepowiedział, że ta słabość prędzej czy później musi doprowadzić doktora Bogumiła Kadrylla do zguby, co właśnie stało się dzisiaj, tutaj i teraz! Z naszym chlubnym udziałem. Detektyw Kwass byłby z nas dumny... Jest pan zdemaskowany i zgubiony, doktorze Kadryll!

— Pan znał detektywa Kwassa? — zapytał skołowany Marek.

— Byłem jego dobrze zapowiadającym się asystentem, póki nie oddał się całkowicie sztuce chorreograficznej.

Marek, którego pewność co do autentyczności stryja została poważnie zachwiana, podszedł blisko do Dionizego i przyglądał mu się podejrzliwie pociągając nosem.

— Stryju, czy ty jesteś Kadryllem?

— Skądże znowu! — wysapał wzburzony Dionizy. — Przypadkowo skropiłem się wodą jaśminową, bo w hotelu Marriott rozdano nam po flakoniku, jako próbkę reklamową. Nie słuchaj bredni tych ochroniarzy, to nieodpowiedzialni ludzie, zupełnie niekompetentni, wręcz niepoczytalni! Jak mogli z tak ulotnej poszlaki wysnuć równie absurdalne oskarżenie?! Mnie brać za Kadrylla? Mnie?!

— Dosyc — przerwał Gargamel i ze złością pomacał stryja lufą pistoletu — te sprytne wykręty na nic się panu nie zdadzą, doktorze Kadryll. Za pańską głowę wyznaczono całkiem okazałą nagrodę. Idziemy ją odebrać na policję. A teraz proszę grzecznie rączki, założymy panu bransoletki.

— Nie... nie, co wy robicie?! — Marek rzucił się na ochroniarzy. — Zostawcie mojego stryja! To nie jest żaden Kadryll, to jest naprawdę mój stryj!

— No, no łapy przy sobie, bachorze! — ochroniarze odepchnęli go brutalnie, aż się zatoczył i rąbnął głową o kant szafy.

* * *

Na minutę, może dłużej zamroczyło go zupełnie. Ocucił go dopiero ostry „fryzjerski” zapach i nieznośne swędzenie w nosie. Zobaczył, że leży na podłodze, a do nosa ma włożoną końcówkę rozpylacza płynu po goleniu „Brut”. Zerwał się. Załupało go w czaszce, na głowie namacał guza wielkiego jak owoc kiwi, ale utrzymał się na nogach.

— Spokojnie, stary — usłyszał sympatyczny, nieco koguci głos.

Koło niego stało czterech znajomych, choć nieco starszych, chłopaków z jego szkoły w dosyć niezwykłej konfiguracji. Dzidek Pokiełbas, czyli Syfon, znany z pomysłów nie z tej ziemi, podtrzymywał słaniającego się Tytusa Fąfę — oszołoma i szpanera, obok plumpkowaty Arek Ciuruś, czyli Bąbel, trzymał pod ramię łamiącego się raz po raz jak scyzoryk osławionego eks-sportowca Edzia Mrocza.

— Co wy?! — Marek wytrzeszczył ze zdumienia oczy — co tu robicie, jak tu weszliście?

— Nie było zamknięte — odparł Syfon.

— Nie było?... — jęknął Marek i pomyślał, że od natłoku tych wszystkich wypadków traci widać głowę.

— Co ci się stało? — zapytał Bąbel.

— Co mi się stało? — Marek zamrugał oczyma. — Naprawdę nie wiem.

— Jak tu przyszliśmy, leżałeś zemdlony na podłodze. Próbowaliśmy cię ratować. Jak się czujesz?

— Nie... nieźle. Tylko w głowie mnie łupie.

— Nie pamiętasz, kto cię tak urządził?

— Nie. Mam jakby lukę w pamięci.

— A co pamiętasz?

— Że był tu stryj Dionizy Ki... Kiwajłło z kufrem.

— Ktoś cię zaprawił w czaszkę... ale chyba nie stryj.

— Chyba — zgodził się Marek. — Musiałem sam nadziać się na szafę. Przez nieuwagę... Zmęczony byłem... Żebyście wiedzieli, co ja miałem za dzień...

— Jeszcze się nie skończył — zauważył Syfon z miną filozofa.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zaniepokoił się Marek.

— Nie... nic — spieszył się Syfon i szturchnął w żebro Tytusa Fąfę, który zasypiał na stojąco.

— Co to za trupy? — Marek spojrzał podejrzliwie na Fąfę i Mrocza. — Co im zrobiliście?

— My nic, odtruwamy palaczy — chrząknął Syfon. — Z ramienia firmy PIPIUS prowadzimy akcję antynikotynową i właśnie Fąfa i Mroczek...

— Zatruli się nikotyną? Aż do tego stopnia?! W trupa?

— Nie... to nie tak, jak myślisz... Zatruci to oni są już od dawna, obecnie są w trakcie energicznego odtruwania.

— I dlatego tak wyglądają?

— To przejściowy stan osłabienia. Odtruwamy ich metodą szybkościową, żeby na sprawdzian z matmy byli już całkowicie odtruci. Dostają do palenia specjalny papieros odwykowy zawierający perwersynę...

— Perwersynę? Nie słyszałem.

— Nasz doskonały preparat ziołowy.

— Wasz?! Chcecie powiedzieć, że wy sami...

— Tak, to nasz własny wynalazek. Działa silnie i skutecznie.

Marek popatrzył na nich nieufnie.

— Czy to przypadkiem nie jakaś trawka?

— Co ty, chłopie! Żadna trawka się do niego nie umywa! — Syfon rozglądał się ciekawie po mieszkaniu. — Nora niczego sobie — zauważył — niewąski metraż. Chyba się nada, jak myślisz, Bąbel?

— Lepiej nie trzeba — mruknął Bąbel. — Kwaterujemy tu!

— Co? Co takiego?! — Marek przestraszył się.

— Nie bój się, nie na stałe przecież — uspokoił go Syfon.

— Tylko dla dokończenia kuracji tych zdechlaków — dodał Bąbel.

— Żeby mogli swobodnie popalić.

— Popalić?! — wykrzyknął wzburzony Marek.

— Oczywiście papierosa odwykowego — wyjaśnił Bąbel.

— Uważaj! — ostrzegł go Syfon, ale było już za późno. Edzio zgięty dotąd jak scyzoryk wyprostował się niespodziewanie i trzepnął swojego opiekuna w ucho.

— Widziałeś?! A to gad! — pisał płacząc Bąbel trzymając się za małżowinę.

— Nie jęcz, to dobry znak — pocieszył go Syfon. — Migłanc wraca do normy. Chwilowo może być agresywny, ale zaraz go uspokoję. Potrzyj tylko Fąfę. — Przekazał swojego pacjenta w ręce Bąbla, a sam zaaplikował Edziowi potężny cios w żołądek. Biedak zwinął się od razu z powrotem i sflaczał. — Gotowy — sapnął Syfon — na kanapę z nim! Niech sobie trochę polula. Jeszcze trzeba gdzieś ulokować Fąfę. Bierz go, Bąbel! Zasuwamy!

Wzięli bezwładnego pacjenta pod ramiona i zaczęli go ciągnąć posapując.

— Co wy! Dokąd to?! Stójcie! — Marek rzucił się za nimi.

— Ulokuję go w wannie — odparł Syfon.

— W wannie?!

— Prawidłowo pomyślane — powiedział Bąbel — tak będzie lepiej, bezpieczniej...

— I higieniczniej — dodał Syfon. — Fąfa reaguje jeszcze silniej niż Edzio, mogą wystąpić różne komplikacje.

— Niektóre, hm... bardzo nieprzyjemne.

— Mógłby się... hm... pobrudzić, lepiej żeby od razu był w wannie. Zimny prysznic dobrze mu zrobi.

— Wykąpie się chłopak przy okazji...

— Nie! Nie zgadzam się! — krzyknął Marek. — Idźcie sobie! Odrzuwajcie gdzie indziej. Czemu akurat u mnie?

— To ty nie wiesz? — zdziwił się Syfon. — Zostałeś przecież wciągnięty do akcji.

— Ja?! Coś wam się poplątało. To jakieś nieporozumienie.

— O pomyłce nie może być mowy, wszyscy wiedzą, że popierasz akcję i rzuciłeś palenie.

— Co takiego?!

— Pokaż mu, Bąbel — powiedział Syfon, a zwracając się do Marka dodał: — Nie masz co się wypierać, jesteś przecież wywieszony...

— Wywieszony?!

— Na plakatach.

— Na jakich plakatach?

W odpowiedzi Bąbel rozwinął wielki afisz. Przedstawiał on podobnego do Marka chłopca w postaci bardzo piegowatego aniołka, który machając skrzydełkami wylatywał z kłębow dymu i z wyrazem najwyższego obrzydzenia wypluwał z pięknych czerwonych ust ohydny żółtawy peta. Pod spodem napis głosił:

TO MÓJ OSTATNI PAPIEROS
SKOŃCZYŁEM Z PALENIEM
Marek Piegus

— Co to ma znaczyć?! — wybuchnął oburzony Marek. — Ja się nie zgadzam! Ja protestuję! Ten plakat kłamie! Ja przecież nigdy nie paliłem!

— E, tam — Bąbel i Syfon popatrzyli na niego z niedowierzaniem — musiałeś cmoktać.

— Nie cmoktałem!

— Zalewasz, na pewno próbowałeś. . .

— Nigdy! Zapytajcie Czeška Pajkerta, zapytajcie kogo chcecie z Żoliborza i Bielan. Nikt mnie nie widział z petem.

— Pewnie się dobrze dekowałeś. . . a zresztą nieważne, kopciłeś, czy nie kopciłeś, ważne jest, żebyś podparł swoim nazwiskiem akcję. Popularność zobowiązuje. Jesteś znaną osobą i taki plakat dobrze przysłuży się sprawie. Zostawimy ci parę sztuk, porozklejasz je w okolicy, jeden możesz przylepić na drzwiach wejściowych.

— Zwariowaliście?! Ładnie bym wyglądał, jakby mama to zobaczyła, albo. . . rany, ciocia Dora. Opowiadałem wam o niej. Właśnie niedługo ma tu przyjść i oglądać nasze nowe mieszkanie. Będą się działy straszne rzeczy, jak was tutaj zastanie. Lepiej spadajcie! Zmywajcie się prędko! Dobrze wam radzę.

Na wzmiankę o cioci Dorze odtruwaczom nieco zrzędnęła mina. Przez chwilę toczyli zmagania wewnętrzne, wreszcie Syfon oznajmił z samozaparciem:

— Dzięki za ostrzeżenie, będziemy ostrożni, ale nie wycofamy się z akcji. Będziesz nas ubezpieczał. Zajmiesz pozycję przy oknie i zajmiesz się obserwowaniem przedpoła, a my uwiniemy się migiem. Biedaki za kwadrans dojdą do siebie i będzie po kłopotach.

— Przrzekacie, że za kwadrans?

— Tak. Najdalej za kwadrans.

— No dobra, ale ani minuty dłużej — zastrzegł Marek — I obiecacie, że nie ulotnicie się sami i nie zostawicie mnie z tymi zdechlakami.

— Jasne! Za kogo ty nas masz, chłopie?

— I wyniesiecie ich w razie, gdyby nie byli na chodzie.

— Tak jest! Masz moje słowo — zapewnił Syfon. — Bierz pacjenta, Bąbel.

Sapiąc zawlekli nieszczęśnika do łazienki i wrzucili do wanny.

— Co chcecie zrobić ze mną? — jęknął z niepokojem Fafa w przebłysku świadomości. — Ja nie chcę! — zaprotestował. — Ja się niedawno kąpałem. . . nie ma nawet miesiąca. . .

— Spoko! — Syfon pogłaskał go po głowie. — Leż spokojnie! W wannie ci będzie wygodnie. Odpocznij, rozluźnij się. Tu masz cygaro, popal sobie — wsadził mu do ust grubego papierosa (zapewne odwykowego) — a tutaj masz „Playboya” i „Dziewczynę”, poczytaj sobie. . .

W tym momencie rozległy się jeden po drugim cztery donośne dzwonki, bardzo natarczywe.

— To ona! Już przyszła! — wykrzyknął wystraszony Marek. — To ciocia Dora! Ona zawsze dzwoni, jakby się paliło! Kryjcie się szybko!

Bąbel i Syfon spiesznie nakryli Fafę gazetami.

— Nie ruszaj się! — ostrzegli go.

Wyskoczyli z łazienki. Ściągnęli z kanapy oszołomionego Edzia Mrocza i wepchnęli go pod stolik z bibelotami, po czym sami usiłovali schować się w szafie w kącie, ale mimo wielokrotnych prób nie mogli domknąć drzwi, za każdym razem otwierały się na oścież z przykrym skrzypieniem.

— Głupcy, tam nie ma miejsca! — Marek energicznie wyciągnął ich i wsadził pod dywan. — Leżcie płasko jak flądry! Plackiem! — przykazał. — I ani mru-mru!

Tymczasem dzwonek dostał istnej furii i dźwięczał coraz bardziej natarczywie. Marek dopadł do drzwi i odsunął zasuwkę. Ciotka Dora wkroczyła wzburzona do mieszkania.

— Co się tu dzieje? Czemu nikt nie otwiera?

— Przepraszam, ciociu, właśnie sprzątałem — powiedział Marek.

— Ty sprzątałeś?! — ciocia Dora spojrzała na niego z niedowierzaniem.

— Po przeprowadzce, ciociu. Wciąż jeszcze sprzątam i ciągle dużo do sprzątania.

— To nic, grunt, żeście się wreszcie wyrwali z tamtej nory na Bielanych. Będziesz mógł uczyć się spokojnie, moje dziecko, tam przeszkadzały ci okropne indywidua. Ile razy przychodziłam, zawsze zastawałam u ciebie te szkaradne indywidua. . . — ciotka zdjęła kapelusz i poprawiła włosy przed lustrem. — Jesteś sam?

— Sam, ciociu.

— A gdzież to Mela, gdzie twoja biedna matka?

— Mamusia źle się czuła i poszła do bioenergoterapeuty. Niedługo powinna już wrócić.

— Ty też mi nieszczególnie wyglądasz. Pokaż no się — ciotka chwyciła Marka za ręce i ustawiła przed sobą. — No tak, znów będę musiała solidnie wziąć się za ciebie.

— Nie trzeba. . . nic mi nie jest, ciociu — wykrztusił wystraszony Marek.

— Zaraz zbadamy. . .

— Naprawdę czuję się dobrze, ciociu.

— To te migdały. To u was rodzinne, Mareczku. Inhalacje powinny ci dobrze zrobić — ciotka pogrzebała w swojej przepastnej torbie i wyciągnęła coś w rodzaju rozpylacza wielkiego jak gaśnica. — Co to za obrzydliwy zapach? — poruszyła nagle nosem. — Czuć jakby dym. . .

Marek zmieszał się.

— To pewnie po tych specjalistach, co będą nam zakładać alarm. Palili jakieś okropne knoty.

— Instalujecie alarm? — ożywiła się ciotka. — A to co? Jakiś brzydki zaciek na ścianie — zauważyła.

— To... to od ćmogi, to znaczy, chciałem powiedzieć, od bimbru, ciociu — wyjaśnił Marek. — Tam jest zbiornik alkoholu.

— W ścianie? — zdumiała się ciotka. — Co ty opowiadasz, moje dziecko?! Biedna Mela, to twojemu ojcu nie wystarczy już butelka? Instalujecie zbiorniki ściennie?

— To nie tata, dostaliśmy już takie mieszkanie...

— Coś takiego! Pierwszy raz słyszę!

— Naprawdę dostaliśmy.

— Pewnie za dodatkową opłatą. Ciekawe, ile twój ojciec dopłacił... i czy nie z moich pieniędzy? — zaniepokoiła się Dora.

— Ależ ciociu, ciocia nic nie rozumie. Nikt nie wiedział o tym zbiorniku, dopiero jak ci od alarmu przekłuli ścianę, to nam siknęło...

— Że też zawsze musi się wam coś przytrafić... I mówisz, że założyli wam alarm?

— Tak, ciociu, superalarm! Audiowizualny!

— To dobrze. Może nareszcie przestaną was niepokoić przestępcy. Co wy macie takiego, że przyciągacie przestępców? Czy ostatnio nikt z przestępców was nie odwiedzał?

Marek zastanowił się.

— Z przestępców chyba nikt — odparł — tylko stryj Dionizy... prawdopodobnie stryj Dionizy — poprawił się.

— Co to znaczy „prawdopodobnie”?

— Bo nie wiadomo na pewno, czy to był stryj Dionizy przebrany za doktora Kadrylla, czy doktor Kadryll przebrany za stryja Dionizego. Ale proszę do pokoju, ciociu — Marek przypomniał sobie, że ma być uprzejmy dla cioci Dory i zmusił się do uśmiechu. — Zaraz zrobię herbaty, niech ciocia siada i się rozgości...

— Dziękuję ci, moje dziecko, ale najpierw oglądnę sobie to mieszkanie — rzekła ciotka i ruszyła do dużego pokoju.

Po chwili wybiegła stamtąd poruszona.

— To straszne! — wykrzyknęła. — Widziałam węże!

Marek udał zdziwienie.

— Węże? Gdzie?

— Jeden wylazł z takiej wielkiej trąby, a drugi siedzi na fikusie i właśnie połyka kalosz.

— Kalosz? Na fikusie?! Co też ciocia?

— Chodź no tutaj! — Dora przyciągnęła Marka do siebie. Spójrz mi w oczy i przyznaj się, hodujesz węże!

— Ja?

— To niby skąd się tu wzięły?

— Nie mam pojęcia... może wpełzły przez balkon, albo... albo zagnieździły się w przewodach wentylacyjnych.

— Zagnieździły?! To niesłychane. W nowym bloku?!

— Słyszałem o takich wypadkach, proszę cioci. Lęgną się w wilgotnych piwnicach...

— Czy to możliwe? — zastanowiła się ciotka. — Czemu nie? To z brudu i niebaldstwa wszystko! Ta twoja nieszczęsna matka... Żeby tak zapuścić mieszkanie?! Rozumiem jeszcze myszy, ale węże? To przechodzi pojęcie! — Dora chwyciła za szczotkę.

— Co ciocia chce zrobić?!

— Przepędzę je! — ruszyła do salonu.

Marek pobiegł za nią.

— No i gdzie są te węże?! — zapytał z udaną urazą w głosie.

Ciotka Dora rozglądała się zakłopotana. Faktycznie w salonie węży już nie było.

— Zniknęły... a mogłabym przysiąc...

— Czy ciocia dobrze się czuje? — zapytał Marek z udaną troską. — Myślę, że... e... e... ciocia może mieć omamy.

— Ja? Omamy?!

— To się zdarza. Pan Surma ostatnio też cierpiał na omamy. Nie mógł grać na wiolonczeli, bo co pociągnął smyczkiem, to z instrumentu wylatywały mu białe szczury.

— Wylatywały?

— Tak mu się zdawało. Niech ciocia usiądzie. — Marek wskazał krzesło przy stoliku z bibelotami. — Zaraz przyniosę herbatę, a ciocia niech stara się zapomnieć o tych węzach.

Ciotka Dora położyła torebkę na stoliku i siadła z ulgą. Zakładając nogę na nogę swoim zwyczajem, kopnęła Edzia pod stolikiem, a potem poprawiając się na krześle, kopnęła go po raz drugi. I wtedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Stolik drgnął, zjeżył się jakby, podniósł na cal do góry i zaczął uciekać w stronę drzwi gubiąc i tłukąc po drodze bibeloty; ledwie oniemiała Dora zdołała w ostatniej chwili porwać swoją torebkę...

To Edzio Mroczek zainkasowawszy kolejnego kopniaka od ciotki nie wytrzymał już nerwowo i zrejterował haniebnie ze stolikiem jak tarczą na grzbiecie. Zatrzymał się dopiero, gdy uderzył o ścianę w kącie przy drzwiach.

— Widziałeś? — wybełkotała Dora do Marka, który właśnie wrócił do pokoju z herbatą.

— Nic nie widziałem ciociu — odparł Marek — a co się stało?

— Ten stolik — wskazała roztrzęsiona — ten stolik uciekł ode mnie... w tamten kąt!

— Jak to uciekł... przecież stał tam od rana — zełgał Matek.

— Od rana? Stał?
— Przesunęły go te draby od alarmu.
— A te potłuczone bibeloty?
— To właśnie oni potłukli przy przesuwaniu, ciamajdy!
— Nie rozumiem. . . — wymamrotała ciotka. — Chyba coś mi się w głowie miesza. . . Muszę na balkon. . . brak mi tchu.

Ledwie jednak postawiła nogę na dywanie, rozległ się bolesny jęk.

— Słyszałeś? — ciotka zastygła.
— Nic nie słyszałem, ciociu.
— Coś zajęczało.
— To omamy słuchowe, ciociu.
— A to co?! O, mój Boże — ciotka cofnęła się gwałtownie. Patrz, co się wyrabia z dywanem!

— Nic nie widzę, ciociu. Gdzie?
— Zobacz, tam w środku, wyrzusza się, jakby faluje. . .
— Faluje? Co też ciocia opowiada? — Marek roześmiał się.
— Czyżbym miała halucynacje? — zdezorientowana ciotka postąpiła dwa kroki dalej. Jęk powtórzył się, a dywan poruszył wyraźnie w dwu miejscach, bowiem Bąbel i Syfon ponownie boleśnie przydeptani cofnęli się rozpaczliwie i rozleźli w dwie różne strony.

Ciotka Dora wygrzebała z torby okulary; uzbroiwszy w nie oczy jeszcze raz, skołowana, powiodła wzrokiem po podłodze i pokręciła głową. Dywan wyglądał normalnie, żadnych wyrzuseń i poruszeń! I nic dziwnego, ponieważ sekundę wcześniej obaj chłopcy zdołali już dotrzeć do ściany i ukryć się pod kanapami.

— No, dobrze, przyznaję — ciotka poruszyła nosem — miałam omamy wzrokowe, ale, na miłość boską, nie mam omamów węchowych — zagrzmiała grubym głosem, jak zwykle, gdy była wzburzona. — Tu się jednak coś kopci! Coś obrzydliwego! Czuję wyraźnie coraz większy swąd!

— To pewnie w kuchni, ciociu! — Marek chciał oszczędzić Dorze niewątpliwie przykrego spotkania z Fąfą Tytusem w wannie, ale ciotka nie dała się zwieść i, wiedzioną nosem, bezbłędnie skierowała się do łazienki. . .

Wyskoczyła z niej jeszcze szybciej, wystraszona.

— Tam. . . tam w wannie — wybełkotała oglądając się za siebie. — Och, to okropne!

— A co się znowu stało?
— Zrobiłam makabryczne odkrycie. Tam jest trup!
— Trup?! — Marek skrzywił się z niesmakiem. — Co też ciocia znów wymyśliła?!
— Nie wymyśliłam. On leży w wannie.
— Trup? W wannie?!
— Dotknęłam go!

— Ciocia nam tu serwuje jakieś kryminały. Dotknęła ciocia trupa?
— Dokładnie to jego nogę. Reszta była zakryta gazetami.
— Skąd ciocia wie, że to był trup?
— Nie ruszał się, a noga była w skarpetce i w bucie. Czy ktoś żywy leżałby w wannie w ubraniu?

— Raczej nie — przyznał Marek — ale to nie wystarczy, żeby kogoś uznać za trupa. Trup nie oddycha i nie bije mu serce — zauważył rzeczowo, lecz, jak się okazało, nieopatrznie, bo ciotka Dora od razu powiedziała:

— Masz rację, moje dziecko, zbyt szybko się spłoszyłam, zachowałam się niegodnie, jak tchórz. Powinnam była sprawdzić, czy to indywiduum jeszcze oddycha. Zaraz to zrobię! — założyła okulary i zawróciła dzielnie do łazienki.

— Nie, niech ciocia lepiej nie sprawdza! — krzyknął Marek i rzucił się za nią, ale ciocia Dora już była przy wannie.

Ostrożnie uniosła gazety. Spod kolorowych stronic „Playboya” wyłoniła się zielonkawa twarz Fąfy Tytusa z grubym jak cygaro petem w sinych ustach. Bardziej zdumiony niż przestraszony widokiem groźnej niewiasty w okularach, pochylającej się nad wanną, cmoknął nerwowo i puścił ciotce prosto w nos żółty kłęb gryzącego dymu.

Dora odskoczyła. Szarpana paroksyzmami kaszlu, krztusząc się, z ręką przyściśniętą do piersi wpadła do przedpokoju.

— O, Boże, ciociu, co cioci?! — krzyknął przerażony Marek.

— Ratunku!... — wybełkotała — umieram... jestem zatruta!...

Zemdlnona osunęła się na podłogę. Zaalarmowani krzykiem przybiegli Bąbel, Syfon i Edek, przywłókł się także na chwiejnych nogach Fąfa Tytus z knotem w sinych ustach. Otoczyli leżącą ciotkę Dorę.

— Co jej się stało? — zapytał zaciekawiony Bąbel.

— To on, ten łobuz — Marek rzucił się do Fąfy. — Zabiłeś moją ciotkę! Ona miała słabe serce! Ty draniu, ty szajbusie!

— Ja? — zdziwił się Fąfa. Zamrugał niewinnymi błękitnymi oczkami i wypuścił nowy kłęb żółtego dymu.

— Dosyć tego! Koniec z paleniem — Marek wyrwał mu peta z ust i rozdeptał. — Czekać, zaraz tu będą ochroniarze... z „Minotaura”. Nie wiecie? To mieszkanie jest na podsłuchu. „Minotaur” wszystko widział i przyśle tu ochroniarzy. Nie chciałbym być w waszej skórce.

Bąbel pochylił się nad Dorą z zapaloną zapałką.

— Nic jej nie będzie — orzekł. — Źrenice reagują na światło. Zaraz ją postawimy na nogi.

— Zrobię jej sztuczne oddychanie — zaoferował się Syfon — usta-usta! — Co powiedziałszy oblizał spieczone wargi przygotowując się do zabiegu.

— Ani się waż! Nie dotykaj jej! — odepchnął go Marek. — Sam ją ocucę, dam jej kropli i do powąchania amoniaku! A wy lepiej tu sprzątnijcie, bo będzie

straszna heca. Żadnych petów i zapalek, żadnych śladów! Otwórzcie okna, wywietrzcie szybko i zabierajcie się stąd jak najprędzej! — to mówiąc skoczył do łazienki do apteczki po krople i amoniak.

— Popatrz! — mruknął Bąbel do Syfona przyglądając się leżącej ciotce. — Wyglądała na ksantypę, a to taka wrażliwa osoba... — urwał nagle, bo ktoś zadzwonił do drzwi.

Syfon zajrzał przez wizjer.

— O, rany, jakieś mundury! — przestraszył się.

— To pewnie ci ochroniarze — mruknął zdenerwowany Bąbel.

— Będzie chryja.

— Trzeba coś zrobić!

— Ale co?! — Syfon rozglądał się gorączkowo.

Dzwonek wciąż dźwięczał, coraz bardziej natarczywie.

— Mam! — szepnął Bąbel. — Schowajmy ją do tej skrzyni — wskazał na kufer stryja Dionizego.

— Dobry pomysł! — potwierdził Syfon.

— No, to lu!

Natężając wszystkie siły dźwignęli w czwórkę z podłogi nieprzytomną ciotkę Dorę i sapiąc wpakowali ją do kufra.

W tej samej chwili wrócił Marek.

— Gdzie ciocia? — rozglądał się zaskoczony.

— Poszła — powiedział Syfon.

— Poszła? — Marek uniósł brwi do góry. — Tak zwyczajnie poszła?

— Po prostu poczuła się lepiej — chrząknął Bąbel — wstała...

— Wytarła nos — dodał Syfon.

— Poprawiła włosy — dorzucił Bąbel.

Dzwonek zajęczał, tym razem już jak oszalały.

— Kto tam?! — krzyknął Marek z okiem przy judaszu.

— Z muzeum, po kufer od pana Dionizego Kiwajłły — brzmiała odpowiedź.

Marek zobaczył w wizjerze kawałek niebieskiego uniformu z wielkim napisem MUZEUM NARODOWE i, uspokojony, otworzył drzwi.

Weszło dwu osobników, jeden wysoki w ciemnych okularach o długiej końskiej twarzy, drugi niższy, raczej krągły i pulchny. Obaj żuli. Ich żuchwy poruszały się miarowo. W swych nowych, nieskazitelnych ubraniach roboczych wyglądali schludnie i czysto, tym bardziej raziło Marka, że zalatywało od nich nader przykrym zapachem jakby zjełczałego masła.

— To gdzie rzeczony eksponat? — zapytał ten o twarzy konia nie zaprzestając żucia.

— Tutaj! — Marek wskazał na kufer.

Muzealnicy chwycili ochoczo za uchwyty kufra i próbowali go dźwignąć, lecz zaskoczeni niezwykłym ciężarem opuścili go szybko.

— Co, do licha, osłabłem chyba — jęknął ten długi i złapał się za plecy. — Słyszałeś, Boguś, coś mi strzeliło w lędźwiach.

— Nie tobie — wysapał pulchny — to mnie strzyknęło.

— Pomożemy panom — zaofiarował się skwapliwie Syfon, bojąc się, by nie przyszło im na myśl zajrzeć do kufra. — Dalej, chłopcy! Bierzmy się za tę skrzyneczkę!

Bractwo ochoczo rzuciło się do kufra i wraz z muzealnikami wypchnęło go na klatkę schodową. Marek chciał szybko zamknąć za nimi drzwi na wszystkie zamki, przyrzekając sobie, że już nikogo nie wpuści aż do powrotu mamy, ale spóźnił się o ułamek sekundy, bo w drzwiach zdążył stanąć zadyszany badyłowaty okularnik, czyli znany sportowiec i wyczynowiec — Adrian Swędziak we własnej osobie — z ogromnym wypchanym pomarańczowym plecakiem na ramionach.

— Cześć, Marek. Mam paralogię. Startujemy, chodź.

— Teraz?! — Marka nagle zdjął strach.

— Mam tylko godzinę czasu. Nie namyślaj się! Poćwiczmy sobie, oczywiście ulgowo... — Swędziak bezceremonialnie wpakował się do pokoju.

— Nie dziś — jęknął Marek.

— Jak to, sam przecież mówiłeś, żebym wpadł, jak tylko będę miał wolny czas... Mieliliśmy skakać z twojego dachu. Stwierdziłeś, że jest idealny do rozbiegu...

— Daj mi spokój, Adrian! Nigdzie nie idę i nie skaczę!

— Jak to nie skaczesz?! —

— Miałem ciężki dzień, ledwie żyję. Mama zaraz wróci, a ja jeszcze nie posprzątałem po tych magikach od alarmu...

— Nie opowiadaj dyrdymałek! Ty zmęczony?! Zaraz ci przejdzie zmęczenie, jak skoczysz sobie. Bierzmy się do roboty! Teorię już ci wyłożyłem, teraz weźmiesz pierwszą lekcję w powietrzu... Wkładaj uprząż!

Marek spojrzał przerażony przez okno w dół.

— Wolałbym... wolałbym w parku z narciarskiej górki — wybełkotał.

— Z górki to dobre dla dzieci. Ty potrzebujesz przestrzeni. Tu jest lepszy wiatr i miękkie lądowanie.

— Miękkie lądowanie? — jęknął Marek patrząc na betonowe chodniki i asfalt. — Ja tu nie widzę nic miękkiego.

— Gdzie patrzysz?! Tam patrz, za to ogrodzenie, gdzie jest skład materiałów budowlanych. Widzisz ten stos białych bloków styropianu? Wylądujesz na takim właśnie bloku. Będzie miętko jak na supermateracu!

— Tak, bardzo miętko, tylko...

— Tylko co?

— Tylko trzeba tam akurat trafić.

— To żaden problem! No, ruszże się, człowieku — zniecierpliwiał się Swędziak. — Coś tak sflaczał? Masz boja?

— Spadaj, pętaku! Słyszysz, że chłopak nie ma ochoty zostać samobójcą! Zostaw go i skacz sam ty kusicielu, sadysto! — rozległ się nagle przenikliwy, piskliwy głos. Kościste ręce wyciągnęły zaskoczonego parolotniarza z pokoju.

— Co pan! Niech pan mnie puści! Oszalał pan? — wrywał się Swędziak. — Marku, niepotrzebnie się boisz! Wyjdź na balkon i patrz! Zaraz pokażę ci, jak się robi bezpieczny skok. Ty też tak będziesz. . . — urwał, bo nieznajomy brutal wypchnął go bezceremonialnie na schody, otrząpał ręce i zatrzasnął drzwi.

— Jak się masz, świerszczyku mój — uśmiechnął się do Marka bezzębny ustami. — Nie poznajesz mnie?

Postać przybysza nie była Markowi obca, ta mała ptasia łysa główka, długa szyja ze sterzącą grdyką, zapadłe policzki i długi, cienki sięgający niemal do podbródka nos. . . Tak, o pomyłce nie mogło być mowy!

— Pan Chryzostom — wykrztusił przerażony rozpoznając w gościu opryska z bandy Flaszka, z którym niegdyś miał do czynienia. — Pan Chryzostom Cherlawy — powtórzył. — Czy to naprawdę pan?

— No, właśnie — westchnął Cherlawy — ludzie ledwie mnie rozpoznają. Zmizerniałem na twarzy, to dlatego. Bieda i bezrobocie mnie postarzyły, świerszczyku mój. Miło mi znów cię zobaczyć, ale nie patrz tak — zagaił przyjaźnie do wystraszonego chłopca. — Po co ta przerażona mina? Byliśmy przecież przyjaciółmi, lubiłem cię. . .

— Tak, ale wtedy, tam w podziemiach. . .

— Nawet wtedy nie zrobiłem ci krzywdy, a przeciwnie, obroniłem przed brutalnością oprawców, nie pamiętasz? Zawsze brzydziłem się fizyczną przemocą, wiesz, że pracuję delikatnie, osmotycznie, by nie rzec, pedagogicznie, w miarę mimicznie, gdy trzeba nawet choreograficznie, krótko mówiąc — kulturalnie. Tym bardziej nic złego nie może cię spotkać z mojej strony teraz, bo nie pracuję już dla tego fuszera, Alberta Flaszka, uwolniłem się od niego, to znaczy, hm. . . on uwolnił się ode mnie.

— Wylał pana?

— Delikatnie powiedziane. Do dziś mam siniaki na całym ciele, zaraz pokażę ci. . .

— Nie, nie musi pan, wierzę panu.

— Tak więc zostałem bezrobotnym i szukam pracy, świerszczyku mój — jęknął Chryzostom.

— Przykro mi, to znaczy. . . żal, ale. . . ale nie bardzo rozumiem, czemu mnie pan odwiedził — wykrztusił Marek czując, że ogarnia go coraz większy strach.

— Dowiedziałem się — odparł Chryzostom — że twój tatuś prowadzi duże interesy i pomyślałem, że mógłbym się zatrudnić u twojego tatusia.

— Pan? — Marek zdębiał.

— Obawiam się, że to moja ostatnia szansa powrotu do uczciwego życia, inaczej będę się musiał zatrudnić w Phoenixie doktora Kadrylla. Próbowałem się

usamodzielić i pracować na własny rachunek, ale już nie to zdrowie. Zachorowałem na rękę, reumatyzm stawowy i niedokrwienie, tudzież niedowład kończyny, choroba zawodowa nader częsta w naszym fachu. Zmuszony jestem się przekwalifikować. . .

— Nie ma pan renty inwalidzkiej? — zainteresował się Marek.

— Niestety mój szef, ten łobuz, ta kutwa, ten skąpiec Flasz nie ubezpieczał swoich pracowników. Od miesiąca szukam już odpowiedniej posady, gdzie mógłbym wykorzystać moją wiedzę i doświadczenie zawodowe. Ale bez powodzenia. Wszystko dlatego, że wyrobiono mi opinię człowieka uczciwego i kulturalnego, świerszczyku mój. I to mnie dyskwalifikuje. Uczciwość teraz jest przeszkodą. Wszystko się pomieszało. Biznesmeni stają się oszustami, a dawni oszuści — biznesmenami! . . .

— Pan chyba trochę przesadza — zauważył Marek — pan jest po prostu rozgoryczony.

— Jak mam nie być rozgoryczony — zajączał Chryzostom Cherlawy — skoro zostałem z moimi zdolnościami na bruku wraz z moją wierną żoną i dziećmi. Żal mi tych niebożątek — rozrzewnił się na wspomnienie potomstwa. — To takie zdolne szelmy. Przewyższyli talentami ojca. Ja miałem talent w rączce, a mój Wacio — poznałeś tego miłego chłopca — ma talent we wszystkich czterech kończynach, kończy właśnie kurs kick-boxingu i dżudo, a trenerzy rokują mu wielką olimpijską przyszłość, choć ja dla niego widziałbym raczej karierę bankowca. . . Duże nadzieje pokładałem także w Bolciu, który pomyślnie rozpoczął wyższy kurs włamań do komputerów. Co zaś do moich obiecujących córeczek. . .

— Wiem — przerwał Marek — wykształcenie dzieci kosztuje.

— Otóż to, świerszczyku mój — uśmiechnął się smętnie Chryzostom — pomyślałem więc, że mógłbym podjąć się funkcji przybocznego goryla u twojego tatusia. Biznesmeni potrzebują ochrony, wydaje mi się, że byłbym dobrym ochroniarzem.

— Pan?! — zdziwił się Marek.

— Masz jakieś zastrzeżenia?

— Pan jest zbyt cherlawy — stwierdził brutalnie Marek.

— Moja siła nie w mięśniach lecz w głowie — oświadczył z godnością Chryzostom. — Zresztą do zadań, że tak powiem, siłowych moglibyśmy zatrudnić Teosia Bosmanna, który także jest na odlocie z firmy Flasz. Co do mnie mógłbym służyć twojemu tatusiowi jako cichy konsultant i spec od kieszeni ludzkiej, niezawodny doradca kasowy, doświadczony towaroznawca, ewentualnie jako wtajemniczony ekspert wyższego marketingu i bombowych afer pomysłodawca. . .

— Chwileczkę! — przerwał mu Marek, bo nagle przez otwarte okno zobaczył szybującego na paralołni Swędziaka. To był rzeczywiście wspaniały, pokazowy lot. Swędziak przeleciał gładko między blokami i sprawnie skręcił w stronę placu ze styropianem. Lecz gdy przelatował nad ulicą, niespodziewany poryw wiatru

uderzył go zdradziecko w bok. Paralotnia trafiła w powietrzną „dziurę”, załamała się i zaczęła spadać w dół... Marek zastygł z przerażenia. Wydawało się, że nic już nie uratuje Swędziaka od śmiertelnego upadku i rozbicia o asfalt jezdni, lecz widać sam Anioł Stróż miał go w swojej opiece, bo oto w tej samej chwili nadjechał traktor z przyczepą, a w tej przyczepie było pół setki pokwikujących, malutkich, tłustych prosiątek i Swędziak wylądował na nich bezpiecznie, tudzież stosunkowo miękko. Oszołomiony, lecz cały i zdrowy, odjechał w tym sympatycznym kwiczącym towarzystwie w zamgloną dal... na oczach zagapionego Marka.

— Czy ty słyszysz, co do ciebie mówię, świerszczyku mój? — zapytał zniecierpliwiony Cherlawy.

— Tak... o... owszem, to ciekawa propozycja z pana strony — wykrztusił Marek — ale tatusia chwilowo nie ma.

— Nie ma? — stropił się Chryzostom. — No trudno, zostawię moją wizytówkę — wręczył Markowi kartę z adresem i napisem:

MGR CHRYZOSTOM CHERLAWY
OCHRONA OSOBISTA
— KONSULTACJE FINANSOWE

— Jak będziesz rozmawiał z ojczulkiem — dodał smętnie — wspomnij mu o bezrobotnym fachowcu, ojcu obiecujących dzieci, których wykształcenie stało pod znakiem zapytania. Powiedz, że twój stary przyjaciel gotów jest mu świadczyć specjalne usługi za nader przystępną cenę. Ciebie zaś, z czystej sympatii, chciałbym ostrzec: grozi ci niebezpieczeństwo, świerszczyku mój. Strzeż się „Ruatonimu”! Miałeś dziś z nim nieprzyjemną przygodę, prawda?

Marek zbladł.

— Skąd pan wie? — spojrzał na Chryzostoma podejrzliwie.

— Od Teofila Bosmanna. Nie wiem, jak ty to robisz, ale wciąż pakujesz się w straszne kabały. Z ludźmi Fastrygi nie ma żartów.

Marek chrząknął zakłopotany.

— Zuch z ciebie — ciągnął z uśmiechem Cherlawy. — Podobno im się sprytnie wyrwałeś, ale oni nie dadzą za wygraną. Powtarzam: strzeż się „Ruatonimu”! Przydałby ci się goryl, stały ochroniarz, taki jak ja... który by z tobą chodził. Co ty na to? Może powiedziałbyś mamusi, jak wygląda sytuacja...

— Nie... dziękuję za... za dobre serce, panie Chryzostomie, ale już nie mam pecha i nie czuję się zagrożony. Dlaczego miałbym się czuć? Po co ktoś chciałby mi dobrać się do skóry? — Marek udał naiwność, bo chciał wy badać, co naprawdę wie na ten temat Cherlawy.

— No, no, nie strugaj niewiniątka! — zapiszczał opryszek. Mustafon Idiosynkrazy! Czy to ci coś mówi, aniołku?

— Chodzi panu o tego śmiesznego grubasa? Owszem, zaczepił mnie na ulicy.

— Czego chciał?

Marek chciał odpowiedzieć: „co to pana obchodzi”, ale pomyślał, że to by nie uwolniło go od natarczywych pytań złoczyńcy, więc odparł ze wzruszeniem ramion:

— Powiedział, że jest z Moniek koło Białegostoku i że okradli go na dworcu. Pytał, jak dostać się do Konstancina; ponieważ nie miał pieniędzy, dałem mu cztery ulgowe bilety na autobus.

— No, no... patrzcie... taki był nierozgarnięty? I pewnie mówił, że jest chory i zmęczony — szydził Cherlawy.

— Tak, był bardzo zmęczony — odparł Marek. — Zdjął sztuczną brodę i wachlował się peruką, nie, chyba na odwrót, zdjął perukę i wachlował się brodą. . .

— Wachlował się brodą, a to dobre! Wesoly chłopak z ciebie — zachichotał Cherlawy. — I pewnie za te bilety grubas podarował ci... puzderko. . .

— Co pan powiedział?

— Puzderko!

— Jakie puzderko?

— Taką ładną szkatułkę... pudełeczko, świerszczyku mój.

Marek nie potrafił ukryć zmieszania.

— Ach, chodzi panu o tę puszkę... chałwy.

— Puskę czego? — teraz z kolei zdziwił się Cherlawy.

— Chałwy!

— Żartujesz chyba. Otwierałeś to pudełko?

— Tak, tam była chałwa.

— Jesteś pewien.

— Najzupełniej.

— W takim razie byłaby to specjalna chałwa — zauważył gorzko Cherlawy. — I wciąż jeszcze ją masz?

— Myśli pan, że ktoś mógłby się złakomić. . .

— Na twoim miejscu poszedłbym sprawdzić. Czy miałeś tu dzisiaj jakichś gości? . . .

— Tak, raczej sporo.

— No, to idź i sprawdź, czy masz jeszcze tę... tę, jak mówisz, chałwę! — zdenerwował się Cherlawy.

Marek pobiegł do pokoju pana Surmy, tam gdzie na pianinie zostawił ów fatalny przedmiot i... zastygł z wrażenia. Puzderko zniknęło. Pokręcił się po pokoju, zaglądał we wszystkie kąty. Może ktoś z gości przestawił je tylko w inne miejsce? Niestety nigdzie puzderka nie było. Zostały tylko rzeczy, które z niego przedtem wyjął i schował do futerału wiolonczeli. Ale o tym nie miał zamiaru informować Cherlawego.

Wrócił do salonu i obwieścił nieproszonemu gościowi hiobową wiadomość.

— No to musiała być naprawdę bardzo specjalna chałwa, a ty miałeś specjalnych gości! — zajęczał Cherlawy. — Kto tu był?

— Różni koledzy, małolaty.

— A ze starszych gości?...

— Nikt... to znaczy nikt z gości, bo pracowali tu instalatorzy alarmu z jednej firmy.

— Jakiej firmy, świerszczyku?

— Nazywa się „Minotaur”.

— To oni, to te draby. Był z nimi niejaki Gargamel? — Cherlawy zaniepokoił się nie na żarty.

— Pan go zna?

— Miałem tę nieprzyjemność go poznać. Od najgorszej strony. A na czele tego towarzystwa stał zapewne pan Lal Trel. Groźna rzecz! Buszował tutaj „Minotaur” z panem Trelem i Gargamelem. A więc uprzedzili mnie — Cherlawy jęknął i spuścił swój długi nos na kwintę, tak że dotykał mu niemal brody.

— To przez ciebie — spojrzął na Marka z wyrzutem.

— Przeze mnie?!

— Niech cię Flasz pieści, świerszczyku mój! I ty mówisz, że już nie masz pecha?! Biedny chłopcze, przeniosłeś go razem z pchłami na nowe mieszkanie. Muszę wyznać, że rozczarowałeś mnie nieprzyjemnie, bardzo liczyłem na ten prezent od Mustafona, ale cóż — westchnął — rozczarowania, zawody i zgryzota, to mój chleb codzienny... Co za los, co za niesprawiedliwość dziejowa!... Żebym ja, obdarzony siedmiorgiem talentów przez mamusię, tak się musiał borykać, tak mordować i nie mógł się odbić od dna. Wciąż próbuję i nie mogę. Cały rok, chłopcze! Już mnie pięty bolą od tego odbijania i nic... Tylu moich kumpli się odbiło, nawet taki przygłup jak szwagier Turpisa Antosia odbił się i prowadzi z żoną butik z czerwonymi szelkami dla maklerów, a ja wciąż na dnie i nic mi nie wychodzi. Czy to jest w porządku? No powiedz sam!

— Przykro mi — bąknął Marek — ale co mogę zrobić?

— Wstaw się za mną u taty. Chyba jednak podejmę pracę u niego. Szepnij dwa słowa o mnie! Powiedz mu, do czego jestem zdolny...

— Mam naprawdę powiedzieć, do czego pan jest zdolny?

— Nie... Masz rację, to by źle wyszło. Po prostu powiedz, że mógłbym go chronić. W dzisiejszej dżungli interesów opieka jest konieczna — Chryzostom Cherlawy wytarł głośno nos. — Trzymaj się, świerszczyku mój! Przepraszam, ale muszę się zmywać. Sprawa stała się diablo pilna! Myślę, że niedługo znów się spotkamy, ach, byłbym zapomniał, masz pozdrowienia od Wacia. Wacio mile wspomina te wypracowania, które za niego pisałeś. Były na medal z Księżyca! — Cherlawy chichocząc wybiegł.

* * *

Marek zamknął za nim drzwi na wszystkie zamki i usadowił się w głębokim fotelu. Postanowił, że nikogo już nie będzie wpuszczał, odpręży się chwilę i zabierze do sprzątanania po tym cholernym „Minotaurze”. A co do tego cholernego puzdra i kasety... No cóż, trochę głupio wyszło, ale może lepiej i bezpieczniej, że nie ma już w domu tych fatalnych fantów.

W tym momencie poczuł chłodny powiew. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł go od stóp do głowy. Leżąca na kupce gruzu pozostawiona przez instalatorów ulotka reklamowa z wizerunkiem szczerzącego zęby potwora i napisem „Z MINOTAUREM BEZPIECZNIEJ” podskoczyła nagle i pofrunęła jakby kierowana prądem powietrznym aż do przedpokoju. Dopiero tam zatrzymała się przy szparze w drzwiach. Zaintrygowany Marek ruszył jej śladem. Za drzwiami coś buczało cicho.

— Kto tam? — warknął. — Co się dzieje?

— Tu Małgorzata Tubij z firmy „Dedał” — usłyszał niewieści, niezbyt przyjemny, syczący głos. — Demonstruję działanie najlepszych modeli naszego sprzętu domowego. Mam coś dla państwa. Absolutna nowość!

— Pani mi wpuszcza zimne powietrze, a u nas jeszcze nie palą, czuję chłód w nogach. Proszę przestać, bo aż śmieci fruują!

— Nie wpuszczam, lecz wysysam powietrze, chłopczyku — zasyczała akwizytorka. — To promocja i demonstracja siły ciągu odkurzacza „Tornado 2000” zupełnie nowej generacji, modelu już dwudziestego pierwszego wieku...

— Proszę odejść i nie demonstrować. Nie otwieram nikomu! Jestem zajęty — oznajmił Marek.

— A co robisz takiego, chłopczyku?

— Sprzątam po ekipie wandalów, którzy tu buszowali!

— Czuję po twoim głosie, że nie bawi cię to zajęcie. Czy pozwolisz mi posprzątać za ciebie?

— Pani by posprzątała? — zainteresował się Marek.

— Tak. Szybko, fachowo i, co nie mniej ważne, zupełnie darmo, chłopczyku — kusila Małgorzata Tubij sycząc przymilnie jak tylko mogła. — Wszysstko w ramach promocji!

— Dobra — Marek otworzył drzwi. — Niech pani zasuwa!

Akwizytorka, brzydka kobieta z okrągłymi kolczykami wielkimi niczym młyńskie koła, wjechała ze sprzętem. Superodkurzacz wyglądał jak powiększony stokrotnie chrabąszcz i wydawał przyjazne, podobne do kota pomruki...

— Zaraz pokażę ci, jak to działa, a ty opowiesz mamie, co widziałeś. Namów ją, żeby kupiła na raty ten cudowny aparacik — wręczyła Markowi kolorowy prospekt — tu wszystko jest opisane. To naprawdę wyjątkowo pożyteczny wielofunkcyjny sprzęt, ale zapewne twojej mamie najbardziej spodoba się jego funk-

cja odkurzacza i sprzątacza... Zobacz! — nasadziła na rurę elastyczną, głowistą końcówkę z samoregulującym się otworem, podobnym do najeżonej ząbkami paszczy piranii — to zupełna nowość, moje dziecko, nie tylko odkurza i sprząta, ale czyni to mądrze, ściśle ss... selektywnie! Dzięki wbudowanemu minikomputerowi.

— Selektywnie? Jak to? — Marek uniósł brwi do góry.

— Zobaczysz sam. Zaraz ci pokażę.

— Nie... dziękuję — bąknął pełen złych przeczuć Marek — niech pani się nie fatyguje!

— Żadna fatyga. Spójrz na zegarek. Za pięć minut całe mieszkanie będzie dokładnie odkurzone i posssprzątane — zasyczała agentka i wcisnęła niebieski guzik.

Odkurzacza zamruczał cichutko, po czym zaczął samoczynnie jeździć po podłodze, wspinać się na ściany i meble. Wyciągał błyskawicznie kurz ze wszystkich zakamarków oraz połykał napotkane śmieci a także — niektóre małe przedmioty, ale sterowany komputerem przeprowadzał szybko selekcję, jedne przedmioty wypływał po oczyszczeniu, inne znikwały bezpowrotnie w czeluści jego zachłannej paszczy.

Agentka zajrzała do pokoju pana Surmy.

— Tu jest największy śmietnik — orzekła — zaraz zrobimy z nim porządek.

— Nie, niech pani tam nie wchodzi! — przestraszył się Marek. — To tylko taki artystyczny nieład — próbował wytłumaczyć. — Nasz sublokator będzie wściekły. On nie znosi, jak mu ktoś grzebie w pokoju. — To mówiąc na wszelki wypadek zabrał reklamówkę z resztą rzeczy z puzdra.

— Nie ma obawy, nic tu nie zginie — zapewniła agentka i nie zważając na protesty Marka wsadziła do pokoju pana Surmy swój monstrualny odkurzacza.

Istotnie pracował bardzo delikatnie. Przyjemnie mruczając błyskawicznie przejechał się po regałach z książkami i selektywnie je odkurzył nie wydzierając ani jednej stronicy, a potem odkurzył i wypolerował całą kolekcję instrumentów muzycznych pana Surmy nie wciągając do swojej paszczy żadnego z nich, nawet maleńkiego fletu piccolino, natomiast z wielką żarłocznością połknął wszystkie śmieci i odpadki z kosza, łącznie z pękatą butelką po koniaku. Na koniec sprzątnął równie dokładnie wszystkie paprochy, gruz i kawałki stężalego gipsu zostawione przez ekipę Lala w przedpokoju.

— Chyba przekonałeś się, co wart jest nasz odkurzacza najnowszej generacji „Tornado 2000 Luksss”... — zasyczała na pożegnanie zadowolona Małgorzata Tubij.

— Ooo, tak! Dziękuję pani! — ziewnął Marek i już całkiem rozluźniony wypuścił agentkę z mieszkania, po czym schował na powrót resztę rzeczy z puzdra do futerału wiolonczeli, a sam wygodnie ułożył się na fotelu w czystym wysprzątanym salonie i chyba usnął.

* * *

Zbudził go dopiero trzask zamykanych głośno przez matkę drzwi. Pani Piegusowa wróciła w znakomitym nastroju z dwoma pakunkami w jednej ręce i bukietem stokrotek w drugiej, zaróżowiona i piękna promieniowała bioenergią.

— Co za uroczy dzień, Marku! — uśmiechnęła się — a ty... co z tobą? Czy byłeś grzeczny?

— Tak, mammo.

— Wynudziłeś się pewnie.

— Nie... raczej nie, mammo.

— Kupiłam ci wierszyki.

— Wierszyki? — Marek skrzywił się boleśnie.

— Na pewno ci się spodobają, to są zabawne akrostychy. Może teraz będziesz więcej siedział w domu, czytał i rozwijał się umysłowo.

Marek skrzywił się ponownie i żeby zmienić nieprzyjemny temat zapytał.

— Czy to bardzo mamę bolało?

— Co?

— Przepompowanie bioenergii?

— Ależ skąd, głuptasie. Dziś było wyjątkowo przyjemnie. Brałam udział w otwarciu nowego gabinetu odnowy. Jako pierwsza zostałam odnowiona. Czuję niezwykły przepływ energii... promieniuje!

Niedobrze — pomyślał Marek — żeby tylko nie promieniowała za bardzo i nie zadawała kłopotliwych pytań. Z lękiem patrzył, jak rozgląda się po pokoju.

— Jak tu czysto — zauważyła zaskoczona. — Sprzątałeś?

— Trochę.

— Nie wychodziłeś?

— Siedziałem plackiem.

— Nikogo nie wpuszczałeś?

— Tylko tych od alarmu — łągał dalej gładko. Uznał, że lepiej nie wspominać, co się tu wyrabiało. Za dużo musiałby wyjaśniać i tłumaczyć, a mama mogłaby się zdenerwować. Nie było sensu ambarasować tak wspaniale odnowionej mamy.

Zadzwoił telefon. Marek podniósł nerwowo słuchawkę i podał matce.

— To do mamy — mruknął — wujek Albin dzwoni.

Pani Piegusowa, nieco zdziwiona, podeszła do aparatu.

— Szukam Dory — zachrobotał głos w słuchawce. — Czy nie zasiedziała się u was? Zaprosiła na brydża Józików. Czekają od godziny. Tak się nie robi...

— Przykro mi — odparła pani Piegusowa — ale u nas jej nie ma i w ogóle dzisiaj nie było.

Ledwie odłożyła słuchawkę, telefon zabrzączał powtórnie.

— Tu Muzeum Narodowe — zaszczębiotał damski głos. — Czy zastałam pana Kiwajłę?

— Dionizego? — zdziwiła się pani Piegusowa.

— Tak, Dionizego Kiwajłę. Miał o szóstej oddać kufer gdański do depozytu. . .

— Ale dlaczego dzwoni pani do nas?

— Powiedział, że będzie pod tym numerem. Miał się u państwa zatrzymać. . . z tym kufrem.

— Nic o tym nie wiem. . . pierwszy raz słyszę — odparła zbulwersowana pani Piegusowa — tu go nie było i nie ma! Ani jego kufra!

— Przepraszam, to bardzo dziwne.

— Istotnie, dziwne! — pani Piegusowa rzuciła słuchawkę. — Stryjowi Dionizemu coś się poplątało — mruknęła do Marka. — Biedny dziwak, goni w piętę. Na nowo jakieś historie z tym nieszczęsnym kufrem! Skleroza!

Marek zaczerwienił się i żeby ukryć zakłopotanie udał, że ogląda sobie pilnie w lustrze ściennym niewidzialnego pryszczka na nosie.

— To ja pójdę teraz się przelecieć, mam — bąknął.

— Ale tylko na pół godziny — zastrzegła mama Piegusowa — pamiętaj, zaraz będzie kolacja. Dzisiaj zrobię gorące danie, coś zupełnie ekstra! Czuję przypływ energii kulinarnej.

Marek westchnął zrezygnowany. Wiedział dobrze, czym grozi taki przypływ. Wszystko będzie przypalone, a już na pewno przesolone.

Ruszył do wyjścia. Za drzwiami ktoś zakasłał i głośno wytarł nos. Marek spojrział w wizjer judasza. Niestety żarówkę na schodach znów ktoś pewnie ukradł, bo w judaszu zamajaczył tylko podejrzany cień. . . Ogarnęły go złe przeczucia.

— Kto tam? — zapytał nieco drżącym głosem.

— Uczę jazdy na wielbłądach. . . — rozległ się głos.

Serce Marka zamarło na moment a potem zaczęło walić jak szalone. Boże, to ten człowiek z hasłem!

— Dzie. . . dziękuję — wyjąkał. — Dostaję od tego choroby morskiej.

— Przepraszam — zamruczał głos. — Sapienti sat!

Tak to na pewno on, człowiek od Mustafona. Znał hasło, chyba mogę go bezpiecznie wpuścić — pomyślał Marek i ostrożnie uchylił drzwi. . . Uchylił drzwi i zdębiał kompletnie. Na progu stał. . . DETEKTYW KWASS!

ROZDZIAŁ IV

DRUGIE OBLICZE MUSTAFONA IDIOSYNKRAZEGO • DETEKTYW KWASS ROZPOCZYNA ŚLEDZTWO

— Marku, kto przyszedł? — zapytała z kuchni pani Piegusowa.

— To pan Hippollit, mamó.

— Czy coś się stało? — zaniepokojona matka zajrzała do salonu z garnkiem w ręce. — Miło pana widzieć, panie Hippollicie, ale, rozumie pan, ta niespodziewana wizyta... proszę wybaczyć moje zaskoczenie.

— Rozumiem i przepraszam za to nagłe najście. Niech pani będzie spokojna, żadnych nowych kłopotów, droga pani. Od ostatniego wyjścia z pudła, to znaczy od lat trzydziestu, nie utrzymuję się już z łupów przestępczych, a od dziesięciu — z łupów, że tak się wyrażę, detektywistycznych. Żadnych brudnych spraw! — detektyw mrugnął do Marka.

— Pan Hippollit prowadzi teraz szkołę tańców na ulicy Karolkowej — przypomniał Marek.

— Wiem, ale chyba nie przyszedł pan udzielić nam lekcji tańca? — zażartowała matka.

— W rzeczy samej, droga pani, chodzi mi o pewną informację — wyjaśnił Kwass. — Och, zupełny drobiazg! Proszę sobie nie przeszkadzać. Zamienię tylko parę słów z Markiem. Naprawdę zupełnie głupstwo!

— To dobrze, mam dosyć kryminalnych afer, pan wie, ile przeszliśmy — powiedziała uspokojona pani Piegusowa. — Ale zadbałam, żeby tamto już się nie powtórzyło. Nad naszym bezpieczeństwem czuwa firma „Minotaur”. Właśnie dziś założono nam alarm na drzwi i na okna. Pokażę panu jak to działa. Niech pan wyjdzie i uda włamywacza...

— Nie, dziękuję, innym razem, śpieszę się droga pani — odparł Kwass.

Matka Marka, zawiedziona, wycofała się do kuchni.

— Więc to pan! — wykrzyknął Marek. — Dlaczego Mustafon Idiosynkrazy nie powiedział mi od razu...

— Cicho, chłopcze... zaczekaj! — detektyw położył palec na ustach i rozejrzał się podejrzliwie po ścianach.

— Macie tu założony podgląd i podsłuch, jestem pewien. To nie był dobry pomysł zaangażować firmę tak podejrzaną jak „Minotaur”. Szkoda, że twoja mama nie poradziła się mnie w tej sprawie. Lepiej kontynuujmy tę rozmowę na balkonie.

— Co za ulga, że to pan... — powiedział Marek, gdy znaleźli się na balkonie. — Tak się denerwowałem. Do końca nie byłem pewny, czy dobrze zrobiłem, przyjmując tę... tę przesyłkę od tego dziwnego grubasa.

— Ależ tak! — zapewnił go Kwass. — Postąpiłeś, jak należało. Mustafon Idiosynkrazy zaangażował się w dobrą sprawę wielkiej wagi, nie przesadzę, gdy powiem — w sprawę o państwowym znaczeniu.

— Dawno pan go zna?

— Trzydzieści lat z okładem. To mój stary, oddany przyjaciel. Kiedyś pracowaliśmy razem.

— Jest pan pewny, że to nie piroman-terrorysta?

— Co za pomysł?! — oburzył się detektyw. — Kto ci nagadał takich bzdur. Mustafon jest pirologiem, a nie piromanem.

— PIROLOGIEM?!

— To wysokiej klasy specjalista w dziedzinie pożarnictwa i walki z ogniem...

— Jednakże nie rozumiem... — Marek miał mały mętlik w głowie.

— Zaraz zrozumiesz. Jesteś już dużym chłopcem, a los chciał, że wszedłeś w posiadanie ważnej tajemnicy, a więc stałeś się niechcący współpracownikiem, by nie powiedzieć współnikiem Mustafona i zasługujesz na pewne... hm... wyjaśnienie.

— Opowie mi pan o nim?

— Opowiem.

— Ale wszystko?

— Opowiem ci prawie wszystko, tyle, ile będzie trzeba, abyś poznał wagę sprawy i zrozumiał, czemu musimy zachować rzecz w ścisłej tajemnicy. Mustafon Idiosynkrazy to niezwykle człowiek. Ogień pasjonował go już od dziecka. Był dla niego swoistym wyzwaniem. Jeszcze w kołysce, jako niemowlę, okazał się wspaniałym strażakiem. Raz bawiąc się zapałkami z powodu nieuwagi niańki podpalił własną pieluszkę, lecz sprawnie, bez niczyjej pomocy, sam ugasił ogień naturalnym, rzekłbym, fizjologicznym sposobem. Oczywiście było to możliwe, bo nie używano jeszcze wtedy pieluch typu „Pampers”, rozumiesz, chłopcze...

— Rozumiem, panie Hippollicie.

— Jako harcerz, Mustafon był nieoceniony na biwakach. Pamiętam go z czasów, gdy sam byłem instruktorem ZHP. Nikt tak jak on nie umiał rozniecać watry, piec ziemniaków, smażyć kiełbasek, organizować zabaw i tańców wokół płonących z wesołym trzaskiem smolnych, żywicznych szczap. Być może skończyłoby się tylko na tych kiełbaskach i niewinnych płasach przy ognisku, ale na szczęście, czy nieszczęście, diabeł zwany losem, który gmatwa ludzkie ścieżki, chciał

inaczej i życie Mustafona, właśnie za przyczyną ognia, stało się jedną wielką przygodą i igraniem ze śmiercią. . .

— Czy to prawda, proszę pana — Marek ściszył głos — że on stale nosi kindżał w rękawie?

Detektyw chrząknął lekko zakłopotany.

— No... cóż... trudno zaprzeczyć. Nosił kiedyś zwyczajem swojego rodu, ale przestał.

— Czemu?

Detektyw chrząknął ponownie.

— Miał... hm... nieszczęśliwy wypadek.

— Znów coś z ogniem? — uśmiechnął się Marek.

— A jakże by inaczej — zamruczał detektyw. — Kiedyś poszedł odwiedzić swoją babcię i w wieżowcu, gdzie na dwunastym piętrze mieszkała, wybuchł pożar. Mustafon wyniósł ją na rękach z ognia, lecz babcia błagała, by uratował także pamiątki rodzinne. Mustafon wrócił na dwunaste piętro a tymczasem ogień odciał już drogę ewakuacji przez schody. Jedynym ratunkiem był zjazd w rękawie ratowniczym. Byłem wtedy strażakiem, bo właśnie wyszedłem warunkowo z pudła i resztę kary miałem odbyć służąc w straży. Tego dnia los mnie z nim zetknął po raz drugi. Brałem udział w tej akcji. Nie mam uprzedzeń do obcoplemieńców, drogi chłopcze, ale muszę stwierdzić, że Mustafon Idiosynkrazy narobił nam wtedy sporo kłopotu, a mniej odpornych nerwowo kolegów przyprawił o mdłości oraz częstoskurcz serca. Miał szybko ratować skórę uparł się, że weźmie z sobą różne turko-tatarsko-ujgurskie pamiątki, a przede wszystkim rodowe kindżały. Obładowany ponad miarę i najeżony kindżałami próbował zjechać rękawem. Problem tkwił w tym, że nasz wysłużony sprzęt był nieco sfatygowany, a rękaw ratowniczy gdzieś w połowie długości miał łatę wielkości średniego ręcznika kąpielowego, do tego trochę nadprutą. Jeden ze sterzących kindżałów Mustafona nadpruł ją dalej i nieszczęście było gotowe! W rękawie na nowo zrobiła się dziura, a my struchlali zobaczyliśmy, jak Mustafon przez tę dziurę wypadł z rękawa!

— I co?! — zapytał przejęty Marek.

— Leciał z kindżałami koziołkując i wydając dziwne okrzyki.

— O rany... i co?

— Ja i paru przytomniejszych kolegów szczęśliwie otrząsnęliśmy się ze struchłałości, przypominając sobie, że strażak winien zawsze zachować zimną krew... tak, chłopcze, zimna strażacka krew w gorącej ogniowej akcji to pierwsze strażackie przykazanie! Bezzwłocznie więc rozpostarliśmy na dole płachtę ratowniczą.

— Sfatygowaną? — zapytał z niepokojem Marek.

— Tylko nieco nadwątloną, bo tu i ówdzie przypaloną, lecz zdatną do użytku, bo w miejscach nadpalenia starannie zacerowaną. Mustafon bez wątpienia wylądowałby na niej pomyślnie, lecz niestety. . .

— Znów te kindzały?! — jęknął Marek.

— Właśnie.

— Przecięły płachtę?

— Dokładnie w miejscach nadwątlenia. Płachta pękła, a Mustafon stuknął głową o ziemię, lekko wprawdzie lecz wystarczająco, by w jego mózgu zaszły trwałe zmiany. Stąd jego... hm dziwactwa i fobie, lecz, trzeba to stanowczo podkreślić, nigdy nie przybrały one formy zbrodniczej piromanii.

— Ale ta jego broda... czy pan wie, że on ją zdjął przy mnie? On nosi sztuczną brodę i perukę, w której wygląda jak baran karkułowaty.

— To w celach wywiadowczych. Konieczna była zmiana wyglądu — odparł cierpliwie Hippollit Kwass. — Rok temu, z pewnych ważnych powodów, podjął pracę w firmie Phoenix Enterprises and Bowie w Konstancinie, jako rzeczoznawca w sprawach ubezpieczeń od ognia i inspektor przeciwpożarowy. Rychło potwierdziły się jego podejrzenia, że główną działalnością tej nobliwej firmy nie jest ani finansowanie inwestycji i różnych handlowych przedsięwzięć, ani świadczenie usług sanatoryjnych, ani prowadzenie badań naukowych w dziedzinie medycyny i farmakologii, ani fundusze powiernicze, ani usługi maklerskie, lecz pranie brudnych pieniędzy!

— Brudnych? Jak to brudnych? — Marek zmarszczył czoło.

— To znaczy pochodzących z brudnych interesów, moje dziecko, z nielegalnych źródeł, krótko mówiąc z przestępstw.

— Z napadów bandyckich? Ze skoków na banki?

— Głównie z handlu narkotykami i bronią, z różnych afer, oszustw, machlojek a także z wymuszeń i szantaży, no i oczywiście z łapówek, tych największych... Taką trefną forszę jej posiadacze boją się wpłacać na normalne rachunki w zwykłych bankach. Taką brudną forszę trzeba najpierw wyprać, żeby nie budziła podejrzeń, żeby nikt się do niej nie mógł przyczepić!

— Jak oni robią to pranie? — zaciekawił się Marek.

— Potem ci powiem, mamy mało czasu, więc nie odbiegajmy od tematu i wróćmy do Mustafona. Otóż, jak już wspomniałem, nasz przyjaciel Mustafon zatrudnił się w „Phoeniksie” bynajmniej nie po to, by brylować jako spec od ognia i urządzać fajerwerki, lecz by przeniknąć tajemnicę firmy i zebrać dowody jej przestępczej działalności.

— Chce pan powiedzieć, że Mustafon był agentem policji? — zapytał przejęty Marek.

— Niezupełnie. Powiedziałbym, że prowadził coś w rodzaju własnej, jednoosobowej agencji wywiadowczej...

— Ale pan z nim współpracował? — wtrącił Marek.

— Służyłem mu doświadczeniem i pomocą, ale to nie był łatwy człowiek do współpracy. Jak już wiesz, miał swoje dziwactwa, ponieważ co dzień igrał ze śmiercią i podejmował niebezpieczne zadania radziłem mu, by koniecznie wziął

sobie kogoś do pomocy i obrony. Polecałem mu jednego z moich zaufanych ludzi na stanowisko goryla, ale Mustafon był uparty jak osioł, nie dowierzał nikomu i postanowił pracować tylko w pojedynkę. Działał na swój rachunek i ryzyko, a zdobyte informacje sprzedawał zainteresowanym osobom, firmom i instytucjom. Także policji i Interpolowi. Wiem, że ostatnio pracował nad zdobyciem informacji, gdzie znajduje się centralny skarbiec „Phoeniksa” ukryty gdzieś w labiryncie gmachu w Konstancinie, to znaczy ów zamaskowany sejf, w którym przechowuje się brudne pieniądze do prania i jak się go otwiera. Podobno są to bająnskie sumy, idące w setki milionów dolarów. Wiem także, iż nie był jedynym szpiegiem, który penetrował tę firmę. Przeniknęli tam również ludzie z gangu Alberta Flaszka. Wczoraj, kiedy po raz ostatni widziałem Mustafona, był bardzo podekscytowany, mówił, że w najbliższych godzinach wejdzie w posiadanie szyfru do otwierania Centralnego Sejfu, będzie także wiedział, jak się do niego dostać, ale, że jest śledzony przez Turpisa i Ślepego Tadzia, znanych nam wytrawnych agentów Alberta Flaszka i może się zrobić, jak się wyraził, gorąco. Mimo to był dobrej myśli i pewny siebie. Umówiliśmy się, że zdobyty szyfr dostarczy bezzwłocznie do mnie na Karolkową i ukryjemy go w jednej z tajnych skrytek garderoby tańców egzotycznych, a nazajutrz spróbujemy go złamać.

— Złamać szyfr? — ożywił się Marek. — Pan zna się na tym?

— To jedna z moich specjalności — odparł nieskromnie Kwass. — Byłem kiedyś w tym wyjątkowo dobry. Niestety w jakąś godzinę po naszej rozmowie, Mustafon zadzwonił, że skradziono mu wóz. Podejrzał, że to sprawka ludzi Flaszka. Był zdenerwowany i już nie taki pewny jak przedtem, że wszystko dobrze pójdzie. W tej sytuacji postanowiliśmy wziąć pod uwagę wariant B.

— Wariant awaryjny?

— Właśnie. Ustalał on, co należy robić w razie bezpośredniego zagrożenia, to jest, gdyby agenci „Ruatonimu” zbyt blisko deptali Mustafonowi po piętach i jego szansę dotarcia z szyfrem na ulicę Karolkową były nader nikłe. Otóż w takim wypadku Mustafon miał szyfr zostawić u twojego kuzyna, a mojego serdecznego przyjaciela Alka...

— Czyli w naszym mieszkaniu?!

— Tak, miał przynieść tutaj.

— Taką niebezpieczną rzecz?! Tutaj?... Sprowadzić nam gangsterów na kark?! — wykrzyknął przykro zaskoczony Marek. — I oczywiście dał pan Mustafonowi nasz adres.

— W rzeczy samej — odchrząknął detektyw. — Pozwoliłem sobie wskazać rodzinę Piegusów jako moich godnych zaufania przyjaciół, którzy udzielią mu pomocy, gdyby w tej okolicy znalazł się w krytycznym położeniu. To, jak mniemam, właśnie nastąpiło. Należy domyślać się, że szczwany lis zdobył to, co miał zdobyć; lecz osaczony przez gang Flaszka nie miał innego wyjścia i postąpił według

wariantu B. Tak, z pewnością nie miał innego wyjścia. . . Ciarki mnie przechodzą, gdy pomyślę, co się dalej z nim stało! — dodał z niepokojem Kwass.

Marek, wzburzony, chciał mu ostro powiedzieć, że nie miał prawa mieszać Piegusów do tej niebezpiecznej historii, choćby nawet chodziło o „afery stulecia”, ale kiedy przypomniał sobie, ile zawdzięcza Kwassowi, pohamował się i rzekł tylko:

— Mama nie będzie zadowolona, kiedy się dowie.

— Nie musisz jej nic mówić. Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej. Twoja mama, twoje siostry i w ogóle nikt z rodziny, prócz Alka, nic nie będzie wiedzieć. . .

— I Alek się zgodził?

— Był zachwycony, że bierze udział w demaskowaniu „afery stulecia”, jak to nazwał nasz niezrównany Mustafon Idiosynkrazy z właściwą ludzom Wschodu przesadą, choć muszę ci powiedzieć, że niewielką w tym wypadku, bo afera jest w rzeczy samej gigantyczna, mój chłopcze. Niestety groziło nam kompletne fiasko, ponieważ dzisiaj od rana Alek był nieuchwytny. W ogóle nie było go w Warszawie, został bowiem w trybie nagłym delegowany do Izabelina na konferencję trenerów i spotkanie z Japończykami, specjalistami od karate i dżudo. Tak więc rozwiązanie alternatywne spaliłoby na panewce i Mustafon nie miałby komu przekazać swej zdobyczy, ale cudownym zarządzeniem Opatrzności na jego drodze znalazłeś się ty, drogi chłopcze. Zbawienny, wspaniały przypadek! . . .

— No, nie wiem, czy dla mnie naprawdę taki wspaniały — skrzywił się Marek. — A w ogóle to muszę powiedzieć, że nie bardzo rozumiem z tym szyfrem. . .

— Czego nie rozumiesz?

— Ja przecież nie dostałem od Mustafona żadnego szyfru.

— A co dostałeś?

— Czerwoną torbę, reklamówkę.

— A w tej reklamówce?

— Puzderko, a właściwie spore puzdro, o takie — pokazał rozkładając ręce Marek — długie i szerokie prawie jak teczka, ale grubsze.

— Pachnące, misternie rzeźbione cacko z drzewa sandałowego — mruknął Kwass.

— Skąd pan wie?

— Widziałem je u niego, to pamiątka rodzinna. I co było w tej szkatule?

— Nic takiego, groch z kapustą, trochę śmieci, w sumie nic ciekawego.

— Pozwól, że ja to osądzę — rzekł zniecierpliwiony detektyw.

— Znaczy. . . mam wyliczyć?

— Dokładnie. Właśnie o to cię proszę.

— No więc były tam skarpetki w pomarańczowe prążki, dezodorant, kawałek żółtego zeschniętego sera, czerwone szelki, kasetka magnetofonowa ze źle nagrany taśmą, krawatka w groszki na gumce, papierki po cukierkach Wedla, paragon ze

sklepu, zużyty bilet autobusowy, pilot od telewizora, jakiś kluczyk, dużo paprochów i okruchów... aha, jeszcze piętka starego chleba. To wszystko, co widziałem — powiedział Marek i dodał: — Wygląda to tak, jakby używał tego puzdra raz jako neseseru, raz jako pudełka do noszenia żarcia na drugie śniadanie.

— No cóż, to cały Mustafon Idiosynkrazy! — westchnął Kwass. — Bałaganiarz i niedbaluch, bez żadnego uszanowania dla artystycznych przedmiotów o muzealnej wartości. Parę razy już zwróciłem mu uwagę, że dopuszcza się profanacji dzieła sztuki, lecz on tylko drapał się pod peruką i dalej pakował tam wszystko, jak popadło...

— Tak, wszystko z wyjątkiem szyfru — zauważył gorzko Marek.

Detektyw uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Są różne szyfry, drogi chłopcze. Szyfr to nie muszą być koniecznie cyferki i literki na papierku, a jeśli nawet był tu taki papierek, to dla bezpieczeństwa Mustafon zniszczył go, a szyfr zanotował w inny sposób. Wszystko może być szyfrem! Wszystko, co jest jakimś znakiem lub zestawem znaków. Zależy tylko od umowy... Ale my tu gadu-gadu — Kwass spojrzął na zegarek — czas leci, a ja jeszcze nie widziałem tego puzdra! Dawaj no to cacuszko razem z jego „śmiecia-mi”, jak byłeś łaskaw się wyrazić, dziecko.

Marek zmieszał się i chrząknął.

— Z tym puzderkiem to... to głupia sprawa, proszę pana oznajmił zakłopotany.

— Dlaczego głupia?

— Bo... bo ja nie mam już tego puzderka.

— Co takiego?! Nie masz? I dopiero teraz o tym mówisz? A co z nim zrobiłeś?

— Ja, nic... po prostu wyparowało.

— Wyparowało? Na miłość boską, co to znaczy?! — zdenerwował się Hippollit Kwass.

— Chyba mi ktoś ukradł — odparł Marek.

— Gdzie ono było?

— W pokoju pana Surmy. Położyłem je na pianinie.

— Na pianinie?! Nie schowane?! — wybuchnął detektyw. — Trzymałeś bez troski na wierzchu taką ważną rzecz?! I czemu akurat w pokoju Anatola Surmy?

— Bo tam jest magnetofon z odtwarzaczem, stoi na pianinie. Poszedłem tam przesłuchać tę taśmę z kasety, co była w puzderku. Ciekawiło mnie, co to za nagranie.

— O ile dobrze pamiętam — mruknął Kwass — byli u was w tym czasie specjaliści od zakładania alarmu.

— Tak, z firmy „Minotaur”, a potem przybiegli ochroniarze, bo włączył się alarm, bo Pinkwas, taki mój kolega, co ma absolutne ucho, ćwiczył hard-rocka trochę za głośno. I ci ochroniarze kręcili się po całym mieszkaniu, i zabrali z so-

bą doktora Kadrylla przebranego za stryja Dionizego... ale możliwe, że zabrali stryja Dionizego przebranego za doktora Kadrylla.

— Co ty bredzisz?...

— Opowiem panu!

— Nie teraz... — przerwał zaafierowany Kwass i powtórzył: — Byli tu ludzie z „Minotaura”, a ty niedawno byłeś przetrzymywany przez ludzi z „Ruatonimu”. Zupełnie fatalna historia.

— Dlaczego, panie Hippollicie.

— „Minotaur” i „Ruatonim”, czy naprawdę nic nie rozumiesz, nic nie kojarzysz?

— Nie.

— No, to kwadratowa gapa z ciebie! Ruszże głową!

— Zaraz... zaraz — rzekł podniecony Marek — coś zaczynam kapować...

Miał pan rację. Faja ze mnie. To po tych wszystkich przejściach... Zupełne zamknięcie umysłowe! Powinienem od razu się domyśleć: „Ruatonim” to przecież „Minotaur” czytany wspak! To znaczy od końca.

— Z tego wniosek...

— Wielki Boże — przeraził się Marek. — Czy to znaczy, że...

— Tak. „Ruatonim” i „Minotaur” to ta sama organizacja — dokończył Kwass. — Lub powiedzmy ściślej i bez ogródek: ten sam przestępczy gang! Dwa oddziały jednej mafii kierowanej przez Alberta Flasza. „Minotaur” zajmuje się głównie wywiadem. Pod płaszczkiem agencji ochroniarskiej przeprowadza rozpoznanie i penetrację terenu. Wystawia upatrzone ofiary do odstrzału, że tak powiem. A odstrzał, to już domena „Ruatonimu”. Tak też było w naszym przypadku, widać to jak na dłoni. „Minotaur” kierowany przez Lala Trela i jego zastępcę zwanego Gargemelem rozpracował Mustafona i spenetrował wasze mieszkanie, zaś „Ruatonim” miał dokończyć akcję, co mu się z początku nie udało, gdyż Mustafon zdążył przekazać szkatułkę tobie, a ty wymknąłeś się dzielnie z obławy. Lecz potem, niestety — detektyw machnął zde gustowany ręką — zachowałeś się jak roztrzepany, nieodpowiedzialny, bezmyślny małolat. Wszystko zaprzepaściłeś! — sapał rozgoryczony — i w rezultacie „Ruatonim” ma, co chciał...

— Wcale nie ma! — oświadczył zadziornie Marek.

— Jak to nie ma?! Zabrali łup wart setki milionów dolarów! Takie bezcenne puzdro...

— Wcale nie bezcenne. Ono było... puste!

— Jak to puste? Przecież były tam różne rzeczy, wymieniał je po kolei.

— Były przedtem, ale kiedy ci dranie dobrali się do puzdra to ono praktycznie było puste.

— A to niby dlaczego?! — zmarszczył brwi trochę skołowany już Kwass.

— Ponieważ przedtem wybebeszyłem je.

— Wybebeszyłeś?!

— Z ciekawości. Kasetę z taśmą odłożyłem na bok, żeby ją przesłuchać, tak samo odłożyłem ten dziwny kluczyk podobny do wytrycha. Chciałem go wypróbować na naszych zamkach. Przy sposobności postanowiłem zrobić mały porządek. Resztki jedzenia, paprochy i śmieci wygarnąłem do kosza. Szelki, skarpetki i krawatę miałem obejrzeć przez lupę, czy nie ma tam jakichś specjalnych znaków... tak że w szkatule zostały tylko kosmetyki, aha... na końcu wsadziłem tam jeszcze pilota po obejrzeniu.

— A więc zabrali tylko pilota, krem, mleczko i dezodorant — Kwass odetchnął nieco. — Czy wkładałeś palec do kremu? — zapytał niespodziewanie.

— Nie. A po co? — zdziwił się Marek.

— Coś mogło być ukryte w kremie.

— Szyfr?

— Miejmy nadzieję, że nic tam nie było. A pilot?... — Kwass zastanowił się. — Może jest to pilot do urządzeń elektronicznych skarbca, ale bez szyfru nie ma znaczenia...

— Więc gdzie, według pana, może być ukryty szyfr?

— Najbardziej prawdopodobnie... w... kasecie! — odparł Kwass.

— Myśli pan, że ona... ona zawiera szyfr m u z y c z n y?

— Powiedzmy ogólniej — dźwiękowy. Pokaż no ją, chłopcze!

— Zaraz przyniosę — powiedział Marek, kopnął się do pokoju pana Surmy, i nie bez lęku odemknął pudło wiolonczeli.

Z ulgą stwierdził, że nic nie zginęło, lecz gdy otworzył futerał kasety zamurowało go na amen! Futerał był pusty! To sprawka Pinkwasa lub kogoś z jego grupy — pomyślał od razu.

Jak niepyszny wrócił do detektywa.

— Przykro mi... — zaczął.

— Tylko nie mów, że i kasetka „wyparowała”! — krzyknął detektyw.

— To Pinkwas... — zamruczał ponuro Marek.

— Co za Pinkwas?

— A taki genialny kolega od rocka, on ma absolutny słuch proszę pana. Przewodzi Głośnej Grupie przed Wyzwaniem. On tu ćwiczył i musiał zabrać...

— Ukradł taśmę?! Co ty masz za kolegów!

— Powiedzmy... pożyczyl. On jest genialny, ale lepki.

— Masz babo kaftan! — wykrzyknął detektyw.

— Niech pan się uspokoi — powiedział strapiiony Marek. — Pinkwas to facet kopnięty w przysadkę i pies na kasety, ale nie pozbywa się ich zbyt łatwo. To... to kolekcjoner, proszę pana. Tej kasety też pewnie nie wyrzucił.

— Myślisz, chłopcze? — detektyw popatrzył na Marka z dużym powątpiewaniem.

— Zaraz mu ją odbiorę — mruknął Marek — napiję się tylko wody... On mieszka niedaleko, w tym domu naprzeciwko. — To powiedziałwszy zaaplikował

sobie łyk mazowszanki, a resztą szlachetnego płynu spryskał rozpalone czoło, parsknął, wytarł się rękawem i wybiegł z mieszkania.

Wrócił po pięciu minutach z kasetą w ręku.

— Masz ją! — ucieszył się Kwass.

— Mam, ale co z tego — rzekł Marek. — Muszę pana zmartwić. Ci dranie zdążyli już skasować to, co było na taśmie i nagrali swoje idiotyczne kawałki.

— Na tej taśmie?! — jęknął detektyw.

— Niestety.

— No, nie, nie mogli mi tego zrobić! — wykrzyknął dramatycznie detektyw.

— A jednak... Zaraz panu zwiędną uszy! — Marek przyniósł z pokoju pana Surmy odtwarzacz. — Niech pan posłucha!

Niestety nie uległo wątpliwości, że kaseca została na nowo nagrana. Zamiast szlachetnych tonów muzyki klasycznej wyrzuciła z siebie brutalne bluzgi hard-rocka, jak należało sądzić, kompozycji samego Pinkwasa.

— Coś podobnego! Skandal! — wybełkotał wzburzony detektyw i ostentacyjnie zatkał palcami uszy. — Ohyda! Zgroza! Miazmaty zepsucia! Tak, teraz widzę, to był błąd, ewidentny błąd kierować biednego Mustafona pod twój adres, chłopcze! Miałem fatalny pomysł! Co za lekkomyślność! Co za nieostrożność z mojej strony. Powinienem przewidzieć, że tam, gdzie ty funkcjonujesz, przyjacielu, nieuchronnie muszą się pojawić kłopoty! I wszystko zamienia się w jeden wielki skandal!

Marek zrobił stropioną minę.

— Przykro mi — bąknął. — Uczciwie uprzedzałem Mustafona, żeby mi niczego nie wtykał, bo jestem pechowcem i mogą wyniknąć problemy, ale on nie chciał słuchać...

— Przestań usprawiedliwiać swoje niedbalstwo pechem! — rzekł rozgniewany Kwass. — Powiedz mi lepiej, co tam było pierwotnie nagrane. Wiem, że chciałeś przesłuchać tę taśmę zaraz po powrocie do domu. Przesłuchałeś?

— Tak, panie Hippollicie.

— No i co tam było?

— To był... — Marek nagle ugryzł się w język. Coś go tknęło, żeby strugać muzycznego analfabetę i matola o dębowym uchu. Pomyślał, że lepiej nie zdradzać detektywowi Kwassowi ani rodzaju ani nazwy przesłuchanego utworu z kasety, bo co będzie jak (nie daj Boże) biedak Kwass wpadnie w ręce gangu „Ruatonimu” i złoczyńcy torturami wyciągną od niego tajemnicę? Na pewno mają na niego oko.

Już raz był przecież złapany i więziony przez ludzi Alberta Flaszka. Tak, lepiej na razie nic nie mówić i czekać aż sprawa przycichnie. To stary człowiek, nie wiadomo, jak jest z jego odpornością. Zastraszony, sterroryzowany, wzięty na męki mógłby wszystko wyśpiewać.

— Co mi się tak przyglądasz? — zapytał zaniepokojony Kwass.

— Czy był pan kiedyś torturowany? — Marek odpowiedział na pytanie swoim zaskakującym pytaniem.

— Co ci przyszło do głowy?! — Kwass wytrzeszczył oczy.

— Niech pan odpowie, panie Hippollicie. Był pan?

— Tylko w złych snach, moje dziecko, gdy najadłem się golonki.

— A czy zniósłby pan prawdziwe tortury? Takie bolesne i okropne.

Detektyw pogłaskał się po łysinie.

— Bolesne i okropne mówisz?

— Najokropniejsze: przypalanie czerwonym żelazem, bicie kolczastym bitem, wrywanie paznokci i zębów. . .

— Wrywanie zębów?! — detektyw wzdrygnął się odruchowo i złapał za szczękę.

— Pytam, czy zniósłby pan! — naciskał Marek.

— Nie jestem pewien — wyznał szczerze detektyw.

— No właśnie — westchnął w duchu Marek i wiedział już, że w tej sytuacji musi zatrzymać tajemnicę dla siebie, choć ten wielki sekret tak mu ciąży i język aż go świerzbi, żeby z kimś się podzielić tym sekretem, nic nikomu nie będzie mógł powiedzieć i będzie się z tą tajemnicą męczyć sam! Bo nikomu nie można ufać, że nie wyda. . . Tak pomyślał Marek i głośno powtórzył:

— No właśnie, panie Hippollicie. . .

— Co właśnie? — mruknął Kwass.

— Nic. . . Tak mi się skojarzyło w związku z tą kasetą, bo na tej taśmie był nagrany taki jeden kawałek muzyczny, nawet dość ładny, ale choćby mnie pan nie wiem jak torturował, to nie mógłbym panu powiedzieć, co to za utwór i jak się nazywa.

— Ale musiałeś chyba zapamiętać melodię i mógłbyś zanucić jakiś motyw. . . — denerwował się Kwass.

— Przykro mi, ale nie mógłbym. . . Pan od śpiewu nazywał mnie głupim bemolem. Nie wiem dlaczego, chyba dlatego że fałszowałem. Wykluczili mnie z chóru.

— Wielka szkoda! — oburzył się Kwass. — Że też akurat tam, gdzie potrzebna jest pamięć muzyczna, musieliśmy trafić na takiego. . . takiego. . .

— Cymbała — dokończył Marek spuszczać obłudnie oczy. — Naprawdę przykro mi. Wiem tylko, że to była jakaś muzyczka klasyczna.

— Muzyczka?!

— No, nie. . . nie to co pan myśli, żadna makarena, ani big-bit, ani żaden rock! Nic z popularnej muzyki w żadnym razie. Jakiś klasyczny gniot.

— Klasyczny gniot?! — Kwass spojrzał na Marka z odrazą. — Jak oni was uczą w tej dzisiejszej szkole! Jak oni uczą! Oto do czego prowadzi analfabetyzm muzyczny! Nie mógłbyś być nawet dobrym detektywem, mój chłopcze, sam widzisz!

— Niech pan się tak nie przejmuj — Marek próbował pocieszyć detektywa. — Ta kasetka naprawdę była mało warta. Ja może jestem niedouczone i bemol, panie Hippollicie, ale Pinkwas? On ma absolutne ucho, powiedział mi, że nie ma czego żałować, bo to było amatorskie, nieudolne wykonanie, a jeszcze gorsze nagranie.

— Dajże spokój — zdenerwował się Kwass. — Dobrze, niedobre, lepsze, gorsze — jakie to ma znaczenie, nie chodziło przecież o muzykę tylko o szyfr... o szyfr tam zawarty, szyfr, który został bezmyślnie, bezpowrotnie, nieodwracalnie zniszczony.

— Może znajdzie się jakaś rada — chrząknął Marek. — Może Mustafon zrobił kopię taśmy?...

— Nie pleć. Nie miał czasu na kopiowanie. To był szybki skok i ucieczka... Cały czas deptali mu po piętach.

— Mimo to za wcześnie się martwimy. Przecież nawet nie wiemy, czy ta kasetka w ogóle należała do szyfru. Mustafon wpychał do puzdra różne rzeczy. Mogła się tam znaleźć na takiej samej zasadzie jak dezodorant, mleczko kosmetyczne i te skarpetki w zielone... przepraszam, w pomarańczowe prążki.

— Myślisz? — Kwass pokręcił głową.

— Zobaczysz pan! W każdym razie niech pan się nie zadręcza przedwcześnie, bo na szczęście została nam jeszcze jedna rzecz, która może być moim zdaniem kluczową, a raczej kluczykową dla sprawy. Ten wytrych z puzderka.

— Nie wmawiaj mi tylko, że to jest właśnie kluczyk do Centralnego Sejfu „Phoeniksa” — mruknął Kwass.

— Może nie do Centralnego Sejfu, ale na przykład do... skrytki z tajnym planem informującym, gdzie ten sejf jest ukryty.

— Daj spokój Marku. Wyobraźnia cię ponosi.

— A jednak ja bym się skoncentrował na tym kluczyku-wytrychu, panie Hippollicie. Czy pan wie, że on otwiera wszystkie drzwi w naszym mieszkaniu? Wypróbowałem go!

Kwass popatrzył na Marka z niedowierzaniem.

— Sprawdziłeś? Naprawdę otwiera wszystkie?

— Nawet zamek w drzwiach do kuchni. Mama założyła tam specjalny, trudny do sforsowania zamek, bo kuzyn Alek przychodził do lodówki w nocy i podjadał... najchętniej kotlety, co miały być na obiad... A ja tym kluczem z puzderka Mustafona poradziłem sobie w trzy sekundy! To musi być zupełnie inny klucz, jakiś uniwersalny wytrych nowej generacji, proszę pana, chyba magnetyczny. Cudo techniki!

— Tylko że pewnie też już go nie masz — zauważył zgryźliwie detektyw.

Marek przygryzł wargi.

— Pan wątpi, że ja...

— Niestety, chłopcze, ogarnęło mnie ogólne zwątpienie. Jestem pewien, że ten klucz jest już w rękach gangsterów.

— Na razie jest w moich — rzekł buńczucznie Marek, lecz w nim też zakiełkowało ziarno niepokoju. Zdenerwowany pognął do kuchni.

Kluczyka faktycznie nie było! Przerażony wpatrywał się w pustą dziurkę od klucza.

— No właśnie, proszę bardzo, a nie mówiłem — rzekł detektyw z gorzką satysfakcją. — Kluczyka też nie upilnowałeś! Gdybym miał brodę Mustafona, plułbym sobie w tę brodę! Oto skutki zadawania się z nieletnimi świszczypałami, jak ty! — spojrzął ciężkim wzrokiem na Marka. — Kompletna nieodpowiedzialność! Niefrasobliwy b i m b a l i z m!

Marek rozplakał się, a zdarzyło mu się to pierwszy raz od czasu, jak był więziony w katakumbach świętego Jacka.

— No, przestań, nie becz! — Kwassowi zrobiło się go żal. — Może wsadziłeś kluczyk gdzie indziej.

— Nie — Marek otarł oczy. — Dobrze pamiętam, zostawiłem go w tych drzwiach.

— Wybacz, Marku — westchnął Kwass — ale zupełnie nie rozumiem, jak mogłeś być tak nieostrożny! Sam mówisz: „cudo techniki” i zostawiasz nonszalancko to cudo w kuchennych drzwiach, chociaż zwraca swym kształtem uwagę, a ty wiesz, że odwiedzają cię różne wykolejone wyrostki, wścibskie i lepkie typy spod ciemnej gwiazdy, bo z dziwnym upodobaniem dobierasz sobie koleżków spośród osobników nader podejrzanych, a co najmniej mętnych i w znacznej części stukniętych.

Marek przeczyścił sobie nos, schował chusteczkę do kieszeni, wyprostował się i podniósł głowę. Widać było, że stara się zapanować nad nerwami.

— Nie, to nikt z moich kolegów — powiedział już spokojnym głosem. — Wiem, kto to zrobił. To ten żaloszny opryszek, ten chudy z ptasią główką, co odstawia pokrzywdzonego i chce, żeby się użalać nad jego losem. Pan go dobrze zna, to Cherlawy.

— Chryzostom Cherlawy? — wykrzyknął detektyw.

— Niestety.

— Był tu?

— Jakieś pół godziny temu. Głędził i biadolił jak zwykle. Udawał bezrobotnego, który szuka pracy, a naprawdę to węszył!

— A więc żebyśmy się nie nudzili, mamy jeszcze na karku Cherlawego — zauważył z wisielczym humorem Kwass. — A gdzie wkracza nasz przyjaciel Cherlawy, tam zaraz, jak należy przypuszczać, pojawi się również Teofil Bosmann. Fatalnie! Już chyba gorzej być nie może... Cała praca, całe poświęcenie Mustafona na darmo. A byliśmy tak blisko sukcesu!

— Przykro mi — bąknął Marek.

Detektyw spojrział na niego bystro.

— Nie udawaj, już nie wyglądasz na zmartwionego. Jakoś dziwnie szybko rozpoznałeś się.

Marek zaczerwienił się.

— Nie będę kłamał — powiedział. — Naprawdę żal mi pana Mustafona i że to się tak nieszczęśliwie potoczyło, ale z drugiej strony czuję ulgę.

— Ulgę?! A to z jakiego powodu? — zdumiał się Kwass.

— Bo... bo przyszło mi na myśl, że skoro nie mam już ani pudzermana ani rzeczy, które w nim były, to „Ruatonim” przestanie mnie się czepiać...

— Nie przestanie — powiedział Kwass.

— Jak to?!

— Przecież oni nie wiedzą, że Cherlawy ukradł kluczyk, i że nagranie w kasie zostało skasowane.

— Powiemy im.

— Nie bądź dzieckiem. Nie uwierzą.

— Powiemy, żeby spytali Pinkwasa. Pinkwas potwierdzi.

— Akurat! Pinkwas przestraszy się i wyprze! Naiwny jesteś — Kwass pokręcił głową. — A nawet gdyby uwierzyli, że nagranie już nie istnieje, będą chcieli dowiedzieć się od ciebie, co to było.

— Wtedy powiem, że nie wiem.

— No właśnie i dopiero się zacznie! Wezmą cię w obroty na całego!

— Mnie? W obroty? W jakie obroty?

— Będą próbowali wymusić od ciebie zeznania i nie uwierzą, że nie zapamiętałeś ani tytułu, ani melodii utworu. Zadręcą cię, mój chłopcze. Nie chciałbym cię straszyć, dziecko, ale lada chwila należy się spodziewać od nich telefonu w tej sprawie albo nieprzyjemnej wizyty...

Ledwie to powiedział, telefon zadzwonił.

Marek zdrętwiał.

— To pewnie oni — wykrztusił. Rzucił się do aparatu, ale ubiegła go matka.

— Tak, jestem przy telefonie — zadyszkała. — Co? Wciąż jej nie ma?!... Rozumiem twoje obawy... Owszem, zgłoś na policję, może coś wiedzą i zadzwoń na pogotowie... To rzeczywiście straszne... na szczęście jest u mnie detektyw Kwass. Porozmawiam z nim... Tak... zaraz zadzwonię, będziemy w kontakcie! — odłożyła słuchawkę i zawołała do detektywa: — Panie Hippollicie, czy mogłabym pana prosić na chwilę. Zdarzyło się coś zupełnie nie... niesamowitego. Niech pan sobie wyobrazi, ciotka Dora zniknęła. Zachodzi obawa, że została porwana.

— Proszę ciszej, łaskawa pani — z balkonu wyjrzał przestraszony detektyw. — Mieszkanie jest na podsłuchu złoczyńców.

— Co takiego?!

— Zaangażowała pani do instalacji alarmu niewłaściwych ludzi.

— Ależ firma „Minotaur”...

— Należy do Alberta Flaszka, droga pani. Sądzę, że nie zapomniała pani tego złowrogiego nazwiska. Dlatego lepiej porozmawiajmy na balkonie.

— Jeśli pan jest pewien, że ten okropny człowiek kryje się za „Minotau-rem”... — pani Piegusowa z widocznymi oporami pofatygowała się na zagracony balkon.

— Jestem absolutnie pewien — oświadczył detektyw. — A wracając do rzeczy, na jakiej podstawie sądzi pani, że pani Dora została uprowadzona?

— Dora jest osobą niesłychanie rzetelną i słowną, wprost pedantyczną na punkcie punktualności, sama też jej przestrzega i nigdy się nie spóźnia. Na godzinę siódmą zaprosiła na brydża znajomych, niestety choć dochodzi już dziewiąta do tej pory jej nie ma. Co więcej o godzinie piątej trzydzieści miała być na zebraniu wyborczym Towarzystwa Kultury Moralnej i w ogóle tam się nie pokazała. To jest w najwyższym stopniu niepokojące, ponieważ była fanatycznie oddana pracy w Towarzystwie i nigdy dobrowolnie nie opuściłaby takiego zebrania, tym bardziej, że miała wygłosić referat i kandydować do zarządu...

— Może miała jakiś ważny powód, może coś jej nagle wypadło i musiała zmienić plany — wtrącił detektyw.

— W takim przypadku na pewno zadzwoniłaby, albo w inny sposób przekazała wiadomość. Co jeszcze bardziej zdumiewające, nie wstąpiła do nas, a miała przed zebraniem, wpaść i obejrzeć mieszkanie. Bardzo się do tego paliła i nie wpała... chociaż widziano ją parę kroków stąd w aptece na ulicy Urbanistów. Wujek, znając zwyczaje Dory, wydzwaniał do wszystkich aptek w okolicy. No i w tym miejscu taśma urywa się. Dora jakby rozpułyła się w powietrzu...

Marek zaczerwienił się i spuścił oczy, ale matka nie zauważyła jego zmieszania i wzburzona próbowała zreasumować swój wywód.

— Wniosek jest jeden i nasuwa się sam: ciotka Dora uległa wypadkowi, lub została uprowadzona. Nie widzę innego wytłumaczenia. Z pewnością jako aktywna działaczka Towarzystwa Kultury Moralnej miała wrogów wśród niekulturalnych i niemoralnych osobników, włączając w to pospolitych przestępców, opryszków i łajdaków!

— Proszę się uspokoić — chrząknął detektyw Kwass — po co od razu myśleć o najgorszym, droga pani, mogą być zgoła inne przyczyny, nazwijmy to, hm, nieobecności i milczenia szanownej cioci. Życie jest skomplikowane i stwarza najbardziej nieprawdopodobne sytuacje.

— Niech pan mnie nie pociesza — rzekła zdenerwowana pani Piegusowa. — Mam złe przecucia. Jestem po odnowie psychosomatycznej, panie Hippollicie, widzę wyraźniej i przenikliwiej, moja intuicja została wyostrzona. Boję się, że ten dzień w ogóle może się okazać feralny dla całej naszej rodziny... uprowadzony został także stryj Dionizy...

— Pan Kiwajłło?

— Tak, porwano go wraz z antycznym zabytkowym kufrem.
— Skąd ta pewność?
— Dostałam niepokojący telefon z Muzeum Narodowego. Dionizy był tam na dziś umówiony, miał dostarczyć kufer do depozytu, ale nie przyszedł, zniknął, przepadł bez wieści. . . — pani Piegusowa urwała nagle, bo z głębi mieszkania dotarł na balkon przykry zapach spalenizny.
— Matko Najświętsza! Moje naleśniki — wykrzyknęła. — Na śmierć zapomniałam! Przepraszam bardzo. . . — pobiegła do kuchni.
Detektyw Kwass przyglądał się uważnie Markowi, który stał z mocno niewyraźną miną.
— Ty chyba coś ukrywasz, bratku.
— Ja? — Marek zmieszał się.
— Ostrzegam cię, chłopcze — detektyw Kwass pogroził mu palcem — twojemu stryjowi i ciotce może grozić poważne niebezpieczeństwo. Pan Dionizy Kiwajłło to znany kolekcjoner. W świecie kolekcjonerów nader często dochodzi do zbrodni. Kolekcjonerzy to szaleńcy lub fanatycy na granicy szaleństwa, zaślepieni żądzą posiadania zdolni są do najgorszych przestępstw. Pan Dionizy łatwo mógł paść ofiarą któregoś z nich. A co do cioci Dory, obaj znamy osobliwe pasje tej niepospolitej osoby. Ze swoim charakterem nader łatwo mogła się wplątać w jakąś fatalną aferę! Dlatego, jeśli coś wiesz, mów, chłopcze, bo tu chodzi po prostu o życie. . .
— Ja to świetnie rozumiem, proszę pana, ale moja mama. . . ona jest świeżo po odnowie i nie chciałbym. . . — Marek utknął zakłopotany.
— Nie chciałbyś jej denerwować — chrząknął Kwass. — Doceniam twoje skrupuły i zachowam to, co powiesz, dla siebie. Mamusia nie musi się dowiedzieć.
— No, to powiem panu — Marek ściszył głos. — Oni byli tutaj.
— Pan Dionizy i pani Dora?
— Tak. Najpierw stryj — Marek opowiedział o niespodziewanej wizycie Dionizego i o aresztowaniu go przez ochroniarzy z „Minotaura”. — Wzięli go za doktora Bogumiła Kadrylla, bo pachniał jaśminem. Próbowałam im wytłumaczyć, że to mój stryj, ale nadaremnie.
— Co za prymitywy! Co za upadek edukacji kryminalnej! Jaka żenująca ignorancja! — skrzywił się pogardliwie detektyw Kwass. — Zapach jaśminu! Mój Boże! Zapach jaśminu, zapach pocziwej waleriany — nieomyłne znaki Kadrylla i Nieszczęśliwego. Gdzie te czasy, mój chłopcze, jak szybko wszystko się zmieniło! Panta rhei, synku, tempora mutantur et latrones mutantur in illis — wyrecytował dając świadectwo znajomości kultury antycznej. — Ci głupcy z „Minotaura” nie nadążają wyraźnie za zmianami.
— Ale pan. . . pan nadąża? — zapytał Marek starając się zagłuszyć wątpliwości.

— Bądź spokojny, mój chłopcze! Trzymam rękę na pulsie. Choć oficjalnie poświęciłem się sztuce choreograficznej, śledzę pilnie procesy zachodzące w świecie przestępczym i obserwuję kariery naszych starych znajomych z tej branży. To nader pasjonujące i pouczające. Połowa z nich zajęła się obecnie wielkim biznesem i... polityką! W przypadku doktora Bogumiła Kadrylla narkotyk polityki okazał się silniejszy od starych nawyków. Stwierdziłem ponad wszelką wątpliwość, że ten niebezpieczny przestępca zaniechał wulgarnego szprycowania się wodą kwiatową o zapachu jaśminu. Zapewne zauważył, że robiło to niekorzystne wrażenie w sferach, w których się teraz obraca. Podobnie Wieńczysław Nieszczerólny przezwyciężył nałóg zażywania waleriany. Tak, synku, wielki biznes i polityka zmieniają ludzi nie do poznania.

— To znaczy, że Kadryll i Nieszczerólny przestali być złodziejami? — w głowie Marka pojawiła się jakby nutka zawodu.

— Och, nie — Kwass roześmiał się — to tylko znaczy, że operują teraz na innym, wyższym poziomie. Znacznie wyższym poziomie, choć niekiedy dla sportu, dla dreszczyku emocji dokonują małych kradzieży w dawnym stylu. Dla zmylenia tropu, a może także dla zabawy i osobliwego poczucia humoru smarują się wtedy preparatem o dużej zawartości kwasu masłowego, co skutecznie miesza szyki niedowarzonemu agentom w rodzaju pana Lala z „Minotaura”.

— Kwas masłowy? — skrzywił się Marek — nie słyszałem o takim kwasie. Jak to pachnie?

— Obrzydliwie. Rzecz jasna zapach to w znacznym stopniu rzecz gustu, jednak odoru kwasu masłowego nie wytrzymują nawet najbardziej tolerancyjne nosy. Zjełczałe masło do n-tej potęgi.

— Zaraz, zaraz, panie Hippollicie, coś mi się przypomniało — Marek zmarszczył brwi — taki odór zajeżdżał od tych dwu, co zabrali kufer stryja Dionizego.

— Jak wyglądali?

— Byli w fartuchach roboczych z napisem MUZEUM NARODOWE. Jeden był chudy, wysoki, miał końską długą twarz i czarne okulary, drugi niższy, raczej pulchny, pod fartuchem miał jakby strój wizytowy z czarną muchą... O, Boże! — Marek zatkał sobie z przerażenia usta — nie myśli pan chyba, że to... — jęknął.

— Owszem, tak — odparł zimno detektyw Kwass. — To byli oni, Wieńczysław Nieszczerólny i doktor Bogumił Kadryll. Kiedy tu przyszli?

— No wtedy, jak były te historie z palaczami i z ciocią Dorą — Marek opowiedział w skrócie.

— To było przed wyjściem czy po wyjściu pani Dory? — dopytywał Kwass.

— Nie wiem... — Marek zawahał się — chyba po wyjściu...

— Poczekaj, a czy ty w ogóle widziałeś, jak pani Dora wychodziła?

— No, nie, akurat pobiegłem po lekarstwa, ale chłopcy mówili, że odzyskała przytomność i wyszła.

— I nie wydało ci się dziwne, że tak sobie poszła spokojnie bez jednego słowa?

— To fakt, byłem zdziwiony, to jakoś do niej nie pasowało. A pan co o tym myśli?

— Niedobrze, chłopcze — zachmurzył się Kwass — mam straszne podejrzenie, a raczej pewność, że twoja ciotka nie wyszła z tego mieszkania na własnych nogach, lecz została wyniesiona przez Kadrylla i Nieszczęólnego.

— Wyniesiona?

— W kufrze.

— U... uprowadzili ją?! — Marek wytrzeszczył z wrażenia oczy. — Ale po co? Biedna ciocia! Porwana w kufrze! To straszne!

— Ale lepsze, niż brak jakichkolwiek poszlak — zamruczał detektyw Kwass — przynajmniej wiemy, gdzie jej szukać.

— Gdzie?

— W którejś z agend holdingu Phoenix and Bowie Enterprises. To przestępcza spółka, gdzie Kadryll i Nieszczęólny mają większość udziałów. Zauważ „Bowie” to nazwa urobiona od imion tych opryszków.

— Od Bo... Bogumiła i Wie... Wieńczysława? — wyjąkał przejęty Marek.

— W rzeczy samej — odparł detektyw. — Problem w tym, chłopcze, że tych agend jest sporo, wpijają się w nasz organizm gospodarczy niczym macki — dodał i zamyślił się poważnie. — W której z nich mamy szukać Dory?

ROZDZIAŁ V

CIOTKA DORA W „PHOENIKSIE” • ALBERT FLASZ PRZYJMUJE MELDUNKI

Czarny wóz toyota combi wyraźnie klucząc wjechał z ulicy Miodowej na Krakowskie Przedmieście, a stamtąd szybko skręcił w jedną ze starych uliczek w prawo. Minał główny wjazd do byłego pałacu hrabiów Dziewulskich i zatrzymał się przed bramą bocznego skrzydła, na której widniała tabliczka:

TOWARZYSTWO NAUKOWE PHOENIX
wejście wyłącznie służbowe

Wieńczysław Nieszczerólny i doktor Bogumił Kadryll zdjęli czarne okulary i fartuchy robocze z napisem MUZEUM NARODOWE, naciągnęli na siebie szybko zielone lekarskie kitle i mycki. Nieszczerólny nacisnął guzik pilota. Brama rozsunęła się bezszmerowo. Jednocześnie z portierni wybiegło czterech ochroniarzy w błękitnych uniformach, toyota wjechała na dziedziniec. Ochroniarze podbiegli do niej i wyładowali kufer.

— Do magazynu leków! — zakomenderował doktor Kadryll.

Ochroniarze posapując z wysiłku zataszczyli kufer do pomieszczenia na parterze oficyny pałacu, zawalonego kartonami firm farmaceutycznych.

— To wszystko, możecie iść — powiedział Kadryll i wsunął fagasom w łapę melona do podziału.

Fagasi wycofali się zadowoleni.

Nieszczerólny i Kadryll dokonali zewnętrznych oględzin kufra.

— Cholerny grat — zaklął Wieńczysław. — Jest w opłakanym stanie.

— Korniki — mruknął Kadryll. — Wymaga gazowania, może także szprycowania. Tak, chyba bez zastrzyków pestycydów się nie obejdzie.

— Trzeba zastosować bejcę bis, a potem lakier flamand — orzekł Nieszczerólny. — Następnie nieodzowna będzie dodatkowa inkrustacja, no i oczywiście umiarkowana antykwizacja pułtuska. Dodamy mu dwieście lat.

— Wystarczy sto — oświadczył Kadryll.

— Powiedzmy sto pięćdziesiąt.

— Dobra, ustalimy to później, o taki drobiazg nie będziemy się kłócić — rzekł pojednawczo Kadryll. — W tej chwili bardziej interesuje mnie, co w tym kuferku te chytre Kiwajłły schowały. Wybebeszmy go!

— Wciąż podejrzewasz, że on ma drugie dno?

— Waga na to wskazuje.

— Po mojemu, to nie tylko sprawa drugiego dna. Założę się, że kufer jest czymś solidnie nadziany — rzekł Nieszczególny.

— Ciekawe czym?

— Nie rób sobie apetytu. Obawiam się, że ten stary cap Dionizy załadował go głupimi szpargałami.

— Zaraz się przekonamy — mruknął podniecony Kadryll. — Pozwól, że ja otworzę — szarpnął wieko, ale nie puściło.

— Cholera, zablokowało się, to jakiś perfidny zatrask!

— Pokaż! — odsunął go Nieszczególny. Wydobył mały pęczek precyzyjnych narzędzi i przez chwilę manipulował przy zamku.

— Teraz spróbuj — mruknął chowając instrumenty.

Tym razem wieko odskoczyło łatwo. Kadryll ciekawie zajrzał do kufra i szybko, jak oparzony, zatrzasnął go z powrotem.

— Co się stało? — Nieszczególny patrzył na niego zdumiony.

— Tam jest trup! — wymamrotał Kadryll.

— Co takiego?

— Zobacz sam! Trup kobiety!

— Młodej? — zainteresował się Nieszczególny.

— Nie... niezupełnie — oznajmił wstrząśnięty Kadryll. — Ciało duże i tłuste, ale raczej świeże...

— Pokaż! — Nieszczególny odepchnął go i sam zajrzał zdenerwowany.

— Faktycznie — mruknął — jakaś świnka podrzuciła nam trupa. Ale jak? Kiedy? Dionizy?! Czyżby ten stary cap w wolnych chwilach zabawiał się w Sinobrodego? Podejrzewałem, że świntuch z niego, ale żeby wykręcić nam taki numer?!...

— Wiedział, że polujemy na kufer, a musiał pozbyć się ciała, więc zwabił nas umyślnie i wrobił w ten niesmaczny pasztet, to znaczy w trupa.

— Nie sądzę — zamruczał Nieszczególny. — Zbyt zależało mu na kufrze, by zechciał go poświęcić tak łatwo. To raczej sprawka tego smarkacza Piegusa... Tak, to do niego podobne, już raz wszedł nam w paradę... Zaraz... zaraz — zreflektował się nagle z oczyma wlepionymi w Dorę — ja chyba gdzieś widziałem tę panią! Czy to nie ta jego stuknięta ciotka? Ładne rzeczy!

— Myślisz, że łobuz zamordował własną ciotkę?

— Czemu nie? Podobno dręczyła go badaniami i napychała pastylkami... a ta dzisiejsza młodzież, sam wiesz...

— Ale to jeszcze dziecko! Mój Boże! — Kadryll obłudnie wznosił oczy ku niebu.

— No, no, nie zgrywaj się na zgorzzonego świętoszka — skrzywił się Nieszczególny. — Dziecko nie dziecko, cóż to szkodzi! Wcześniej dziś zaczynają, szczyły. Szczeniak dostał się w złe towarzystwo, zadaje się z mętami, z szumowinami spod ciemnej gwiazdy, widziałeś u niego tych wyrostków, te straszne mordy...

— I kto by się spodziewał — wydziwiał fałszywie Kadryll. — Taki porządny chłopiec, z takiej dobrej rodziny... Jak pomyślę, do czego już dochodzi...

— Dosyć! — przerwał mu z niesmakiem Nieszczególny. — Lepiej pomyśl, jak uprzętać to nieszczęsne ciało.

— Nie będzie łatwo — chrząknął z zakłopotaniem Kadryll — taka ogromna kobieta.

— Można by wynieść po kawałku — zaproponował rzeczowo Nieszczególny — w teczce, ewentualnie w reklamówce, nie zwróciłoby niczyjej uwagi. Musiałbyś tylko dokonać kilku chirurgicznych cięć.

— Chcesz, żebym ją pokrajał? — Kadryll zaaferowany podrapał się w szczękę.

— Czy widzisz inne wyjście?

— Hm... pokrajać i wynieść w teczce? — Kadryll przyglądał się Dorze profesjonalnym okiem — właściwie szkoda by było... takie wspaniałe ciało, jeszcze całkiem świeże. Myślę, że jak tę damę zamykano w kufrze, jeszcze żyła. Sądzę — chrząknął — że można by ją, hm... wykorzystać.

— Wykorzystać? W jakim sensie? — Nieszczególny spojrzał na kompana podejrzliwie.

— W banku tkanek — odparł Kadryll. — Poszczególne fragmenty ciała na pewno nadadzą się do przeszczepów, wiesz, że stale brakuje nam materiału. Trzeba tylko przewieźć szybko denatkę do mojego prosektorium. Pomóż mi wpakować ją na wózek. O tej porze nikogo nie ma, spreparuję ją sam, bez świadków... — to mówiąc chwycił Dorę za rękę, lecz zaraz puścił wystraszony. — Widziałeś?!

— Co?

— Mrugnęła powieką!

— Nie żartuj, musiało ci się zdawać.

— Spójrz teraz, otwarła oczy!

— Rzeczywiście!

— Siada! — Kadryll cofnął się spłoszony.

— Co ty robisz?! Nie uciekaj! Nie zostawiaj mnie z nią! — wykrztusił Nieszczególny.

— Co to?! — Dora usiadła w kufrze i rozglądała się zdumiona. — Co za dziwne łóżko? Gdzie ja jestem? Pan jest doktorem? — obrzuciła podejrzliwym wzrokiem zielony kitel Kadrylla.

— W rzeczy samej — wybełkotał Kadryll. — Jestem doktor Llyrdak. Przez dwa „l” na początku, szanowna pani.

— Czy to szpital?

— Niezupełnie. Znajduje się pani w ośrodku badawczym medycyny doświadczalnej Towarzystwa Naukowego Phoenix.

— Ale co ja tu robię?!

— Zaraz wyjaśnimy, pani Doro — Nieszczególny starał się zdobyć na przyjazny uśmiech.

— Pan mnie zna?

— Jakże mógłbym nie znać tak wybitnej działaczki, a przy tym cioci Marka. Miałem kiedyś zaszczyt zaliczać się do hm... bywalców jego domu...

— Przepraszam, pan się nazywa?...

— Nieszczególnski, szanowna pani. Doktor filozofii Wieńczysław Nieszczególnski.

— Filozofii? I co pan robi w tym miejscu?

— Filozofuję, droga pani.

— Chodzi o filozofię życia, choroby i zdrowia — wyjaśnił Kadryll. — Mój przyjaciel udziela naszym pacjentom filozoficznej pociechy.

— To nadzwyczajne — ożywiła się ciotka. — To mi się bardzo podoba. Widać, że prowadzi pan ośrodek na najwyższym poziomie, doktorze Dyndral.

— Llyrdak — poprawił łagodnie Kadryll — przez dwa „l” łaskawa pani. Cieszę się, że podoba się tu pani.

— Owszem, ale... ale skąd się tu wzięłam... jakim u Boga Ojca cudem?!

— Uwolniliśmy panią z rąk złoczyńców — wyjaśnił Nieszczególny. — To handlarze żywym towarem. Chcieli panią sprzedać. Uśpili narkotykami i zamknęli w kufrze.

— O, Boże! — przeraziła się ciotka.

— Tak, droga pani, może pani mówić o dużym szczęściu, że przybyliśmy w porę. Była pani w szponach okrutnej mafii.

— Wołomińskiej czy pruszkowskiej? — zapytała rzeczowo ciotka.

— Gorzej, znacznie gorzej. Obawiamy się, że była pani w szponach mafii Alberta Flaszka, zwanej także moczydłowską. Słyszała pani o tym gangsterze?

— Tak, to podobno przestępca alkoholik, człowiek okrutny, lecz obdarzony zdolnościami organizacyjnymi. Wspominał o nim detektyw Kwass, ale nie mogę zrozumieć, czemu akurat mnie ten gangster odurzył i zamknął w skrzyni. Co ja mu zrobiłam?

— Och, pani się nie docenia, pani Doro — Nieszczególny wyszczerzył w uśmiechu swoje końskie zęby. — O ile wiem, pani działalność na polu kultury moralnej doprowadzała Alberta Flaszka do zwiększonego w trójnasób spożycia śliwowicy, a w następstwie do niebezpiecznych ataków białej gorączki, postanowił więc usunąć panią i przygotował zasadzkę.

— Gdzie?

— W mieszkaniu Piegusów — odparł Nieszczęgólny. — Szczęśliwie byliśmy akurat na miejscu. . .

— Rany boskie! — przerwała mu ciotka. — Moje zebranie! Która to godzina?! — zdenerwowana zaczęła gramolić się z kufra.

— Już dziewiąta.

— Ładne rzeczy. . . — jęknęła Dora — już dawno po zebraniu. I w domu się pewnie niepokoją. Muszę pędzić. . .

Nieszczęgólny i Kadryll wymienili spojrzenia.

— Obawiam się, pani Doro, że nie będzie to na razie możliwe — rzekł z łagodnym uśmiechem Kadryll. — Za drzwiami grozi pani nadal wielkie niebezpieczeństwo. Albert Flasz czyha.

— Czyha? — przestraszyła się na nowo ciotka.

— On nigdy nie rezygnuje. Z pewnością w całym mieście pełno jest węszących agentów z jego agend: „Ruatonimu” i „Minotaura”. Szukają pani wszędzie. Ich macki sięgają aż tych drzwi. . .

— Macki?! — jęknęła Dora.

— Pani dom obstawiono agentami. Przykro nam. . .

— Co mam robić? — wykrztusiła.

— Przeczekać niebezpieczeństwo w ukryciu u pewnych, życzliwych przyjaciół — rzekł z uśmiechem Kadryll. — Mam dla pani propozycję, równie ciekawą jak lukratywną.

— Lukratywną?! —

— Chciałbym pani zaofiarować placówkę naukową w naszym Ośrodku.

— Mnie? Naukową? — ciotka Dora oniemiała z wrażenia.

— Pani biegłość w farmacji, pani szeroka znajomość medykamentów, no i cenne cechy osobiste predestynują panią na to stanowisko.

— A co miałabym robić?

— Prowadzimy różne eksperymenty naukowe, także z lekami. Chciałbym, by pani zajęła się aplikowaniem leków naszym pacjentom, także tym opornym, pani ma takie zdolności przekonywania. . .

Na bladej twarzy Dory pojawiły się wypieki.

— Czy miałabym do dyspozycji te wszystkie leki? — rozejrzała się łakomie po magazynie.

— Te i wszystkie inne — odparł z diabolicznym uśmiechem doktor Kadryll. — Także te nie sprawdzone jeszcze i nie dopuszczone do praktyki. . . Pani wypróbowałaby, że tak powiem, pioniersko ich działanie. Co pani na to?

— Och, to byłoby wspaniale, wszystkie leki, nawet nie dopuszczone, i oporni pacjenci — wykrzyknęła zachwycona Dora. — Być pionierem na nieprzetartych szlakach farmacji. . .

— Wiedziałem, że przyjmie pani moją propozycję. Zaczęłyby pani od zaraz... Proszę za mną... pani pozwoli, że będę prowadził...

— No... tak... ale... ale mój mąż — zreflektowała się Dora.

— Zadzwoń pani stąd, że musiała pani wyjechać na parę dni z ramienia Towarzystwa. Mąż to zrozumie, uspokoi się. Będzie pani z nim w stałym telefonicznym kontakcie. A teraz proszę do mojego gabinetu. Otworzymy butelkę szampana z racji pani szczęśliwego ocalenia i pomyślnego wyjścia z kufra! — powiedział Kadryll. — Niechże się pani rozluźni. Jest pani w bezpiecznym azylu. Macki Alberta Flasz tu pani nie dosięgną, choć narobią dziś dużo zamieszania w Warszawie.

* * *

Istotnie, od kilku godzin ludzie Flasz przetrząsali miasto, ale nie ciotka Dora była oczywiście przedmiotem tych wyteżonych gorączkowych poszukiwań, i to bynajmniej nie ona zaprzętała głowę szefa największego syndykatu przestępczego stolicy.

Siedział właśnie w swym biurze na piątym piętrze odrapanej kamienicy na rogu ulicy Żłotej i Cynkowej, a jego nalana, zwykle blada twarz przybrała barwę buraczkową, znak silnego stresu i zdenerwowania.

Przed nim wsparty na inwalidzkiej kuli z nogą w gipsie i z obwiązaną szczęką stał Chlebuś Tadeusz, jednooki płatny zabójca zwany Ślepym Tadzkiem, podtrzymywał go kolega Antoni Turpis, agent do specjalnych zleceń, z ręką na temblaku i z usztywnioną szyją w wysokim kołnierzu ortopedycznym, co nadawało mu wygląd dumny, aczkolwiek w rzeczywistości nie miał powodów do dumy.

— Niedojdy i łamagi! — krzychał Albert Flasz. — Zdejmuję was z funkcji! Będziecie zdegradowani. Mieć w łapach szyfr i pozwolić go sobie wydrzeć! A przy tym dać się tak sponiewierać! I to przez kogo? Przez jakiegoś amatora, przybłędę i kurdupla!

— Za pozwoleniem, szefie — zasapał Turpis — ten łobuz, Mustafon Idiosynkrazy, to nie amator! Przyczaił się. Nie znaliśmy typu. Nowy człowiek w branży. Zgrywał się, na wariata i półgłupka. Skąd mogliśmy wiedzieć, że to cwany profesjonalista? Miał perfektnie opanowane chwyt! Zaskoczył nas. O mało mi nie ukrecił karku!

— Ciamajdy! Łachmyty! Nieuki! Obiboki! — sapał Flasz. — Mielście się podciągnąć w kulturze fizycznej, zdechlaki! Opłaciłem wam kurs walk daleko-wschodnich. Kazałem opanować kung-fu i karate!

— Trenowaliśmy do siódmych potów — wyseplenił Ślepy Tadzio — ale on znał chwyt osobliwy.

— Nie uczyli nas takiego chwytu — wycodził zimno Turpis. — To był chwyt nie do obrony, Tadzio panu pokaże. Pokaż szefowi, Tadzio.

Ślepy Tadzio zaczął wolno zakasywać rękawy.

— Nie trzeba — przestraszył się Albert Flasz. — Co chcesz zrobić? Rączki przy sobie! Stać! Ani kroku!

— Proszę się nie bać, to bardzo ciekawy chwyt — w oczach Turpisa pojawił się okrutny błysk. — Pokaż szefowi, Tadzio.

Ślepy Tadzio kuśtykając ruszył do Flasz z niedwuznacznym zamiarem wypróbowania na nim chwytu, ale w tym momencie rozwarły się z trzaskiem dwie szafy po dwu stronach gabinetu i wyskoczyło z nich dwu przybocznych szefowych goryli w panterkach i pełnym rynsztunku. Byli to bracia Kerrman — dwumetrowi olbrzymi. Ostrożny i przebiegły Flasz chował ich w gabinecie dla osobistej ochrony. Turpis i Ślepy Tadzio przerażeni cofnęli się pod ścianę z podniesionymi rękami.

— My tylko tak... na niby — Turpis próbował tłumaczyć bełkotliwie — nie mieliśmy złych zamiarów.

— Sprzątnąć ich szefie? — zapytał starszy z braci Kerrman.

— Zaraz... zaczekajcie chwilę — powstrzymał ich Albert Flasz, bo na biurku zapiszczał radiotelefon.

— Dobra wiadomość, szefie — rozległ się chropowaty głos dyżurnego fagasa — udało się... jest w naszych rękach!

— Kto? Mustafon? — ożywił się Flasz.

— Nie. Szyfr „Phoeniksa”, szefie. Właśnie przyjąłem meldunek od numeru dwadzieścia jeden. Zakończył pomyślnie akcję już dwie godziny temu, ale miał na ogonie tę szuję, Chryzostoma Cherlawego. Musiał kluczyć, mylić tropy... Chce panu oddać szyfr osobiście. Nikomu nie dowierza, czy go wpuścić?

— Niech wejdzie — powiedział Flasz.

Minutę później poprawiając włosy i wielkie kolczyki stanęła przed szefem agentka numer dwadzieścia jeden z nieprzyjemnym uśmiechem na swej brzydkiej twarzy i z małą czarną teczką-aktówką w ręku. Bez słowa otworzyła ją i wysypała z niej na biurko przed Flaszem kupę śmieci: stare paragony, okruchy pieczywa, skasowane bilety tramwajowe i jakieś paprochy.

— Co to, co robisz, dziewczyno! Oszalałaś?

— Tam musi być szyfr. Mój odkurzacz przebadał wszystko, nie wymknął mu się ani jeden włos... — zasyczała.

— Ja tu nie widzę nic ciekawego! — warknął Flasz. Turpis, przypomnij jej, co to miało być.

— To miała być zielona koperta, w kopercie mała karteczka, a na niej dużo cyferek — wymamlał Turpis poprawiając szyję w kołnierzu.

— I ty też jesteś pewien, że tak to miało wyglądać? Kartka w kopercie? — zapytał Ślepego Tadzia.

— Obowiązkowo, szefie — jęknął Tadzio Chlebuś. — Kartka z cyframi w zielonej kopercie.

— Co z nią zrobiłaś?! — Flasz fuknęła na agentkę. — Przywłaszczyłaś sobie? Schowałaś? Przyznaj się! — patrzył na nią podejrzliwie.

— Jak Boga kocham, nie było żadnej karteczki — zaskrzeczała wzburzona agentka — tylko te stare bilety i paragony.

— Może Mustafon zatrzymał sobie — bąknął Ślepy Tadzio.

— Po co miałyby to robić? Był ścigany, bał się mieć szyfr przy sobie — zauważył Turpis i, by podkreślić swoje wątpliwości, chciał pokręcić głową, ale znów zapomniał o kołnierzu. Jęknął boleśnie i złapał się za szyję. — To pewnie ten szczeniak Piegus gdzieś schował. . .

— Odkurzałam. . . sprawdziłam aparatem całe mieszkanie, nic nie było — syczała agentka. — Niccc, zupełnie niccc!

— Ci smarkacze mają takie schowki, że najlepszy aparat nie odkryje! — zauważył Ślepy Tadzio. — Piegus mógł zamknąć szyfr w sekretnej szufladzie, albo wepchnąć w mysią dziurę.

— No, to będzie nam musiał powiedzieć, co z tym zrobił — powiedział Flasz. — Dobierzemy się energicznie do niego. To nie powinien być problem. . . Bardziej niepokoi mnie sprawa drugiego elementu szyfru. Co z kasetą, którą odebrał wam ten baran karakułowy, Mustafon?

— Gargamel się nią zajął — mruknął niechętnie Turpis. — Byliśmy w kontakcie telefonicznym.

— Nie używaj tego przezwiska, to ośmiesza Gienia Kotowskiego i nas wszystkich — rozgniewał się Flasz.

— Tak jest! Przepraszam, szefie.

— Czemu się spóźnia z meldunkiem?

— Ostatnio dzwonił, że wyłoniły się trudności.

— Według mnie on nie odzyska już tego nagrania — wtrącił Ślepy Tadzio. — Spryciarze dobrze je ukryli.

Flasz zmełł w ustach grube przekleństwo. W oczach zapaliły mu się złe ogniki. Świdrował nimi przez chwilę Turpisa i Chlebusia.

— No, cóż — wycedził zimno. — W takim razie zamiast taśmy wy będziecie śpiewać.

— Śpiewać? Jak to szefie? — przestraszył się Chlebuś.

— Zapamiętałeś przecież, do cioty nędzy, co tam było nagrane.

— Łyso mi, ale nie mam smykałki do śpiewu — wyznał Chlebuś.

— Ani ja — powiedział Turpis.

— Zaśpiewacie, jak umiecie — mruknął Flasz.

— Nic z tego nie wyjdzie, bo sfałszuję — jęknął Tadzio. — Uciekałem z lekcji wychowania muzycznego, nie znam się na muzyce, bardzo tego żałuję. . .

— Ale przecież grasz na mandolinie — zauważył zdenerwowany Flasz. — Sam widziałem.

— Tylko jeden kawałek, jak sobie golnę kielicha — bąknął zażenowany opryszek.

— Nieuki, lenie, wymóżdżone główki! — wybuchnął Flasz. — Na niczym się nie znacie! Żadnego z was pożytku! Za jakie grzechy ja się z wami męczę?! Zejdźcie mi z oczu! Nie chcę dłużej oglądać waszych głupich mord! Degraduję was i przenoszę do służby podziemnej, wasze miejsce w piwnicach. Będziecie kisić kapustę! Zabrać ich! Do kapusty!

— Mnie do kapusty? — oburzył się Ślepy Tadzio. — Z moimi talentami? Byłem badany przez psychologa. Powiedział, że jestem stworzony do wyższych rzeczy, tylko muszę rozwinąć skrzydła. W piwnicy nie rozwinę skrzydeł, zmarnuję się!

— Nietoperze rozwijają. Wyobraź sobie, że jesteś nietoperzem — wycedził Flasz z okrutnym uśmiechem.

— Ależ, szefie... Litości! Mam reumatyzm, powiększone migdałki, skrofuty!...

— Pół roku służby piwnicznej dobrze ci zrobi — zarechotał Flasz. Natychmiast zainstalujesz się na dole, a ty razem z nim — wskazał palcem na struchlałego Turpisa. — Dwanaście godzin pracy i ćwierć dotychczasowego żołądu. . .

— Jak to, szefie, za moją długą służbę?! Nie, szef chyba żartuje! Ja mam żonę, pięcioro niedożywionych dzieci w wieku szkolnym... Błagam... — zapłakał Turpis.

— Po co masz tyle bachorów? Żeby mnożyć na świecie takich półgłówków jak ty? — sapał Flasz.

— To miłe, niewinne bobasy — jęczał Turpis — o, biedne dziatki moje, co ja wam włożę do gąbek?

— Nie jęcz, będzie ci przysługiwał witaminowy deputat piwniczny, masz zapewniony przydział kapusty — powiedział Flasz — wszystkie twoje półgłówki dostaną jej każdy po pół główki! Ha, ha! Pół główki dostaną półgłówki! — powtarzał ucieszony własnym kalamburem, a jego szydery śmiech niósł się po całym piętrze. Flasz bawił się w ten sposób jeszcze pół minuty, po czym zasepił się na nowo i warknął do goryli: — Zabrać mi stąd tych trutki! Do lochów z nimi! Na samo dno!

Goryle rzucili się na zdegradowanych agentów i mimo iż nieszczęśnicy zapieRALI się nogami, powlekli ich na dół do piwnic ziejących odorem gnijącej kapusty.

— Ty też się wynoś, kobieto — krzyknął Flasz do wystraszonej agentki stojącej pokornie w kącie.

— A moja premia? — zaskrzeczała żałośnie — pan prezes obiecał mi premię!

— Nie bądź beczelna! Nic ci się nie należy, bo spaprałaś robotę. Miałem dostać od ciebie ważny element szyfru, a ty co mi przyniosłaś? Zabieraj te śmieci i zejdź mi z oczu! Wszyscy jesteście diabła warci! No, dalej, już cię nie ma? Czy mam wezwać goryli?

Rozżalona niesprawiedliwością szefa agentka wybiegła z gabinetu. Na ulicy przed bramą zatrzymali ją Chryzostom Cherlawy i Teofil Bosmann.

— Cześć, Małgosiu, jak ci poszło u szefa? — zagaił Cherlawy. — Zafasowałaś premię?

— Łobuzzzz! — zasyczała agentka. — Powiedział, że przyniossłam śmieci.

— Przestań syczeć, moja piękna i posłuchaj: kupimy od ciebie te śmieci.

— Dam wam za darmo, gratissss... jeśli... odpalicie mi dziesięć procent łupu. Nie jestem taka głupia, jak myślicie. Wiem, że na własną rękę kombinujecie skok na Wielki Ssejff, a w tych śmieciach na pewno jest ukryty ssskładnik szyfru. Mój odkurzacz wie, co robi... Nie zawiódł mnie jeszcze nigdy.

— Mądra jesteś, siostró Tubij. Chodź, pójdziemy na spacer, rzecz trzeba obgadać detalicznie, osmotycznie i, że tak powiem, kieszonkowo — rzekł Cherlawy. — Rusz się Teoś! — szturchnął ospałego Bosmanna.

Wzięli Małgorzatę Tubij pod rękę i ruszyli w stronę najbliższego baru.

* * *

Albert Flasz uruchomił radiotelefon i połączył się z grupą operacyjną „Ruatonimu”.

— Mówi Albert... mówi Albert... Fastryga zgłoś się! Over!

Aparat zachrobotał:

— Zgłasza się Fastryga. Słucham, szefie.

— Pilne zadanie: zdjąć zaraz Marka Piegusa i dać go tutaj jak najprędzej!

Fastrydze zadanie najwyraźniej nie przypadło do gustu.

— Już późno, szefie — chrząknął — pewnie śpią. Narobi się szumu i hałasu. Może załatwimy smarkacza jutro?

— Odkąd jesteś taki delikatny — zaszydził Flasz.

— Nie ucieknie nam, mieszkanie Piegusów jest pod obserwacją — pełny podsłuch i podgląd, a moi ludzie są zmęczeni — oznajmił Fastryga — trzynaście godzin na służbie i dziesięć uganiania się za Mustafonem.

— Odkąd to pracujemy na godziny? — zagrzmiał zirytowany Flasz. — A może wysiadają ci nerwy i chciałbyś przejść na ciepłą posadkę do budżetówki? Droga wolna. Gienio Kotowski i Bosmann czekają już na miejsce po tobie.

— Długo jeszcze poczekają — wysapał ze złością Fastryga — szef będzie spokojny, wykonam zadanie ściśle według rozkazu! — w komendancie „Ruatonimu” obudził się stary służbista.

— No, to jazda! — mruknął Flasz — wiesz, co masz robić, zastosuj normalny schemat.

— Normalny schemat tu nic nie da. Mam meldunek, że w grę włączył się ten stary piernik Kwass.

- Załatw go!
- Tak jest, szefie! A co z Mustafonem? Odwołać akcję?
- W żadnym wypadku. Chcę go mieć żywcem, jak najprędzej.
- Ale przecież Piegus. . . Mam się rozdzielić?
- Rozdwoj się, a wykonaj! Chcę ich mieć obu jeszcze tej nocy. Wyciągniesz szczeniaka z łóżka i przyprowadzisz za ucho, a Ujgura przywleczesz za bródkę. Rozumiemy się?
- Tak jest, szefie!
- Wykonać! — Albert Flasz zakończył rozmowę.

ROZDZIAŁ VI

ALBERT FLASZ MA KŁOPOTY • KOMPROMITACJA LALA
I GARGAMELA • JAK STRYJ DIONIZY WSTĄPIŁ DO GANGU

Pani Piegusowa wróciła na balkon z trzema szklankami herbaty na tacy i oznajmiła zakłopotana:

— Naleśniki się spaliły. Obawiam się, że nie będzie kolacji i proponuję po szklance herbaty. To wszystko z tych nerwów. Ciagle myślę o cioci Dorze i stryju Dionizym, o tych tajemniczych zniknięciach w naszej rodzinie. Czy ma pan już jakąś hipotezę? Tak się denerwuję, a przecież jestem po odnowie i nie wolno mi się denerwować. Boję się, żeby nie nastąpiły dalsze uprowadzenia. Lękam się zwłaszcza o Marka. On ma takiego pecha. Panie Hippollicie.

— Odwagi, droga pani, i proszę nie wierzyć w pecha. To nie pech, to źli ludzie i nasze własne wady, słabostki, lenistwo i lekkomyślność. A co do szanownej cioci i szanownego stryja mam już hipotezy, niestety niewesołe.

— O, Boże, jakie?

— Nad tą rodziną kłębią się czarne chmury — Kwass urwał zakłopotany.

— Niech pan mówi!

— Zaraz powiem, tylko proszę się nie denerwować. Obawiam się, że pani Dora jest w rękach profesjonalnych przestępców.

— Czy... czy bardzo niebezpiecznych?

— Prawdopodobnie jest w rękach doktora Kadrylla i Wieńczysława Nieszczęgólnego.

— Matko Najświętsza! — przestraszyła się pani Piegusowa — słyszałam, to podstępni, wyrafinowani złoczyńcy!

— W rzeczy samej — przytaknął Kwass. — Powiem coś, co panią zaskoczy. Ona tu była.

— Tu?!

— Powiem więcej. Zapewne wyda się to pani osobliwe, ale została stąd wyniesiona w kufrze.

— W kufrze?!

— W dodatku był to kufer stryja Dionizego.

Pani Piegusowa spojrzała na detektywa z niedowierzaniem.

— Nie rozumiem. . . na jakiej podstawie opowiada pan takie rzeczy. . . to jakaś niesłychana hipoteza!

— Nie czas na wyjaśnienia, droga pani, szczegóły potem. Proszę mi zaufać. Wiem, co mówię.

— To straszne — przeraziła się Piegusowa — jeśli to naprawdę Kadryll i Nieszczególny. . .

— Naprawdę, ale nie popadajmy w rozpacz. Życie pani Dory w żadnym wypadku nie jest zagrożone, mogę panią zapewnić! Nieszczególny i Kadryll to groźni przestępcy, ale cokolwiek złego można by o nich powiedzieć, nie są mordercami. To, że się tak wyrażę, przestępcy z klasą, nader kulturalni. Chciałoby się rzec, że szanowna ciocia jest w dobrych rękach.

— W dobrych rękach?! Co też pan!

— Rzecz jest tylko o tyle dla mnie dziwna, że ci panowie nie parali się kidnaperstwem. Co ich do tego skłoniło? Dowiemy się zapewne niedługo, gdy odezwą się i przedstawią swoje żądania. Jedno mogę wykluczyć już teraz: nie ma to nic wspólnego z działalnością pani Dory na polu kultury moralnej, gdyż, jak mi wiadomo, obaj porywacze hojnie wspierają tego rodzaju działalność, równie hojnie jak ostentacyjnie i znajdują się na liście jej stołecznych sponsorów. Również pewne niezrozumiałe i raczej niepokojące elementy widzę w sprawie pana Dionizego Kiwajłły. Należy przypuszczać, że został on omyłkowo wzięty za doktora Bogumiła Kadrylla przez niedouczonego detektywów „Minotaura” i uprowadzony przez żalosne nieporozumienie, lecz powstaje pytanie, czemu nie został uwolniony po stwierdzeniu pomyłki, co niewątpliwie musiało nastąpić bardzo szybko. Czyżby porywacze chcieli stawiać jakieś finansowe warunki? Tak, to jest raczej złowróżbne. . . Lecz nie traćmy czasu na jałowe deliberacje i domysły, droga pani. Lada moment przestępcy nawiążą z nami kontakt i podadzą swoje warunki, tak zwykle robią kidnaperzy, musimy więc być gotowi do pertraktacji. Ciekawe, jak wysoko wycenia panią Dorę. Ostatnio za osobę o parametrach szanownej cioci państwa zażądano pół miliarda. . . starych złotych.

— Mój Boże, pół miliarda?! — wykrzyknęła pani Piegusowa. — Obawiam się, że biedna Dora nie będzie mogła być wykupiona. Nikt z naszej rodziny nie dysponuje taką kwotą.

— To rzeczywiście smutne — westchnął detektyw. — Żał mi pani Dory. Cała nadzieja, że uda nam się wymyślić jakiś inny sposób na wyrwanie jej z rąk przestępców. W każdym razie, gdyby dzwonił, musi pani zachować zimną krew, pokerową twarz, żadnych nerwów, żadnych objawów słabości, będziemy grać na zwłokę. Jeszcze jedno — detektyw chrząknął zakłopotany — doprawdy nie wiem, jak to pani powiedzieć, właściwie to powinienem poinformować panią o tym od razu na początku, ale bałem się, że pani się zdenerwuje, pani jest świeżo po odnowie. . .

— O, Boże, niech pan mówi, dopiero teraz pan mnie przestraszył na dobre! — wykrztusiła pani Piegusowa.

— Tylko błagam, proszę zachować spokój — detektyw otarł chusteczką łysinę — sprawa jest niesłychanie poważna. I, co gorsza, dotyczy nie tylko pani Dory i pana Dionizego lecz także pani synka — Marka. Powiedziałbym nawet, że jego przede wszystkim. . .

— Marka? Tego się właśnie obawiałam! A więc przecucia mnie nie myliły! — pani Piegusowa złapała się za serce. — Co tu się właściwie dzieje. . . co pan ukrywa przede mną?!

Lecz nim detektyw zdążył odpowiedzieć zadzwonił telefon. Pani Piegusowa spojrzała pytająco na Kwassa.

— To oni — powiedział detektyw. — Niech pani odbierze.

Matka Marka nerwowo chwyciła słuchawkę.

— Tak. . . Piegusowa przy telefonie, a kto mówi? . . . Inspektor „Ru. . . Ruatonimu”? . . . Nie, nie znam, a o co chodzi? . . . To niemożliwe! . . . Tak, jestem jego matką. . . Nie, nic nie mówił. . . Ukradł i uciekł?! Nie chce mi się wierzyć, żeby mój syn. . . Co? Co takiego?! Z kim?! . . . Z Mustafonem Idio. . . Idiosynkrazym?! . . . Pierwszy raz słyszę. . . Niebezpieczny piroman-morderca i. . . i Marek z nim?! To przerażające! . . . Oczywiście przypilnuję, żeby zwrócił. . . Tak, zapamiętam, kasetka magnetofonowa. . . Dopilnuję osobiście, przyprowdzę. . . tylko proszę nie zgłaszać na policji. . . Zapamiętam, ulica Żłota róg Cynkowej jutro o ósmej rano. . . — matka Marka wzburzona rzuciła słuchawkę. — Niesłychane! Czego ja się dowiaduję! — wsiadła na Marka. — Ukraść nagranie panu dyrygentowi z „Ruatonimu”?! To już przechodzi pojęcie. Co ci wpadło do głowy!

— To nieprawda! — krzyknął Marek. — Jakiemu dyrygentowi?! Nikomu nic nie ukradłem. . .

— I jakieś konszachty z kryminalistami. . . z tym strasznym Mustafonem. . .

— Mustafon nie jest kryminalistą — rzekł stropiony Marek.

— A najgorsze, że mnie okłamałeś. Przyrzekłeś nie ruszać się z domu, a ty zaraz czmychnąłeś, pakujesz się w skandaliczne afery i mówisz, że nic się nie stało, ukrywasz wszystko przed twoją biedną matką — pani Piegusowej łzy stały w oczach. — No nie patrz tak głupio, może zechcesz łaskawie wytłumaczyć, tylko bez kręcenia, szczerze. . .

Marek spojrział na Kwassa z nieszczęśliwą miną. Detektyw odchrząknął i wyreczył go w odpowiedzi.

— Droga pani, Marek to wrażliwy, delikatny chłopiec. Niechże pani go zrozumie! Wróciła pani do domu odnowiona, wesoła, promienna, beztroska. Nie chciał pani denerwować, i dlatego zachował pewne. . . hm. . . wydarzenia w tajemnicy. Wyłącznie w trosce o pani zdrowie.

— Jest pan pewien? — matka Marka otarła oczy.

— Tak, to dobry chłopiec, lecz niestety, życie nie szczędzi mu przykrych kawałów... Dzisiaj też okoliczności nieszczęśliwie sprzysięgły się przeciw niemu i niebagatelny problem zwałił się na jego głowę, lecz nie chcąc pani martwić, postanowił sam się z nim uporać. Zechce pani posłuchać, co mu się dziś przytrafiło — detektyw Kwass oględnie w nader dyplomatyczny sposób streścił osobliwe przygody Marka.

— Okropny, nieznośny chłopak — załamała ręce Piegusowa. — W co on się znowu wplątał!

— Niestety, droga pani — rzekł zaszępiiony detektyw — najgorsze dopiero przed nami. Markowi grozi poważne niebezpieczeństwo. Druga część szyfru w postaci nagrania muzycznego została lekkomyślnie zniszczona i w tej sytuacji złoczyńcy zdecydują się niewątpliwie na specjalny krok.

— Specjalny krok? Co to znaczy?

— To znaczy, że mogą dobrać się do Marka i zmusić do wydania szyfru... hm... melodycznego.

— Przecież Marek go nie ma, sam pan powiedział, że został zniszczony.

— Ale oni mogą sądzić, że Marek zapamiętał melodię.

— Zapamiętałś? — matka zapytała Marka.

Marek potrząsnął przecząco głową.

— No właśnie — westchnął Kwass. — On nie pamięta i to jeszcze bardziej komplikuje sprawę, bo ci złoczyńcy w to nie uwierzą i...

— Będą go dręczyć?

— Otóż to!

— Synku, przypomnij sobie... — poprosiła zdenerwowana matka.

— Niestety, droga pani, nawet gdyby sobie przypomniął nie zapewniłoby mu to bezpieczeństwa — powiedział Kwass. — Jako nosiciel tajemnicy szyfru i niewygodny świadek...

— Zostałbym zlikwidowany, mamu — powiedział Marek.

— Zlikwidowany? — matka zamrugnęła oczyma.

— To znaczy zakatrupiony, rozumie mama.

— A w najlepszym razie pozbawiony pamięci — dodał Kwass — podejrzewa się, że Albert Fłasz dokonuje takich operacji w swojej prywatnej klinice. Na kłopotliwych świadkach.

— O, Boże, to co mamy robić? — wykrztusiła przerażona matka. — Jak uratować Marka? Czy ma pan jakiś pomysł?

— Myślę, że Marek powinien zniknąć — rzekł detektyw Kwass.

— Zniknąć?!

— Na jakiś czas powinniśmy go, że tak powiem, schować w bezpiecznym miejscu, póki gang nie zostanie rozbity...

— Ale gdzie schować? Czy zna pan takie miejsce?

— Owszem, ale nie powiem. Tu ściany mają uszy. — Kwass ściszył głos. — Niech pani go spakuje, najpotrzebniejsze rzeczy — szepnął konspiracyjnie.

— Nie ma pośpiechu — odparła matka — umówiłam się z nimi na ósmą rano. Do tego czasu nic nam chyba nie grozi.

— Myli się pani. Oni chcieli tylko usnąć pani czujność, ale nie będą czekać do rana. Jestem pewien, że już tu jadą. Musimy się śpieszyć! Każda chwila droga!

Pani Piegusowa przerażona rzuciła się do pakowania.

* * *

Do gabinetu Alberta Flasz wsunęła się bezszelestnie sekretarka Maryla z filiżanką dymiącej kawy. Za wielkimi okrągłymi okularami oczy kleiły się jej od senności.

— Kawa, szefie — ziewnęła.

— Połóż i zmiataj!

— Już dziesiąta, szefie — ziewnęła ostentacyjnie po raz drugi — dzwoniła pana małżonka... ale miałam nie łączyć.

— Zadzwoń, że nie wiem, kiedy wrócę i niech nie czekają z kolacją. Muszę dokończyć ważną operację... Ty już nie będziesz mi potrzebna, możesz pójść lulu.

— Dobranoc, szefie.

Gdy sekretarka wyszła, Flasz otworzył szafkę w kącie i wydobyl z niej litrową butlę dalmatyńskiej śliwowicy. Przez chwilę walczył z sobą, myśląc posępnie o swojej chorej wątrobie i o ostrzeżeniach lekarzy, ale nałóg zwyciężył; co więcej, zamiast skromnego kieliszka nalał sobie od razu solidne pół szklanki i wychylił dwoma potężnymi haustami, co świadczyło, że jest bardzo zdenerwowany. I trzeba przyznać, i że miał swoje powody. Z głębokim niepokojem i z troską zapatrzył się w majaczący za oknem szkielec dwudziestopiętrowego biurowca, który od kilku miesięcy spędzał mu sen z powiek. W niedalekiej przyszłości gmach ten miał pomieścić wszystkie agendy rozrastającej się firmy. Świeżo przedziergnięty w poważnego biznesmena były szef groźnego gangu widział już oczyma wyobraźni na monumentalnym portalu z granitu albo z różowego marmuru (nie zdecydował jeszcze) złote litery napisu: ALBERT FLASH ENTERPRISES. Ale czy dojdzie do szczęśliwego finału? Ostatnio budowa ślimaczyła się haniebnie, groziło jej przerwanie, a nawet ogłoszenie upadłości firmy. Albert Flasz zadumał się przygnębiony. Może poniosła go pycha, może nie powinien porywać się na tak wielką inwestycję?! Ale, u licha, dwa lata temu nic nie wskazywało, że znajdzie się wkrótce w finansowych opałach. Po opuszczeniu katakumb przedsiębiorstwo rozrastało się szybko jak hydra. Kredyty uzyskać można było łatwo, zbyt łatwo. Firma wpadła w pułapkę kredytową i to właśnie było jedną z przyczyn jej

obecnych trudności. Nadszedł czas spłaty pożyczek i narosłych procentów, Flasz planował, że będzie je spłacać z bieżących zysków, lecz zawiodły źródła dochodów, na które liczył. Dławiła go konkurencja, obcy kapitał wypierał go z rynku, a najgorsze, że przed rokiem przegrał walkę z „Phoeniksem” o pranie brudnych pieniędzy. Pamiętano mu jego przeszłość, klienci nie mieli zaufania, woleli prac forszę w prężnych, świetnie zorganizowanych i dobrze krytych przedsięwzięciach doktora Kadrylla i Wieńczysława Nieszczególnego.

Albert Flasz nalał sobie drugie pół szklanki i poczuł przyływ energii. Nie podda się łatwo! Jeszcze nie wszystko stracone. Ma przecież opracowany plan awaryjny, a nawet dwa plany. Z początku myślał o przekształceniu firmy w spółkę. Chciał zdobyć niezbędny kapitał sprzedając na giełdzie część akcji i zachowując dla siebie tylko pakiet kontrolny, lecz po analizie rynku i zachowań inwestorów zwątpił, by akcje uzyskały odpowiednią cenę i by można było tą drogą uratować firmę. Pozostał drugi plan, do którego ciągnęła go cała zbrodnicza przeszłość: zdobyć pieniądze w prosty a niezawodny, złodziejski sposób. Obrobić tajny wielki sejf „Phoeniksa”, zawładnąć czekającą tam na pranie walutą, której wartość w dewizach i złotówkach obliczano na co najmniej dwieście milionów dolarów. Ukraść to wszystko i wyprać na własną rękę. Rzecz była świetnie zaplanowana i bliska urzeczywistnienia. Udało się wetknąć do „Phoeniksa” i zatrudnić tam na ważnych stanowiskach dwu agentów, Antoniego Turpisa i Tadeusza Chlebusia, zwanego Ślepym Tadzim. Wczoraj, późnym wieczorem szyfr do sejfu znalazł się w ich rękach, lecz nagle i niespodziewanie w akcję wmieszał się nieprzewidziany czynnik: Mustafon Idiosynkrazy i pokrzyżował plany. . .

Czyhał na agentów jak pajak na muchy. Zaatakował zniecka i odebrał im łup zanim ochroniarze Gienia Kotowskiego zdążyli rozpiąć nad nimi parasol ochrony. Spóźniony pościg za łobuzem połączonych grup operacyjnych „Minotaura” i „Ruatonimu” nie dał jak dotąd spodziewanego rezultatu.

Pisk radiotelefonu wyrwał Flasz z tych denerwujących rozmyślań. Mówił Kotowski z „Minotaura”, zwany Gargamelem.

— Podam najnowsze wiadomości z akcji, szefie. Jedna bardzo dobra, druga. . . hm. . . taka sobie. Zacznę od tej drugiej. Przeniknęliśmy łatwo do Piegusów. . . — zaczął Gargamel i utknął.

— No i co? Macie puzdro? — niecierpliwił się Flasz.

Gargamel chrząknął zakłopotany.

— Macie, czy nie macie, do cholery?! — krzyknął Flasz.

— Mamy puzdro, ale bez elementów szyfru — oznajmił ponuro Gargamel — znaleźliśmy w nim tylko mleczko kosmetyczne, dezodorant i krem nivea.

— Przeklęty baran ujgurski! — zaklął Flasz. — Żeby go diabeł smarował!

— Przepraszam, zapomniałem. Był tam jeszcze pilot. . . taki jak do telewizora.

— Bezużyteczny, skoro nie znamy szyfru — mruknął Flasz.

— No, właśnie... — jęknął Gargamel. — Ale na pocieszenie, szefie, inna, tym razem znakomita wiadomość! Mamy go, bisurmana!

Albert Flasz zerwał się na nogi.

— Macie Mustafona?!

— Mamy doktora Bogumiła Kadrylla — sapał podniecony Gargamel.

— Kadrylla? Dobrze i to! — Flasz aż zatkało. — Jakim, u diabła, sposobem?

— Szczęśliwy traf, szefie, nakryliśmy go przypadkowo przy robocie u Piegusów. Udawał kolekcjonera zainteresowanego jakimś cholernym antykiem. Lal rozpoznał go od razu i zdjeliśmy typa. Bylibyśmy tu z nim już dwie godziny wcześniej, ale bisurman zorientował się, że nie wieziemy go na policję i że został uprowadzony. Wpadł w szal i zaczął rozrabiać. Zaskoczył nas niesamowitą, atletyczną kondycją.

— On?! Kadryll? — zdumiał się Flasz.

— Poważnie uszkodził paru naszych ludzi — wybełkotał Gargamel. — Najgorzej samego Lala. Musieliśmy go zawieźć na pogotowie. Ma uraz kręgow łędźwiowych, przez sześć tygodni nie będzie na chodzie... Mnie omal nie skręcił karku. Niech się pan nie przerazi, jak mnie zobaczy, wyglądam dosyć ma... makabrycznie i mam założony na szyję kołnierz ortopedyczny...

— Co?! Jeszcze jeden w kołnierzu?! Co za dzień!

— To nic, szefie — mamlął Gargamel. — Opłaciło się ponieść ofiary. Mamy za to Kadrylla. Już nie jest groźny. Udało nam się w końcu go obalić i związać sznurkami jak baleron. To będzie najdroższy baleron na świecie — Gargamel zaśmiał się nieprzyjemnym, przerywanym, podobnym do czkawki śmiechem. — Można będzie zażądać za niego tyle, ile znajduje się w sejfie „Phoeniksa”. Szef przyzna, dobra robota, szefie.

— Tylko bez głupstw! — zagrział Flasz. — Macie z nim obchodzić się ostrożnie jak z jajkiem... Żeby wam nie strzelił jakiś małpi pomysł do głowy!

— Tak jest, spokojna czaszka, szefie — zagegał Gargamel. — Dostarczymy bisurmana bez uszkodzeń w starannym opakowaniu, żeby nadawał się do przesłuchania, ale po przesłuchaniu szef go zarezerwuje dla nas. Zabawimy się z nim za to, co nam zrobił. Już ostrzę sobie na niego ząbki! Pan obieca, szefie.

— Dobra! Dajcie go tutaj! — zadowolony Flasz zatarł ręce.

Chyba szczęście nareszcie uśmiechnęło się do mnie — pomyślał. — Kto by się spodziewał, że nieuchwytny Kadryll wpadnie mu w ręce! Nie, tego nie przewidywał nawet w najśmielszych marzeniach. Teraz będzie można dyktować „Phoeniksowi” warunki!

Pięć minut potem Gienio Kotowski, tłusty zastępca superspeca Eulaliusza Trella, zwany Gargamelem, wsadził do gabinetu głowę usztywnioną wysokim kołnierzem i wysapał:

— Melduję się, zaraz pokażemy zakładnika, ale to jeszcze potrwa. Stawiał opór w windzie, nie chciał iść, niesiemy go. Czy Lala też przynieść?

— Przynieść?! — Flasz spojrział z obrzydzeniem na pokiereszowaną twarz Gargamela i jego ortopedyczny kołnierz.

— Mówiłem, że doznał ciężkich obrażeń. Może szef skierowałby do niego parę słów pochwały i pociechy. Biedaczysko jest przygnębiony stanem swego zdrowia.

— Nie będę się nad nim rozczulał — mruknął Flasz. — Mógł być bardziej skuteczny. Łajza! Żeby tak się dać zmaltretować! I to mają być ochroniarze! Wstyd! Zupełnie na poziomie tego łamagi Turpisa — Flasz pinił się coraz bardziej. — Dajecie się już schlastać byle komu. Kto to widział, żeby Kadryll, taki zgniłek, taki plumpek i goguś tak was sponiewierał! Po co ja was wydostałem z kicia, po co opłacałem kursy skutecznego prania, te wszystkie kick-boxingi i karate? Po co?!

Niestety Gargamel nie mógł udzielić odpowiedzi na te, jakże uzasadnione, pytania. Niechybnie stałby się ofiarą nowej furii Flaszka, ale na szczęście uwagę szefa zaprzętnął ciężki tupot i rumor na korytarzu.

— Idą! — wymamlał Gargamel. Podbiegł do drzwi i otworzył je na oścież.

Detektywi z „Minotaura” kulejąc i postępując wnieśli na noszach jęczącego Lala. Wszyscy mieli widoczne ślady obrażeń cielesnych, guzy i sińce, tudzież pokrwawione i napuchłe nosy.

Za nimi z oznakami takich samych bolesnych kontuzji czterech spoconych, umęczonych agentów wtaszczyło zakneblowanego i ciasno skrępowanego tęgiego mężczyznę w średnim wieku, odzianego w strój wieczorowy, kiedyś zapewne elegancki i nienaganny, lecz teraz w nader oplakanyim stanie, porozrywany i uszarpany.

Albert Flasz przez dłuższą chwilę patrzył oniemiały na tę żalosalną paradę, potem wzrok jego zatrzymał się na przyniesionym jeńcu.

— Pokażcie go w pozycji pionowej — warknął. — Niech się lepiej przyjrze temu picusiu-galantowi!

Konwojenci postawili jeńca na nogi. Puszczony przez oprawców ruszył drobnymi, z powodu skrępowania nóg, kroczkami w stronę szefa gangu. Z jego zakneblowanych ust wydobywały się niezrozumiałe bełkotliwe dźwięki podobne do gulgotu rozgniewanego indora. Twarz Alberta Flaszka przybrała kolor apoplektyczny.

— Kto to jest?! — ryknął. — Kogoście mi przyprowadzili, kretyni!

— No... Kadrylla, szefie — wyjąkał Gargamel.

— To ma być Kadryll?! Chyba w waszym pijackim widzie, ochlapusy, lby baranie! Widzę, żeście już zdążyli umoczyć gęby!

— Nie Kadryll? — Gargamel podrapał się za uchem. — A kto niby?

— To przecież pan Dionizy Kiwajłło, kretyni! Znany macher od sztuki i spec.

— Ja tam nie wiem. Lal mówił, że to Kadryll, tośmy zdjęli faceta.

— Głupcy, natychmiast rozwiązać tego pana! Taka wsypa haniebna, taka kompromitacja! O, bracie Trelu, odpowiesz mi za to!

Przerażeni agenci rzucili się do rozwiązywania Dionizego, a Flasz własnoręcznie zerwał z ust jego przylepcę i usunął knebel.

— Najmocniej pana przepraszam za tę haniebną pomyłkę — powiedział z zakłopotaniem — to skutek skandalicznej ignorancji, kompletnej degrengolady i karygodnego, że tak powiem bimbalizmu dzisiejszej młodzieży, którą jako, hm... nieuleczalny idealista próbuję przysposobić do szlachetnego zawodu ochroniarza...

— To łobuzeria, to kryminał, to czyste kidnaperstwo! — zagrział Dionizy uwolniony z knebla i więzów. — Zapłacisz mi za to! Kto to widział robić takie rzeczy! To naruszenie praw człowieka!

— Tak jest, niewybaczalne naruszenie! Zupełnie się z panem zgadzam. Ze wstydu zapadam się pod ziemię, wprost nie mam słów... — oznajmił Flasz. — Żeby nie rozpoznać tak znakomitego kolekcjonera i znawcy... żeby pomylić go z kimś tak nędznym jak Bogumił Kadryll, ten doktor od siedmiu boleści, z tą zakąką przestępczego świata... Ale sam pan widzi, z kim ja pracuję! To łby zakute, to tępe mazowieckie ćmoki. Skrępować Dionizego Kiwajłłę! Znievažyc takiego człowieka! Zakneblować takie szlachetne usta! Co za gafa!...

— Ale to pan ich nasłał. To pan zatrudnia tych łotrów, znając ich łotrostwa! — przerwał gniewnie Dionizy i jak rozdrażniony niedźwiedź ruszył do Flasza zaciśkając pięści. — Ja pana za to... ja pana... — ryknął, ale zachrypnął nagle i zaniósł się suchym kaszlem.

— Niech pani nic nie mówi — wybełkotał Flasz. — To skutek knebla! Proszę najpierw przepłukać usta. Mam tu niezłą płukaninę. Odrobina „Dalmatinskie Svietlosti” dobrze panu zrobi — to mówiąc nalał spieszenie i podsunął Dionizemu szklanę trunku.

Na widok pękatej butli śliwowicy gniew Dionizego wyraźnie zelżał. Przepłukawszy gruntownie podniebienie przełknął gładko w dwu łykach całą zawartość szklanicy.

— Bełt niczego sobie — orzekł ocierając usta, ale zaraz przybrał na powrót surową minę. — Mimo to pan mi odpowie... — zagrział podnosząc groźnie palec. — Niech pan sobie przypadkiem nie myśli...

— Nie myślę — zapewnił szybko Flasz i nalał Dionizemu drugą szklanę.

Stryj wychylił ją bez problemu.

— Mimo wszystko, nie puszcę płazem — zamruczał — oszczędzę pana fizycznie — dodał wspaniałomyślnie — ale, jak mi Bóg miły, nie ujdzie panu na sucho! Rozpowiem, opublikuję w prasie, rozgłoszę w telewizji, we wszystkich środkach przekazu! I pan wie, co będzie z panem?

— Wiem — jęknął Flasz — będę skończony, ośmieszony w oczach elit, skompromitowany! Ja drobna płotka, biedny raczkujący przedsiębiorca, walczący o byt

wśród rekinów biznesu będę zgubiony! — załkał głośno i zaczął kraciastą chusteczką ocierać oczy. — Wszystko przez tych cholernych gówniarzy! Cała moja pociecha, że skuł im pan przykładnie facjaty!

— Czyżby? — Dionizy spojrział nieufnie na szlochającego gangstera, podejrzewając nieszczerłość jego skruchy i wychwytyjąc wprawnym uchem efekciarskie, teatralne akcenty w jego mowie.

— Tak jest, brawo dla pana — ciągnął Flasz — dostali dobrą nauczkę, a ja ze swej strony zapewnię panu pełne zadośćuczynienie moralne.

Dionizy skrzywił się.

— I materialne — dodał szybko gangster.

— Materialne? — tym razem Dionizy okazał niejakie zainteresowanie.

— Oczywiście — ciągnął gangster — wiem, że człowiek tej klasy co pan stawia wyżej satysfakcję moralną, zatem zaczniemy od niej — to mówiąc obrócił się do stropionych agentów i warknął:

— Co tak stoicie, niedojdy?! Przeprosić mi zaraz tego pana! Po kolei pokornie skomleć o przebaczenie, gnojki! Każdy osobno i grzecznie! No, dalej, dalej! Migiem!

Złoczyńcy spiesznie ustawili się w kolejce, jeden za drugim posłusznie zaczęli podchodzić do zaskoczonego stryja, bełkotliwie wyrażali mu głębokie ubolewanie, tłumaczyli, że nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, zwalali całą odpowiedzialność na swojego przełożonego, mistrza Eulaliusza Trela i błagali o odpuśczenie winy. Niektórzy bardziej gorliwi próbowali przyklekać i całować Dionizego w mankiet, ale zde gustowany kolekcjoner energicznie stawiał ich na nogi.

Na koniec przyniesiono do pokajania się kontuzjowanego Eulaliusza. Skruszony mistrz tłumaczył swój fatalny błąd lukami w wykształceniu humanistycznym i brakiem dostatecznego rozeznania w skomplikowanym świecie kultury i sztuki. Wyjaśniał, że nie czuje się mocny w tej branży, ponieważ jego specjalnością jest elektronika; w zawodzie ochroniarza też dopiero debiutuje. Z twarzą napuchłą i wykrzywioną bólem zapewniał jednakże Dionizego, że w najbliższym czasie uzupełni swoje wykształcenie i, że właśnie w tym celu podjął zaoczne studia uniwersyteckie. Kiedy zaś spostrzegł, iż starszy pan nader nieufnie i chłodno przyjmuje jego usprawiedliwienia, sięgnął po ostatni argument i odwołał się do birbanckiej połowy duszy Dionizego. Wyznał, iż nie mógł w pełni kontrolować swoich czynów, gdyż wraz z całą ekipą padł ofiarą poważnego wypadku przy pracy i uległ ciężkiemu zatruciu wysokoprocentową berbeluchą podczas zakładania alarmu w mieszkaniu niejakich Piegusów. Wypadło to nawet dość przekonująco i zapewne biedak znalazłby zrozumienie u stryja Dionizego, niestety w ostatniej minucie nie wytrzymał napięcia nerwowego, uniósł się jak blade widmo z łoża boleści i pozwolił sobie na niestosowną uwagę:

— Mimo wszystko — zajęczał trzęsąc obandażowaną głową — nie musiał pan mi od razu defasonować twarzy. Niech pan spojrzy, jak wyglądam, a dzisiaj są

urodziny żony i przyjdą do nas goście... Zdumiewa mnie, że człowiek ze świata kultury przejawiał okrucieństwo właściwe ludom z epoki neolitu!

— Należało ci jeszcze ukrećić szyję i przyciąć język, młody człowieku — rzekł zniecierpliwiony Dionizy. — Za dużo papłasz i nudzisz mnie. Zabierzcie go! — rzucił do agentów.

Agenci chwycili za nosze.

— To pan mi nie przebaczy? — zaniepokoił się Lal poprawiając bandażę.

— Spadaj i nie płacz mi się pod nogami! — warknął stryj. — Gdzie tu jest telefon? Muszę zadzwonić i uspokoić moich bliskich...

— Chwileczkę — powstrzymał go Flasz. — Nim pan zadzwoni, chciałbym złożyć panu pewną, hm, propozycję... A wy tu jeszcze czego?! — huknął do agentów. — Już was nie ma! Zejdźcie mi z oczu i zabierzcie z sobą tego połamańca!

Przepędziwszy brutalnie Lala i jego ludzi zwrócił się z powrotem do Dionizego:

— Gdy tylko pana ujrzałem, przyszedł mi do głowy bombowy pomysł. To oczywiście przykre, że musieliśmy się spotkać akurat w takich okolicznościach, niemniej cieszę się...

— Pan się cieszy?! — sapnął wzburzony stryj.

— Cieszę się, że los mi pana zesłał akurat teraz, gdy rozkręcam wielkie artystyczne przedsięwzięcie. Po prostu spadł mi pan z nieba! Sądzę, że moglibyśmy ubić nader korzystny interes!

— Ja z panem?! Interes?! — zjeżył się stryj.

— Nie inaczej. Mamy z sobą przecież wiele wspólnego.

— Pan wybaczy, ale naprawdę nie widzę...

— Zaraz wszystko wyjaśnię. Niechże pan siada — Flasz spuścił oczy i przybrał nabożną minę. — Ja także jestem kolekcjonerem — wyznał — skromnym, początkującym, ale z głębi ducha... Wszystkie moje firmy, drogi panie Dionizy, wszystkie agendy handlowe stworzyłem tylko po to, by sfinansować prawdziwe dzieło mojego życia: świątynię sztuki, współczesny Parnas, wielką galerię Alberta Flasz, i zostawić ją w spadku narodowi, przekazać naszej biednej ojczyźnie...

— Pan?! — zdumiał się Dionizy.

— Posiadam już zaczątek zbiorów... Handlując od lat obrazami wielkich mistrzów zgromadziłem małą kolekcję... Mam ją pod ręką...

— Tutaj? — zainteresował się stryj.

— Piętro niżej. Pokażę panu — rzekł z dziwnym uśmiechem Flasz i poprowadził Dionizego do dużego pokoju obwieszonego obrazami.

— Ciekawe, co pan powie — wbił w gościa badawczy wzrok. — Na tych dwu ścianach mam kilka płócien sjonistów.

— Sjonistów?! — zdumiał się stryj i spojrzał ciekawie — chciał pan zapewne powiedzieć impresjonistów i ekspresjonistów.

— Może być — zgodził się Flasz.

Dionizy wyjął z kieszeni lupę i przez dłuższą chwilę badał fakturę i sygnatury płócien.

— Niezły zestaw — zamruczał — Monet, Sisley, Renoir, Degas, Kandinsky, Kokoschka, a nawet Van Gogh! Byłaby rewelacyjna kolekcja. Szkoda, że to niestety tylko kopie.

— Zgadza się — rzekł bynajmniej nie stropiony Flasz. — To tylko kopie, ale mam też parę cennych oryginałów, trzymam je zamknięte w bezpiecznym sejfie. Z przyjemnością kiedyś pokażę panu, a na razie. . .

— Na razie chciał pan sprawdzić moje kwalifikacje eksperta. . .

— Och, skądże znowu! — Flasz zamachał rękami. — Pana kwalifikacje znam doskonale. Są wysokie. Wiem, że mogę polegać na pańskich opiniach z zamkniętymi oczyma. Stąd moja propozycja, by pan objął stanowisko, że tak powiem najwyższego kapłana w mej świątyni sztuki.

— Kapłana? Nie bardzo rozumiem — stryj zmarszczył brwi.

— Mówiąc innymi słowy, chciałbym, by został pan dyrektorem generalnym mojej Wielkiej Galerii w Izabelinie.

— Przecież jeszcze jej nie ma — zauważył Dionizy.

— Będzie pan ją tworzył — uśmiechnął się Flasz. — Dam panu wszelkie pełnomocnictwa w tym zakresie. A w ogóle, zważywszy pańską prezencję i maniery, chciałbym, aby pan reprezentował moją firmę na zewnątrz.

— Pan mnie zdumiewa — rzekł oszołomiony Dionizy. — Wciąż nie pojmuję czemu akurat ja. . . jest tylu znawców, znakomitych ekspertów, utytułowanych historyków sztuki, profesorów o głębokiej wiedzy.

— Tytuły i wiedza to nie wszystko — odparł Flasz. — Poza wiedzą liczy się jeszcze uczciwość. Kilka razy padłem ofiarą skorumpowanych rzeczoznawców. Tylko do pana mam zaufanie. I gotów jestem wynagrodzić je odpowiednio. Otrzyma pan miesięcznie pięćdziesiąt melonów pensji zasadniczej, prócz tego od dziesięciu do dwudziestu baniek za każdą ekspertyzę i wycenę.

Dionizego zamurowało na moment. Pomyślał o nie zapłaconych rachunkach, o odrapanym, od lat czekającym na remont rodzinnym domu w Borku Fałęckim, o wekslach, których termin upłynął. Pokusa była zbyt silna.

— Jest kwestia odpowiedniego apartamentu w Warszawie — zagaił i odchrząknął z trudem kryjąc podniecenie. — Mam, hm, dość przestronną rezydencję w stołeczno-królewskim mieście Krakowie i przywykłem do pewnego komfortu — oznajmił z godnością.

— Oczywiście. . . oczywiście. . . To żaden problem. Dostanie pan mieszkanie służbowe o wysokim standardzie, a w niedalekiej przyszłości willę z wszelkimi wygodami, ogrodem i basenem. Warunek jeden. Obowiązki podejmie pan od razu.

— Od jutra?

— Od dziś. Od tej chwili. A z uwagi na zaistniałe okoliczności byłoby wskazane, by został pan tu na noc.

— Jakie okoliczności?! — zaniepokoił się Dionizy.

— Mamy podstawy przypuszczać, że od paru dni był pan śledzony przez podejrzanych osobników. Grozi panu poważne niebezpieczeństwo.

— O jakich, u licha, osobnikach pan mówi?!

— O doktorze Kadryllu i Wieńczysławie Nieszczególnym. Są groźniejsi niż kiedykolwiek przedtem, rozzuchwaleni, dysponują olbrzymimi środkami i kadrą wytrawnych fagasów.

Na dźwięk znajomych nazwisk Dionizy zaniemówił. Miał wciąż świeżo w pamięci straszne przygody, w które został wplątany za sprawą Kadrylla i Nieszczęólnego.

— O, Boże — jęknął — czy już nigdy nie uwolnię się od nich?!...

— Przykro mi — mruknął Flasz — ale muszę ostrzec pana. Z nie znanych mi powodów szykują zamach na pańską cenną osobę.

— Z pewnością chodzi im o kufer — rzekł ponuro Dionizy.

— O jaki kufer?

— Zabytkowy kufer dziadka Hieronima. Od dawna ostrzyli sobie na niego zęby. Muszę zaraz zadzwonić — gorączkował się Dionizy. — Czy mogę z tego aparatu?

— Oczywiście — odparł Flasz — tylko proszę nie podawać miejsca, gdzie się pan aktualnie znajduje, żadnych bliższych informacji. Doktor Kadryll podsłuchuje. Ani słowa, kto pana zaangażował. Jesteśmy w stanie wojny z tymi przestępcami. Gdyby się dowiedzieli, że pan dla mnie pracuje, życie pana znalazłoby się w poważnym niebezpieczeństwie.

* * *

Telefon odebrała matka Marka.

— Dionizy, na miłość boską, co się z tobą stało — wykrzyknęła ucieszona — czy to prawda, że zostałeś uprowadzony przez tajnych agentów? — zasypała stryja pytaniami.

— Aresztowano mnie przez omyłkę — uspokoił ją stryj — już wszystko się wyjaśniło i zostałem przeproszony. Jednakże nasi starzy znajomi: Kadryll i Nieszczególny znów przystąpili do ryzykownej gry. Zostanę na noc u przyjaciół i wolę nie podawać adresu. Tak będzie lepiej.

— Dionizy, czy naprawdę wszystko w porządku? — w matce Marka obudził się na nowo niepokój.

— Zupełnie w porządku — odparł wesoło Dionizy — a nawet jeszcze lepiej. Dostałem pracę dyrektora generalnego i eksperta w poważnej firmie, tylko... — Dionizy odchrząknął.

— Tylko co?
— Chodzi o kufer. Boję się o niego. Jeśli pozwolisz, Melu, zaraz wyślę do ciebie moich ludzi, żeby go zabrali.
Pani Piegusowa umilkła zakłopotana.
— Co się stało, Melu? — zapytał Dionizy.
— Nie wiem, jak ci powiedzieć... — wykrztusiła matka Marka. — Mam przykrą wiadomość. Twój kufer zniknął.
— Zniknął?! Chcesz powiedzieć, że...
— Niestety tak. Dwu osobników podających się za pracowników muzeum zabrało go podczas mojej nieobecności, co gorsza z ciotką Dorą w środku...
— Kadryll i Nieszczęśliwy! — zgrzytnął zębami stryj. — Dranie, dopięli w końcu swego?! Ale po jakie licha potrzebna im była Dora?
— No właśnie... Tego nie wie nawet detektyw Kwass. Właśnie tu jest i obiecał zająć się sprawą. Oddaję mu słuchawkę, chce zamienić z tobą parę słów.
— Halo?! Mówi Hippollit Kwass — usłyszał stryj głos detektywa. — Na miłość boską, panie Dionizy, skąd pan dzwoni?!
— Nieważne i nieistotne — odparł stryj. — Istotne jest, że ukradziono mi kufer. Muszę go szybko odzyskać. Zlecam panu tę sprawę. Niech pan zaraz przystąpi do akcji, póki mamy ciepły ślad... Jutro skontaktuję się z panem osobiście, a teraz pan pozwoli, że go pożegnam...
— Zaraz... jeszcze chwilka... niech pan się nie rozłącza! — krzyknął zdenerwowany Kwass.
— Życzę dobrej nocy — mruknął Dionizy.
— Błagam... muszę z panem parę słów... — jęknął Kwass, ale usłyszał tylko stukot odkładanej słuchawki.
— Niech pan się tak nie przejmuj — rzekł Flasz do zasępionego Dionizego. — Nasza agencja „Minotaur” prowadzi między innymi biuro detektywistyczne. Zajmiemy się pana kufrem sprawniej i szybciej od Kwassa. To naprawdę drobiazg, zwłaszcza że chyba znamy nazwiska sprawców...
— Och, dziękuję panu — rozjaśnił się stryj. — Będę niezmiernie zobowiązany.
— Cała przyjemność po mojej stronie. Witamy w firmie, panie Kiwajłło! — oznajmił kordialnie Albert Flasz.

* * *

Ale to nie był dla niego koniec zaskoczeń.
Pięć minut potem zjawił się agent „Ruatonimu” Rudy Feluś i przyprowadził z sobą czarodzieja Radżaputrę z nader nieszczęśliwą miną.
— To fałszywy magik — wyjaśnił. — Znalazłem przy nim czerwoną reklamówkę, taką samą, jaką miał ten smarkacz Piegus, mówi, że jest sztukmistrzem

i nazywa się Radżaputra i pochodzi z Indii, ale zbadałem faceta. Naprawdę nazywa się Maniuś Najduch i pochodzi z Ząbek Praskich. Ostatnio wygwizdali go w cyrku, bo zamiast gołębi i królików powylatywały mu z cylindra jakieś węże i ropuchy. Ludzie uciekali w popłochu.

— Co miał w tej reklamówce?

— Cylinder, ręcznik, który sobie zawija na głowie i różne przybory do oszustwa.

— Oszustwa mówisz? — zainteresował się Flasz i zwrócił się do magika. — Potrafisz tak zrobić, żebym zniknął?

— Owszem — odparł.

— No, to zrób!

— Ale do tego potrzebne jest pudło i dwa lustra.

— Bez pudła nie da rady?

— Nie.

— A umiesz robić sztuczkę z portfelami i banknotami.

— Oczywiście.

— Spróbuj!

Magik spróbował, ale Flasz złapał go od razu za rękę.

— Mój wnuczek robi to lepiej — orzekł — ale widzę, że masz w kierunku omamień i sztuczek prawdziwe zamiłowanie. Zostaniesz u nas i podszkolisz się w fachu. Będzie z ciebie jeszcze prawdziwy kieszonkowiec doliniarz!

— Ja... nie chcę... to nie leży w moich planach.

— Liczą się moje plany, panie Radżaputra! Zabrać go!

Dwaj goryle wyskoczyli z szaf i wyprowadzili struchlałego magika.

ROZDZIAŁ VII

PRZECHOWALNIA DZIECI • HIPPICZNA PRZYGODA MARKA • GDZIE PODZIAŁ SIĘ MAREK?

— Dionizy zachował się raczej dziwnie, zauważył pan? — rzekła do Kwassa pani Piegusowa.

— Tak. Dziwnie i rzekłbym tajemniczo — zamruczał detektyw — boję się, droga pani, że za tym też kryje się... Albert Flasz! — dodał zaafierowany.

— Co zrobimy? — zapytała z niepokojem pani Piegusowa.

— Przede wszystkim, droga pani, ukryjemy naszego bohatera. Zabieram go stąd natychmiast. Być może dom jest pod obserwacją, więc musimy uciec się do pewnej maskarady. Załóż, dziecko, mój kapelusz i płaszcz — zwrócił się do Marka. — Znasz mój samochód. Stoi za rogiem. Bez pośpiechu, spokojnie, żeby nie zwracać uwagi wsiąść do niego. Oto kluczyki. Za minutę dołączę do ciebie.

Marek podniecony i, co tu mówić, trochę wystraszony pożegnał się szybko z matką i przebrany za Kwassa ruszył do wozu.

* * *

Podróż przebiegła bez przygód. Detektyw zawiózł Marka swoim tipo do Konstancina, a dokładnie do dużej, ustronnej willi „Podgrzybek” położonej w starym sosnowym lesie na obrzeżach tego podwarszawskiego uzdrowiska.

Willi była ustronna, ale bynajmniej nie cicha. Mimo późnej pory rozbrzmiewała zgiełkiem dziecięcych głosów. Marek zatrzymał się w holu i rozglądał marcotnie. Najchętniej czmychnąłby stąd bez jednego słowa. Nie podobało mu się tutaj: te przymusowe wakacje w Konstancinie krzyżowały wszystkie jego plany.

— Na jak długo chce mnie pan tu zapudłować? — zapytał ponuro.

— Fe, co za słowo — obruszył się Kwass — spędzisz tu przyjemnie kilka dni... tydzień, no, maksimum dwa tygodnie. Sytuacja szybko się wyjaśni, a ja gwarantuję, że nie będziesz się przez ten czas nudził. Towarzystwa na pewno ci nie zabraknie. Zobacz — wskazał na dwa tuziny główek wychylających się ciekawie zza półotwartych drzwi. — Chodźcie, poznajcie nowego kolegę! — zachęcał

przyjaźnie mikrusów, ale oni spłoszyli się i schowali, natomiast na półpiętrze pojawiło się dwu złośliwych łebków: jeden uzbrojony w bojowy pistolet maszynowy, drugi zaopatrzony w rondel z tajemniczą zawartością.

Ten pierwszy łebek bez najmniejszego uprzedzenia wycelował pistolet w Marka i strzyknął mu trzema krótkimi seriami jakąś obrzydliwą słono-gorzka ciecżą prosto w twarz.

— No, no, ty psotniku! — detektyw Kwass pogroził mu dobrotliwie palcem. — To tak się wita gości? Czy wam nie wstyd?

Ale łobuzom nie było wstyd. Ten drugi przechylił się przez poręcz schodów i wysypał na łysinę detektywa całą zawartość rondla, którą okazały się rzepy, te „od psiego ogona”.

W drzwiach pojawiła się wysoka chuda staruszka z długim haczykowatym nosem i spiczastym wydatnym podbródkiem. Na jej widok obaj mali hultaje dali dyla. Starsza pani spojrzała zakłopotana na detektywa, który dość nieporadnie usiłował oczyścić sobie głowę z rzepów.

— Co się panu stało, panie Hippollicie? — zapytała.

— Nic takiego, witaliśmy się z tymi dzielnymi zuchami — detektyw Kwass uśmiechnął się nieco kwaśno zdejmując ostatniego rzepa z łysiny.

— Och, pan wybaczy, oni mają czasem niekonwencjonalne pomysły, ale to serdeczne, miłe chłopaki.

— Zapewne, zapewne bardzo miłe — chrząknął Kwass, obrócił się do Marka. — To jest pani Horosz-Bałabajka. Pani Horosz będzie się opiekować tobą. Przekazuję pani Marka z całym zaufaniem — rzekł do starszej pani.

Pani Horosz uśmiechnęła się ukazując długie, drapieżne zęby. Marek przyglądał się jej nie bez lęku. Wyglądała mniej więcej tak, jak sobie wyobrażał Babę Jagę z bajki. Brakowało jej tylko miotły. Znała się widać dobrze z detektywem, bo rozmawiali jak starzy przyjaciele.

— Może pan być spokojny o tego ancymonka — powiedziała i pogłaskała Marka po głowce. Z pewnością dysponowała jakąś siłą magiczną, bo przeszedł go jakby prąd elektryczny. Czyżby naprawdę miał do czynienia z czarownicą? — Och, co to, dziecko, ty drzysz, czuję, że wciąż jesteś spięty — spojrzała z troską na Marka. — Odpręż się, tutaj już nic ci nie grozi. Miałeś dziś za dużo wrażeń i musisz po prostu odpocząć; Melissa pokaże ci twój pokój.

Z głębi mrocznego holu wyłoniła się hoża dziewczyna ubrana jak pielęgniarka, w niebieskim fartuchu i tegoż koloru czepku. Zaprowadziła Marka do małej izdebki na poddaszu. Stały tam dwa białe łóżka, a na stole leżały porzucane niedbale książki i jakieś czasopisma, jedno z wizerunkiem śmiesznie rżącego konia.

— Będiesz mieszkał z kolegą w twoim wieku, który nazywa się Tytus Szarada i nie ma włosów na głowie — powiedziała Melissa — zupełnie ani jednego

włosa! To dlatego, że chorował na białaczkę i musiał być leczony takimi lekami, od których wypadają włosy.

— Czy mu odrosną? — zapytał przejęty Marek.

— Tak, ale nieprędko. Więc nie śmiej się z niego i nie przezywaj go łysym, bo on płacze. I chodzi cały czas w czapce na głowie.

— Nie będę — zapewnił Marek.

Tytus Szarada wrócił wkrótce potem. Istotnie głowę chroniła mu niebiesko-pomarańczowa czepczka z długim daszkiem, taka jaką noszą dżokeje. Na widok nowego współmieszkańca zatrzymał się bojaźliwie w progu i nerwowo poprawił okulary.

— Jestem Marek Piegus, nie bój się! — zagaił Marek.

— Piegus? — wykrztusił Tytus — chy... chyba słyszałem o tobie — wydukał niepewnie.

— Możliwe. Pisali o moich przygodach. Co z tobą? Rozluźnij się. Muszę ci jedno wyjaśnić od razu — powiedział Marek. — Guzik mnie obchodzi, co tam masz pod tą fikuśną czapką. Dla mnie liczy się tylko, co masz w głowie, a nie na głowie! Więc możesz śmiało zdjąć tę czapczkę.

— Nie, wolę tak — mruknął ponuro Tytus Szarada i nasunął czapkę jeszcze głębiej na oczy.

— Jak chcesz — wzruszył ramionami Marek — ale pogadamy, dobra? Jestem tu nowy, głupio się czuję. Powiedz mi, gdzie mnie przywieźli, co to właściwe za buda?

— No, wiesz. To jest taka przechowalnia małolotów — zaczął niepewnie Tytus — jak ci to wyjaśnić. Są tu najczęściej pólsieroty bez ojca albo matki. Starzy pakują ich tu, kiedy nie mogą się nimi zajmować, bo na przykład chorują i idą na operację do szpitala, albo idą na odsiadkę do ciupy, a nie mają ich przy kim zostawić, albo wyjeżdżają na dłuższy czas i nie mogą zabrać ich z sobą. Bywa i tak, że samotna matka albo ojciec chcą sobie eee... na nowo ułożyć życie, no wiesz... i przeszkadza im, że taki szkrab pęta się pod nogami, więc wsadzają go tutaj, żeby mieć spokój, to bardzo smutne przypadki takie nie chciane, odsunięte dzieci. A jak to jest z tobą? — zapytał znienacka mrużąc oczy za szklami.

— Ze mną? — zmieszał się Marek.

— Twoi starzy też cię nie chcą? To drogi tatuś czy może mamuśka ma cię dosyć? A może zapuszkowali ich w domu wariatów, czy też poszli siedzieć do kicia, oczywiście za niewinność? — zmierzył Marka kosym, złośliwym wzrokiem.

W tym momencie Marek pomyślał, że sprawiłoby mu dużą frajdę dać Tytusowi Szaradzie solidną „ścinkę” w jego łysy łebek, ale opanował się i udał, że nie dostrzega jego złośliwości.

— Mój przypadek, to jest specjalny przypadek — wycedził.

— Każdy tak mówi — skrzywił się Szarada.

— My się chyba nie rozumiemy, dzidziu. Byłeś kiedyś porwany?

— No, nie. . .

— Spotkałeś Mustafona Idiosynkrazego? Ścigali cię ludzie z „Ruatonimu”?
 Ukradzono ci ciotkę w kufrze?

— No, nie. . . — przyznał zaskoczony Szarada.

— A więc zamknij dziób i nie pytaj głupio, czemu tu jestem!

— Kryminalna sprawa?! — wykrztusił przejęty Szarada.

— Powiem ci, ale przysięgnij, że nikomu nie wypaplesz — rzekł Marek. —
 Wiesz, jak się przysięga?

— Wiem — bąknął Szarada, podniósł dwa palce do góry i wymamlał: —
 „przysięga będzie krótka, mur beton, pieczęć na ustach i kłódka!” A teraz mów!

— Miałem w rękach, bracie, coś co jest warte dwieście milionów zielonych,
 a może jeszcze więcej i co koniecznie chciała mieć jedna banda złoczyńców —
 powiedział Marek. — Groziło mi śmiertelne niebezpieczeństwo, więc nasz znajo-
 my detektyw postanowił mnie tu schować, żeby mnie nie znaleźli.

— Znasz prawdziwego detektywa? — zainteresował się Szarada.

— Tak, to bardzo doświadczony detektyw o dużej wiedzy encyklopedycznej.
 Nazywa się Kwass.

Tytus Szarada spojrzał na Marka z rosnącym respektem i zmienił ton.

— Na jak długo cię tu schowali?

— Do czasu, aż unieszkodliwią tę szajkę. To może potrwać miesiąc albo dłu-
 żej. Chyba zanudzę się na śmierć — westchnął Marek.

— Nie będzie tak źle. Mamy telewizję.

— Mam jej po uszy! Flaki z olejem. Oglądam tylko niektóre filmy, takie thrill-
 lery nie dla dzieci, ale pewnie tu nie dadzą oglądać, zresztą idą bardzo późno.

— To fakt, ale mamy jeszcze ping-pong.

— Wypchaj się z ping-pongiem! I pewnie w ogóle nie można opuszczać tego
 milutkiego domku?

— Samemu, bez pozwolenia, nie! Wyprowadzają nas tylko parami rano na
 spacer, a po południu w poniedziałki, środy i piątki na basen. . .

— A co po południu we wtorki, czwartki i soboty? — zapytał ponuro Marek.

Tytus Szarada przez chwilę taksował Marka wzrokiem, a potem odparł:

— Nie bój się. We wtorki, czwartki i soboty będziemy robić coś zupełnie
 ekstra! Nie zgadniesz.

— Co takiego?

— Załatwię ci konia.

— Konia?! — Marek wytrzeszczył oczy. — Prawdziwego?

— Jasne. A ty co myślałeś? Załatwię ci konia do jazdy wierzchem i buty,
 cokolwiek sfatygowane, ale z ostrogami, dasz tylko w zastaw swój aparat!
 Nie mów nikomu, ale ja sam też sobie załatwiałem takie jazdy, jak tylko mnie
 wypuścili ze szpitala. . .

— Bujasz!

— Słowo. Wynajmuje się w leśniczówce. Płacisz od godziny. Niczego sobie biegusy. Półkrwi araby. Niektóre ganiały na Służewcu na wyścigach. I co ty na to?

— Noo... bomba! — Markowi zaświeciły się oczy, ale zaraz przygały. — Tylko czy pani Horosz mi pozwoli? — zasepił się.

— Bałabaja? — zaśmiał się Tytus. — Ona nie musi nic wiedzieć. Akurat w te dni o tej porze wychodzi na całe popołudnie, bo ma aerobik i gimnastykę leczniczą dla starców. Opiekunki też niegroźne — dodał i wytłumaczył dlaczego.

— Ale ci ochroniarze przy bramie... — Marek wciąż miał wątpliwości.

— W te dni dyżuruje pan Kalus — odparł Tytus — a panu Kalusowi łatwo zamykają się oczy na widok banknotu w jakimkolwiek kolorze.

— Wypróbowałeś?

— Mowa! Wypuszczał mnie, kiedy chciałem, za jedną dychę, póki nie skończyły mi się bilety — Szarada westchnął smutno. — Skończyły się bilety, skończyła się zabawa, ale — podrapał się po łysej głowie — ale, bracie Marku, możemy zabawić się na nowo. Wszystko zależy od tego, czy przywiozłeś ze sobą jakieś zaskórniaki.

— Zaskórniaki? Nie rozumiem.

— Nie udawaj, chyba dostałeś od starych z pół patyka na drobne wydatki. Nawet wyjątkowi skąpcy dają dzieciakom coś do kieszeni. Zainwestujesz?

— Na razie mogę zainwestować trzy dychy — rzekł ostrożnie Marek.

— Załatwione! — Tytus Szarada uściskał mu rękę. — Odtąd jesteśmy kumplami dżokejami. Jutro dosiądziesz ogiera Ramzesa. Dobry, spokojny konik, w sam raz na pierwszą jazdę.

* * *

Tego wieczoru Marek podniecony wypadkami dnia długo nie mógł zasnąć. Żeby się uspokoić zaczął myśleć o koniach.

Jutro jest sobota. Opiekunki będą miały wolny dzień, tylko jedna Marlena zostanie na dyżurze, lecz spędzi go, jak zapewniał Szarada, zapatrzona w telewizor, a pani Horosz-Bałabajka jak zwykle o czwartej godzinie wybierze się na zabiegi lecznicze, więc będzie szansa poszaleć hippicznie i zabawić się w szwoleżerów lub w rodeo.

A potem ogarnęły go wątpliwości, czy nie nazbyt pochopnie uwierzył Szaradzie. Skąd pewność, że łysy zainkasowawszy trzy dychy na ten koński interes, nie zrobi Marka zwyczajnie w konia?

Ale nazajutrz okazało się, że obawy były płonne. Tytus nie wstawiał lipy. Wszystko odbyło się tak, jak zapowiedział. O czwartej pani Horosz-Bałabajka

wybrała się na zabiegi, a oko pana Kalusa na widok większej monety bimetalicznej przymknęło się łatwo, gdy wymykali się z willi boczną furtką koło śmietników. W leśniczówce znano dobrze Tytusa, nikt nie stawiał kłopotliwych pytań i po zainkasowaniu umiarkowanej opłaty chętnie wypożyczono chłopcom na godzinę dwa konie: bułanka Cheopsa i gniadosza Ramzesa. Tytus poczęstował oba wierzchowce kostką cukru, co je nastroiło przyjaźnie, po czym dosiadł zgrabnie Cheopsa, natomiast Marek miał pewne problemy. Ramzes był za wysoki dla niego i dopiero za trzecim podejściem udało się chłopcu zainstalować na siodle.

— No, to zasuwamy kłusem! Tylko spokojnie, nie rozpędzaj się do galopu — uprzedził Szarada Marka. — Tu zwykle po drózkach kręci się sporo grzybiarzy, musisz uważać, żebyś na kogo nie najechał.

Ale niepotrzebne to były ostrzeżenia, bo niepoczciwe konisko od razu wyczuło, że ma na grzbiecie nowicjusza i mimo Markowych próśb, poklepywań i pohukiwań nie kwapiło się do kłusu (cóż dopiero mówić o galopie!) zdecydowanie, preferując krok pogrzebowy i kompromitując młodocianego jeźdźca w oczach snujących się po lesie amatorów grzybobrania. Mimo nie sprzyjającej pogody i siąpiącego deszczu wyroiło ich się nadspodziewanie wielu. Co parę kroków wśród drzew majaczyła postać z plecionym koszykiem w ręku. Od początku ci grzybiarze nie spodobali się Markowi, coś w ich wyglądzie było „nie tak”, Marek zrazu nie zdawał sobie sprawy, co. Dopiero po chwili zorientował się, że wszyscy noszą takie same żółte peleryny z folii i ogarnął go niepokój. Tytus zniknął już dawno na zakręcie dróżki. Marek ponowił próbę poderwania Ramzesa do pogoni za kolegą, ale przekorne zwierzę nic sobie nie robiło z jego rozpaczliwych wysiłków i gdy połechtął je lekko ostrogą wykonało dziwny taniec kręcąc się w kółko. Rżało przy tym żałośnie potrząsając łbem, jakby chciało powiedzieć: „zejdź ze mnie, łobuzie! Dziś nic nie będzie z tej jazdy! Spadaj!”

Na chyżym Cheopsie wrócił zaniepokojony Tytus.

— Co się dzieje?!

— Sam widzisz — Marek, wściekły, rozłożył wymownie ręce. — To nie koń, to uparte oślisko. Zachowuje się jak nieujeżdżony.

— Dziwne. Nigdy się tak nie zachowywał — rzekł Szarada. — Trudno, musisz go zdzielić batem i przypomnieć, kto tu jest panem!

— Żal jakoś głupio bić zwierzaka — zaczerwienił się Marek.

— Skoro zgrywa się na upartego ośła, nie ma rady. Musisz go popędzić, albo przynajmniej postraszyć.

— Spróbuję! — powiedział Marek. — Jedź, i nie przyglądaj się, bo będzie mi głupio.

— Dobra, zrobię małą rundkę po lesie, spotkamy się w tym miejscu za dziesięć minut — powiedział Szarada i odjechał.

Marek trzasnął z bicia uniósł się w strzemionach z groźnym okrzykiem: „Wio, ośle jeden!” a potem opadł na siodło i zaprawił upartego wierzchowca ostrogą.

Ramzes zarżał boleśnie głosem podobnym do kwiku, wspiął się na tylnych nogach jak dziki mustang, a potem zaczął wierzgać. Raz po raz stając dęba usiłował strącić Marka z grzbietu. Udało mu się to za piątym razem. Marek najpierw wyleciał do góry, a następnie runął w dół dość nieszczęśliwie zresztą, bo rąbnął głową w pień sosny. W ostatnim błysku świadomości zobaczył cały las w oślepiającym płomieniach, które zgasły nagle i ogarnęła go ciemność...

* * *

Pan Anatol Surma siedział z wiolonczelą w swoim pokoju i próbował przećwiczyć kolejne parę taktów Piątej Symfonii Beethovena, ale nie mógł się skupić. Wciąż jeszcze był zbyt roztrzęsiony. O dwunastej w nocy do mieszkania wdarło się trzech agentów „Ruatonimu”. Powtórzyli swoje kłamstwa o kradzieży dokonanej jakoby przez Marka. Byli wściekli, że go nie zastali. Nie chcieli wierzyć, że detektyw Kwass wywiózł go w nieznanym kierunku. Zachowywali się arogancko i brutalnie. Przetrzęsnęli całe mieszkanie. Zaglądali nawet do futerałów instrumentów, a panu Surmie kazali grać przygnębiające marsze pogrzebowe, aby psychicznie załamać panią Piegusową i skłonić ją do zdradzenia miejsca ukrycia syna. Zapewne posunęliby się aż do zastosowania najbardziej bezwzględnych środków, lecz nagle odebrali przez telefon komórkowy jakieś nowe polecenia, bo natychmiast przerwali akcję i spiesznie wynieśli się z domu, grożąc, że i tak dopadną Marka.

Pięć minut później zjawił się detektyw Kwas w towarzystwie dwu policjantów. Oświadczył, że Marek jest już w bezpiecznym, dobrze strzeżonym miejscu i poprosił panią Piegusową, żeby na wszelki wypadek poinformowała władze o tej niepokojącej sprawie. Pani Piegusowa opowiedziała o dziwnych przygodach Marka z Mustafonem Idiosynkrazym, o przykrej przygodzie z „Ruatonimem”, a na końcu o nękanii jej przez agentów tej podejrzanej firmy, lecz widać było, że policjanci przyjmują te zeznania z dużym niedowierzaniem jako histeryczną wypowiedź przeczulonej, znerwicowanej matki i raczej skłonni są przyjąć, że to Marek ma coś na sumieniu i wymyślił te wszystkie niewiarygodne bajeczki, żeby wykręcić się od kary.

— Widzi pani sama — rzekł detektyw Kwass po ich wyjściu — że nie możemy na tym etapie liczyć na pomoc oficjalnych stróżów prawa i musimy radzić sobie sami, ale proszę się uspokoić, agenci „Ruatonimu” już nie będą pani nachodzić. Zadzwońm przed niecałą godziną do Albert Flash Enterprises i automatyczna sekretarka nagrała moje oświadczenie, że osoba, o którą im chodzi, została przeze mnie dobrze schowana, a o miejscu jej ukrycia nikt poza mną nic nie wie, nawet najbliższa rodzina, nawet rodzona matka tej osoby.

Niestety zapewnienia Kwassa nie uspokoiły ani pani Piegusowej ani pana Surmy. Przez resztę nocy nie zmrużyli oka zastanawiając się, czy mogą zaufać

Kwassowi i czy Marek rzeczywiście jest bezpieczny. Pani Piegusowa nie kryła wątpliwości, czy w obliczu takich wielkich przestępczych organizacji jak holding Flaszka, stary detektyw ma jakieś szansę, a pan Surma wręcz wyrażał obawy, że jego metody są przestarzałe, anachroniczne i że przekonany o swoich niezwykłych detektywistycznych talentach Kwass nie rozumie i nie docenia nowych technik, którymi posługują się przestępcy, że po prostu nie nadąża za szybkim rozwojem kryminalistyki.

Pani Piegusowa usnęła dopiero nad ranem. Spała do południa. Około drugiej wyszła do sklepu po sobotnie zakupy. Przechodząc koło zakładu fryzjerskiego „Marzena” przypomniała sobie, że wskutek wizyt u bioenergoterapeuty zaniedbała zupełnie wizyty u fryzjera. Pomyślała, że nowe uczesanie dobrze jej zrobi na nerwy i... wstąpiła.

Pana Surmę obudziły odgłosy otwieranych zamków, lecz gdy matka Marka wyszła, postanowił zdrzemnąć się jeszcze trochę. Wyczyścił zęby, wziął prysznic i zakładał właśnie nauszniki, w których zwykł był zasypiać, gdy zadzwonił telefon. Surma wciągnął szlafrok i podniósł słuchawkę. Usłyszał piskliwy głos:

— Czy to mieszkanie państwa Piegusów?

— Tak, a kto mówi?

— Przyjaciół, świerszczyku mój.

— Jaki przyjaciel? Czyj przyjaciel? — zapytał podejrzliwie muzyk. Zapadła chwila ciszy. Rozmówca jakby zastanawiał się, co powiedzieć.

— Jestem przyjacielem domu. Moje nazwisko nieważne — oznajmił wreszcie. — Mam wiadomość o Marku. Niestety to przykra wiadomość. Marek został złapany przez ludzi Alberta Flaszki.

— Co takiego?! To niemożliwe — wykrzyknął wzburzony pan Surma. — Dom, w którym mieszkał był dobrze strzeżony.

— Owszem był strzeżony, ale niesumiennie, a Marek to sprytny chłopak. Od początku czułem do niego sympatię. Z łatwością wyrwał się z chaty i jeździł na koniu po lesie.

— Na koniu?! Marek?! — pan Surma osłupiał.

— Dokładnie tak, świerszczyku mój, ale miał pecha, biedak, spadł z konia i został ujęty przez agentów „Ruatonimu”, którzy akurat wybrali się na grzyby.

— To stek nonsensów! To jakieś bzdury!

— Jak pan nie wierzy, proszę zadzwonić tam, gdzieście schowali Marka i sprawdzić. Na pana miejscu, panie sakso-wiolonczelisto, odłożyłbym instrumenty i zająłbym się chłopcem, jest pan przecież jego starym serdecznym przyjacielem.

— Pan mnie zna? — zdziwił się muzyk.

— Jeszcze z czasów gdy grywał pan w kabarecie Arizona, świerszczyku mój. Cześć! — rozmówca rzucił słuchawkę.

Pan Surma przez chwilę trwał w osłupieniu. Próbował sobie wmówić, że ktoś robi złośliwy kawał, że to zgrywa kogoś z tych podejrzanych koleżków Marka. Marek na koniu? Agenci na grzybach? To wszystko brzmiało zgoła niewiarygodnie. . . Żeby się uspokoić chwycił za saksofon i próbował grać pianissimo andante i con amore, lecz nie znalazł ukojenia, bo saksofon zaczął skarżyć się żałośnie ludzkim głosem i zapłakał zupełnie jak człowiek. Do reszty rozstrojony pan Surma odłożył saksofon i pojął, że ulgę przynieść mu może tylko działanie. Po krótkiej chwili wahania zadzwonił do detektywa Hippollita Kwassa i opowiedział mu o telefonie, który odebrał parę minut temu.

— Nie wiem, czy dobrze zrobiłem niepokojąc pana — dodał zakłopotany — być może kryje się za tym głupi kawał tych łobuzów z boksinerskiej paczki niejakiego Muchy Czopka. Marek ma okropnych kolegów, gdybym panu opowiedział, co oni kiedyś zrobili z moją wiolonczelą. . .

— Niestety, to nie jest kawał, drogi panie Anatolu — przerwał zdenerwowany detektyw Kwass — ja również otrzymałem alarmujący telefon od zrozpaczonej pani Horosz-Bałabajskiej z willi, gdzie przebywał Marek. Dzwoniła do mnie już o piątej niestety nie zastała mnie w domu, gdyż byłem na weselu mojego młodego przyjaciela Pirydiona Starszego, czyli Politechnicznego, oraz mojej siostrzenicy Joanny i prowadziłem tańce towarzyskie. Wróciłem dopiero przed chwilą i wtedy otrzymałem tę przykrą wiadomość. Jak wykazało przeprowadzone przez panią Horosz śledztwo, Marek oddalił się samowolnie z domu wraz z niejakim Tytusem Szaradą, którego namówił do eskapady, choć może było na odwrót, a Szarada po prostu wykręca kota ogonem. Lecz faktem jest, że wypożyczyli konie i próbowali galopować po lesie i że w pewnym momencie Szarada stracił Marka z oczu. Była wtedy godzina szesnasta z minutami i od tej godziny chłopiec przepadł jak kamień w wodę! Razem z koniem! Pani Horosz zgłosiła zaginięcie w komisariacie, lecz ja oczywiście nie mam zamiaru czekać na wyniki poszukiwań podjętych przez policję i bezzwłocznie sam przystępuję do akcji. Sądzę, że telefon, który pan otrzymał, pomoże nam ustalić sprawców porwania Marka, a także miejsce, gdzie go trzymają.

— Sądzi pan?

— Gdybyśmy mogli ustalić, kim był ten człowiek podający się za przyjaciela, który zadzwonił do pana. Czy nie rozpoznał go pan po głosie?

— Niestety nie. Ale to był ktoś, kto znał Marka i mnie.

— Jak mówił Jąkając się? Dukając? Gęgając? Mamlając? Sepleniąc? Głos miał tubalny czy jękliwy?

Pan Surma zastanowił się.

— Powiedziałbym. . . piskliwy.

— Typ klasyka?

— Nie rozumiem.

— Ze skłonnością do łaciny?

— Bez skłonności.

— Wścibski, nachalny, gderliwy, mentorski, umoralniający?

— Nie, raczej nie.

— Świntuszący?

— Co też pan!

— Czy używał ozdobników, wykrzykników, porzekadeł, względnie powtarza-
deł?

— Zaraz, niech pomyślę. . . — pan Surma ściągnął brwi. — Tak jest! — roz-
jaśnił się. — Miał jedno porzekadło, a raczej powtarzało.

— Jakie?

— Chwileczkę, mam na końcu języka, to było coś od poezji.

— Od poezji?! — Kwass nie taił zaskoczenia.

— Tak jest. Coś o wierszach. Co drugie zdanie powtarzał: „wierszyku mój”.

— Wierszyku? Czy pan się nie przesłyszał? Może mówił „świerszczyku mój”?

— Tak, ma pan rację, chyba mówił „świerszczyku mój”.

— Świetnie! — rzekł zadowolony detektyw. — Zatem mamy do czynienia
z Chryzostomem Cherlawym, moim starym znajomym z gangu Alberta Flaszka!

— To by nam nawet pasowało — zauważył pan Surma. — Skoro ten złoczyńca
jest z gangu Flaszka, to z pewnością wie, co w trawie piszczy, więc nie ma już
wątpliwości, że Marek wpadł w ręce tego bandyty! . . .

— Stop! Zbyt pochopnie wyciąga pan wnioski, panie Anatolu — rzekł chłodno
detektyw Kwass. — Nie bierze pan pod uwagę, że Cherlawego wyrzucono z gan-
gu i nie pracuje on, aktualnie dla Alberta Flaszka. Zapomina pan także, iż nasz
przyjaciel Chryzostom to oszust i to wysokiej klasy, a w kryminalistyce istnieje
tak zwana prosta zasada Kwassa — oznajmił nie grzesząc jak zwykle skromno-
ścią. — Przypomnę ją panu, oto ona: jeśli oszust mówi, że nie B, tylko A, to
z pewnością jest B, a nie A. Lapidarna zasada ta była wprowadziona od dawna znana
i stosowana w praktyce, lecz dopiero ja nadałem jej naukową formę.

— Rzeczywiście, nie wziąłem pod uwagę — przyznał stropiony pan Sur-
ma. — A więc w naszym przypadku. . .

— W naszym przypadku dwa gangi miały interes, by złapać Marka: „Ruato-
nim” i „Phoenix”. Jeśli więc taki typ jak Cherlawy usłużnie podsuwa nam „Ru-
atonim”, to według prostej zasady Kwassa prawdziwym sprawcą jest niewątpli-
wie „Phoenix”. I tam będziemy szukać Marka. Zaczniemy od Konstancina, gdzie
ukrywają się ślady Marka i gdzie działa tak zwane Centrum „Phoeniksa”.

— Zastanawia mnie tylko — zamruczał pan Surma — czemu Cherlawy chciał
wprowadzić nas w błąd. Czy po to, żeby zrobić Flaszka i zemścić się na nim,
czy też może chciał raczej odciągnąć naszą uwagę od „Phoeniksa”, ponieważ. . .
ponieważ teraz dla niego pracuje.

— Jest jeszcze trzecia możliwość, najgorsza — powiedział detektyw
Kwass. — Ten oszust chce się „zająć” Markiem na własną rękę i wyciągnąć od

niego tajemnicę, bo sam planuje skok na Wielki Sejf. Ale musimy kończyć tę rozmowę. Nie traćmy czasu, chciałbym jak najszybciej znaleźć się na miejscu. . .

— Pojadę z panem — zaproponował pan Surma.

— Wykluczone — zaprotestował detektyw. — To delikatna misja. Zostanie pan tutaj i będzie uchwytany pod telefonem. Zadzwoń, jak tylko coś będę wiedział. I jeszcze jedno: niech pan nie wspomina pani Piegusowej o zaginięciu Marka. Ani pary z ust! Boję się o stan jej nerwów. Już tyle przeszła! Tyle zmartwień z tym nieszczęsnym chłopcem. Niech pan nie spuszcza jej z oka. . . niech pan ją odpręży. . . zrelaksuje!

— Wiem, co zrobię — oświadczył pan Surma. — Kupię dwa eklery, dwa pty-sie, sześć pączków i sernik wiedeński, bo przekonałem się, że te specjały najlepiej działają na jej zbolałą psychikę.

— Świetny pomysł! — rzekł Kwass — niech pan kupi i spożyje razem z nią. Nie będę ukrywał, przed nami trudne, denerwujące dni!

ROZDZIAŁ VIII

DETEKTYW KWASS ROZPOCZYNA ŚLEDZTWO • TAJEMNICA CENTRUM PHOENIX AND BOWIE

Do Centrum Phoenix and Bowie nietrudno było trafić. Każdy mieszkaniec Konstancina z nieukrywaną dumą od razu wskazywał drogę, wystarczyło rzucić magiczne słowo „feniks”. Bo też robiło ono niezwykle wrażenie w tym podupałym i zapyziałym od czasów wojny uzdrowisku, wnosząc doń rozmach wielkiego biznesu i powiew eleganckiego świata, splendor szlifowanych granitów, czystych terakotowych chodników, przeszklonych kolorowych ścian, srebrzystego aluminium i wszystkich najnowszych zdobyczy techniki.

Gdy detektyw Kwass zatrzymał swój wóz na olbrzymim parkingu i przestudiował tablice informacyjne, okazało się, że Centrum obejmuje rozliczne instytucje i starszy pan stanął przed problemem, które z nich najpierw uczynić przedmiotem swych detektywistycznych penetracji. Lista ich była długa: Bank „Phoenix”, Ośrodek Badawczo-Naukowy Medycyny Doświadczalnej „Phoenix”, Towarzystwo Sportowe „Phoenix”, Towarzystwo Ubezpieczeń Zdrowotnych TUZ, Sanatorium „Phoenix” nr 1, Sanatorium „Phoenix” nr 2, Klub Przyjaciół „Phoenix”, Fundusz Popierania Pomysłowych Inicjatyw „Phoenix” i jeszcze chyba z dziesięć innych.

Kwass przeprowadził szybko odpowiednią analizę w swoim komputerowym umyśle i wyszło mu, że jeśli trzymają tu w jakimś miejscu Marka, to tym miejscem prawdopodobnie będzie któreś sanatorium albo ów Ośrodek Badawczo-Naukowy. I tam postanowił skierować swoje pierwsze kroki.

I nie on jeden. W tę samą stronę podążało wielu innych przybyszów, każdy z większym lub mniejszym bagażem w rękę. Niektórzy nieśli tylko małe aktówki i dyplomatki, niektórzy torby dość wypchane, ale było sporo takich, co taszczyli spore walizki, a jeden ciągnął nawet wielki kufer na kółeczkach. Co najmniej połowa tych panów zjawiała się w towarzystwie rosnących muskularnych osobników, wyglądających na agentów z biur ochrony, Kwass naliczył także pięciu dżentelmenów, którym dźwigać walizki pomagali asystenci, oraz czterech, których wieziono w wózkach inwalidzkich. Zauważył też, iż kilka solidnie napakowanych,

luksusowych wozów z okrągłymi naklejkami na szybie przedstawiającymi legendarnego ptaka feniksa nie zatrzymało się na ogólnym parkingu lecz podjechało jeszcze dalej aż do wewnętrznego mniejszego parkingu oznaczonego literą „S” z napisem: „for staff only”.

Widząc tak okazałą gromadę pacjentów zmierzających do sanatorium detektyw przestraszył się, że czeka go stanie w kolejce i strata drogocennego czasu; przyśpieszył więc kroku i w rezultacie pierwszy z grupy dotarł do marmurowej bramy z metalicznym złocistym napisem: Zespół Sanatoryjny „Phoenix”. Z budki wartowniczej wyłonił się strażnik podobny do oficera huzarów sprzed stu lat, w strojnym niebieskim uniformie szamerowanym złotym galonem. Obrzucił nieprzyjaznym pogardliwym spojrzeniem niepozorną postać Hippollita Kwassa i rzucił niegrzeczne pytanie:

— Czego?

— Ja do sanatorium — uśmiechnął się przymilnie Kwas.

— Dokumenty! — mruknął strażnik-huzar.

Detektyw podał dowód osobisty. Strażnik obejrzał go i powiedział:

— To pomyłka. Nie ma pana na liście personelu ani osób skierowanych na leczenie.

— A gdzie mógłbym dostać skierowanie?

Strażnik-huzar spojrział dziwnie na Kwassa, jakby zde gustowany niestosownym pytaniem i bezceremonialnie zatrzasnął mu bramę przed nosem, a detektyw zrozumiał po niewczasie, że popełnił zasadniczy błąd. Dopiero teraz zorientował się, że ci wszyscy kandydaci na pacjentów nie kierują się wprost do bramy sanatorium lecz do pobliskiego baru też o nazwie „Phoenix”, ozdobionego kapitalnym neonowym szyldem z wizerunkiem mitycznego ptaka kąpiącego się w żółtych, pomarańczowych i czerwonych płomieniach. Czyżby droga do sanatorium wiodła przez ten atrakcyjny lokal?

Zaintrygowany, zawrócił. Właśnie próg baru przekroczył korpulentny, zziębnięty i spocony człowieczek, z krótką spiczastą bródką, w przykrótkich spodniach na przykrótkich nóżkach i w przykrótkim, kusym płaszczyku — w ogóle cały jakiś przykrótki. Detektyw ruszył za nim. Przykrótki, choć wyglądał na zmęczonego i spragnionego nie pokwapił się bynajmniej do bufetu kuszącego bateriami ozdobnych butelek, lecz poczłapał swoim kaczym chodem do drzwi w ciemnej głębi baru zaopatrzonych w dwujęzyczny napis:

FOR MEMBERS OF PHOENIX CLUB ONLY!

Tylko dla członków klubu Phoenix

W drzwiach uchyliło się małe okienko i wysunęła się z niego tłusta łapa z grubym sygnetem na palcu. Przykrótki podał jej żółty kartonik, zapewne specjalną legitymację. Łapa zabrała ją i po kilkunastu sekundach zwróciła ze słowami:

— Jest akceptacja. Proszę spocząć i czekać. Zostanie pan wywołany.
Ściskając w rękach wypchaną teczkę Przykrótki rozejrzał się dookoła szukając wzrokiem wolnego stolika. Wszystkie były zajęte.

— Proszę do mnie! — detektyw Kwass postanowił wykorzystać szansę nawiązania kontaktu i wskazał wolne miejsce na kanapce przy swoim stoliku.

— Dziękuję — gość z ulgą odstawił teczkę i opadł na kanapkę.

Z daleka obserwował go młody, ale już brzuchaty typ, w białych adidasach, w czarnych farmerkach i czarnej kamizeli. Na odsłoniętym ramieniu miał misterny „artystyczny” tatuaż. Oparty o kontuar bufetu dulczył z papierosem nad kuflem piwa, rzucając co pewien czas kose spojrzenia na salę. Wreszcie odstawił z brzękiem kufel, wytarł wierzchem dłoni usta, rozgniół papierosa w popielniczce i podszedł do stolika, przy którym pocił się Przykrótki.

— Pan tu pierwszy raz, szefie? — zagaił do Przykrótkiego — my się jeszcze chyba nie znamy. Misio jestem. Oferuję usługi okolicznościowe, w szczególności ochronę ciała i mienia. . .

— Nie interesuje mnie — oburknął Przykrótki.

— Naprawdę? — Misio trącił czubkiem buta jego walizeczkę. — Cóż my tam mamy? Brudy do prania?

— Zostaw pan! — warknął Przykrótki ocierając czoło.

— O, spociliśmy się widzę. To z tych emocji. Debiutancka trema?

— Nie jestem debiutantem — mruknął Przykrótki.

— Nie szkodzi. Za każdym razem to się przeżywa na nowo. Znam to, znam, ten niepokój, te nerwy. . . Mają to wszyscy, co przyjeżdżają do pralni.

— Przyjechałem do sanatorium — sprostował zniecierpliwiony Przykrótki.

— O, to niedobrze. Zdrówko nawala? Serduszko może, nie daj Boże? „Kochane zdrowie, nikt się nie dowie, ile kosztujesz. . .” Słono kosztuje, ale warto zadbać, szefie, i zapewnić sobie opiekę. Sporo łobuzów tu się kręci, mogą być nieprzyjemni, a szanowny szefunio tak sobie jako syngielton bez żadnej obstawy?! To bardzo ryzykowne i niebezpieczne! Oj, niebezpieczne i niezdrowe! Jeszcze z taką kuszącą dyplomatką? Pan pozwoli, że się nią zaopiekuję. Będzie u mnie jak w banku. . . — to mówiąc bezczelnie złapał za walizkę, ale detektyw przytomnie szpikulcem od parasola przygwoździł mu stopę do podłogi.

Typ zawył z bólu, chciał wydrzeć Kwassowi parasol, ale zobaczył wycelowany w swój brzuch pistolet.

— Puść! — usłyszał krótki rozkaz.

Prerażony posłusznie puścił parasol.

— Teraz odstaw na miejsce walizeczkę! Pomału i bez sztuczek!

Typ wpatrując się w lufę pistoletu odstawił pomału walizeczkę, po czym zaczął wycofywać się tyłem gulgocząc:

— Przepraszam, nie wiedziałem, że ten. . . hm. . . pacjent jest w towarzystwie pana. Doprawdy nie wiedziałem. . .

— Co za heca! — Przykrótka spojrzął z ulgą i podziwem na Kwassa. — Nie wiem, jak panu dziękować, gdyby nie pan. . .

— Powinien pan być ostrożniejszy — mruknął detektyw. — Domyślam się, że w tej dyplomacie jest sporo tak zwanych melonów, a to miejsce roi się od różnego kalibru opryszków.

— Wiem, zwykle przyjeżdżam tu z moim gorylem, Adasiem, lecz wczoraj w Słomczynie złamano mu szczękę.

— Przykre. Sądzę, że w tej sytuacji lepiej było odłożyć dzisiejszą wizytę.

— Nie mogłem. Wypadłbym z kolejki. Dostać się tutaj jest coraz trudniej. Jak ja się panu odwdzięczę? Gdyby potrzebował pan kiedyś samochodu „extra” — mrugnął okiem — samochodu „extra” i po okazyjnej cenie, niech pan wali jak w dym do mnie na Targówek. . . i pyta o firmę „Agapit”. . . Pan pozwoli, że się przedstawię, Agapit Krasnobródka jestem.

— Miło mi — odparł detektyw. — Hippollit Kwass, baletmistrz dyplomowany.

— Ja chyba pana znam. Pan prowadzi szkołę tańców towarzyskich przy ulicy Karolkowej. Moja czwarta żona pobierała tam lekcje — oświadczył Krasnobródka.

— Tak, przypominam sobie to nazwisko — uśmiechnął się detektyw. — A pan z jakiej branży, jeśli można zapytać. O ile dobrze zrozumiałem to jakiś interes samochodowy.

— Tak jest, kupno i sprzedaż! Wozy wszystkich marek po małym przebiegu, także na zamówienie według życzenia. . . — to mówiąc wyciągnął z kieszeni garść wizytówek reklamowych. — Proszę rozdać znajomym i polecić moje usługi — szybka dostawa, ceny konkurencyjne. Wystarczy tylko określić markę, kolor i fason, a dostarczamy wózek po paru dniach wraz z dowodem rejestracyjnym na nazwisko klienta i ubezpieczeniem. Mucha nie siada! I dołączamy jako prezent butelkę hanowerskiego sznapsa. . . Nawiasem mówiąc po tych emocjach sam bym sobie strzelił w migdał — zauważył. Skoczył do bufetu i przyniósł dwie duże „szkockie” z lodem. — Zaaplikuję sobie głębszego kielicha na zapas, bo w sanatorium czeka mnie kilka dni obrzydliwej wstrzemięźliwości — zamruczał. — Doktor Llyrdak utrzymuje tam surowy reżim abstynencji. To pies na alkohol. No, to co, mistrzu, uderzmy w bolo?! — Krasnobródka podniósł do góry szklankę, lecz nagle znieruchomiał na widok policjanta, który w towarzystwie kuternogi ze szramą na policzku wkroczył właśnie do baru.

— Co panu jest? — zaniepokoił się detektyw.

— Nic. . . zupełnie nic — bąknął Krasnobródka. Nieznacznym ruchem nogi przesunął walizeczkę w stronę Kwassa i wepchnął ją pod kanapkę, po czym nerwowo i jakby w pośpiechu wychylił całą zawartość szklanki.

— To ten! — Kuternoga wskazał na Krasnobródkę.

— Dokumenty proszę! — powiedział policjant podchodząc do handlarza, a gdy ten okazał dowód osobisty, funkcjonariusz obejrzał go dokładnie i oznajmił:

— Krasnobródka, jest pan aresztowany.

— Jakim prawem, panowie?! — oburzył się handlarz — za co?!

— Paserstwo i przemyt kradzionych aut.

— To jakaś pomyłka, ja wyjaśnię. . .

— Wyjaśni pan na komisariacie — rzekł policjant i wyprowadził Krasnobródkę.

Zaskoczony takim niespodziewanym obrotem sprawy detektyw zaczął kombinować szybko, jakie szansę daje mu wytworzona sytuacja. Zezując okiem to na fragment sterczącej spod kanapki dyplomatki, to na barmana i ludzi przy stolikach uznał, że tym razem los uśmiechnął się do niego, bo szczęśliwie nikt z obecnych nie zwrócił większej uwagi na to, co się stało, może dlatego, że podobne sceny były tu na porządku dziennym, ale raczej dlatego, że wszyscy w tym czasie skierowali wzrok na obwieszoną biżuterią młodą damę w czarnej wieczorowej sukni i w białej etoli z norek; właśnie wjechała do baru na fotelu na kółkach popychanym przez atletyczną pielęgniarkę. „Zapewne bogata pacjentka sanatorium Llyrdaka — pomyślał Kwass. — Królowa szarej strefy?” Gdy tylko znalazła się w barze, sprawnie poderwała się z fotela i sprężystym krokiem pośpieszyła do stolika w kącie, prosto w objęcia czekającego tam mężczyzny o wyglądzie gogusia; po czułym przywitaniu oboje zabrali się żwawo do opróżniania butli „Johnnie Walkera”, ale Kwassa nic już tu nie mogło zdziwić, przestał więc interesować się osobliwą „pacjentką”, natomiast całą uwagę skupił na tronie królowej szarej strefy, czyli na pustym fotelu na kółkach, a potem na atletycznej pielęgniarce, która właśnie usadowiła się była na wysokim stołku przy bufecie, zapaliła camela, zamówiła kawę i koniak i ucięła sobie wesołą rozmówkę z barmanem szczerząc do niego bez kompleksów swe okropne zębiska, żółte i jakieś takie dziwnie spiczaste. . . „Smok-baba — ocenił Kwass — ale ma fotel na kółkach”. I pomyślał, jak byłoby wspaniale wjechać na takim wehikule do środka sanatorium. . . Cemu nie spróbować? Pozory często mylą. Dajmy tej biednej kobiecie szansę pokazać, że nie minęła się z powołaniem i uczucia samarytańskie nie są jej obce. A więc do dzieła! Nie zastanawiając się długo, zgarnął ze stołu resztę prospektów reklamowych i kart wizytowych Agapita Krasnobródki, podniósł z podłogi jego walizeczkę-dyplomatkę i poczłapał ciężko do bufetu. Tu poprosił o szklanek wody, wyciągnął drżącą ręką białą pastylkę z kieszonki; połknął ją, skrzywił się, zachwiał i złapał za rękę „smoka”.

— Co też pan! — pielęgniarka wyrwała się.

— Przepraszam — wykrztusił — siostró, słabo mi. . . chyba mam atak dusznicowy. . . Proszę mnie szybko zawieźć do lekarza dyżurnego sanatorium. Muszę być

zaraz zbadany.. O... co za ból! — osunął się na podłogę i wypuścił z rąk dyplomatkę. Paczki banknotów rozsypały się kusząco po posadzce...

Ale jeśli sądził, że w ten spektakularny sposób skłoni smoka w pielęgniarskim czepku do miłosiernego uczynku i dostąpi łaski wygodnego przewiezienia do sanatorium to zawiódł się srogo. Smok popatrzył na leżącego detektywa bladymi oczyma bez wyrazu i ani drgnął... Nie zdradził także (co już zupełnie zadziwiło Kwassa) żadnego zainteresowania rozsypaną walutą, a barman wyjaśnił oschle:

— Nasze sanatorium nie przyjmuje ostrych przypadków. Jeśli pan źle się poczuł, niech pan wezwie miejskie pogotowie — wskazał telefon przy wejściu.

Żywe zaciekawienie objawiło za to dwu podtatusiałych dżentelmenów w pomarańczowych dresach, zapewne pacjentów chirurgii plastycznej, którzy zmieniali sobie twarz, o czym świadczyły ich zabandażowane facjaty. Niby to zajadle mocowali się z automatami do gier w drugim kącie baru, ale w rzeczywistości łypiąc oczami na boki bacznie kontrolowali sytuację na sali. Gdy Kwass wypuścił z rąk dyplomatkę, przerwali grę, podnieśli go z podłogi, posadzili na kanapce, a potem spokojnie zabrali się do zbierania paczek z banknotami; ułożone z powrotem w walizeczce grzecznie wręczyli Kwassowi ze słowami:

— Co to? Serduszko nawaliło? Pan się nie boi, prezese... zajmiemy się panem sympatycznie. Mamy tu specjalne chody, zaprowadzimy, gdzie pan chce. Sanatorium? Ambulatorium? Proszę bardzo! Załatwimy skutecznie prezesa — mrugnęli okiem do barmana, wzięli detektywa pod ramiona i przez służbowe przejście wyprowadzili na mały placzyk przy śmietnikach. Tu zatrzymali się, pogrzebali w kubłach i wyciągnęli duży worek z czarnej folii.

— Ten chyba będzie w sam raz, co, Aleks? — zapytał mniejszy z dżentelmenów przymierzając worek do Kwassa.

— Mógłby być większy, ale nie szkodzi — odparł Aleks.

Kwassa zdjęły złe przeczucia.

— Panowie, po co ten worek? — wybełkotał.

— To dla ciebie, nowe sanatoryjne ubranko! — zachichotał Aleks.

Detektyw pojął, że wpadł w ręce opryszków. Chciał sięgnąć po pistolet, ale w tej samej chwili otrzymał silny cios pięścią w skroń. Zamroczony osunął się na ziemię. Napastnicy obszukali go, wyjęli mu portfel i pistolet.

— Ma w dowodzie napisane: Kwass, Hippollit Kwass rzekł Aleks — gdzie ja słyszałem to nazwisko? Żadnej forszy w portfelu, w ogóle nic ciekawego.

— Kwass? To dziwne — zauważył drugi z opryszków bo w dolnej kieszeni fraka ma pełno wizytówek na nazwisko Agapit Krasnobródzki — wysylabizował z trudem.

— Nie podoba mi się ten gość — Aleks poruszył nosem — coś mi tu śmierdzi. Pogaworzę z nim. Daj znieczulacz Brzusiu!

Brzuś wręczył mu małą płaską buteleczkę. Aleks wlał jej zawartość w gardło detektywa. Kwass zakrzuszył się niebezpiecznie, ale oprzytomniał.

— Pij dalej — zachęcał Aleks.
— Nie chcę! — bełkotał detektyw.
— Pij — przymuszał go Aleks. — Nie bój się, to nasza nalewka na spirytusie z miętą, maliną, pieprzem i jadem żmii. Umarłego stawia na nogi i rozwiązuje języki. Porozmawiamy sobie.

Posadzili go pod kubłem i Aleks zagadnął do niego:

— Kim ty jesteś, ojczulku? I czego właściwie tu szukasz?

— Jestem... jestem Krasnobródka — oświadczył krztusząc się detektyw — samochodowa branża, kupno sprzedaż, komis... .

— Sie rozumie, że z tym zasłabnięciem to lipa praska. Zdrowy jesteś jak banan, więc czemu chciałeś do sanatorium i tak ci było pilno, że zasunąłeś ten numer?

— Pewnie nie miał akceptacji — zauważył Brzuś rozcierając sobie pięść. — Co, staruszkę — obrócił się do detektywa — nie jesteśmy w komputerze „Phoeniksa”, co? I chcieliśmy się wkręcić na lewo.

Kwass, milczał.

— Mówię ci, że to tajny gliniarz na przeszpiegach — splunął z niesmakiem Aleks.

— Raczej prywatna niuchająca świnia — mruknął Brzuś. — Próbował wsadzić tu swój brudny ryj! Ręka mnie swędzi. Zaprawmy go jeszcze raz w to ryło, zanim włożymy do worka... kapusia!

— To bezpodstawne insynuacje — wykrztusił przerażony Kwass — zaglądaliście do mojej dyplommatki i wiecie, co mnie tu sprowadza. Przyjechałem po prostu do pralni, bo mam coś niecoś co uprania. Ekspresowo! Spieszyło mi się, więc chciałem skorzystać z waszych propozycji... oszukańczych, jak teraz widzę.

— Tak? — zaśmiał się szyderczo Brzuś — no to pójdziemy ci na rękę, czyściochu i załatwimy pranie na miejscu, gratisowo i superekspresowo! Obsłuż gościa, Aleks!

— Z przyjemnością — wycedził Aleks zaciskając pięści, ale nie zdążył zażyć tej przyjemności, bo gdzieś blisko rozległo się wściekłe ujadanie psów i zza żywopłotu wyłoniło się pięciu strażników w szamerowanych złotem uniformach. Trzech z nich pędziło z czarnymi bullterierami na smyczy, dwóch z podręczną apteczką i kaftanami bezpieczeństwa, a na końcu w rozwianym białym fartuchu biegł młody lekarz w grubych okularach.

Na ich widok Brzuś i Aleks zmełli pod nosem przekleństwo i porwawszy dyplommatkę z pieniędzmi dali dyla w krzaki, a detektyw Kwass uznał, że tym razem nadarza się naprawdę dobra okazja przeniknięcia do sanatorium, a może nawet do oddziału terapii specjalnej, gdzie spodziewał się znaleźć Marka. Położył się więc z powrotem przy śmietniku i zaczął wydawać żałosne jęki, zdolne wzruszyć najbardziej kamienne serca.

Umilkł dopiero, gdy zobaczył, że dwu strażników i lekarz skręcają w jego stronę. Przymknął oczy. Gardło pomału przestawało go palić, zdjęła go przyjemna senność.

— No, to mamy chyba kolejną ofiarę Brzusia i Aleksa — rzekł lekarz pochylając się nad detektywem.

— Myśli pan, że był w robocie znieczulacz? — zapytał strażnik z wąsikiem jak Chaplin.

— Tak jest. Nie ma wątpliwości — orzekł po krótkim badaniu eskulap. — Oddech płytki, tętno dziwaczne, czuć miętą i spirytusem. — Odciągnął Kwassowi powiekę i zjrzał mu do oka. — Ciężkie zatrucie. Załatwili człowieka znieczulaczem!

— Złośliwe dranie!

— Z tymi z chirurgii plastycznej zawsze są kłopoty. Chcą zmienić twarz, a nie mają za grosz cierpliwości. Zrywają sobie bandaże, infekują sobie mordy, a potem uciekają z oddziału, bo się boją zastrzyków i rozrabiają z nudów. Zupełnie jak dzieci. Pan jest tu nowy... No to napatrzy się pan jeszcze!

— I czemu taki element przyjmuje się na oddział? — dziwił się strażnik z wąsikiem.

Lekarz wzruszył ramionami.

— Bo taki gangster to dochodowy i mało wymagający pacjent. Za przeróbkę twarzy zapłaci najwyższe honorarium bez skrzywienia buzi, nawet jak mu sknoć facjatę, nie robi hecy jak inni, nie handryczy się o krzywy nos, nie zależy mu, żeby stawać do konkursu piękności. Niech zrobią mu twarz byle jak. Żeby tylko rodzona matka go nie poznała... To mu wystarczy.

Wróciło trzech strażników z psami. Dwu z nich prowadziło złapanych opryszków, trzeci niósł odebraną im dyplomatkę.

— No i po co tyle szumu, doktorku — zasapał uśmiechnięty jak gdyby nigdy nic Brzuś — żeśmy poczęstowali tego pana nalewką? Żeśmy chcieli go trochę postraszyć? My tylko tak, na niby, dla sportu i rozrywki... Zabawić się trochę nie wolno?

— Regulamin zabrania wam, ochlapusy, opuszczania sanatorium, gdy wam robimy przeszczepy i operacje plastyczne! — rzekł surowo lekarz. — Żadnego alkoholu!... żadnych wycieczek do baru, żadnych zabaw z klientami pralni. Ile razy mam wam powtarzać?! Zabrać ich i potrać im z kaucji kolejne dwa melony!

— Tak jest doktorze — strażnicy z psami odprowadzili protestujących opryszków do sanatorium.

— A co z nim? — starszy strażnik wskazał na leżącego Kwassa.

— Weźcie go do sanatorium, a potem sprawdźcie, czy figuruje w naszej kartotece i czy ma akceptację. Nazwisko: Krasnobródka, imię — Agapit. Zanotujcie.

ROZDZIAŁ IX

GDZIE SIĘ OBUDZIŁ MAREK • DETEKTYW KWASS ODDAJE
BRUDASY DO PRANIA • ZDEMASKOWANIE

— Obudziłeś się nareszcie — rzekł do Marka człowiek w zielonym kitlu, zapewne lekarz. Miał wesołe siwe oczy, złote okulary i sympatyczną gładko wygoloną twarz. — Brawo! Dzielny chłopak!

— Gdzie ja jestem?! — przestraszony Marek usiadł na łóżku. — Czy to szpital? Co ja tu robię?

— Miałeś małą przygodę, ale już wszystko dobrze — uśmiechnął się doktor. — Miło cię widzieć u nas, Marku!

— Pan mnie zna?

— Widziałem twoje zdjęcie w gazetach. Łatwo było zapamiętać.

— Z powodu piegów?

Doktor i cała asysta roześmiali się głośno.

— Jak się czujesz? — spoważniał doktor, gdy śmiech ustał.

— Okropnie łupie mnie w głowie. Co mi się stało?

— Spadłeś z konia i trochę się potłukłeś.

— Ja?! Z konia?! — zdziwił się Marek.

— Nie pamiętasz? No cóż, to się zdarza w takich wypadkach. Zanik pamięci po urazie głowy, miejmy nadzieję, że ci to przejdzie — wyjaśnił doktor. — Naprawdę nic nie pamiętasz? — dopytywał ciekawie.

— Nic.

— A co pamiętasz?

— No... parę innych rzeczy.

— Na przykład?

— Las. Jeździłem konno po lesie z jednym chłopcem, on się nazywa Szarada. Spotkałem dużo grzybiarzy. Oni mnie chcieli zastrzelić...

— Grzybiarze zastrzelić? — doktor i jego asysta znów roześmiali się rozbawieni. — To już tylko twoja bujna wyobraźnia — doktor poklepał Marka po ramieniu.

Marek zakłopotany przetarł sobie rozpalone czoło. Czy to możliwe, żeby mu się to wszystko tylko zdawało?

— Ale ten koń. . . — wymamrotał.

— Ten koń był prawdziwy — skinął głową doktor. — On nazywa się Ramzes, prawda?

— Tak, wynająłem go w leśniczówce.

— No, właśnie. I tu zaczyna się kłopot. Koń zaginął. Obawiam się, że możesz mieć duże nieprzyjemności. Czy wiesz, ile kosztuje taki koń?

— To nie moja wina — wykrztusił przerażony Marek. — Ten koń to był osioł. . . to znaczy. . . raczej jak mustang nieujędzony, on stawał dęba, on mnie zrzucił!

Markowi łzy stanęły w oczach.

— No, no, uszy do góry — pocieszył go doktor — na razie jesteś tu bezpieczny. Nikomu nie powiemy, że tu jesteś. Nie płacz. Wszystko się dobrze ułoży. Pomyślimy spokojnie i na pewno znajdziemy jakieś wyjście z sytuacji, wytrzymaj śleпка! — podał Markowi dużą lekarską chusteczkę. — Zaufaj nam, znajdujesz się w dobrych rękach i za parę dni wrócisz zdrowy do domu.

— Ja chcę już teraz! — chlipnął Marek.

— Nie możemy cię puścić w takim stanie. Masz wstrząs mózgu i musisz trochę poleżeć, ale zaraz zadzwonimy do twojej mamy, uspokoimy ją, że się znalazłeś i że jesteś pod naszą opieką. Na pewno przyjedzie cię odwiedzić.

— Ja sam zadzwonię!

— O, nie! — zaprotestował doktor — nie wolno ci jeszcze wstawać! W żadnym wypadku nie pozwalam!

— Nic mi nie będzie — Marek chciał zerwać się z łóżka, ale pielęgniarki przytrzymały go mocno.

— Bądź grzeczny — rzekł surowo doktor. — Każdy ruch może ci zaszkodzić; jesteś już dużym chłopcem i powinieneś to zrozumieć, więc leż spokojnie i wytrzymaj te parę dni. Jutro dostaniesz kolorowy telewizorek, żebyś się nie nudził, a teraz zażyj pastylkę i śpij! Twój mózg potrzebuje dużo snu.

* * *

Wnikliwe badanie lekarskie Hippollita Kwassa nie wykazało obrażeń wewnętrznych, toteż po założeniu paru małych opatrunków przewieziono go do dużego pomieszczenia biurowego zwanego Halą Funduszków „Phoenix”, by mógł dokonać odpowiednich wpłat. Ponieważ, jak oświadczył, nie pamiętał numeru swojego konta w „Phoeniksie”, a także nie mógł okazać skradzionych wraz z portfelem dokumentów ani dowodu osobistego, ani legitymacji Klubu „Phoenix”, posadzono go na wygodnej kanapie ze sztucznej skóry, postawiono przy nim (na

wszelki wypadek) strażnika (jednego z tych typów w huzaropodobnym uniformie) i polecono czekać, aż zostanie wywołany. A miało to nastąpić, jak tylko komputer wyciągnie wszystkie dane zapisane pod nazwiskiem Krasnobródka i przygotowuje tak zwaną akceptację.

Kanapa była rzeczywiście wygodna i miękka, lecz detektyw siedział na niej jak na szpilkach dręczony myślą, że upływają drogocenne minuty, a on tkwi tutaj beczynnym, że gdzieś niedaleko, może w tym samym budynku, jego mały przyjaciel Marek oczekuje rozpaczliwie pomocy, a on, sławny Hippollit Kwass, nic nie może zrobić pilnowany przez tego uzbrojonego draba w operetkowym stroju. Co więcej znalazł się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Agenci „Phoeniksa” mogą przecież w każdej chwili odnaleźć jego portfel z dokumentami i cała mistyfikacja wyjdzie na jaw!

Lecz mijały minuty, a nic się strasznego nie stało. Widać poszukiwania portfela nie dały rezultatu — pomyślał i otucha wstąpiła w jego serce. Za wcześniej zwątpił! Zbyt czarno chyba widział sytuację. Trzeba przegnać złe myśli! Odprężyć się! Wierzyć w szczęśliwą gwiazdę rodu Kwassów! Nie jest tak źle! Sprawy idą naprzód. Bądź co bądź udało mu się przeniknąć w głąb tajnych rewirów „Phoeniksa”. Jeśli to miejsce nie jest pralnią, to z pewnością jest kantorem pralni brudnych pieniędzy. Tu się wprawdzie nie pierze, ale przyjmuje do prania. . .

Rozejrzał się ciekawie po hali. Klientów było wielu, lecz w kolejce nie stało się dłużej niż minutę, bo obsługa była ultranowoczesna i sprawna. Salę podzielono na dwie części: wpłat i wypłat. W każdej z nich znajdowało się po sześć skomputeryzowanych stanowisk dyspozytorsko-kasowych. Przy stanowiskach wpłat oznaczonych kolorem czerwonym uwagę zwracały jaskrawocynobrowe leje podobne do wielkiego ucha. Co chwila po przeliczeniu i zaksięgowaniu w komputerach kasjerzy bądź też sami klienci wrzucali do tych lejów pliki banknotów, zapewne były to właśnie owe brudne pieniądze; wessane przez lej wędrowały do centralnego sejfu, gdzie czekały na upranie. W drugim szeregu, przy stanowiskach zielonych raz po raz kwadratowe paszce kas wypluwały paczki posegregowanych banknotów, czeków, akcji i obligacji. . . wprost do waliz, toreb lub teczek klientów. Czyżby to były pieniądze i walory już uprane? Wyglądem nie różniły się od tamtych nie wypranych. Co więc się zmieniło? Dlaczego miałoby je uważać za czyste? Na czym polegał tajemniczy proces prania? W jaki sposób brudasy stawały się czyste? Ciekawa historia, w sam raz dla detektywa. Gdyby tak przy sposobności przeprowadzić w tym kierunku małe śledztwo? Nie, nie. . . odegnąć tę pokusę! Nie powinien o tym nawet myśleć. Ma teraz tylko jeden cel: uwolnić Marka. I tylko to powinno go obchodzić. Uwolnić jak najszybciej Marka! Ale czy zdąży? Czy już nie będzie za późno? Czemu, u licha, to wszystko tak długo trwa. Nawet ci klienci, co przyszli grubo po nim, zostali już dawno załatwieni, a jego nie wywołuje się. Może to nie był dobry pomysł podszywać się pod Krasnobródkę. To przecież oszust, mógł próbować swoich sztuczek także w „Phoeniksie” i jest

tu na czarnej liście. Tak, coś musi być nie w porządku i dlatego przewlekają sprawę. Przecież sama identyfikacja i sprawdzenie danych w komputerze nie mogłyby zająć tyle czasu.

Szarpany nową falą niepokoju wiercił się na kanapie coraz bardziej niecierpliwie. Ale choć hala pustoszała szybko, dopiero gdy ostatni klient zniknął za drzwiami, megafon raczył zachrypieć:

— Pan Krasnowąs proszony jest do stanowiska numer trzy... Powtarzam, pan Krasnowąs do stanowiska numer trzy!

Detektyw poderwał się z kanapy, łatwo było zgadnąć, że to o niego chodzi, ale ponieważ przekręcanie nazwisk przez urzędników zawsze go irytowało jako przejaw bimbalizmu, rzucił ostro w stronę megafonu:

— Proszę nie przekręcać! Nazywam się Krasnobródka.

— Tak jest, przepraszamy, panie Kwaśnobródka. Proszę podejść!

Detektyw pokręcił głową, ale szkoda mu było czasu na użerki, więc już nic nie powiedział i podszedł do stanowiska numer trzy. Czekają tam na niego dwu panów z nader uroczystą miną. Chyba umyślnie zostawiono go na sam ostatek. Czyżby do specjalnego potraktowania? Jeden z urzędników smutny, drobny i łysy o odstających uszach trzymał w ręku walizeczkę-dyplomatkę Agapita, drugi — postawny, o wspaniałej rudej brodzie uściśnął mocno rękę Kwassa z szerokim uśmiechem na rumianej twarzy.

— Kluś — przedstawił się — starszy inspektor Funduszu, a to — wskazał na smutnego urzędnika z dyplomatką — mój asystent pan Męczyk.

— Miło mi — bąknął detektyw.

— Nam też. Przepraszam, że musiał pan czekać tak długo — chrząknął nieco zakłopotany Kluś. — Najmocniej przepraszam, panie... panie Krasnowąsik, za tę przykrą zwłokę.

— Dla ścisłości Krasnobródka — poprawił cierpliwie Kwass.

— Zaraz sprawdzę — Kluś pogrzebał w papierach — a tak, rzeczywiście Kwasobródka — sprostował — otóż zwłoka tłumaczy się tym, że woleliśmy załatwić pana z podwójną dyskrecją, zważywszy na zawartość pańskiej dyplomatki.

— Coś nie w porządku — zaniepokoił się Kwass — jakieś kłopoty?

— Owszem, kłopoty, ale raczej zbytku, lub, jeśli pan woli, od przybytku. Był pan łaskaw pofatygować się do nas z, szacując lekko, pół bilionem starych złotych w twardych walutach DM i USD! W tych wypadkach, pan rozumie, jesteśmy zmuszeni zachować szczególną ostrożność. Należało zebrać dodatkowo informacje o pańskiej szanownej osobie tudzież działalności na polu interesów specjalnych i zobaczyć, co na to powie komputer.

Pół biliona! Kwassowi zakręciło się w głowie. Najwyższym wysiłkiem woli i tylko dzięki detektywistycznej rutynie udało mu się opanować emocje i przybrać z powrotem kamienny wyraz twarzy.

— No, cóż — wycedził strzepując niedbale z rękawa niewidoczny pyłek — udało mi się rozkręcić pewien interesik. Czy to jest źle widziane? Czy budzi zastrzeżenia panów?

— Och, skądże znowu! W rzeczy samej, panie Koziobródka, jesteśmy tylko po prostu pod silnym wrażeniem osiągniętych przez pana zysków.

— A co na to komputer? — zapytał rzeczowo Kwass.

— Komputer zgadza się na warunkową akceptację.

— Warunkową? Jak to?! — zaniepokoił się detektyw.

— Możemy przyjąć pana walory pod warunkiem, że nie wystąpią jakieś komplikacje...

— Gdy będziecie je prac?

Urzednicy skrzywili się.

— Jeśli pan chce użyć tego trywialnego zwrotu — wycedził nie kryjąc niesmaku magister Kluś.

— A czy z taką warunkową akceptacją będę miał wstęp do sanatorium? Chciałem się poddać badaniom — Kwass nie mógł powstrzymać się od pytania.

— Ależ tak, drogi panie Koziobródka. Miło nam będzie pana hospitalizować — zapewnił Kluś. — Zresztą po dokonaniu wpłat przewidujemy i tak dla panów wypoczynek w sanatorium bezzwłoczny i... obowiązkowy — uśmiechnął nieco diabelsko, jak się detektywowi zdawało.

Niemniej przyjął oświadczenie inspektora Klusia z wyraźną ulgą. Grunt, że zapewniają dostęp do sanatorium, o to przecież chodziło. Jeśli szczęście będzie mu dalej sprzyjać, jeszcze dziś wydostanie stąd Marka. Czy jednak zdąży na czas? Czy nie przybędzie za późno?

— Panowie, mnie bardzo się śpieszy — wysapał nie kryjąc zdenerwowania i zerknął na zegarek — chcę, żebyście mnie załatwili ekspresowo. Za dodatkowym wynagrodzeniem. Mam tu na oddziale intensywnej terapii współnika, który za niespełną pół godziny będzie... hm... poddany operacji. Jego stan jest ciężki. Muszę go koniecznie zobaczyć, zanim go wezmą pod nóż!

— Oczywiście, załatwimy pana jak najszybciej — rzekł Kluś — lecz ośmielę się zauważyć, iż niepotrzebnie się pan niepokoi. Dziś mamy przecież trzynastego i pański współnik z pewnością nie zostanie zoperowany, gdyż, jak wiadomo, w dni trzynaste miesiący, jak również w piątki nie wykonuje się u nas żadnych zabiegów ani operacji. Obowiązuje w tym przedmiocie surowy zakaz profesora doktora Llyrdaka. To może wyglądać niepoważnie, lecz profesor, jak każdy genialny człowiek, ma swoje dziwactwa.

— Czy zakaz ten jest ściśle przestrzegany? — chciał się upewnić Kwass.

— Jak najściślej — odparł Kluś. — Profesor Llyrdak surowo go egzekwuje!

Detektyw poczuł, że spada mu kamień z serca. Więc jeszcze nic straconego! Jest szansa i nadzieja. Marek nie mógł być dziś operowany. Los użycza mu wspa-
niałej zwłoki!

— Zatem, gdy panu się śpieszy, przystąpmy do załatwienia formalności — powiedział do Kwassa Męczyk i wskazał na walizeczkę Agapita — oto pańska zguba. Strażnicy odebrali ją, nazwijmy to delikatnie, niesubordynowanym pacjentom z oddziału transplantacji i chirurgii plastycznej. Panowie ci przysparzają nam dużo kłopotów. Mają skłonność do niestosownych zabaw z naszymi strażnikami, zwłaszcza do zabawy w złodziei i policjantów.

— Więc pana zdaniem były to zabawy? — wysapał wzburzony Kwass. — Przecież o mało co nie straciłem życia.

— Czyste zabawy i figle, niepotrzebnie się pan zdenerwował — oświadczył Męczyk — niestety — zrobił smutną minę — portfela pana nie udało się odzyskać. Został gdzieś zagubiony.

No i całe szczęście — pomyślał Kwass — mogę więc teraz bezpiecznie udawać Agapita Krasnobródkę i strugać głupka, żeby wyciągnąć od tych typów jak najwięcej szczegółów o przeprowadzanych tu machinacjach.

Męczyk otworzył walizeczkę.

— Zechce pan przeliczyć i sprawdzić, czy nic nie zginęło.

— To zbędne — rzekł detektyw — mam do panów pełne zaufanie.

— Dziękuję. Przystąpmy zatem do sprawy. Zechce pan wypełnić to i podpisać — Kluś podsunął Kwassowi wielki plik druczków różnych kolorów i rozmiarów.

— Co to? — Kwass wybałuszył oczy.

— Ankiety i formularze. Co roku musi pan zweryfikować i ewentualnie uzupełnić rejestry oraz odnowić zobowiązanie...

— Zobowiązanie? Jakie zobowiązanie? — zaniepokoił się detektyw.

— Zobowiązanie organizacyjne. No i co najważniejsze trzeba będzie, drogi panie Koziobródka, potwierdzić inwestycję...

— Inwestycję?!

— ... którą jest pan zainteresowany oraz wybór funduszu...

— Jakiego, u licha, funduszu?!

— Funduszu „Phoeniksa”, który zamierza pan wspierać.

— Wspierać?! Ja?

— To zwykła rutynowa formalność. Wystarczy, jak sporządzimy aneksy do starych umów i deklaracji.

— Do diabła z waszymi aneksami, do diabła z deklaracjami! — Kwass udał oburzenie. — Co mi tu pan wyjeżdża z jakimiś ankietami i formularzami! Nic nie obchodzą mnie wasze fundusze i inwestycje! Przyjechałem wyprać moje brudasy, chcę zapłacić prowizję za pranie i dostać czystą walutę. To wszystko. Nie rozumiem, po co te ceregiele!

Męczyk spojrział bezradnie na inspektora Klusia.

— Jak to, nie rozumie pan, panie Koziobródka? — jęknął. — Był pan przecież szczegółowo poinformowany; zeszyłem razem straciłem na to pół dnia! Bicie sześć godzin! Nie pamięta pan?

— Nic nie pamiętam — sapał detektyw. — Moja pamięć doznała poważnego uszczerbku wskutek urazu głowy z winy „Phoeniksa”! Panowie nie zapewniają elementarnego bezpieczeństwa klientom. Jak wiadomo, zostałem tu napadnięty i pobity przez opryszków. Proszę więc poinformować mnie jeszcze raz na bieżąco, tylko szybko, krótko i węzłowato, bez gadulstwa i słowotoku, ale rzeczowo i przystępnie!

Asystent Męczyk spojrział zboląłym wzrokiem na Klusia. Inspektor skinął głową.

— Niech pan objaśni pana Krasnowąsą.

— Krasnobródkę — sprostował Kwass.

— Tak jest, Krasnobudkę — jęknął Męczyk. — Otóż chciałbym przypomnieć panu, panie Krasnobudka, że obok innych pożytecznych rzeczy firma nasza świadczy także specjalne usługi dla ludzi interesu prowadzących gorący biznes...

— Gorący biznes? Co to znaczy? — zmarszczył brwi Kwass.

Męczyk chrząknął zakłopotany.

— To znaczy... hm... biznes w branżach cichych...

— Cichych?

— Rzekłbym dyskretnych...

— Dyskretnych?!

— Poza oficjalną urzędową klasyfikacją.

— Nie rozumiem. Zechce pan wyrażać się jaśniej! — naciskał Kwass.

Męczyk zakasłał i spojrział w rozterce na starszego inspektora.

— Śmiało, Męczyk — wycedził spokojnie Kluś przyglądając się bacznie Kwassowi — proszę wyłożyć wszystko panu Kosmatobrodce przystępnie jak dziecku.

— Spróbuję — jęknął zrezygnowany Męczyk. — Otóż panie Kosmatobrodka...

— Krasnobródka! — ryknął Kwass.

— Przepraszam, oczywiście Krasnobudka — wymamrotał płaczliwie Męczyk. — Otóż założmy, że jest pan biznesmenem.

— Jestem biznesmenem — powtórzył Kwass.

— Śmiałym i przedsiębiorczym...

— Śmiałym i przedsiębiorczym — sapał Kwass.

— Bardzo przedsiębiorczym — dodał Kluś.

— Założmy — ciągnął Męczyk — że obraca pan towarem... hm... źle widzianym przez obłudne świętoszkowate władze, lub świadczy pan usługi nie akceptowane przez nieżyciowe ustawy i tępione z całą surowością bezdusznego prawa, czyli krótko mówiąc pracuje pan...

— W szarej lub czarnej strefie? — podpowiedział podniecony detektyw.

— Otóż to — rzekł zadowolony asystent — w dyskretnej strefie mroku! Wi-dzę, że zaczyna pan pojmować w czym rzecz. Tak więc prowadząc takie spe-cyficzne, z natury delikatne interesy, które nie mogą być ujawniane i wymagają przestrzegania ścisłej tajemnicy, nic może pan także dekonspirować płynących z nich dochodów. Jakież to uciążliwe, jak przykre i krzywdzące dla tej katego-rii biznesmenów! Pan sam wie najlepiej! Psuje to całą przyjemność ze zdobycia fortuny, uniemożliwia otwarte, radosne i nieskrępowane korzystanie z zysków, do-brze zasłużonych przecież, bo wypracowanych z dużym nakładem pomysłowości, przebojowości i ryzyka!

— A to wszystko dlatego, że nie ma dla tych pieniążków, sierotek z nieprawe-go łoża, że tak się wyrażę, wiarygodnych metryczek! — westchnął Kwass.

— Właśnie! Nie ma metryczek, jak ładnie pan to ujął. Z tego powodu nie moż-na ich umieszczać normalnie na kontach w banku, nie można lokować w nieru-chomościach, w ziemi i w budownictwie, gdyż takie lokaty od razu wzbudziłyby niebezpieczne podejrzenia, że pochodzą z nielegalnych, w świetle bezdusznego zacofanego prawa źródeł, i prowadziły prosto do ich zdemaskowania przez agen-tów, co węższą po bankach.

— Węższą? Myśli pan?

— Mowa! A do tego ma pan na karku wścibskiego fiskusa.

— Figusa?

— Urząd skarbowy, drogi panie. W końcowym rezultacie popada pan, jak wszyscy ludzie interesu z tej strefy w mniej lub więcej zaznaczoną frustrację — rzecz raczej zgubną dla biznesmena, prowadzącą wprost do umysłowej inkohe-rencji!

Kwass zmarszczył czoło.

— Naprawdę sądzi pan, że grozi mi in. . . inkoherencja?

— Coś znacznie jeszcze gorszego, panie Koziobródka. Daleko posunięta inko-herencja może zaowocować dywergencją — wyjaśnił z diabolicznym uśmiechem Kluś — tak jest, dywergencją! — powtórzył wyraźnie rozkoszując się słowem.

— Wskutek czego — podjął Męczyk — poprzez niebezpieczną dysjunkcję i dysocjację, popada pan szybko w katalepsję, albo jeszcze gorzej w inhibicję generalną, co prowadzi nieuchronnie do kompletnej inkongruencji, a to już gro-zi głęboką enteroptozą, a w następstwie ogólną klapseologią psychosomatyczną przy towarzyszącej dyspepsji i galopującej perystaltyce! Zdaje się, że wyłożyłem panu przystępnie i zrozumiale?

— Tak, ma pan dar jasnego tłumaczenia — mruknął detektyw, poruszył się niecierpliwie i bystro zmierzył wzrokiem Klusia i Męczyka. Już od paru minut podejrzewał, że ci panowie zagadując go i nudząc umyślnie przewlekają sprawę, a przez ten czas ich eksperci sprawdzają go w komputerach, co może się skończyć dla niego tragicznie. Postanowił więc przerwać tę zabawę.

— Dziękuję za dogłębne wprowadzenie mnie w problematykę brudnych pieniędzy. Jak się domyślam, dylemat ten został przez panów pomyślnie rozwiązany. Jeśli pieniążki są brudne, trzeba je po prostu wyprać.

— Prać? Fe, co za słowo! — zgorszył się Kluś i skrzywił, jakby go zabolął ząb, a asystent Męczyk wyprostował się z godnością i oświadczył:

— Pan wybaczy, panie Kwasobródko, lecz używa pan określeń gazeciarskiego żargonu i doprawdy nie bardzo rozumiem, co pan dokładnie ma na myśli. . .

— Czyżby?! — zaszydził Kwass. — Dość już mam tej komedii! Bez zgrywania się na świętoszków, panowie. Nazwijmy rzeczy po imieniu. Wiem, że prowadzicie tu pralnię i pierzecie brudne pieniądze, a ja właśnie przywozłem sporo do uprania, lecz zachowanie panów coraz mniej mi się podoba i sprawa zaczyna mnie wkurzać, ponieważ widzę wyraźnie, iż panowie świadomie grają na zwłokę. Prosiłem o informację krótką i węzłową tudzież wyłożoną prostym, przystępnym językiem, a panowie sprytnie kołują nudząc mnie i dręcząc dziwnymi mądralizmami, których nie mam już cierpliwości słuchać!

— Ależ panie Kosmobródko!. . . — wzburzony Kluś zamachał rękami w geście protestu.

— Jak pan powiedział? „Kosmobródko?” — podchwycił detektyw — nie, tego już za wiele!

— Przepraszam — zmieszał się Kluś. — Chciałem powiedzieć „Koziobródko”.

— Co takiego?! „Koziobródko?!” Jeszcze lepiej! Pan tu sobie urządza z klientów kpiny.

— To niechący — wybełkotał Kluś. — Niech mi pan wierzy, to czysty lapsus.

— To czysty skandal! — Kwass wsiadł na niego. — Po tylu pańskich błędach i moich sprostowaniach wciąż nie potrafi pan poprawnie wymówić mojego nazwiska. Niesłychane! Starszy inspektor! Co za poziom, co za upadek zawodu! Żegnam panów! Rezygnuję z prania. Wypiorę u konkurencji, w pralni Alberta Flasza! — porwał walizkę i ruszył do wyjścia.

Urzednicy rzucili się za nim.

— Błagam o wybaczenie! Zwijam się ze wstydu! Pańska krytyka jest ze wszech miar zasłużona. . . — kajał się Kluś. — Miałem ciężki dzień. . . W domu teściowa, a na giełdzie bessy. Od rana ponoszę niewyobrażalne straty.

Po trwających dziesięć minut błaganiach Hippollit Kwass dał się wreszcie przeprosić i udobruchać.

— No, dobrze, tylko już bez bajerów — powiedział — bez krygowania się, panowie, treściwie i krótko. Ale zanim panowie przystąpią do dzieła, chcę się upewnić, czy moje walory będą fachowo wyprane niczym w bryzie extra albo w pollenie. I czy nie spotkają mnie jakieś przykre niespodzianki.

— Może pan być spokojny. Zdecydowanie odrzucamy sposoby prymitywne, ograniczone i ryzykowne. Stosujemy nowoczesne metody, równie efektywne jak bezpieczne — zapewnił inspektor Kluś.

— A konkretnie? Jak to się wszystko odbywa?

— Poprzez uczestnictwo w funduszach „Phoeniksa” — odparł Kluś.

— Mówiąc po ludzku: mam bulić trefną forszę na te jakieś fundusze?

Kluś zeszywniał.

— My to nazywamy inwestowaniem — rzekł chłodno. — W naszym katalogu mamy bogaty wybór atrakcyjnych inwestycji dla biznesmenów pańskiego formatu. Specjalnie dla dżentelmenów takich jak pan oferujemy oryginalne nietuzinkowe warianty — w oczach inspektora zabłyśła szydercza iskierka. — Niestety nie możemy nic zrobić bez minimum tych, jak pan był łaskaw określić, ceregieli.

— Cóż to za oryginalne warianty? — zainteresował się detektyw. — Chciałbym poznać je bliżej.

— Oczywiście — inspektor skinął na asystenta. — Kolego Męczyk, proszę objaśnić pana Krasnobródkę.

— Tylko krótko i węzłowato — zastrzegł Kwass.

— Pamiętamy — Kluś uśmiechnął się fałszywie. — Kolego Męczyk, słyszał pan: tylko krótko i węzłowato.

— Tak jest! — wybełkotał Męczyk i z nieszczęśliwą miną zwrócił się do Kwassa. — Najbardziej godne polecenia w pana przypadku widziałbym trzy warianty specjalne — oznajmił płaczliwie. — Pierwszy z nich to... to FUPPI.

— PUPPI? — Kwass uniósł do góry brwi.

— FUPPI.

— Co za lichy? — Kwass uniósł brwi do góry.

— To Fundusz Popierania Pomysłowych Inicjatyw. Wpłaca pan na ten szlachetny cel odpowiednio wysoką kwotę, a po krótkim okresie karencji zgłasza pan Funduszowi swój pomysł...

— Pomysł? — Kwass zamrugał oczami. — A jak nie mam pomysłu?

— Drogi panie — włączył się Kluś — każdy może mieć jakiś pomysł.

— A jak to będzie niemądry pomysł?

— Nie szkodzi. Nie oceniamy wartości pomysłu. Chodzi po prostu o podkładkę, by móc panu wypłacić NAGRODĘ za pomysłową inicjatywę.

— Prócz tego — dodał Męczyk — dostaje pan z Funduszu pożyczkę na inkubację...

— Inkubację?

— Powiedzmy... wylęg nowych pomysłów. Pożyczka ta zostaje następnie szybko umorzona. Oczywiście zarówno nagroda jak pożyczka nie mogą razem być wyższe...

— Od wpłaconej przeze mnie kwoty na FUPPI — dokończył detektyw.

— Tak jest. Będzie to po prostu zwrot powierzonych nam pieniędzy z potrąceniem dziesięcioprocentowej marży z tym, że będą to już...

— Czyste, wyprane pieniądze?

— Oczywiście! Widzę, że chwyta pan już w lot — ucieszył się Kluś. — Otrzyma pan nieskazitelne walory z metryczką. Nikt się nie przyczepi! Jak można się przyczepić do nagrody czy pożyczki wypłaconej z legalnego Funduszu? A więc polecamy FUPPI, choć równie korzystną, a z pewnością bardziej pociągającą dla dżentelmenów w pana wieku formą inwestowania kłopotliwych... hm... brudaszków mogłyby się okazać nasze ubezpieczenia zdrowotne „Phoenix”.

— Prowadzicie także ubezpieczenia zdrowotne? — zainteresował się detektyw. — To może być faktycznie ciekawe. Chętnie zapoznam się z nimi.

— A zatem proszę posłuchać uważnie. Kolego Męczyk, zechce pan objaśnić pana Krasnobródkę.

Męczyk odchrząknął.

— Formalności są proste. Wykupuje pan za swoje... hm... brudaski polisę naszego Towarzystwa.

— Wykupuję polisę — zamruczał Kwass.

— Zgłasza się pan do gabinetu diagnoz „Phoenixa”.

— Zgłaszam się do gabinetu...

— Nasi lekarze stwierdzają u pana chorobę...

— Chorobę? Ależ ja czuję się świetnie.

— Nie jest ważne, jak pan się czuje, tylko co stwierdzą nasi lekarze — oznajmił zniecierpliwiony inspektor. — A lekarze stwierdzą u pana ciężką chorobę i dziewięćdziesiąt procent inwalidztwa. I to będzie podstawą do wypłacenia panu całej kwoty ubezpieczenia w ciągu kilku dni, które spędzi pan przyjemnie w naszym luksusowym sanatorium.

— Znakomicie! — rzekł podniecony detektyw. — To mi bardzo odpowiada. Mój psychiatra zalecił mi dłuższy pobyt w sanatorium.

„Te ubezpieczenia zdrowotne to coś w sam raz dla mnie — pomyślał detektyw. — Dzięki nim będę mógł bez wzbudzania podejrzeń przeniknąć do sanatorium i uratować Marka”. A głośno powiedział:

— Świetnie się składa. Mam tylko jedno pytanie: czy będę mógł tam grać w ping-ponga?

Kluś i Męczyk zaskoczeni wymienili spojrzenia, po czym Kluś roześmiał się.

— Oczywiście, że będzie pan mógł. To specjalne sanatorium. Zapewniamy luksusowe warunki, pełny relaks, wszelkie rozrywki do wyboru, do dyspozycji wyśmienita kuchnia, bufety, kasyna gry, bilardy, siłownie, baseny, sauny, gabinety odnowy BIO, no i ping-pong też! A poza tym będzie pan mógł nawiązywać pożyteczne kontakty z poważnymi ludźmi interesu szarej strefy. Nasi, hm... pacjenci bardzo je sobie cenią. Ani się pan spostrzeże jak minie tych parę dni przyjemnego oczekiwania i dostanie pan z powrotem swoje pieniądze.

— Już wyprane? — Kwass zrobił rozanieloną minę — już czyściutkie?

— Tak jest. Nie do zakwestionowania! — oświadczył twardo inspektor Kluś. — Bo któż może zakwestionować pieniądze wypłacone biednym inwalidom i ciężko chorym z polisy ubezpieczenia zdrowotnego! Czy istnieje bardziej niewinna metryczka dla waluty?

— I będę mógł sobie założyć normalne konto w PKO?

— W każdym banku, drogi inwestorze. Nikt panu nic nie robi. Od tej chwili ma pan pełną swobodę otwartego dysponowania swoim kapitałem. Z taką niewinną forszą może pan robić wszystko, może pan szaleć, hulać, dokonywać orgii konsumpcji, może pan grać na giełdzie, spekulować, korumpować, demoralizować... wszystko pan może. To będą pieniądze poza wszelkim podejrzeniem.

— Hm... — Kwass nie był wciąż do końca pewny. — A czy mógłbym za takie wyprane pieniądze zafundować prokuratorowi kolację w Mariocie i nie wpadnę?

— Nie wpadnie pan, ale czy prokurator zechce skorzystać z zaproszenia nieznanego rencisty?

— Ma pan rację, może nie skorzystać. To nie jest dobry przykład... Ale czy mógłbym dać miliard na biednych i nie złapałoby mnie za rączkę?

— Na biednych? — skrzywił się Kluś. — Miliard?!

— Tak, miliard starych złotych.

— No, mógłby pan, ale po co? — zapytał trzeźwo Kluś. — Czy nie lepiej obrócić parę razy tą sumką, żeby się ładnie zaokrągliła?

— Panowie fascynujecie mnie — oświadczył detektyw. — Coraz większej naberam ochoty powierzyć wam moje brudasy do prania, ale wspomnieliście jeszcze o trzeciej ofercie...

— W rzeczy samej, ale nie wiem, czy naprawdę odpowiadałyby panu — inspektor Kluś przyglądał się krytycznie Kwassowi. — Jest to oferta specjalna dla biznesmenów o duszy wrażliwej na sztukę i wyraźnych ciągotach artystycznych. Nie wydaje mi się, aby pan...

— Mam duszę wrażliwą — zapewnił detektyw.

— Bierna wrażliwość nie wystarczy. Czy odczuwał pan kiedykolwiek nieodpartą potrzebę?...

— Potrzebę? W jakim sensie?

— Twórczym oczywiście. Czy kochało pana wypowiedzieć się artystycznie? Wywnętrzyć? Czy próbował pan utrwalić swą wypowiedź na płótnie lub na kartach książki?

— Owszem, próbowałem na ścianie.

— Sgraffito? Kiedy?

— Gdy chodziłem do przedszkola, smarowałem gdzie się dało, lecz przyłapano mnie i dostałem wciry...

— Stłumiono pana naturalne skłonności, zablokowano rozwój artystyczny, lecz w głębi ducha wciąż czuje się pan artystą, czyż nie tak?

— Tak, owszem, w pewnym sensie... Nie zaprzeczam.

— A czy wie pan, co jest prawdziwą sztuką?

Detektyw chrząknął.

— Obawiam się, że nie... to znaczy... niezupełnie...

— Prawdziwą sztuką, drogi panie, jest być artystą nie tylko dyplomowanym, lecz także kupowanym!

— Kupowanym?! — Kwass ożywił się. — Nie śmiałem nawet marzyć.

— A to właśnie zapewni panu FIKALBI — nasz Fundusz Instytutu Kształcenia Artystycznego Ludzi Biznesu. Spełnią się pana najskrytsze marzenia, które pan pieścił od dziecka...

— Czy to możliwe?!

— Ależ tak, drogi panie Krasnobródka! Wystarczy, jak zapisze się pan na jeden z dwutygodniowych kursów twórczych, które FIKALBI prowadzi, na przykład na kurs pod hasłem: Będę Malarzem, albo na kurs pod hasłem: Będę Pisarzem. Warunki nader zachęcające. Wnosi pan odpowiednio wysoki wkład finansowy do Funduszu, obejmujący opłatę za kurs oraz ryczałt za stumiesięczny względnie dożywotni pobyt w Domu Pracy Twórczej „Phoeniksa”, a nadto za pełne wyposażenie pana w pędzle, farby, płótna, blejtramy, we wszystko, co potrzebne do studiów malarskich ewentualnie literackich...

— Łącznie z elektryczną maszyną do pisania? — zainteresował się detektyw.

— Łącznie z komputerem i drukarką, jeśli chodzi o ścisłość — sprostował łagodnie z uśmiechem Kluś. — Maszyna do pisania to przestarzały rekwizyt. Stawiamy na nowoczesność! Na każdym polu, także twórczym. Jak pan widzi oferta ze wszech miar atrakcyjna, choć dość kosztowna, ale przynajmniej pan wie, za co płaci! A płacić warto, bo po zakończeniu kursu FIKALBI gwarantuje panu patent dyplomowanego malarza lub dyplomowanego literata, a prócz tego... uwaga, uwaga... zapewnia panu zakup wszystkich spłodzonych przez pana dzieł zarówno plastycznych jak pisarskich.

— Naprawdę wszystkich? — zdumiał się detektyw.

— Tak jest. Dokładnie tak! Cokolwiek pan spłodzi, czy, przepraszam za wyrażenie, naknoci, zostanie zakupione przez Fundusz.

— Cokolwiek naknocę, będzie kupione! — wykrzyknął rozpromieniony detektyw. — To cudowne! Czy to pewne?

— Ależ tak, chociaż nie ma w tym cudu. Wszystko to robimy tylko po to, by móc zwrócić panu pańskie pieniądze, ale już odmienione...

— Wyprane!

— Czyściuteńkie, w szlachetnej postaci honorarium autorskiego.

— Genialne! — nie taił zachwyty detektyw. — Zostać artystą nie tylko dyplomowanym, ale także kupowanym, a przy okazji wyprać brudną walutę! Potrójna przyjemność i pełna satysfakcja. Idę na to! Przejdźmy więc do interesu. Ile wyniesie prowizja panów?

— To zależy, w co pan inwestuje, oraz na ile funduszy pan wpłaca. Prowizja z kosztami wyniesie piętnaście procent, jeśli inwestuje pan w jeden fundusz, dziesięć procent, jeśli inwestuje pan w dwa fundusze, i tylko pięć procent, jeśli inwestuje pan we wszystkie trzy fundusze.

— Idę na całość — zdecydował ochoczo Kwass. — Wypiorę za jednym zamachem wszystkie brudy z tej walizki, co się tylko da! Ale zaraz, panowie — zreflektował się nagle — jednego nie rozumiem. Czy te olbrzymie kwoty wpłacane na rzecz waszych Fundacji nie budzą podejrzeń władz? Na zdrowy rozum ci wszyscy wasi klienci z trefną walutą powinni być szybko zdemaskowani.

— Och, nie ma najmniejszej obawy — zapewnił inspektor Kluś. — Mamy swoje sposoby.

— Jakie?

— Niestety nie mogę zdradzić, to nasz sekret firmowy. Ale może pan spać spokojnie. Swoje chwalebne przedsięwzięcia „Phoenix” bezpiecznie prowadzi już od lat pięciu. Czy słyszał pan, by ktoś z tytułu uczestnictwa w Funduszach popadł w jakiegokolwiek kłopoty?

— No nie.

— Więc proszę wyzbąć się wszelkich wątpliwości. Więcej zaufania do „Phoeniksa”, drogi inwestorze.

— Faktycznie powinienem chyba panom zaufać — oświadczył Kwass. — Wasza elokwencja przekonała mnie, panowie.

— Miło usłyszeć. Zatem proszę podpisać — inspektor Kluś ponownie podsunął detektywowi formularze.

Kwass przejrzał je i zmarszczył czoło.

— Nie widzę tu nigdzie mojego nazwiska i wpłaconej przeze mnie kwoty, tylko jakieś znaczki. To chyba nie przeoczenie?

— Istotnie, nie przeoczenie — odparł Kluś

— Ach, więc na tym polega ten wasz „sposób”. Po prostu wpłaty są anonimowe!

— Nie, to nie tak. Wpłaty na fundusze nie są anonimowe, są tylko utajnione!

— Zasyfrowane?

— Otóż to. Jawna, do wglądu władz jest tylko kartoteka z nazwiskami członków funduszków i wykazy wpłacanych przez nich niewielkich składek członkowskich...

— Rozumiem — przerwał Kwass — właściwe wpłaty, to znaczy brudne pieniądze do prania, pardon — chrząknął widząc że Kluś krzywi się boleśnie — chciałem powiedzieć: kwoty bez metryczki, wpłacane na rzecz funduszy, chowacie przemyślnie zakodowane. Głęboko chowacie.

— Tak jest, bardzo głęboko. Powierzamy je równie dyskretnej jak niezawodnej pamięci naszych superkomputerów i wsadzamy do sekretnego sejfku, zaś naszym klientom, naszym drogim inwestorom wystarczy numer konta i hasło speł-

niające funkcję klucza. Znajdzie je pan tutaj — inspektor wręczył Kwassowi zieloną kopertę — proszę nauczyć się ich na pamięć, a zapis zniszczyć lub dobrze ukryć. A teraz prosimy o te pańskie brudaski.

Kwass podał im walizkę. Męczyk wsypał banknoty do wirującego bębna przy pulpicie stanowiska, gdzie zostały uporządkowane i policzone, a następnie wypchnięte do długiego koryta pomału zaczęły się przesuwac w stronę wielkiej muszli cynobrowego leja.

— Stąd trafią do gardzieli kontrolnej — wyjaśnił Kluś — gdzie zostaną zbądane, uporządkowane i policzone.

— A stamtąd już prosto do brzucha centralnego sejf u wyssane jak mleczko ze smoczka — dodał z krzywym uśmiechem Męczyk.

— Ale wielu klientów woli wsypywać walutę do leja własnoręcznie — Kluś zatrzymał transporter — doskonale ich rozumiem. To przyjemnie zanurzyć ręce w takiej masie pieniążków, pieścić je, słuchać ich rozkosznego szelestu — to mówiąc nabrał pełną garść banknotów, przymrużywszy oczy miętosił je z lubością przez dłuższą chwilę, a potem wrzucił z westchnieniem do leja. — Proszę — zachęcił Kwassa — niech pan sam spróbuje.

Detektyw z niezbyt mądrą miną wziął kilka banknotów i próbował miętosić, ale nie doznał przyjemności.

— Nie będę sobie brudził rąk — mruknął — niech pan włączy transporter — wrzucił banknoty do leja i odruchowo otarł palce o spodnie.

Kluś dał znak Męczykowi. Asystent nacisnął pierwszy guzik przy pulpicie. Lej czknął dwa razy i transporter ruszył. Kwass pochylił się ciekawie nad czeluścią leja.

— Czy nie zdarza się zatkanie gardzieli? — zapytał.

— Wykluczone — odparł Męczyk — siła ssania jest zbyt duża.

— No, to lu! Na cały regulator! — popędził go detektyw — kończmy szybko tę zabawę!

Męczyk nacisnął drugi i trzeci guzik. Lej prychnął, zachłysnął się w pierwszej chwili, a potem już tylko z cichym jednostajnym szumem zaczął spieszenie łykać pieniądze.

Ledwie jednak pierwsze banknoty dotarły do jego gardzieli, zajęczała alarmowa syrena. Wszyscy kasjerzy znieruchomieli przy swoich stanowiskach. Inspektor Kluś i Męczyk rzucili się do komputera. Na jego ekranie pojawiły się czerwone pulsujące napisy. Popiskiwał żałośnie.

Wszyscy przenieśli oskarżycielski wzrok na Kwassa. Detektyw chrząknął zakłopotany, nie wiedział, o co chodzi. Syrena wyła coraz natarczywiej, komputer pisał coraz głośniejsze, na ekranie wyskakiwały co trochę wykrzykniki i czerwone znaki zapytania, z głębi leja wydobywały się potępięcze jęki i stękania, ale najbardziej spektakularne widowisko miało dopiero nastąpić. Oto bowiem nagle lej zakrzuszył się, zagulgotał, charknął z obrzydzenia i... zwymiotował gwałtow-

nie wszystkie połknięte banknoty. Wyrzucone siłą erupcji wulkanicznej aż pod sufit spadły niesamowitym deszczem na skamieniałych urzędników.

Gdy ostatni dolar wylądował na podłodze, syrena ucichła. Wtedy Męczyk ze spuszczonej oczyma, jakby wstydząc się za Kwassa podszedł do pulpitu i wyłączył całe urządzenie, natomiast Kluś z zeszywniałą z gniewu twarzą nabrał z pulpitu garść rozsypanych banknotów i wepchał zaskoczonemu detektywowi do ust.

— Masz! Weź pan! Udław się nimi! — wysapał trzęsąc rudą brodą.

— Co pan robi?! Pan oszalał! — wykrztusił Kwass wypluwając ze wstrętem dolary.

— Nie z nami te numery, panie Koziobródka! — bulgotał wzburzony inspektor. — My tu pracujemy uczciwie i żądamy minimum uczciwości od klientów. Jak pan śmiał wtykać nam podrobioną walutę?! Już dawno nie spotkałem się z podobną bezczelnością! Próbować nabrać nas na pół biliona brudasów! Na szczęście nasze najnowsze urządzenia kontrolne potrafią wykryć najbardziej sprytnie fałszerstwo...

— Co takiego? — jęknął Kwass słabym głosem — moje pieniądze fałszywe? Ja... ja nic nie wiem! Naprawdę nie rozumiem... może zamienili je złoczyńcy. Walizka była wystarczająco długo w ich posiadaniu — próbował beznadziejnie się bronić, ale inspektor Kluś przerwał mu ostro.

— Niech pan nie plecie głodnych michałków. Tamci ludzie to prymitywy, a pan jest starym oszustem wyłysiałym na kantach! Wystarczy spojrzeć na pana. Od początku pan mi wyglądał podejrzanie, panie Krasobrewka! Ta lisia twarz, te chytne oczka...

Kwass zrozumiał, że brzydtko wdepnął i klnąc w duchu swój fatalny pomysł, by udawać Krasnobródkę uznał, że w tej sytuacji najroztropniej będzie dać dyla.

— To ja już sobie pójdę... — bąknął i ruszył do drzwi, ale zatrzymali go przytomnie kasjerzy.

— Nigdzie pan nie pójdzie — oznajmił groźnie Kluś. — Takie zagrania u nas nie uchodzą na sucho. U nas się za to płaci. To będzie pana drogo kosztować, panie Kozibródka!

— Ależ panowie... — jęknął przerażony detektyw. — Obawiam się, że nie jestem tym, z kogo mnie bierzecie... tu zaszło jakieś poplątanie... Ma to zapewne związek z urazem mojej głowy i utratą pamięci... Zastanawiam się, czy w ogóle jestem Krasnobródką i szefem samochodowego gangu. To zupełnie nie pasuje do moich zasad moralnych — zaaferowany pocierał sobie głowę. — Żeby tylko mógł sobie przypomnieć, skąd się tu wziąłem z tą walizką pieniędzy... Zaraz... zaraz, panowie, chodzą mi po głowie dziwne rytmy, mój zawód ma chyba coś wspólnego z tańcem? — Chwycił nagle w ramiona zaskoczonego Męczyka i wykonał z nim coś w rodzaju „pas de deux”.

— No, no, tylko bez sztuczek! Dość tej komedii! — inspektor przerwał energicznie taneczne popisy detektywa. — Błaznowanie nic ci nie pomoże, Koziobródka!

bródka. Jesteś bezczelnym oszustem, ale zaraz wyśpiewasz nam wszystko. Pracujesz na własną rękę, czy jesteś agentem Flasza?

— Ależ panowie!... Robicie straszną omyłkę! Coś mi się przejaśnia w głowie... tak... moja dziurawa pamięć regeneruje się pomału. Z całą pewnością nie jestem Krasnobródką, ani żadnym agentem. Nie mam już żadnych wątpliwości, funkcjonuję jako baletmistrz...

— Baletmistrz?! A to dobre — zarechotał Kluś, a Męczyk zawtórował mu podobnym do czkawki przerywanym chichotem. — Taki z ciebie baletmistrz, jak ze mnie król cygański.

— Ulica Karolkowa. Może pan sprawdzić. Prowadzę szkołę tańca towarzyskiego.

— A wiesz, maestro, że my też... — wycedził Kluś. — Ciekawe byłoby zobaczyć, jak będziesz tańczył w naszej szkółce.

— Nie rozumiem.

— Zaraz zrozumiesz, jak weźmiemy cię w obroty. Co byś powiedział na mały dokształcający kurs?

— Czy to konieczne? — przestraszył się detektyw. — Nie jestem dysponowany.

— To niezbędne! Skuteczny środek, żeby przywrócić ci pamięć i zachęcić do szczerych wyznań. Wystarczy, jak sobie poskaczesz godzinkę... i wykonasz odpowiednie piruety!

— Nie sądzę, abym był zdolny, mam zadyszkę, zawroty głowy...

— Detal! Czy widzisz te pancerne drzwi na lewo? Mamy tu pod ręką znakomitych lekarzy i całe sanatorium. Szybko pomogą ci się pozbierać, po jednodniowej kuracji będziesz tańczył jak niedźwiedź smorgoński. Brać go! — krzyknął Kluś do kasjerów.

Kasjerzy chwycili przerażonego detektywa pod ramiona i oddali w ręce agentów ochrony, którzy właśnie wkroczyli do hali.

— Na oddział specjalny z nim! — zagrział Kluś.

Agenci wywlekli spiesznie Kwassa przez pancerne drzwi. Zdążył jednak zauważyć, że otwierają się od tej strony łatwo i automatycznie za naciśnięciem pomarańczowego przycisku w marmurowym obramieniu.

ROZDZIAŁ X

STRASZNY SEN MARKA • W RĘKACH ZBRODNICZYCH CHIRURGÓW • BĄBLOWIEC RYJKOWATY • CZY MOŻNA LICZYĆ NA CHRYZOSTOMA CHERLAWEGO? • LODY PISTACJOWE, CZYLI WAŻNY TROP

Była już głęboka noc, a Marek ciągle jeszcze nie spał. Leżał przerażony, z bijącym mocno sercem i bał się zmrużyć oczy. To prawda, że wszyscy tu byli dla niego bardzo mili, jeszcze tego wieczoru przyniesiono mu do pokoju kolorowy telewizorek, a na deser po kolacji dostał ulubione lody pistacjowe; mimo to nie mógł pozbyć się dławiącego lęku. Pamiętał dobrze, co o „Phoeniksie” mówił detektyw Kwass i co Buba mówiła o doktorze Llyrdaku, więc postanowił mieć się na baczności...

Ale gdzieś chyba nad ranem zdarzyła się niespodziewana historia. Oto bowiem za oknem rozległo się rżenie konia. I to całkiem blisko. Marek nie mógł się oprzeć ciekawości, wbrew zaleceniom lekarzy wstał z łóżka i ostrożnie wyjrzał przez okno, wydawało mu się, że rozpoznaje to rżenie. Ramzes? Skąd by się tutaj wziął?! A jednak to był Ramzes! Stał pod oknem osiodłany, gotowy do jazdy i niecierpliwie stukał kopytem w ziemię.

Oczywiście Marek nie mógł się oprzeć pokusie. Bez namysłu wlaź na parapet i obejrzawszy się, czy nikt nie widzi, zeskoczył na grzbiet wierzchowca. Niby ten sam Ramzes, ale co za odmiana! Z miejsca poderwał się do galopu, przesadził ogrodzenie jak wyścigowy koń przeszkodę na torze i nim się senni strażnicy zorientowali, już popędził pustą ulicą do lasu. To była równie cudowna jak szalona jazda. Gdy znaleźli się w lesie, Marek chciał nieco przyhamować, ale wtedy okazało się, że Ramzes wcale go nie słucha i pędzi dalej jak huragan nie zważając na drzewa. Co chwila Marek drętwiał ze strachu, bo zdawało się, że już uderzą w pień, ale za każdym razem jakimś cudem Ramzes o milimetry mijał szczęśliwie przeszkody. A żeby było jeszcze straszniej las nagle zaroił się od fałszywych grzybiarzy, wszędzie widać było ich żółte kaptury; kryli się kucając za drzewami, czaili się w gęstych zaroślach. Marek wiedział, że czyhają na jego upadek...

Raptem z głębi lasu wybiegli leśnicy w zielonych mundurach.

— Stój! — krzyczeli do Marka — Zabijesz siebie i konia! Nieletnim jazda w tym lesie jest surowo wzbroniona!

Marek na ich widok spociał się dodatkowo i żeby nie rozpoznali jego twarzy położył się niemal na koniu lepiąc się do końskiej szyi. Miał nadzieję, że wkrótce Ramzes wyniesie go na otwartą przestrzeń i niebezpieczeństwo minie, ale nie docenił leśników; na końcu lasu zastawili wielką sieć! Ramzes nie zauważył jej na czas i z impetem wpadł na nią. Marek poczuł, że potężna siła wyrzuca go z siodła; załupało go w głowie i ogarnęła go ciemność. Chyba na krótki czas stracił przytomność, bo kiedy otworzył oczy zobaczył, że leży na mchu, a nad nim pochylają się zakapturzeni ludzie. I nowy dreszcz go przeszedł; to byli ci fałszywi grzybiarze. Czyżby na nic cała ucieczka? Czy wszystko powtórzy się jeszcze raz? Znów obezwładnią go i zamkną w sanatorium? Co robić? Gdzie podziali się leśnicy? Czyżby to także byli przebrani agenci?

Nagle z zarośli wyjrzały dwie znajome twarze. Co za ulga! Marek rozpoznał od razu, to detektyw Kwass i pani Horosz-Bałabajska. Podobni do Jasia i Małgosi z bajki wybiegli uśmiechnięci na ścieżkę trzymając się za ręce. Na ubraniu pełno mieli suchego igliwia. . . Zajęci sobą nawet nie zwrócili uwagi na Marka.

— Panie Hippollicie! — wykrztusił Marek — czy pan nie widzi? To ja, Marek. Niech pan mnie wyprowadzi z tego lasu, boję się, tu pełno złych ludzi, niech pan mnie ratuje!

— Daj mi spokój, chłopcze — skrzywił się Kwass — to przecież tylko grzybiarze. Boisz się grzybiarzy?

— To nie grzybiarze, to przebrani agenci. W tych koszykach zamiast grzybów mają pistolety, niech pan im zajrzy! Proszę, był pan przecież moim przyjacielem, zawsze mnie pan bronił!

— Nasza przyjaźń się skończyła, chłopcze — oświadczył zimno detektyw. — Nie dotrzymałeś słowa, wymknałeś się z pensjonatu i jeździłeś konno po lesie. Namówiłeś biednego Tytusa do niecnego uczynku, zdemoralizowałeś niewinnego chłopca. . .

— To nie tak, ja panu wytłumaczę — przerwał Marek.

— Nie chcę słuchać twoich wykrętów.

— Ja przepraszam. . . ja nie chciałem. . .

— Żadne przeprosiny tu nic nie pomogą! Przez ciebie najadłem się wstydu, oczami musiałem świecić! I nabawiłem się kompleksów. Obrzydziłeś mi na zawsze szlachetną profesję detektywa. . . Szczęściem spotkałem tę oto piękną kobietę. Chcę przy niej rozpocząć nowe życie. Nie zważając zupełnie na Marka zaczął całować się z panią Horosz-Bałabajską.

— Ależ, panie Hippollicie — wykrztusił Marek — pan nie może, pan nie powinien. . . z taką wiedzą i talentami?!

— Ani słowa! — zgasił go Kwass. — Chodź, kochanie — rzekł czule do pani Horosz-Bałabajskiej — pójdziemy zbierać jagódki!

— A co ze mną?! — jęknął Marek.

— Tobą niech się zajmie policja — odburknął Kwass. Ujął za rączkę zarumienioną panią Horosz-Bałabajską, po czym oboje podskakując wesoło jak dzieci pobiegli w rozświetlony słońcem bór.

Marek zerwał się i chciał pobiec za nimi, ale drogę zagrodziło mu pięciu policjantów.

— Spokojnie, Piegus! — powiedział chudy funkcjonariusz w randze aspiranta. — Przyszliśmy po ciebie. Czy pójdziesz grzecznie, czy mamy ci założyć kajdanki i przyłożyć pałą?

— Pójdę grzecznie — zgodził się od razu Marek, bo już wołał policjantów od tych opryszków w żółtych kapturach. — Zabierzcie mnie stąd jak najprędzej!

— Tak ci się śpieszy? — aspirant spojrzał na niego podejrzliwie. — Co ty jeszcze masz na sumieniu oprócz tej końskiej sprawy?

— Powiemy, co ma — rzekli zakapturzeni grzybiarze okrążając Marka i policjantów. — Złożymy nadzwyczajne zeznania. W tym lesie dzieją się różne rzeczy i mamy dużo do powiedzenia, ale najpierw musimy dokończyć grzybobrania. Wy też, panowie policjanci, powinniście skorzystać z okazji, jak już jesteście w tym grzybnym miejscu i poszukać podgrzybków. Wiemy, że macie na to ochotę. Patrzcie, tam leżą puste kobiałki przy ścieżce, weźcie je sobie.

— Przykro nam — westchnął z żalem aspirant — ale musimy pilnować Piegusa.

— Piegus wam nie ucieknie. Już my go popilnujemy! — zarechotali fałszywi grzybiarze. — Co wam szkodzi wyskoczyć na pięć minut?

— Nie! Nie słuchajcie ich! — wykrzyknął przestraszony Marek — to przebrani bandyci!

Ale policjanci nie słuchali go. Marek jakby przestał ich obchodzić. Łakomym wzrokiem obrzucili kobiałki i tęsknie spojrzeli w las.

— Faktycznie, co nam szkodzi? Wyskoczmy na pięć minut na podgrzybki — zdecydował aspirant i policjanci nie zważając na błagania Marka beztrósco rozbiegli się z kobiałkami po lesie wydając radosne okrzyki.

W tej samej chwili zza wszystkich drzew i zza wszystkich krzaków powyłazili ukryci agenci i ci z „Phoeniksa” i ci z „Ruatonimu”. Cały las naszpikowany był nimi. Pomału zaczęli osaczać Marka z okrutnymi uśmieszkami. Marek rozglądał się rozpaczliwie dookoła. Krąg się zamykał. Zostało tylko jedno wyjście. Zdesperowany wdrapał się na najbliższe drzewo. Nigdy nie posądzał się o takie małe talenty. Zdumiony, że tak łatwo mu poszło, spoglądał z góry na zaskoczonych agentów. Ale nie było to bezpieczne schronienie i satysfakcja Marka trwała krótko. Oto bowiem czterech atletycznych agentów chwyciło za pień. Byli bardzo silni. Zatrzęśli grubą sosną tak łatwo, jakby to było wątle drzewko. Poleciały na dół suche szyszki, a po chwili Marek poczuł, że sam też leci. Leciał zdumiewająco długo, zdjęty nieludzkim strachem, że to już ostatnie chwile życia, czekał na

tę straszną chwilę, kiedy rąbnie głową o ziemię... Ale lądowanie było miękkie, czyżby ocaliły go poduszki mchu? Nieśmiało otworzył oczy i zaraz zamknął je z powrotem, bo nad sobą zobaczył zdeformowaną twarz Fastrygi w pielęgniar-skim czepku. Drab trzymał strzykawkę z jakimś czerwonym jak krew płynem...

— Nie! — krzyknął Marek. Rozpaczliwie złapał Fastrygę za rękę, a gdy drab wyswobodził się łatwo, zacisnął mu kurczowo palce na szyi. Fastryga zajęczał ciekim kobiecym głosem.

— Co ty wyprawiasz?! — Marek usłyszał gniewny głos i poczuł równie przy-jemny jak znajomy zapach wody kolońskiej Old Spice, jednocześnie ktoś go po-ciągnął za ucho. Marek wzdrygnął się, otworzył szeroko oczy i zobaczył, że nie leży na mchu w lesie, lecz że siedzi na swoim łóżku w sanatorium i z całej siły dusi pielęgniarkę, niewątpliwie prawdziwą, aczkolwiek bardzo brzydką o twarzy podobnej trochę do smoka, a trochę do Fastrygi; obok stoją doktor Foks i doktor Llyrdak ze strzykawką w ręku.

— Zostawmy go na razie — mówi Foks — niech oprzytomnieje.

Zawstydzony Marek cofnął ręce i schował pod kołdrę.

— Przepraszam — mruknął.

— Nie szkodzi — zadyszała pielęgniarka rozcierając sobie gardło. — Miałeś pewnie zły sen. Zaraz zrobimy ci zastrzyk na uspokojenie.

— Nie... nie potrzeba — przestraszył się Marek — już czuję się wyśmienicie.

— To dobrze, Marku — rzekł doktor Llyrdak — bo musimy porozmawiać... poważnie, jak mężczyzna z mężczyzną. Jesteś już dużym chłopcem i potrafisz znieść dzielnie, to co mam ci do powiedzenia.

— Co takiego? — zaniepokoił się Marek. — Jakieś złe nowiny?

— Nie najlepsze, Marku.

— Policja dowiedziała się, gdzie jestem? Przyjdą mnie aresztować!?

— Policja wciąż nic nie wie, a my cię nie wydamy — odparł doktor. — Nie chodzi o policję. Zagraża ci ktoś gorszy od policji.

— Kto?

— Albert Flasz. Znasz go?

Marek skinął głową czując, że dreszcz mu przebiega po krzyżu.

— On cię szuka, Marku — ciągnął Llyrdak. — To niebezpieczny człowiek. Nie wiem, czy wiesz... należy do niego zbrodnicza agencja „Ruatonim”.

— Wiem, proszę pana...

— Wydał rozkaz agentom, żeby cię złapali jak najszybciej i za wszelką cenę. Akcją kieruje niejaki Fastryga, zawodowy morderca. Sądzę, że niechący wszedł w posiadanie ważnej informacji, na której bardzo Flaszowi zależy i którą koniecznie pragnie od ciebie wydobyć... Nie chcę wiedzieć, co to jest, ale powiedz mi, czy się nie mylę, czy naprawdę coś wiesz...

Marek zmieszał się i zaczerwienił.

— No tak, miałem rację — rzekł doktor — to dlatego Albert Flasz tak spieszenie chce cię dostać w swoje ręce.

Markowi łzy stanęły w oczach. Bał się, że za chwilę wybuchnie płaczem jak byle jaki szczeniak.

— No, no, nie bój się — Llyrdak pogłaskał go po głowie — pilnujemy cię tu dobrze i nie wpuszczimy agentów Flasz. Na razie jesteś bezpieczny.

— Na razie — Marek pociągnął nosem — a co potem! — jęknął — nie mogę długo kryć się w sanatorium. Muszę wrócić do domu i do szkoły.

— No, właśnie. Tu jest problem, cały czas myślę, jak cię uchronić przed tym niebezpieczeństwem... jak zabezpieczyć... — zamruczał. — Chyba mam pomysły — dodał po chwili.

— Naprawdę? — ożywił się Marek.

— Jest jedno wyjście.

— Jakie?

— Zrobimy ci małą operację. To jedyna rada.

— Operację?! — Marek zaniepokoił się.

— Nie bój się, nic nie będzie bolało, mały zabieg...

— Ale po co?

— Musisz przestać pamiętać, co ci się przydarzyło tamtego fatalnego dnia, wymazać na zawsze z komórek mózgu to, czego się dowiedziałeś. To się nazywa wycinkowym zatarciem pamięci. Kiedy Albert Flasz się dowie, że poddałem cię takiemu zabiegowi, zrozumie, że nie wyciągnie od ciebie już żadnej informacji, stracisz dla niego całą wartość i da ci wreszcie spokój. Jeśli się dowie... a my już postaramy się, żeby dowiedział się szybko.

— A inne rzeczy będę pamiętać? — zaniepokoił się Marek.

— Oczywiście! I będziesz mógł sobie żyć bezpiecznie. Tak, synku, to jedyny sposób, żeby ten gangster odczepił się od ciebie — małeńki zabieg na mózgu za pomocą lasera.

— Pan mi chce zrobić dziurę w głowie? — wymamrotał Marek.

— To będzie mikroskopijna dziurka, nawet nie poczujesz — uśmiechnął się Llyrdak, a widząc przerażenie w oczach Marka dodał szybko:

— Ma się rozumieć, nic nie zrobimy bez twojej zgody i zgody twoich rodziców, oczywiście.

— Czy pan już dzwonił do mojej mamy?

— Dwa razy, ale nie zastałem jej w domu. Zadzwonimy do niej jeszcze raz.

— Jak jej nie będzie, niech pan zadzwoni do pana Anatola Surmy, albo do detektywa Hippollita Kwassa... niech pan powie, że chcę koniecznie zobaczyć moją mamę i detektywa Kwassa też.

Doktor Llyrdak wymienił spojrzenia z doktorem Foksem i z pielęgniarką.

— Uspokój się — rzekł Llyrdak — będzie, jak sobie życzysz. A teraz zbadam cię, przewróć się na brzuch.

Gdy tylko Marek się przewrócił, błyskawicznie przytrzymał go w tej pozycji przy pomocy pielęgniarki, a Foks podszedł ze strzykawką.

— Jednak zrobię ci zastrzyk — rzekł do Marka.

— Nie! — wrzasnął Marek.

— No, no, nie histeryzuj, zaraz zrobi ci się przyjemnie i przestaniesz się bać operacji — powiedział ordynator i skinął na Foksa.

* * *

Detektyw Kwass otworzył oczy i ze zdumieniem spostrzegł, że leży na puzystym kolorowym dywanie w pokoju, który wygląda tak, jakby przeszedł przez niego huragan. Powlókł się obolały do drzwi. Były zamknięte na klucz i bez klamki. W oknach kraty. Kryształowy żyrandol. Pod ścianą miękki fotel, konsolka, no i ten dywan, a więc coś w rodzaju luksusowej separatki dla psychicznie chorych. Spojrzał w kawałek rozbitego lustra, który jakoś utrzymał się na ścianie. Zobaczył obcą napuchłą twarz z podsiniaczonym prawym okiem, z nosem jak bania i rozciętą wargą. Co, u licha, się stało? Pogrzebał w pamięci i pomału odtworzył przebieg zdarzeń. Przypomniał sobie, że po awanturze w pralni brudnych pieniędzy, czyli w Hali Funduszów „Phoenix”, chwyciło go dwu drabów z ochrony. Zaprawili go pięściami w żołądek i w oko, po czym zawlekli do tego pokoju. Tu im się wyrwał. Rozgniewany brutalnością agentów stawiał czynny opór, walczył jak lew i w minutę zamienił elegancką izolatkę w ruinę, połamał dwa krzesła, rozbił szklany flakon, tudzież gipsowe popiersie Hipokratesa zdobiące konsolę w rogu pokoju i stłukł fajansową umywalkę, a końcu z braku lepszej broni chwyciwszy fikusa w doniczce, wprawił go w groźny młynek i rozbił o łeb pryszczatego ochroniarza. Pamiętał, jak jęczącego wynosili go sanitariusze i z jaką satysfakcją przyglądał się tej scenie, a potem... potem nagle rozżarzona do białości gwiazda poraziła mu oczy i zgasła. To chyba wtedy zarobił ów potężny cios w nos i film mu się urwał.

Pewnie naszprycowano go w dodatku prochami i nieprzytomnego zostawiono na dywanie. Nie zamierzano go widać skreślić z listy żywych, bo na konsolce zostawiono mu... śniadanie: dwie bułki, spory kawał kiełbasy, dzbanek z kawą i lukrowany pączek, a na małej miseczce kolorowe pastylki; witaminy czy nową porcję narkotyków?

Ktoś zastukał do drzwi. Kwass nie odpowiedział. Instynkt detektywa kazał mu zachować daleko idącą ostrożność. I... na wszelki wypadek odstawić małą sztuczkę. Padł więc na łóżko i udał, że jest pogrążony w głębokim narkotycznym śnie. Stukanie powtórzyło się, po czym rozległ się zgrzyt przekręcanego klucza. Do pokoju wtoczyła się gruba sprzątaczką w niebieskim kitlu z emblematem „Phoenixa” i z papierosem w zębach. Na widok zdemolowanego pokoju

zakłęła pod nosem, wyciągnęła z kieszeni fartucha płaską butelczynę, wyduldała z niej dwa potężne łyki i zagryzła beczelnie kielbasą ze śniadania Kwassa. Tak zaprawiona wzięła się energicznie do roboty i w kilka minut doprowadziła pokój do względnego porządku. A Kwass pomyślał: To błąd zatrudnić na tak odpowiedzialnym stanowisku osobę z nałogiem pijaństwa. Zapamiętam to i wykorzystam!

Nim sługa wyszła, zwinęła jeszcze ten apetyczny pączek z tacy i pożarła zamykając drzwi. Zaraz po niej złożył Kwassowi wizytę ciemno ubrany osobnik o małej okrągłej główce, pękatym tułowiu i cienkich, nadmiernie długich kończynach, podobny do wielkiego czarnego pająka. Powiedział, że jest z Biura Inwestycji „Phoeniksa” i polecono mu pstryknąć kilka zdjęć Kwassa.

— Będą potrzebne do ustalenia pańskiej tożsamości, panie... panie Krasnobródka, czy jak tam naprawdę pan się nazywa — dodał z nieprzyjemnym uśmiechem i zaczął fotografować Kwassa z zawodową wprawą w różnych ujęciach, en face, z lewego i prawego profilu, uśmiechniętego i zasepionego, w pozycji siedzącej i stojącej... Kwass nie sprzeciwiał się, bo cały czas jego mózg pracował intensywnie. Po minucie zarysował mu się już jasno plan ocalenia. Z właściwą geniuszom zdolnością nadzwyczajnej koncentracji w każdej sytuacji, w każdym czasie i w każdym miejscu, mimo, że był ustawiany i fotografowany na wszelkie możliwe sposoby, błyskawicznie wypracował strategię działania. Pieniądze, sprzętaczka, alkohol i narkotyki — ot i główne elementy planu. „Ten człowiek-pająk to dla mnie duża szansa — pomyślał — a tę łakomą pijaczkę-sprzętaczkę los mi wprost zesłał z nieba. Rzecz będzie łatwa do przeprowadzenia, bo w kieszeniach mam jesh sporo poutykanej waluty, wprawdzie fałszywej, ale działam w stanie wyższej konieczności. Bóg mi wybaczy. A więc do dzieła mój Hippollicie!”

— Ja pana skądś znam — powiedział do fotografa. — Czy przypadkiem nie z branży reklamy?

— Nie, proszę pana.

— Czy nie ze świata mody? Ze sfer artystycznych? Ze sportu?

— Nie sądzę...

— Być może w takim razie z... ze świata polityki, z dyplomacji?

— Zgadł pan — westchnął fotograf — ach, te dyplomatyczne sfery... Byłem tam kiedyś dość znany i szanowany, zanim stoczyłem się.

— Pan się stoczył?

— Niestety tak.

— Z wysoka?

— Z samej fotograficznej góry. Byłem urzędowym fotografem w pewnej ważnej ambasadzie. Pensja jak pensja, ale te boki! Dorabiałem sobie na boku fotografowaniem tajnych dokumentów.

— Co też pan mówi — Kwassa zatkało nieco — był pan szpiegiem?

— W samej rzeczy. To był mój prawdziwy zawód i hobby. Ale sprawy źle się ułożyły.

— Jakiś wypadek przy pracy?

— Można tak to nazwać.

— Ale dostaje pan rentę dla zasłużonych?

— Niestety nie.

— A to czemu?

— Odkryto, że byłem podwójnym szpiegiem. No cóż, zdarza się, nawet często.

— Szpiegował pan na dwie strony? A to ładnie!

— Miałem z tego powodu drobne nieprzyjemności.

— Wyobrażam sobie.

— Potem „Phoenix” zatrudnił mnie i marnuję się na tym nędznym i źle płatnym stanowisku. Potrzebna mi jest zmiana twarzy. Liczę na to, że kiedyś z nową twarzą po operacji plastycznej powrócę do szlachetnej pracy szpiega... Lecz czy zdążę uzbierać pieniądze na operację? Latka leca... zmarszczki... siwizna... niedołęstwo starcze tuż tuż — człowiek-pająk załkał cicho i błyszcząca łza zakręciła mu się w oku.

— Niezmiernie przykro mi, że marnuje pan swoje talenty — powiedział Kwass. — Niech pan otrze oczy — podał mu dużą detektywistyczną chusteczkę wielorakiego przeznaczenia. — Być może znajdę dla pana bardziej odpowiednie zajęcie w zakładzie, który prowadzę, a teraz zechce pan przyjąć drobną pożyczkę — wyciągnął z marynarki zwitek zielonych banknotów — a tu jeszcze dwadzieścia — dodał — bo miałbym do pana prośbę, suszy mnie po strasznych przejściach, jakich mi dziś nie oszczędzono i muszę coś mieć do przepłukania gardła. Widziałem w bufecie przy wejściu parę ciekawych butelczyn. Gdyby mógł pan mnie zaopatrzyć w coś takiego jak White Horse lub Johnnie Walker, a na deser w sherry lub jakiś krajowy wiśniaczek, byłbym panu dodatkowo zobowiązany. Pan jest moim jedynym łącznikiem z zewnętrznym światem.

— Oczywiście — eks-szpieg rozjaśnił się na widok zielonych. — Z chęcią dostarczę panu odpowiednie płukanki.

Zgarnął banknoty i wrócił po kwadransie z butelkami. Wypili na zdrowie z obu butelek po małej szklaneczce, a gdy człowiek-pająk wyszedł, Kwass schował pod łóżko napoczęte flaszki.

Nazajutrz wczesnym rankiem wsypał do każdej z nich po trzy pokruszone tabletki nasenne, po namyśle dodał dla pewności jeszcze po dwie, ustawił kusząco butelki na konsoli, a sam wskoczył do łóżka i czekał.

Punktualnie o szóstej wtoczyła się gruba sprzątaczką taszcząc wielki odkurzacz oraz wózek ze środkami do czyszczenia i dezynsekcji, wśród których wyróżniał się żółty pojemnik z rysunkiem pokracznego karalucha i napisem Toxer. Od razu zainteresowała się alkoholami na konsoli, a widząc, że Kwass lula, zdrowo

pochrapując przykryty po uszy kołdrą, pociągnęła degustacyjnie najpierw z jednej flachy, potem z drugiej, odstawiła, zawahała się i nie mogąc się oprzeć pokusie wyduldała jeszcze pół butelki sherry, a potem dla niepoznaki uzupełniła ubytek wodą z kranu. Skutek nie dał długo na siebie czekać. Ledwie uruchomiła odkurzacza, zatoczyła się i ziewnęła potężnie, przez chwilę chwiała się oszołomiona na nogach, a potem padła jak kłoda na fotel. Parę sekund później chrapała już zdrowo pogrążona w głębokim śnie.

Kwass wyskoczył z łóżka. Nie bez trudu ściągnął z grubaski fartuch i czepek, przebrał się szybko za sprzątaczkę i spojrzął w lustro. Zobaczył pulchną okrągłą twarz niewiasty z podbitym okiem. Niezbyt zadowolony, sięgnął po torebkę uśpio-nej kobiety, pogrzebał wśród babskich kosmetyków i zaczął się śmiało upiększać. Przypudrował sobie mocno oko, podmalował na czerwono usta i przyczernił diabolicznie brwi. Skontrolowawszy wygląd w lustrze stwierdził z satysfakcją, że już nic nie psuje mu obrazu ponętnej kobiety w średnim wieku i śmiało wraz z całym sprzętem wyszedł na korytarz. Tu na moment zamarło mu serce, bo pod drzwiami spacerował agent ochrony, ale odkurzacza i rzucający się w oczy żółty pojemnik z sugestywnym karaluchem dostatecznie go zmamiły i nie przyjrzał się bliżej wychodzącej sprzątaczkę.

Detektyw odsapnął z ulgą i szybko ruszył w głąb korytarza. Był wolny, ale teraz stanął przed nim trudniejszy problem: gdzie szukać Marka? Z informacji na ścianie korytarza przy klatce schodowej wynikało, że na tym piętrze, na którym się aktualnie znajdował, to znaczy na piętrze pierwszym, było dwanaście (!) gabinetów zabiegowych, dwie sale operacyjne i sto sześć pokoiw sanatoryjnych! Bagatelka, tyle samo zapewne na piętrze drugim i trzecim nie licząc parteru. Jak w tej sytuacji znaleźć pokój, w którym ukryto małego Piegusa?

Absolutna koncentracja właściwa umysłem genialnym i tym razem pozwoliła Kwassowi rozwiązać szybko problem.

Komputery! Żadaną informację z pewnością znajdzie w komputerowej karcie pacjentów, o której wspominał inspektor Kluś, a która znajduje się w sektorze B Hali Funduszków. I tam bezzwłocznie skierował Kwass swoje kroki.

W pancernych drzwiach hali zatrzymał go młody strażnik o posturze goryla.

— Hala jeszcze nieczynna — zagroził mu drogę.

— Ja właśnie dlatego teraz. Mam polecenie przed otwarciem zrobić tam dezodorację i dezynsekcję.

— Pani? Już tam przecież jest jedna, wpuściłem ją przed chwilą i dezynfekuje — strażnik zmarszczył brwi i spojrzął podejrzliwie na preparaty, które przetaszczyła z sobą dziwna sprzątaczką.

Kwassa zamurowało na moment. Nie był przygotowany na taką komplikację, ale opanował się szybko i powiedział:

— Wiem o tym, młody człowieku. To nasza nowa pomoc Mamuza Janina, ona jest od dezynfekcji, a ja nazywam się Rzęsa Balbina i jestem od dezynsekcji. Dziwię się, że pan nie odróżnia. . .

— Nikt mnie nie uprzedził, że przyjdą dwie panie.

— To nagła sprawa — wyjaśnił Kwass. — Zbudzono mnie w nocy, gdyż nastąpił ponowny masowy wylęg szkodników bankowych!

— Szkodników bankowych?! Co pani ma na myśli?

— Mam na myśli płaszczeńca dziurkacza z rodziny ryjkowcowatych. Nie wiem, czy o nich słyszałaś, to owady dziurkujące banknoty. Plaga banków, dramat kasjerów. . .

— Tak, owszem, wiem o wylęgu, lecz pani się myli — oświadczył strażnik. — Tej nocy miał miejsce wylęg nie płaszczeńca dziurkacza, lecz, jak mnie poinformowała pani koleżanka, co przysłała tu pierwsza, wylęg szczelinowca kosmatego.

Kwass zaniepokoił się nie na żarty. Było jasne, że do hali zakradł się ktoś prawie tak samo genialny, jak on, Kwass, i równie pomysłowy. Ale szybko wziął się w garść.

— Być może ta pani dezynfekuje, a nawet dezynsekuje, ale nie dezodoruje! — powiedział tonem wyższości. — Czy widział pan wśród jej sprzętu dezodorant walutowy na kółkach?

— Nie. . . nie zauważyłem — przyznał strażnik.

— Otóż to — zamruczał Kwass — powiem panu w ścisłej tajemnicy — ściszył głos — dostaliśmy do prania duży transport wyjątkowo brudnych i odrażająco cuchnących dolarów. Zachodzi podejrzenie, iż zostały zakażone bąblowcem ryjkowatym, bardzo niebezpiecznym dla ludzi. Były już przypadki zasłabnięcia kasjerów. Hala wymaga natychmiastowej gruntownej dezodoracji z tych, że tak powiem, odorów. To jest właśnie moje ściśle poufne zadanie, i pilne młody człowieku. Muszę się z tym uporać błyskawicznie, zanim hala otworzy swe podwoje dla klientów. . . Pan rozumie.

— Tak jest — rzekł przejęty strażnik otwierając spiesznie zamek w drzwiach hali. — Może mógłbym pomóc. Jeśli tam śmierdzi, to trzeba otworzyć okna i wywietrzyć. Zaraz się tym zajmę. . .

— Stać! — powstrzymał go energicznie Kwass. — Dopiero by pan narobił! Nastąpiłby masowy wylot szczelinowców kosmatych, a niewątpliwie także płaszczeńców dziurkaczy, a bąblowce ryjkowate po ścianie przedostałyby się do sanatoriów, do biur i wszystkich agend „Phoeniksa”. To byłaby prawdziwa katastrofa. . . Niech pan tu stoi, zamknie za mną szczelnie drzwi i nikogo nie wpuszcza! — zostawił na progu oszołomionego strażnika i wślizgnął się do hali.

Zdawało mu się, że jakiś cień przesunął się szybko koło szaf. Stanął i przez dłuższą chwilę rozglądał się bacznie dookoła, ale nie zauważył nikogo. Ta osoba, jeśli w ogóle tu była, albo spłoszona ukryła się gdzieś dobrze, albo wyszła drugimi

drzwiami. Czy już po wykonaniu misji? To jest pytanie. I w ogóle, co to była za misja?

Ale nie było czasu na dalsze refleksje. Kwass wiedział, że musi się śpieszyć. Skierował się więc szybko do sektora B i zatrzymał przy stanowisku z szyldem: Rejestracja Pacjentów Sanatorium, Ewidencja i Kartoteki. Oczywiście, tak jak przypuszczał, tradycyjnej kartoteki nie było. Dział był skomputeryzowany i wszystkie dane mieściły się w komputerze. Kwass zasiadł do niego i bez większego kłopotu odnalazł „kartę” Marka. Osobliwa to była karta. Tylko imię i nazwisko, a potem same nie wypełnione rubryki: w rubryce „oddział i numer pokoju” puste miejsce, w rubryce „diagnoza” — to samo i tak we wszystkich rubrykach, dopiero na końcu na ekranie pojawił się jeden bardzo niepokojący zapis: „pacjent skierowany na badania specjalne”, a pod spodem małymi literkami enigmatyczne słowa: „Engram”. „Amnezja”. „Pes Hippocampi”.

Zdenerwowany detektyw zastanawiał się właśnie, co robić dalej, gdy szósty zmysł zaalarmował go, że ktoś mu się przygląda. Coś zaskrzypiało lekko. Detektyw wzdrygnął się.

Wyraźnie poczuł na sobie czyjś wzrok, choć nie widać było nikogo. Natężył słuch i kierując się tylko uchem ruszył tam, skąd dobiegał szmer.

Wciśnięta w wąską szczelinę między wielką biurową szafą, a wysokim regałem tkwiła ludzka postać. W słabym oświetleniu z daleka była niemal niewidoczna, zwłaszcza że padał na nią cień pokracznego filodendrona. Była to potwornie brzydka kobiecina. Cienka jak deska z szopą jasnych włosów na głowie i z długim, wąskim, sięgającym niemal podbródka nosem. Kwass patrzył osłupiały. Nie przypuszczał, że jest na świecie osoba tak płaska, by mogła się zmieścić w tego rodzaju iście „mysiej” szparze.

„Musiałem napędzić jej niezłego strachu — pomyślał. — Kim jest? Pospolita złodziejką, czy też chytrą agentką konkurencyjnego gangu?” W detektywie odezwała się zawodowa ciekawość i postanowił wziąć tego babskiego chudzielca na spytki. Zrobił surową minę i warknął:

— Mam cię! Próżno się chowasz! Kto cię tu nasłał, ślicznotko? No gadaj szybko, dla kogo pracujesz? Wślizgnęłaś się tu na przeszpiegi?

— Nie! Co też pani! — zapiszczała wystraszona — ja tu sprzątam... to znaczy... dezynfekuję.

— Nie znam cię!

— Jestem nowa... ale tu pracuję...

— To czemu się kryjesz w szczelinie jak pluskwa? Może masz tu, siostrzyczko, mały romansik z komputerami? Chcemy się dobrać do ich tajemnic, co?

— Ja nie... ja tylko... tylko zobaczyłam tam pająki i dlatego...

— Nie ze mną takie wygłupy! Wyłaż zaraz!

— Nie mogę, zakleszczyłam się — zapiszczała.

— No to zaraz cię wyciągnę za te twoje piękne loki! — zadyszał zdenerwowany Kwass. Złapał fałszywą sprzątaczkę za bujne kudły, szarpnął brutalnie i... zdębiał z wrażenia, bo włosy zostały mu w ręce odsłaniając małą, łysą i gładką jak u manekina główkę. Przez chwilę stał osłupiały z tymi włosami i z głupim uczuciem, że oskalpował człowieka.

— Co pani mi zrobiła! — jęknęła „oskalpowana” łapiąc się za obnażoną czaszkę... — Jak ja się teraz pokażę, to bardzo nieładnie tak robić koleżance.

— Nie jestem twoją koleżanką! — mruknął detektyw chociaż chyba skądś cię znam, kobiecino! — przyglądał się bacznie oszustce... Ten nos sięgający niemal brody, ptasia twarz, zapadłe ziemiste policzki...

— No, nie! — omal nie wykrzyknął na cały głos. — To przecież zrobiony na babę Chryzostom Cherlawy! Ciebie tu jeszcze brakowało, oczajducho!

— O, rany! Detektyw Kwass?! — jęknął Chryzostom. — A to dopiero heca! Detektyw w takim przebraniu. Akurat tutaj! Znów mam to zezowate szczęście. Co za życie...

— Przestraszyłeś się, co, szelmo? Nie cieszysz się z tego spotkania? I słusznie — Kwass chwycił opryszka za gardło.

— Co pan robi?! — zacharczał Cherlawy.

— Mów, nicponiu, co to za numer odstawiasz tym razem?

— Szukam Marka Piegusa. I pan dobrze wie dlaczego. Grozi mu straszne niebezpieczeństwo, gorsze od wszystkich, jakie mu kiedykolwiek groziły.

— A ty chcesz go ratować, z dobrego serca po starej znajomości?

— Nie będę pana czarował. Mam w tym uczciwy interes, świerszczyku mój. Liczę na wdzięczność tego dzielnego chłopca.

— To ładnie, że jesteś taki szczerzy.

— Inna rzecz, że naprawdę lubię Marka, i mój syn Wacio stale go wspomina. Przy sposobności: panu też trochę pomogłem. Przyzna pan uczciwie, że to ja naprowadziłem pana na ten konstanciński ślad.

— Ty?! — oburzył się Kwass.

— To ja, przez telefon, który odebrał pan Surma, dałem panu cynk. Pan z niego skwapliwie skorzystał i dzięki mnie jest pan tutaj.

— Nie bądź bezczelny, szelmo. Chciałeś nas wpuścić w maliny, jestem pewien, że maczałeś swoje brudne palce w porwaniu Marka. Ten twój kłamliwy telefon z fałszywą informacją...

— Pan się myli — przerwał Cherlawy.

— Podajeś, że Marka wprowadzili ludzie Flaszka...

— Musiałem tak zrobić, żeby zareagował pan poprawnie, świerszczyku mój. Wiedziałem przecież, że zastosuje pan do mnie prostą zasadę Kwassa.

— Co takiego?! — zaskoczony detektyw zmarszczył brwi.

— „Jeśli patentowany oszust mówi, że nie A tylko B, to z pewnością jest A, a nie B” — zacytował Cherlawy. — Wiedziałem, że pan mnie uważa na patento-

wanego oszusta, nie mogłem więc powiedzieć A, bo pan by wziął za B! Logika, panie Hippollicie! A tak, musi pan przyznać, że mimo mojej niewiarygodności naprowadziłem pana na właściwy ślad. Uczciwie pan przyzna, świerszczyku mój!

— Tak, przyznaję, wspaniały logik z ciebie — mruknął Kwass — ale jeszcze lepszy złodziej. Ukradłeś Markowi pewien cenny klucz.

— O, przepraszam, to nie był klucz Marka, ani zresztą Mustafona. Jeśli mamy być ściśli, świerszczyku mój, to jest własność tych złodziei z „Phoeniksa”! A skoro mowa o naszym małym przyjacielu Marku... Czy już się pan dowiedział, gdzie go trzymają?

— Jeszcze nie.

— Jak to — zdziwił się Cherlawy — taki zdolny detektyw?!

— Miałem, hm, pewne, rzekłbym, wyjątkowe kłopoty — rzekł Kwass i by uniknąć nieprzyjemnych pytań szybko zmienił temat. — Pomówmy lepiej o tobie, szelmo — zamruczał. — Nie podoba mi się twoja obecność przy komputerach.

— Ja wytłumaczę.

— Tylko nie próbuj mi wmówić, jak strażnikowi, że przyszedłeś zwalczać szczelinowca kosmatego czy innego płaszczeńca biurowego... Czy to Flasz kazał ci tu węszyć?

— Flasz?! — skrzywił się Cherlawy. — Pan przecież wie, że nie pracuję już z tym rzeźnikiem. Pan mi nie wierzy?

— Przypuśćmy, lecz zważywszy, że jesteś oszustem...

— Na mojego Wacusia i jego siedmioro rodzeństwa, mówię prawdę. Wyrzekłem się Flasz i bezceństw jego, chcę pracować na własny rachunek i wziąć los w moje własne ręce.

— No, no — zakpił Kwass — widzę, że idziesz z duchem czasu.

— Próbuję, ale to nie jest proste, świerszczyku mój. Nieuczciwa konkurencja, brak moralności, pełno szmondaków w branży, panie Hippollicie, ale nie podaję się, rozpaczliwie walczę. Jestem jeszcze na dnie, ale odbijam się pomału. Chwilowo zaczęliem się na skromnej posiadce w „Phoeniksie” w pionie gastronomicznym...

— Zostałeś kuchcią?

— Nazywają nas tu stewardami, żeby lepiej brzmiało. Roznosimy posiłki pacjentom i personelowi. Ciekawa praca, zaglądam to tu, to tam, dużo ciekawych rzeczy można się napatrzeć...

— Oczywiście twoje zainteresowania nie ograniczają się do kuchni.

— Owszem, przy okazji zaglądam „Phoeniksowi” pod pióra — uśmiechnął się pod nosem Cherlawy. — Gromadzę spostrzeżenia często na wagę złota...

— Materiał do szantażyku?

Cherlawy zignorował uwagę.

— Taka na przykład pralnia — ciągnął dalej. — Od dawna intrygowała mnie.

— Miałeś coś do uprania?

— Och, mały kapitalik, ale nie byłem pewien, czy mogę go powierzyć „Phoeniksowi”, pan rozumie, oszczędności całego życia.

— Rozumiem, postanowiłeś zbadać, jak to naprawdę wygląda w komputerach, udałeś więc specjalistkę od szczelinowca kosmatego i przeniknąłeś tutaj. Co stwierdziłeś?

— Że to jest sprytnie pomyślane, świerszczyku mój, te wszystkie fundusze i w ogóle... ale najbardziej zaciekało mnie, jak tu się księguje te olbrzymie sumy, żeby nie budzić podejrzeń, co do ich pochodzenia...

— No i co? Jakiś sprytny szwindel?

— Bezczelne oszustwo!

— Jakaś lipna księgowość?

— Otóż to! Podwójna. Ta prawdziwa jest utajona, zakodowana i nie do odkrycia bez klucza. Ta oficjalna, do wglądu, odpowiednio spreparowana, bardzo prosto zresztą: każdą wpłatę na fundusze pomniejsza się tysiąc razy i dopiero w tej postaci księguje. Wpłaca pan milion nowych złotych księgują panu tysiąc i tyle pan oficjalnie podpisuje... Jak pan myśli, to chyba jest niezłe zabezpieczenie przed podejrzeniami urzędasów. Czy warto więc zaryzykować tu pranie?

— Dość już tego, bez zgryw, szelmo, nie udawaj głupka. Jak cię znam, nie przylazłeś tu, żeby prac swoje brudne pieniądze, lecz żeby je pomnożyć. Grzebałeś w komputerach, bo kombinujesz skok na sejf, co stary? I chciałeś się rozejrzeć, czy stąd nie ma jakiegoś dojścia do Centralnego Sejfu „Phoeniksa”. Owszem jest, wskocz do leja przy kasach w ślad za gotówką, a zostaniesz bez problemów wessany aż do samego skarbcza. Jesteś dość płaski i zmieścisz się z łatwością.

— Eh, nabijasz się ze mnie, świerszczyku mój — skrzywił się Cherlawy — ale gdybyś tylko mógł, sam dobrałbyś się do tego sezamu.

— Nie jestem żadny mamony, przyjacielu — odparł z godnością detektyw.

— Hi! Hi! — zapiszczał opryszek — tylko tak mówisz, ale dobrałbyś się, bo wiesz, że tam są schowane rzeczy sto razy cenniejsze od mamony. Tam są schowane informacje, a informacja to dzisiaj przedni towar i świetnie się sprzedaje. Takie na przykład nowe technologie, wykradzione przez szpiegów różne sekrety produkcji... to są dopiero skarby!

— Patrzcie, patrzcie! Wycwanileś się, widzę i zmodernizowałeś! — pokręcił głową Kwass, uśmiechając się drwiąco.

— Pomyśl, świerszczyku — ciągnął niezrażony opryszek — jakie to może dać zyski w rękach zdolnych ludzi, na przykład takich jak pan i ja — mrugnął do detektywa kaprawym okiem. — Rozumiemy się dobrze, co, panie Hippollicie? A jeszcze te tajne kartoteki osobowe, te zdjęcia i nagrania z podsłuchu, te zeznania kupione albo wymuszone, te wszystkie piekielne dowody, które od lat „Phoenix and Bowie” zbierają przeciw Albertowi Flaszowi, żeby go szantażować?! Ile to warte w gotówce? Wprost dech zapiera! I jeszcze na dodatek pełne spisy agentów

i informatorów „Phoeniksa”. Co za łakomy kąsek dla detektywa. Nie chciałby pan na tym wszystkim położyć swojej łapki? Tylko trzeba się spieszyć, bo...

— Dosyć — zdenerwował się Kwass — po co mi to mówisz, oczajduszo?

— Bo właśnie pomyślałem, że gdybyśmy tak razem, pan i ja...

— Razem?! — Kwass roześmiał się rozbawiony.

— Gdybyśmy założyli uczciwą spółkę, świerszczyku mój: ja biorę mamonę i sekrety przemysłowe, a pan, mistrzu, całą resztę. Coś panu powiem: ten klucz zabrany Markowi to wytrych do Małego Sejfu, gdzie są plany strefy zakazanej, w której znajduje się Centralny Sejf. Co więcej: zachorowała stewardesa, co dostarczała posiłki strażnikom pilnującym strefy zakazanej i prawdopodobnie ją zastąpię. Gdyby pan tylko pogłównkował jeszcze, jak wykołować tych strażników... pan zna różne naukowe sposoby...

— To dosyć bezczelna propozycja — rzekł już poważnie Kwass. — Nie sądzę, abyśmy mogli na tym polu współpracować.

— Niech pan się zastanowi, świerszczyku mój i przemyśli. Nikt by się nie dowiedział, a pan uszczknąłby sobie coś z tego skarbcza.

— Zamknij się, śmierdzi ci z gęby.

— Przepraszam — stropił się opryszek. — Ja tylko tak... po starej znajomości... jesteśmy starymi przyjaciółmi.

— Jeśli naprawdę jesteś przyjacielem, to mam dla ciebie inną propozycję.

— Jaką?

— Pomóż mi uratować Marka.

— Przecież próbuję — jęknął Cherlawy — mnie też na tym zależy, ale cóż ja mogę, biedne popychadło?

— Naprawdę nie wiesz, gdzie go trzymają?

— Gdybym wiedział, sam bym od razu panu powiedział.

Kwass zmarszczył brwi.

— Zaraz... zaraz, kochasiu, jeśli to wszystko prawda, co naplotłeś, że zatrudniłeś się jako kuchta...

— Jako stewardesa — sprostował oprych.

— Jeszcze lepiej. Jako tak zwana stewardesa roznośisz posiłki pacjentom sanatorium, więc chyba także takim pacjentom jak Marek, którzy mają być poddani terapii specjalnej. Słyszałeś o takich pacjentach?

— Tak. To są pacjenci z oddziału, który tu nazywają „oddziałem operacyjnego wydobywania prawdy”, ale gdzie się on znajduje, nie wiem jeszcze. Zresztą tych nieszczęśników obsługują agenci ochrony i oni sami zanoszą im posiłki. Stewardesy nie mają do nich dostępu.

Kwass zamyślił się. Szukał po omacku punktu zaczepienia.

— A czy tacy pacjenci na specjalnej terapii dostają także jakieś specjalne obiady?

— Owszem — potwierdził Cherlawy — dostają z tak zwanego lekarskiego stołu, bardzo wykwintne. Doktor Llyrdak umie dbać o pacjentów, zwłaszcza o tych, na których dokonuje swoich diabelskich eksperymentów.

— Zapewne dostają także smakowite desery.

— Jasne, co kto chce, według gustu: ciastka, kremy, galaretki, także lody, do wyboru.

— Lody?! — podchwycił Kwass. W jego detektywistycznej pamięci coś zaświtało. — Powiedz no mi, przyjacielu, czy ostatnio nie serwowano przypadkiem dla kogoś zielonych lodów pistacjowych?

— Zaraz... mówi pan zielonych? — zastanowił się opryszek — a tak... przypominam sobie, dwa razy przygotowano je dla jednego pacjenta na oddziale specjalnym.

— Nazwisko!

— Nie słyszałem.

— W którym pokoju?

— Nie wiem, skąd mógłbym wiedzieć... ale... chwileczkę, ochroniarz, który je zabierał na górę, skarżył się, że musi drałować z nimi aż na trzecie piętro, na koniec korytarza, a ma bolące odciski na paluchach u nogi. Czy to ma jakieś znaczenie?

— Ma — rzekł zadowolony detektyw. — Do stu łysych diabłów, ma! To musiał być deser dla Marka. Marek najbardziej uwielbia właśnie pistacjowe lody! Natychmiast pędzimy na trzecie piętro...

— Co pan?! Nie teraz! — przestraszył się Cherlawy zerkając na zegarek. — O tej porze komendant straży Żmuj przeprowadza osobiście na oddziale rutynową inspekcję i zagląda do wszystkich pacjentów. Na korytarzach roi się wtedy od ochroniarzy.

— Komendant straży, mówisz? — Kwassowi nagle zaświeciły się oczy jak kotu. — Wykorzystamy tę okoliczność. Przyszedł mi do głowy świetny pomysł.

Ale Chryzostom Cherlawy nie miał dużego zaufania do „świetnych” pomysłów starego detektywa i powiedział:

— To naprawdę wielkie ryzyko, świerszczyku mój, pchać się prosto w łapy Żmuja. Odłóżmy tę akcję choć na pół godziny.

— Ani na minutę! Mowy nie ma! — odparł stanowczo detektyw. — Pomyśl, tu gdzieś niedaleko leży ten nieszczęsny chłopiec. Już wie, że znalazł się w rękach przestępców. Jest świadom, co chcą mu zrobić i szaleje ze strachu...

— Lecz nieopatrzna akcja może mu tylko zaszkodzić — jęknął Cherlawy. — Co pan robi? — zdumiał się widząc, że detektyw siada do komputera.

— Napiszę i wydrukuję specjalne zalecenie komendanta Żmuja dla straży i ochroniarzy. To nam ułatwi dostęp do Marka i szczęśliwy odwrót... Dam je do podpisania Żmujowi.

— Co pan?! To wariacki pomysł! — przeraził się Cherlawy. — Co pan tam chce napisać. . .

— Nie czas na wyjaśnienia! Musisz zaufać mi, kotku.

— I myśli pan, że Żmuj to podpisze?

— Jeśli zabierzemy się do dzieła z biglem i talentem, tak jak ty to mówisz, przyjacielu: osmotycznie, pedagogicznie, w miarę mimicznie i taktycznie. . . Jak widzisz, uczę się od ciebie.

Cherlawy na takie dictum umilkł zrezygnowany, a Kwass po paru chwilach wyciągnął z drukarki gotowy tekst i odczytał z widocznym zadowoleniem.

— Brawo — pochwalił sam siebie. — Możemy śmiało iść w paszczę bestii zwanej Żmujem. Aha, byłbym zapomniiał, jeszcze sobie wydrukujemy dwie piękne przepustki specjalne.

Przepustki były wkrótce gotowe. Poprawili chusteczki na głowach, zabrali odkurzacze i akcesoria do dezynsekcji, odsunęli ciężkie zasuwę przy drzwiach i znaleźli się na terenie sanatorium.

W głębi korytarza widać było komendanta Żmuja we frenczu koloru sepii. Połyskiwał z daleka orderami. Otaczało go kilku ochroniarzy w panterkach. Na ich widok Chryzostom Cherlawy na chwilę wrósł w ziemię jak sparaliżowany, a potem bojaźliwie chciał się cofnąć, ale detektyw chwycił go kościstą ręką za ramię i powiedział:

— Nie ma odwrotu, kotku. Śmiało naprzód i drap się!

— Co takiego?! — pisnął płaczkliwie opryszek.

— Drap się, mówię!

— Ja? Niby po co?

— Nie pytaj i rób, co mówię.

— Gdzie mam się drapać? — pisał Cherlawy.

— Wszędzie! Pokazowo i energicznie! — warknął Kwass i zamaszystym krokiem podszedł do ochroniarza o posturze goryla, tego samego, który legitymował go przedtem.

— Gotowe, zrobiłyśmy dezynsekcję jak trzeba, ale sprawa jest gorsza niż myślałam. Muszę porozmawiać z komendantem. Niech pan mnie zamelduje.

Ale ochroniarz nie potrzebował meldować, bo komendant Żmuj sam podszedł zaciekawiony.

— Co się tu dzieje?

— Te panie właśnie skończyły dezynsekcję Hali Głównej — rzekł ochroniarz. — Pan komendant zechce podpisać im sam poświadczenie wykonania, czy ja to zrobię? — podsunął Żmujowi wydruk.

Ale komendant zamiast na wydruk spojrzął na drugą chudą sprzątaczkę, która drapała się niemilosierdzie.

— Co się jej stało?

— Oblazły ją podczas pracy szczelinowce kosmate, biedaczkę. I tak szczęście, że nie płaszczeńce dziurkacze — wyjaśnił z posępną miną Kwass. — Ale mam gorsze wiadomości, hm... że tak powiem, poufne, tylko dla pana wiadomości komendancie — ściszył głos. — Dziś w nocy nastąpił masowy wylęg bąblowca ryjkowatego. Wezwano nas trochę za późno. Część niebezpiecznych owadów przedostała się już do sanatorium i kąsają.

— Kąsają? Nie zauważyłem.

— Ukąszenia bąblowców są bezbolesne, dopiero po godzinie zaczyna się nieznosne swędzenie, wyskakują na ciele bąble, a potem następuje najgorsze stadium: gorączka, piekący ból, ropowica i ogólne zakażenie...

— Zakażenie?!

— Z objawami mózgowymi. Zamroczenie. Niedowłady. Przepraszam — szepnął Żmujowi do ucha. — Czy nic nie zauważył pan u siebie?

— Nie.

— Nawet pierwszego stadium? Nie swędzi pana?

— Nie... to znaczy tak jakby... — komendant Żmuj podrapał się pod pachą — rzeczywiście, zaswędziało mnie.

— A widzi pan! Zaczyna się — westchnął ze współczuciem Kwass — ale mam coś dla pana. — Wyciągnął fioletowy flakon z robakiem na etykiecie. — Proszę się tym natrzeć, komendancie, zanim wystąpią dalsze objawy, tylko pan będzie łaskaw najpierw podpisać nam to poświadczenie wykonania dezynsekcji.

— Taaak jest — wystraszony szef ochrony nie przerywając nerwowego drapania złożył koślawy podpis na wydruku, który podsunął mu Kwass, po czym spiesznie zaczął się nacierać specyfikiem z flakonu.

— Czuje pan ulgę, nieprawdaż? — zapytał z uśmiechem detektyw.

— Tak, dużą ulgę — wymamrotał szef — dziękuję pani.

— Wcierać łagodnie przez kwadrans — nakazał Kwass, po czym skinął na Cherlawego i obaj Spiesznie pognali na trzecie piętro.

Tu na widok zbliżających się agentów ochrony detektyw nasunął maskę na twarz i zaczął pilnie szprycować owadobójczą cieczą boazerię ścienną.

Pierwszy do Kwassa podbiegł tłustawy konus w okularach z czarną kręconą bródką.

— Co ty wyrabiasz, dziewczyno?! — warknął nieprzyjaźnie mierząc podejrzliwym wzrokiem intruza.

Detektyw położył palec na ustach i z tajemniczą miną podał agentowi zadrukowany papierek z podpisem komendanta. Ochroniarz przesunął wzrokiem po tekście, na jego twarzy odbiła się wyraźna rozterka.

— Co się stało? — zapytał z niepokojem podchodząc drugi agent, świński blondyn w okularach.

— Masz, czytaj. To od szefa — brodaty konus podał mu kartkę.

Okularnik przeczytał półgłosem:

„KOMUNIKAT SPECJALNY DLA PRACOWNIKÓW OCHRONY ZESPOŁU SANATORYJNEGO PHOENIX. ŚCIŚLE TAJNE! Znaczna część Sanatorium nr 2, a zwłaszcza trzecie piętro i cały oddział specjalny uległy zakażeniu bąblowcem ryjkowatym, którego masowy wylęg zaobserwowano dzisiejszej nocy w Hali Funduszków. W związku z tym ogłaszam stan zagrożenia. Wszystkie sale mają być poddane dezynsekcji, a pracownicy ochrony winni natychmiast pozbyć się zakażonych ubrań, bielizny i obuwia oraz jak najprędzej wziąć gorący prysznic i przez piętnaście minut dokładnie szorować całe ciało. Każda sekunda opóźnienia grozi nieobliczalnymi następstwami; już po paru minutach rozwijają się zaburzenia mózgowie prowadzące do śmierci lub do trwałego matolectwa. Z przykrością zawiadamiam, że dotknęło to już naszego ko...” — w tym miejscu przerwał, bo nadbiegł podniecony trzeci ochroniarz.

— Co się dzieje, panowie, jakieś złe wieści? — dopytywał nerwowo.

— Zaraza, stary, zawleczona z hali... — wysapał brodaty konus. — Jakieś cholera wylęgło się masowo przy komputerach; podejrzewają, że właśnie od komputerów. Wiedziałem, że to się kiedyś tak skończy, cholerne eksperymenty Llyrdaka! Fąfara z dołu już się zaraził... walczy ze śmiercią... Przekłete pa-skudztwo!... Mamy to wszyscy w ubraniach...

— Ale co?!

— No... bąblowca ryjkowatego, tego mikro-owada, coś pośredniego między wirusem HIV a kleszczem, tak mi się zdaje.

— Aha — przytaknął z głupią miną trzeci ochroniarz — znaczy... znakiem tego... trzeba się umyć... a może wystarczy popsikać dezodorantem?

— Nie filozofuj, mądralo i wyskakuj z ciuchów, bo zgłupiejesz do reszty, jak ci bąblowiec ryjkiem wwierci się w mózg! — zdenerwował się konus — a wy, co się gagicie, babuchy! — krzyknął do Kwassa i Cherlawego. — Już was tu nie ma! Macie szybko odkażać pokoje.

— Tak jest, już idziemy — zapiszczał Kwass. — Chodź, Chrysiu.

Przepędziwszy rzekome sprzątaczkę konus, a za nim dwaj pozostali agenci, w pośpiechu ściągnęli z siebie całą odzież i na golasa pobiegli do natrysków.

Cherlawy zachichotał z uciechy, oglądając się za nimi.

— Ale popędziłeś im kota! Ty masz łeb, świerszczyku mój!

— No, no, nie oglądaj się! — zganił go Kwass. — Nie wypada! Zapominasz, że jesteś kobietą! To nieprzyzwoite! Lepiej pośpiesz się, bo nasze oszustwo w każdej chwili może się wydać...

Przyśpieszyli i w parę sekund później byli już na końcu korytarza. Były tam dwa pokoje. Kwass zajrzał niecierpliwie najprzód do tego po prawej stronie. Leżała w nim gruba kobieta przywiązana pasami do łóżka. Na widok wchodzącego Kwassa z dziwną aparaturą zaczęła bełkotać przerażona:

— Nie dręcz mnie! Nic już nie powiem! Wszystko com wiedziała, tom powiedziała. Nie męcz mnie... zabij lepiej, ty gnojku!

Kwass cofnął się szybko i zajrzał do pokoju po drugiej stronie. Był to pokój dwuosobowy. Jedno łóżko było puste... ale na drugim... — mimo wieloletniej detektywistycznej praktyki Kwass nie mógł opanować nerwowego bicia serca — na drugim łóżku ktoś leżał z kołdrą naciągniętą na głowę, a obok, między dwoma łózkami na stoliku stała biała miseczka a w niej roztopiona zielonkawa papka... Lody pistacjowe?!

Kwass podszedł na palcach do łóżka i delikatnie potrząsnął uśpionym chłopcem.

— Marek?!

Chłopiec wzdrygnął się nerwowo, odrzucił kołdrę i usiadł. Kwass patrzył na niego osłupiały.

— O, Boże, dziecko, co oni z tobą zrobili?! — wybełkotał żałośnie, bo głowa chłopca była zupełnie łysa.

ROZDZIAŁ XI

NOWY ZAMACH NA MARKA • KWASS ORGANIZUJE AKCJE

— Kim pani jest?! Czemu ma pani taki gruby głos? — wystraszony chłopiec obrócił się twarzą do detektywa.

Kwass wybałuszył oczy. Dopiero teraz zorientował się, że to nie Marek, że na łóżku siedzi ktoś zupełnie inny, choć jakby znany. . . Tak, to przecież ten chłopak z pensjonatu Horosz-Bałabajskiej — Tytus!

— Do licha, Tytus, poznajesz mnie? To ja! — detektyw ściągnął czepek sprzątaczkę z głowy i obnażył swoją stuprocentową męską łysinę.

— O, raju! — wykrzyknął zdumiony Tytus. — To pan detektyw Kwass! W takim przebraniu? Co pan tu robi?

Detektyw położył palec na ustach.

— Ciii! Szukam Marka. A co z tobą? Źle się poczułeś?

— Nie, ale muszę przejść badania kontrolne, proszę pana. Bo od czasu tej przygody z Markiem stale mówię przez sen. Nerwy mi nawalają, więc doktorzy skierowali mnie tutaj i nagrywają wszystko, co wtedy mówię.

Kwass i Cherlawy wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

— A te lody?

— To po Marku, nie zdążył zjeść.

Kwass poczuł rosnące podniecenie.

— Leżał tu?

— Tak, ale dzisiaj go zabrali. Minęliśmy się na korytarzu. . .

— Rozmawiałeś z nim?

— Tylko parę słów. . . Nie dali nam dłużej. . .

— Nie wiesz, dokąd do zabrali?

— Chyba do takiego pokoju, gdzie wszystkich pakują przed operacją. To się nazywa pre. . . preparatorium. Będą go tam szpikować różnymi tabletkami i robić mu różne analizy.

— Gdzie ten cholerny pokój?!

— W tym korytarzu, na prawo. . . zielone drzwi bez klamki z dużą wymalowaną literą „P”.

— Dzięki ci, chłopcze — wysapał Kwass. — Życzę ci zdrowia! Trzymaj się i nikomu nie mów, że tutaj byłem.

Zdenerwowany wypadł na korytarz.

— Spokojnie, świerszczyku mój — Cherlawy popędził za nim. — Po co te nerwy... Skoro zabrali bachora do preparatorium, to potrwa co najmniej dwa dni, zanim go spre... spreparują, to znaczy, chciałem powiedzieć, przygotowują do operacji.

Ale detektyw go nie słuchał i sadył wielkimi krokami korytarzem.

Zielone drzwi z literą „P” były lekko uchylone. Kwass wtargnął bezceremonialnie do środka. W chwilę później wślizgnął się za nim zadyszany Cherlawy. Marek spał skulony na boku, spod kołdry naciągniętej po uszy sterczał mu tylko kosmyk jasnej czupryny. Nad nim pochylała się pielęgniarka ze strzykawką w rękę.

— Stop! — krzyknął detektyw. — Siostra odłóż tę kłujawkę! Musimy najpierw zrobić tu dezynsekcję. Pokój jest zakażony bąblowcem ryjkowatym.

— To pilny zastrzyk — odburknęła pielęgniarka.

— Odłóż, bo stanie się coś okropnego! — postraszył ją detektyw.

— A co niby ma się stać?

Kwass chrząknął pod nosem.

— Wylądujesz w pudle, moja droga. Bąblowiec bąblowcem a ty bierzesz udział w kryminalnej aferze. Ten chłopiec to ofiara kidnapingu. Czyżbyś nie wiedziała? Trzymają go tutaj bez zgody i wiedzy rodziców.

— Nie pleć dyrdymalek, kobieto! Nabiłaś sobie głowę głupimi thrillerami z telewizji — mruknęła pielęgniarka i nim Kwass zdążył chwycić ją za rękę, bezlitośnie z zamachem wbiła igłę Markowi.

Detektyw z nerwów przygryzł wargi i zacisnął powieki. Oczekiwał gwałtownej reakcji ukłutego znieścaka chłopca, przeraźliwego krzyku, bolesnego jęku, a tu nic takiego nie nastąpiło. Ku jego zdumieniu Marek po męsku zniósł ukłucie, nie poruszył się, nie drgnął nawet! „Zuch! Dzielny chłopak — pomyślał detektyw z uznaniem — co za opanowanie!”

Pielęgniarka też była zaskoczona. Obejrzała podejrzliwie igłę, jakby coś z nią było nie w porządku.

Nagle w tej dziwnej ciszy, która na chwilę zapanowała, dał się słyszeć wyraźny syk... syk nieprzyjemny, jaki wydają węże.

Wszyscy odruchowo cofnęli się od łóżka.

— Boże, co z nim — przestraszyła się pielęgniarka. — Nie rusza się i syczy...

— Właśnie poruszył się — zauważył Cherlawy.

— Tak, kołdra jakby drgnęła, ale ten syk...

— W laboratorium niedaleko stąd wyciągają jad z jadowitych węży... — zauważył Cherlawy.

— To prawda — rzekła pielęgniarka. — Może jakiś wąż uciekł stamtąd i wślizgnął się chłopcu pod kołdrę?

— Myśli siostra, że go ukąsił i biedak już nie żyje?

— Głupstwa opowiadacie! — zirytowany detektyw zdarł kołdrę z Marka i... zastygł osłupiały. Z Markiem działo się coś przedziwnego. Jego zdumiewająco różowe, gładkie jak u niemowlęcia, jędrne ciało zaczęło się marszczyć, kurczyć i wędnąć w oczach, coraz szybciej, aż został z niego flaczek podobny do przekłutego balonika.

I od razu wszystko zrobiło się jasne. To nie Marek leżał w łóżku, lecz duża gumowa lala z przyklejonymi włosami. A syczało uchodzące z niej powietrze.

— Ale gdzie podział się Marek? — ogłupiała pielęgniarka zajrzała pod łóżko, do kąta i za firankę.

Marka nigdzie nie było.

— Uciekł, łobuz, albo... albo porwali go! — roztrzęsiona wybiegła z krzykiem na korytarz.

Detektyw wpatrywał się w podłogę.

— Znamienny, brunatny ślad — zauważył i poruszył nozdrzami.

— Wyraźny zapach cynamonu — dodał Cherlawy niuchając długim nosem.

— Co nam to mówi, komandorze?

— Że tu był Rudy Feluś. To ten z żelaznej rezerwy „Ruatonimu”, pewnie zastępuje Turpisa. Flasz trzymał go w odwodzie z powodu nałogu, ale teraz awansował go widać na agenta do specjalnych poruczeń.

— Tak... „Ruatonim” się kłania — mruknął Kwass.

— Cholerny nałogowiec — pokręcił głową Cherlawy. — Żuje cynamon przy pracy, przeżutego nie połyka, tylko strzyka nim, gdzie popadnie. Ta plama na podłodze... Nie ma wątpliwości, to on uprowadził chłopca.

— Brawo. Znakomita dedukcja, komandorze! — sapnął Kwass.

— Zwraçałem głupolowi uwagę — ciągnął Cherlawy — kiedy jeszcze... hm... graliśmy w jednej drużynie, że to go kiedyś pogrąży, ale śmiał się ze mnie. W naszej branży prawdziwy fachowiec musi strzec się wszelkich nałogów i wszelkich osobliwych przyzwyczajzeń! Nie wolno mu mieć żadnego, choćby najbardziej niewinnego nawyku, żadnego hobby, bo to zwraca uwagę, i to w końcu gubi! Nawet najlepszych w zawodzie. Stale powtarzam moim dzieciom: umiarkowanie, powściągliwość, oto co powinniśmy praktykować, powściągliwość i... i as... asce... asce...

— Ascetyzm — odpowiedział detektyw.

— O, właśnie, to chciałem powiedzieć, świerszczyku mój.

— Zadziewiasz mnie, szelmo, chyba minąłeś się z powołaniem, jako moralista zrobiłbyś większą karierę.

— Jak pan myśli, czy warto na ten temat napisać książkę? Noszę się z takim zamiarem, ale brakuje mi wprawy. Pan mi pomoże? Moglibyśmy założyć pisarską spółkę.

— Masz kapitalne pomysły — oznajmił Kwass — ale najpierw zakończmy sprawę Marka, bo jak widzisz, zabawa się skończyła. Przy Flaszu tacy przestępcy jak Kadryll i Nieszczególny to małe piwko, kaszka z mlekiem i betka. To w końcu nie są mordercy, cokolwiek o nich można by powiedzieć. Z Albertem Flaszem i z Fastrygą to gorsza sprawa. Ci nie cofną się przed niczym. . .

— I . . . i pan chce się zmierzyć z nimi? — przestraszył się Cherlawy.

— Nie inaczej.

— Daj spokój, świerszczyku mój! Nie mamy żadnych szans.

— Tak myślisz?

— Żadnych atutów w rączce.

— Niepotrzebnie wpadasz w panikę, komandorze — powiedział spokojnie Kwass. — A to dlatego, że nie umiesz myśleć koncepcyjnie, konstruktywnie i kreatywnie. Gdybyś myślał konstruktywnie, nie paplałbyś głupstw o atutach, bo w tej rozgrywce mamy atut wagi ciężkiej, a nawet, jeśli chcesz wiedzieć, dwa atuty!

— Zaraz. . . o czym pan mówi, szefie. Atut wagi ciężkiej? Jaki atut niby?

— W „Ruatonimie” Flaszka, jeśli mnie nie oszwabiłeś, pracuje przecież twój człowiek.

— Ma pan na myśli Teofila Bosmanna?

— Właśnie.

— A ten drugi atut?

— To pan Dionizy Kiwajłło.

— Ten od kufra.

— No, widzisz, przypomniałeś sobie.

— Ale co to ma wspólnego z naszą akcją?

— To, że po pierwsze ten siłacz i kolekcjoner jest stryjem mamy Marka, a po drugie, siedzi w samym środku „Minotaura”, bo nie orientując się w świecie przestępczym stolicy przyjął ofertę Alberta Flaszka i objął ciepłą posadkę kustosa oraz rzeczoznawcy w jego galerii w Izabelinie. Otóż mam zamiar włączyć tego pana do moich antyflaszowych operacji.

— Co pan chce zrobić? — zapytał coraz bardziej wystraszony Cherlawy.

— Nie bój się, komandorze, mam genialny plan.

— Naprawdę? — opryszek zmierzył detektywa krytycznym spojrzeniem. Wciąż jeszcze nie miał zaufania do „genialnych pomysłów Kwassa”.

— Spokojna głowa, przyjacielu. Mam pięć sposobów na uwolnienie Marka, ale wykorzystam jeden, najszybszy. . . Bo musimy się śpieszyć! Pierwszy ruch będzie należał do ciebie. I zaraz go wykonasz.

— Jaki ruch? — pisnął płacząco opryszek.

Detektyw rozejrzał się czujnie i ściszył głos do szeptu:

— Słuchaj uważnie, co powiem — nachylił się do ucha Chryzostoma.

* * *

Teofil Bosmann energicznym krokiem wtargnął do Hali Sportu mieszczącej się w bocznym skrzydle Fundacji „Minotaur”. Właśnie skończył się tutaj codzienny trening dżudo prowadzony przez specjalistów z Osaki i wszystkie natryski były zajęte, ale Bosmann nie strapił się tym bynajmniej i nie czekając aż który się zwolni, bezceremonialnie wyrzucił z najbliższej kabiny nagiego Japończyka, zamknął się, wydobył z kieszeni dresu telefon i spokojnie już wykręcił numer Chryzostoma Cherlawego, mając pewność, że szum wody uniemożliwi ochronie podsłuch.

— Mówi przyjaciel — zachrypił do telefonu. — Wciąż nie bardzo kapuję, po co nas wrabiasz w to wszystko, ale zrobiłem, jak prosiłeś. . .

— Widziałeś go? — zapytał podniecony Cherlawy.

— Tylko przez pół minuty. Przywieźli go pięć minut temu. Właśnie obudził się po pastylkach, którymi go zaprawili i strasznie krzyczał. Ale go szybko uspokoili. Ma być zahipnotyzowany, żeby zaczął paplać, bo wciąż nie mają szyfru.

— No właśnie — zdenerwował się Cherlawy. — Nie możemy do tego dopuścić. Musimy wykraść szczeniaka, zanim zdążą coś z niego wyciągnąć.

— Wykraść? Po co tyle fatygi. Lepiej ukręcić mu szyjkę.

— To nie jest dobry pomysł.

— Dobry, bo najprostszy.

— Nie wszystkie najprostsze pomysły muszą być najlepsze, Filu, powinieneś już się tego nauczyć — wyjaśnił cierpliwie Cherlawy. — Zapominasz, że nam Mareczek też jest potrzebny, bo nie znamy muzycznego kawałka szyfru, tego nagranego na taśmę i skasowanego przez tych głupców od rocka! Cała nasza nadzieja w tym, że mały Piegus go zapamiętał. Czy to wreszcie rozumiesz, czy jeszcze mam ci tłumaczyć?

— Rozumiem. Musimy sami dobrać się do bachora. Ale jak? Nic mi mądrego nie przychodzi do głowy.

— Spokojna głowa, świerszczyku mój. Pracuje dla nas mózg naszego przyjaciela Kwassa. On ma pięć sposobów na wykradzenie Marka.

— He... he... — roześmiał się Bosmann — ty masz główkę, Chryziu. Załącz do pracy dla nas mózg samego Hippollita Kwassa! I mówisz, że ma pięć sposobów? Powiedz, jakie?

— Cicho, to nie jest rozmowa na telefon. Wszystkiego się dowiesz jutro, a teraz musisz wykonać jedno ważne zadanie.

— Cóż takiego?

— Pamiętasz, wspominałeś o siłaczu, o tym nowym ochroniarzu, Dionizym, co go Flasz dla niepoznaki zaangażował niby jako specja od bohomaszów i dyrektora galerii. Pogadasz z nim. . .

— Nie... nie, daj spokój, co ty, Chryzostom, to straszny typ, specjalnie przeszkolony goryl ochrony osobistej, on zna chwytty śmiertelne. Miałem z nim mały zatarg o placuszek z kremem. O mało mnie nie udusił — Bosmannowi na wspomnienie Dionizego Kiwajłły przeszedł dreszcz po plecach i wróciła chrypa.

— To stek bzdur i zasadnicza pomyłka co do człowieka, świerszczyku mój — roześmiał się piskliwie Cherlawy. — Jaki tam z niego goryl! Ty wiesz, kto on jest naprawdę? To były archiwariusz, mól papierowy, zupełnie nieszkodliwy. W razie czego załatwisz go łatwo, to nie jest człowiek z brązy.

— Nieszkodliwy?! On mnie dusił!

— Jak powiesz mu, że chodzi o tego szczyła Piegusa, to nie będzie cię dusił. Wytlumacz mu, w jakie łajno wdepnął, co to naprawdę za Fundacja ten cały „Minotaur” i kim jest jego szef Albert Flasz! Uspokój go, że działasz na zlecenie detektywa Kwassa i uświadom, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się jego ulubiony kuzynek, Marek...

— Jego kuzynek, mówisz? — Bosmann zmarszczył czoło.

— No właśnie, tak się szczęśliwie składa.

— Szczęśliwie? Zależy dla kogo.

— Dość uwag! Teraz uważaj i zanotuj sobie. O godzinie trzynastej stawisz się razem z Dionizym na spotkanie z detektywem Kwassem w starym maglu w podziemiu lewego skrzydła Fundacji. Kwass zjawi się w Izabelinie, na parkingu przy drodze do Sierakowa w kostiumie hydraulika, być może wraz z asystentem. Załatwisz tym panom przepustki do Fundacji, zresztą wystarczy jedna, dla Kwassa.

— Jak mam załatwić? — zdenerwował się Bosmann. — Falszerstwo to nie moja branża.

— Przepustka będzie prawdziwa, tylko człowiek nie ten. Zaopatrzysz detektywa w przepustkę hydrauliczną znanego hydraulika Wąsika, który wykonuje naprawy dla Fundacji.

— Chcesz, żebym tej łajzie Wąsikowi skręcił szyję?

— To nie będzie konieczne. Zmuś go tylko do wypicia duszkiem ćwiartki żytniej wyborowej, wyłuskaj mu z kieszonki, co trzeba i zamknij go w kabynie prosektorium... Tam rzadko ktoś zagląda... Aha, byłbym zapomniiał, zabierz mu też identyfikator.

— Zaraz... zaraz. Poczekał, nie tak szybko! Nie nadażam z notowaniem: włąć mu ćwiartkę... wyłuskać, co trzeba... i zamknąć typa w trupiarni. Myślisz, że ćwiartka wystarczy?

— Na pewno, świerszczyku mój. Wąsik jest warty fizycznie, ulula się od razu. Jeszcze jedno: przygotuj tam w maglu białe fartuchy pielęgniarские dla Kwassa i asystenta, być może będą chcieli się przebrać. I pamiętaj, najpierw do Kiwajłły! Dionizy Kiwajłło jest tu najważniejszy. Bez Dionizego cały plan nie ma szans! Musisz urobić tego dziwaka. Polegamy na twoich talentach towarzyskich i liczymy na twój takt, świerszczyku mój. Więc zachowuj się jakoś, nie wkładaj czar-

nych rękawiczek i nie czyścić ich wciąż benzyną, to robi złe wrażenie — Cherlawy urwał nagle bo usłyszał w słuchawce jakiś hałas, dziwne głosy i trzaskania. — Co tam się dzieje, Bosmann?!

— Muszę kończyć — zachrypiał opryszek. — Japończyk się poskarżył, przybiegli trenerzy z kierownikiem. Chcą mnie wyrzucić z kabiny. . .

Chryzostom Cherlawy schował pod fartuch „komórkę”.

— Nie dało się rozmawiać dłużej, szefie — rzekł do detektywa — ale zdążyłem Teofilowi przekazać wszystkie pańskie instrukcje.

— Myślisz, że można mu zaufać? — zapytał sceptycznie Kwass.

— Spokojna głowa. On ma też na pieńku z Flaszem i jemu z panem po drodze. Mamy inne zmartwienie: jak pana stąd wyprowadzić bezpiecznie? Już wiem, wymknie się pan przez oddział farmakologii doświadczalnej, ale musimy porzucić nasze odkurzacze z wyjątkiem kawałka rury, bo czeka nas mała zaprawa strażacka. — To mówiąc Cherlawy zręcznie jak małpa skoczył na parapet, pomógł wdrapać się Kwassowi i w dwie sekundy potem znaleźli się obaj na awaryjnej drabinie pożarniczej na zewnątrz budynku. Detektyw chciał spuścić się po niej na dół, ale Cherlawy powstrzymał go i wskazał kierunek do góry. Wspięli się parę szczebli, Cherlawy dał znak zatrzymania i zaczął się z rurą odkurzacza w ręce.

W oknie ukazał się zadyszany strażnik. Gdy wychylił się i spojrzał w dół, Cherlawy dzielił go rurą w głowę. Strażnik z jękiem osunął się na podłogę.

— Teraz złazimy! — zakomenderował piskliwie Cherlawy. Zeszli już bez kłopotów na długi balkon galeriowy na pierwszym piętrze.

— Tędy, szefuniu! — Cherlawy ruszył w lewo wzdłuż galerii.

— Dokąd mnie prowadzisz, oczajduszo? — zapytał nieufnie detektyw.

— Co pan tak patrzy, szefuniu?

— Nie wiem, czy można ci zaufać — mruknął Kwass.

Cherlawy zaśmiał się.

— Nie ma pan wyboru. Za chwilę agenci ochrony zorientują się, że pan ich nabrał i zacznie się tu piekło. Szybko tędy! — pchnął detektywa w uchylone drzwi balkonowe. — Teraz korytarzem trafi pan do pracowni z napisem Laboratorium Główne, a stamtąd po służbowych schodach zejdzie pan do hallu i do wyjścia, gdzie już nikt nie będzie pana kontrolował. Powodzenia, szefie. Będziemy w telefonicznym kontakcie, świerszczyku mój — zaśmiał się piskliwie i jakby drwiąco, a Kwassa po raz n-ty zdjęły wątpliwości, czy dobrze zrobił wchodząc z tym obwiesiem w konszachty i wtajemniczając go w szczegóły akcji.

Ale nie było czasu do głębszej refleksji, bo już rozległy się alarmowe dzwonki. Zapewne agenci zorientowali się, że zostali nabrani przez fałszywe sprzątaczkę i na korytarzach sanatorium ogłoszono stan zagrożenia.

Wystraszony detektyw przemknął się przez laboratorium, i zbiegł do holu. Nikt go nie zatrzymał, nikt nie kontrolował. A więc jednak Cherlawy, w tej przynajmniej kwestii, nie kłamał. Kwass odetchnął uspokojony. Mógł teraz bezpiecznie przystąpić do akcji.

ROZDZIAŁ XII

TAJEMNICE „FUNDACJI ALBERTA” • BOSMANN KONTRA DIONIZY

Akcja wystartowała zgodnie z planem. Już o pół do pierwszej detektyw Kwass mając u boku Alka jako asystenta pojawił się w Izabelinie. Obaj mieli na sobie pomarańczowe ubrania robocze z wielkim czarnym napisem „Hydroinstalacje Delfin”. Kwass podtrzymywał przewieszoną przez ramię torbę-konduktorę z bułkami kajzerkami (niby na drugie śniadanie) oraz dwoma pudełkami z napisem Mleko Łaciate, w jednym z nich znajdował się zamiast mleka zamaskowany papierowymi serwetkami pistolet gazowy. Alek dźwigał skrzynkę z autentycznymi przyborami hydraulicznymi.

Wszystko zapowiadało się idealnie. Na parkingu przy drodze do Sierakowa znaleźli przygotowane dla detektywa przez Bosmanna dokumenty: przepustkę do „Fundacji Alberta” oraz dowód osobisty na nazwisko Wąsik Pulcheriusz.

Przez bramę Fundacji wpuszczono ich bez sprawdzania i jakiegokolwiek kontroli (!), z wyraźnym pośpiechem, a także z widoczną ulgą. I zaraz się okazało czemu. Ledwie dotarli przez obszerny dziedziniec do sektora „D” w lewym skrzydle gmachu, z drzwi wyłonił się nowo mianowany, po dymisji Eulaliusza Trela, Komendant Sekcji Ochrony „Minotaura” Eugeniusz Kotowski, czyli Gienio Gargamel. Był w samym podkoszulku, rozczochrany. Pół twarzy miał ogolone, pół namydlone obfitą białą pianą.

— Gdzieście się podziewali?! — przywitał fałszywych hydraulików naganą. — Jak jesteście potrzebni, nigdy was nie ma! Bierzcie się do roboty! Nie mam wody w służbówce. Przestało ciec z kranu akurat, gdy się goliłem. Muszę się szybko umyć i ogolić. Miałem nocny dyżur, a potem trudne przesłuchania — rozłożył ręce ze śladami czerwonej, miejscami już szerniałej krwi. — Masa brudnej roboty...

— Brudnej i chyba mokrej — zauważył Alek. — Domyślam się, że...

— Dość gadania — uciął Gargamel. — Za pięć minut chcę mieć wodę w kranie i w prysznicu!

— Obawiam się, że musi pan trochę poczekać — powiedział detektyw Kwass. — Akurat mamy awarię w kotłowni. Rzecz bardzo pilna. Do jakiejś drugiej godziny nam zejdzie. . . Przepraszam, śpieszymy się. — Chciał wyminąć Gargamela, ale typ zagroził mu drogę i przyłożył lufę rewolweru do brzucha.

— Ja tutaj rozkazuję, stary gnomie! Twoja robota poczeka sobie — wycedził — rozumiesz, ty łysy, kloaczny szcurze? To ja decyduję, co jest pilne. . . Marsz do góry! Chyba wiesz, gdzie jest służbówka?

Alek spojrział przerażony na Kwassa. Cała precyzyjnie ustalona akcja brała w łeb. To było oczywiste. Ale w zachowaniu detektywa nie widać było śladu zdenerwowania.

— Jak pan sobie życzy, komendancie — rzekł potulnie. — Zrobi się w try miga. . . a przy okazji moje mokre gratulacje, przepraszam, chciałem powiedzieć hydrauliczne gratulacje, z powodu objęcia tak ważnego stanowiska.

Gargamel łypnął na Kwassa łaskawszym okiem. Udali się do służbówki. Kwass miał nadzieję, że na pół ogolony Gargamel wyjdzie z pokoju dokończyć porannej toalety gdzie indziej i da im szansę ucieczki, ale drań usiadł przy biurku i zapalił papierosa. Miał najwidoczniej zamiar przyglądać się robocie. Kwass spojrzął na zegarek. Czas płynął nieubłaganie, dochodziła już pierwsza, czyli godzina spotkania z Bosmannem i Dionizym Kiwajłłą. Detektyw bez przekonania ostukał młotkiem ścianę w pobliżu umywalki.

— To dłużej potrwa — oznajmił. — Wyczuwam małe zatkanie. . . Musimy zbadać drożność rury. — Pan komendant może śmiało wyskoczyć na pięć minut do baru na przekąskę, po tak trudnym dyżurze należy się panu. . .

— Wolę wam patrzeć na ręce — rzekł z krzywym uśmiechem ochroniarz. Czyżby coś obudziło jego czujność?

— Co teraz? — szepnął zdenerwowany Alek.

— Trudno — zamruczał Kwass. — Może z łaską Bożą uda nam się faktycznie coś przetkać. Odkręcamy baterię!

Zabieg okazał się aż nadto skuteczny. Ledwie zdjeli baterię z kranami, z dziury w ścianie siknęła zniecała woda. Odskoczyli przerażeni, a ostry jak lancet strumień trysnął pod dużym ciśnieniem prosto w otwarte usta Gargamela, który właśnie wypuszczał dym z papierosa. Przestępca wydał krzyk podobny do skrzeku żaby i chroniąc się przed biczem wodnym kucnął za biurkiem zasłaniając się aktówką. Woda biła ze ściany coraz mocniej.

— Idioci! — krzyknął. — Róbcie coś, bo was obedrę ze skóry!

Hippollit Kwass zakreślił się w miejscu ogłupiały. Wyglądał jak zmokła kura, a nadmierna wilgoć zawsze wpływała destrukcyjnie na jego wrażliwy umysł. Alek tym razem zachował się bardziej przytomnie.

— Wiejmy, szefie! — pociągnął detektywa.

Na korytarzu detektyw Kwass odzyskał chwilowo zakłóconą sprawność umysłu.

— Szybko do podziemi! — zakomenderował. — Sektor numer dwa, klatka schodowa „D”!

Pognali korytarzem do najbliższych schodów i zbiegli piętro w dół, lecz okazało się, jak wskazywał napis na ścianie, że są wprawdzie w sektorze drugim, ale w klatce „E”.

Tymczasem ochrona wszczęła już alarm. Przy akompaniamencie dzwonków i syren dał się słyszeć monstrualnie zmieniony przez nagłośnienie bas Gargamela:

— Uwaga! Uwaga! No teren Fundacji przeniknęli fałszywi hydraulicy. Są w pomarańczowych ubraniach! Łapać ich!

Zrzucając po drodze części roboczych ubrań Kwass i Alek ruszyli korytarzem w przeciwną stronę. Tym razem dotarli szczęśliwie do klatki „D”. Zdyszani i ledwie żywi zbiegli po schodach na sam dół, a tam była już strzałka wskazująca drogę do pralni. W pralni nie było nikogo. Rozglądając się ostrożnie dookoła przeniknęli do magła i odetchnęli nieco, gdy poczuli przykry zapach benzyny. Zza półek z bielizną wyłonił się Teofil Bosmann. Wkładał i zdejmował na przemian czarne rękawiczki, co świadczyło, że jest zdenerwowany.

— Coście narobili?! — objechał ich na przywitanie. — Ledwieście się tu przywlekli, już macie na karku cały pluton ochrony. I do tego pół godziny spóźnienia. Nie znoszę niesłownych facetów.

Kwass poczerwieniał z gniewu. Nie był przyzwyczajony do takiego traktowania i zaraz przeszedł do kontrataku.

— Kogoś tu brakuje, koteczku — wycedził lodowato. — Czy zapomniałeś, oczajduszo, coś obiecał załatwić? Miałeś porozmawiać z profesorem Dionizym Kiwajłłą i sprowadzić go tutaj. Rozmawiałeś?

— Nie — Bosmann rzucił Kwassowi nieprzyjazne spojrzenie, od którego detektywowi nieprzyjemny dreszcz przeszedł po łądźwiach.

— Nie? No to szybko odnajdziesz go i porozmawiasz z nim teraz.

— Nie mam na to zupełnie ochoty — oznajmił beczelnie Bosmann i zaczął pomału naciągać czarne rękawiczki, co nie wróżyło nic dobrego — natomiast chętnie pobawię się z panem, stary kapusiu!

— Ja też chętnie się z tobą pobawię, koteczku — rzekł z zimną krwią detektyw — ale najpierw wypełnimy naszą powinność.

— Najpierw obowiązek, potem przyjemność — wtrącił Alek. — Rozumiem, że pana spotkała przykrość ze strony stryja Dionizego, ale liczymy na pańską wielkoduszność, z której pan słynie w kręgach przestępczych. . .

— Nie lubimy się z tym panem. . . — mruknął posępnie Bosmann i odruchowo poprawił bandaż na uszkodzonej szyi. — On mnie dusił.

— Przykro mi, stryj Dionizy bywa często brutalny i nadużywa swojej siły. Tym razem to było na pewno wskutek rozdrażnienia z powodu nieszczęścia, które go spotkało. Nie wiem, czy pan już słyszał: Wieńczysław Nieszczęgólny i Bogumił Kadryll ukradli mu kufer.

Bosmann zgrzytnął zębami i splunął:

— Zgoda, synku, Nieszczególny i Kadryll to najgorsze zakały świata gangsterskiej stolicy, oprócz tego szubrawca Alberta Flasz, ale czemu twój stryjek odgrywa się na mnie, czemu nie zabrał się do duszenia Flasz, tylko próbował udusić mnie?

Alek nie mógł odpowiedzieć na to pytanie i groził niebezpieczny impas w rozmowie, na szczęście detektyw nie stracił kontenansu i zasiadł na Bosmanna.

— No, no, tylko bez dasów, koteczku. To fakt, że prezentujesz żałosny wygląd, rozumiem, że przez tego grubasa ucierpiała nie tylko twoja szyja, lecz godność i duma. To niewątpliwie brutal, co lubi nadużywać swojej siły, ale coś ci powiem, oczajduszo! Nic mnie nie obchodzi twoje porachunki z tym hałaburdą. Umowy trzeba dotrzymywać, koteczku, a są takie okoliczności, że trzeba wchodzić w układy z samym diabłem. Ja też się tobą brzydę, ale co z tego? W tej chwili ważne jest jedno: uwolnić Marka. I tobie w równym stopniu powinno na tym zależeć. Czy muszę ci tłumaczyć jak dziecku? Jeśli szybko nie uwolnimy chłopca, specjaliści „Ruatonimu” wyrwą mu tajemnicę, a wtedy żegnajcie marzenia o pieniążkach ze skarbu „Phoeniksa”. Albert Flasz zgarnie całą zawartość Centralnego Sejfu, a ty, kotku, do końca życia będziesz czyścić buty Fastrydze i zbierał po nim opróżnione butelki. Więc trzeba uwolnić chłopca, bo na godzinę drugą wyznaczono operację! Wydaje to się zadaniem niemożliwym, ale ja mówię, owszem, to jest wykonalne. Mam sposób, niezawodny i prosty, ale wymaga włączenia do akcji pana Kiwajłły. A żeby go włączyć, trzeba mu wyjaśnić całą sytuację i nakłonić, by nam pomógł... Sam tego nie załatwię. Ty tu pracujesz, możesz kręcić się po całej Fundacji i twoja obecność nie zwróci niczyjej uwagi, mnie by się to nie udało, wiesz jak pilnowany jest cały teren i to okropne gmaszysko. Więc schowaj urazę do kieszeni i zrób, co do ciebie należy! Masz swoje pięć minut, by zapisać się złotymi zgłoskami w tej akcji, która niewątpliwie przejdzie do historii.

— Myśli pan?

— To będą najlepsze minuty w twoim życiu! Pięć minut w służbie sprawiedliwości! Wykorzystaj je!

— I pomyśl o Fastrydze! — przypomniał Alek.

Na wspomnienie Fastrygi Bosmann zgrzytnął zębami i zacisnął pięści. Muskulary napięły mu się jak potworne węzły. Bez słowa rzucił Kwassowi i Alkowi białe chałaty do przebrania i ruszył schodami do górnych kondygnacji, gdzie znajdowała się pinakoteka i pracownia konserwatorska.

Tam jednakże Kiwajłły nie było. Nie było go także w pracowni konserwatorskiej przy galerii. Zdenerwowany Bosmann zaczął latać po wszystkich korytarzach, z nerwów czyszcząc w biegu czarne rękawiczki i rozpytując napotkane osoby, czy nie widziały gdzieś „grubego profesora od malowideł”. Unosił się za nim przykry odór benzyny...

Wreszcie ktoś poinformował go, że widział profesora w nowej hali sportowej, która mieściła się w dobudowanym niedawno lewym skrzydle gmachu. Teofil Bosmann pośpieszył tam bezzwłocznie. Informacja była ścisła. Zastał tam Kiwajłłę trenującego z zapalem jazdę na łyżworolkach w towarzystwie znacznie mniej wprawnej młodzieży. Czując respekt przed energią kinetyczną, jaką reprezentował starszy pan o posturze wielkoluda (masa x prędkość!) młodzi ludzie płci obojga przezornie utrzymywali znaczny dystans przed olbrzymem nie dowierzając precyzji jego ruchów, lecz Dionizy spisywał się brawurowo i panował całkowicie nad swą jazdą.

Hala była jaskrawo oświetlona i Bosmanna zapiekły oczy. Widząc, że zanoszą się na dłuższe popisy, zniecierpliwiony założył ciemne okulary i zatrzymał brutalnie przejeżdżającego długowłosego chłopca w hełmie, który jeszcze dość niepewnie czuł się na rolkach.

— Ty, mały, powiedz temu grubasowi, co się tak popisuje, jakby miał medal olimpijski w kieszeni, że przyjaciel przy bandzie chce z nim rozmawiać. I dodaj jeszcze, że to sprawa rodzinna. No jazda, szczyłu, a nie sknoć, bo dostaniesz taki wycisk, że nie wyjedziesz stąd na własnych nóżkach!

I na zadatek trzepnął chłopca czarną łapą w żołądek. Wystraszony długowłosy pognął wypełnić zlecenie, przewracając się z emocji po drodze.

Dionizy Kiwajłło nastroszony podjechał z rozpędem do opryszka i zatrzymał się sprawnie tuż przed nim.

Bosmann zdjął okulary.

— Ach, to ty! — Dionizy skrzywił się pogardliwie — My się chyba już znamy.

— Owszem, poznaliśmy się w jadalni — powiedział Bosmann. — Pan mnie dusił — dodał poprawiając bandaż na szyi. — Mieliśmy drobne nieporozumienie w stołówce. Chodziło o ostatni placuszek z kremem, na który obaj mieliśmy apetyt.

Dionizy spojrział ze wstrętem na czarne rękawiczki opryszka i poruszył nosem.

— Spływaj stąd, śmierdzielu!

— Chwileczkę, mam do pana dwa słowa, profesorku.

— A ja do ciebie ani jednego — uciał Kiwajłło.

— Niech pan się nie boi — Bosmann podniósł łapy do góry — nie mam złych zamiarów ani majehra w rączce. Przecież pan widzi.

— Spadaj, bo znowu oberwiesz! — Dionizy natarł na niego.

— Zaraz... nie tak ostro — bulgotał Bosmann cofając się tyłem z rękami do góry. — Marek Piegus, czy to panu coś mówi?

Dionizy zatrzymał się zaskoczony.

— Co ty masz wspólnego z Markiem, obrzydliwa kupo sflaczałego mięsa?

— Pański kuzynek został porwany, będą go męczyć, a potem ukatrupią...

Trzeba ratować chłopaka. Potrzebna pomoc.

Dionizy słuchał z niedowierzaniem.

— I ty... ty mi przyszedłeś to powiedzieć?!

— Boimy się o bachora.

— Naprawdę?

— Mnie samego to dziwi, ale takie są układy, że w tej chwili jesteśmy po jednej stronie.

— Wy, to znaczy kto?

— Pan, Chryzostom Cherlawy, jeden znany detektyw i ja.

— Mam ci uwierzyć? Co ty znów knujesz? Co to za kombinacje?

— Żadne tam kombinacje... Detektyw Kwass to wymyślił. Mam z panem porozmawiać, żeby pan dołączył do akcji i ratował szczyla. — Teofil Bosmann wyjął kartkę i odczytał z kartki:

*Detektyw będzie na pana czekać
o godzinie trzynastej
w starym maglu w podziemiu
lewego skrzydła Fundacji.
Klatka schodowa De, sektor
numer dwa!*

— W maglu? Tutaj? To jakaś niestworzona historia!

— Bo tutaj więziony jest Marek. Przygotowują go do operacji. Wczoraj przywiózł go „Ruatonim”.

— „Ruatonim”, co za zwierzę?

— Bratni oddział „Minotaura”. Słyszał pan o „Minotaurze”?

— To agencja ochrony, ale nie rozumiem...

— Zaraz... Albert Flasz, zna pan takiego człowieka?

— Profesora Alberta Flasz?! Oczywiście.

— Jak pan go poznał?

— Dzięki przypadkowi — Dionizy chrząknął nieco zakłopotany — a ściślej dzięki nieporozumieniu, powiedziałbym, dzięki szczęśliwemu qui pro quo. To wybitny mecenas sztuki, człowiek renesansu rzadko dziś spotykany.

— Tak się przedstawił?

— Przedstawił się jako dyrektor „Fundacji Alberta”, tudzież prezes holdingu spieszącego z pomocą firmom i ludziom szantażowanym przez zorganizowane gangi reketierów.

— Nabrał pana — zachrypiał Bosmann.

— Co takiego?

— Mecenas sztuki! Obrońca szantażowanych biedaczków?! A to dopiero! — Bosmann zarechotał basowo. — To przecież gangster! Czystej krwi! Rasowy boss mafii! Szef największego gangu w stolicy!

— Co ty mi takie rzeczy... — oburzył się Dionizy.

— Poszedł pan na służbę do gangstera, profesorku — rechotał rozbawiony opryszek.

— Profesor Flasz gangsterem?! — spienił się archiwariusz. — Jak śmiesz będąc osobą podrzędną pozwalać sobie na podobne epitety i kalać... Holding „Minotaur” jest legalną, poważną firmą, a prezes Albert Flasz, to sympatyczny esteta i kolekcjoner.

— I ten sympatyczny kolekcjoner porwał pańskiego kuzynka, by dokonać na nim zbrodniczych zabiegów. A po co? Po to, by wydrzeć mu tajemnicę, którą smarkacz poznał przypadkowo parę dni temu.

— Nieprawda! Nie nabiorę się na to!

— Nieprawda? Widziałem na własne oczy, jak przywieźli go tutaj! Aż przykro było patrzeć. Facjatę miał całą we krwi. Tak nam się zdawało. Na szczęście to nie była krew, ale keczup, którym go złośliwie wysmarowali za to, że im się urwał w jadalni...

— Nie wierzę ci — sapał wzburzony Dionizy. — Dlaczego miałbym wierzyć komuś takiemu jak ty? To brudna prowokacja! Kalasz gniazdo, w którym siedzisz. Wszak sam pracujesz w tej firmie.

— Tak, ale jestem na odlocie. Podupałem na zdrowiu w tej służbie. Ten drań Flasz trzymał mnie dziesięć lat w podziemiu. Wzrok mi nawalił, zachorowałem na oczy. Dzielne światło mnie razi... Wszystko bym zniósł, cierpliwy jestem jak wół, ale niesprawiedliwość i niewdzięczność tego gada mnie wkurza. Albert Flasz to padalec, a do tego pijak i ochlapus. Z powodu mojej wstrzemięźliwości i abstynencji, nie mogłem znaleźć wspólnego języka z tym alkoholikiem...

— Ty w roli abstynenta? — Dionizy zaśmiał się. — Nie wierzę!

— To nie jest śmieszne. Przez to, że propagowałem powściągliwość i trzeźwość wśród załogi, naraziłem się całemu personelowi, bo to wszystko moczymordy. Tak, nikt tu nie doceniał mojego profesjonalizmu i mojej uczciwości wybitnej, a już przebrała się miarka, kiedy na szefa ochrony zamiast mnie Flasz mianował gnoja znanego pod przewiskiem Fastryga, takie nic, takie zero, degenerata w szponach alkoholizmu! A dlaczego akurat Fastrygę? Ano dlatego, że to był jego dawny kumpel do codziennego tankowania śliwownicy... Ale dosyć upokorzeń, odchodzę! Zakładam firmę razem z magistrem Chryzostomem Cherlawym, bardzo zdolnym człowiekiem, może pan słyszał. Już niedługo odpłacę Albertowi Flaszowi i Fastrydze za te wszystkie zniewagi, których doznałem, za moje oczy, za reumatyzm i za ogólną niestrawność, której się tu nabawiłem...

— Wystarczy — przerwał zde gustowany Dionizy. — Nie dam się wziąć na te plewy. Zmyśliłeś tę historię z Markiem, żeby się zemścić na mnie. Bo wtedy byłem górą i założyłem ci nelsona i dowiodłem, że mimo gorylej siły masz poważne luki w wyszkoleniu.

Teofil Bosmann pokręcił głową.

— Więc nic pan nie zrobi w sprawie tego bachora, Marka?

— Posłuchaj, Alibabo, przychodzisz tutaj, zwabiasz mnie i gędzisz. Nagadałeś mnóstwo nieprawdopodobnych rzeczy, ale to są tylko twoje słowa, gołe słowa. A gdzie dowód, że ten mały bisurman jest tutaj? Więziony na terenie Fundacji?

Bosmann sapał przez chwilę wyraźnie wyczerpany tą rozmową, a potem mruknął:

— Niech pan idzie do baru i jadalni. Ten szczeniak tam się podpisał.

— Podpisał?!

— Ketchupem i musztardą na ścianie. Niech pan zobaczy i będzie pan miał dowód... tylko prędko, zanim zamażą...

— Zmyślasz coraz głupiej i zabawniej. Fantazja cię nie zawodzi.

— Więc pan nie pójdzie tam i nie popatrzy na ścianę?

— Nie mam najmniejszej ochoty. Wystarczy mi, że popatrzyłem na twoją gębę. Chcesz mnie zwabić podstępnie do baru, szłaawiło, a ja naprawdę mam na dzisiaj dosyć. To są jakieś wasze wewnętrzne rozgrywki, ale nie dam się wciągnąć. Spadaj!

Bosmann wzruszył ramionami.

— Szkoda. Niepotrzebnie strzepiłem język, widzę. Ale dobrze, powiem Kwasowski, że pan się wypina na jego akcję. A smarkacza niech Flasz pieści! Nie będę płakał. Niech bachor ginie! Zawsze mówiłem koledze Cherławemu, że za bardzo się patyczkujemy z tym bachorem! — Bosmann zdenerwowany wyciągnął z kieszeni płaską buteleczkę i zaczął czyścić benzyną rękawiczki. A potem wolnym krokiem opuścił zde gustowany halę.

Wymiana zdań z Dionizym Kiwajłłą napełniła go głębokim niesmakiem. Czuł w ustach gorycz, pomyślał, że grozi mu poważna niestrawność i powinien profilaktycznie wypić dwie butelki... wody mineralnej Zuber.

W służbówce poprawił mundur ochroniarski, zdjął z szyi bandaż, bo uznał, że psuje mu wygląd, i wyjął ze stojaka największą pałę gumową. Machnął nią parę razy w powietrzu i pomyślał, że spalowanie paru pijaczków w barze dobrze mu zrobi na nerwy. Na pół już rozluźniony sprężystym krokiem ruszył w stronę schodów.

ROZDZIAŁ XIII

DIONIZY RUSZA DO ATAKU • ZBRODNICZY EKS-CHIRUR- DZY

W maglu detektyw Kwass i Alek przebrani już za sanitariuszy w przydługich białych kitlach, niezbyt dopasowanych do ich niskiego wzrostu, czekali niecierpliwie na pana Kiwajłę i Bosmanna, ale minęło pół do drugiej, a żaden z nich nie pojawił się w maglu.

— No i co z pana znakomitym pomysłem? — rzekł zirytowany Alek. — Znów niewypał!

— To nie mój pomysł zawiódł, to zawiódł człowiek — oświadczył z godnością detektyw. — Okazuje się, że coraz mniej ludzi jest godnych zaufania, mój chłopcze.

— Uprzedzałem! Jak można było liczyć na uczciwość takiego oprycha jak Teofil Bosmann? To beznadziejna naiwność wierzyć komuś takiemu na słowo!

— To nie on nawalił, chłopcze. Założę się, że to Dionizy! Miał zawsze opinię nieobliczalnego dziwaka, a na starość stał się jeszcze chorobliwie nieufny.

— Przykro mi zauważyć — chrząknął Alek — pan wybaczy, co powiem... ale... ale pan, panie Hippollicie stał się za to chorobliwie łatwowierny. Jak dziecko!

Detektyw puścił mimo uszu tę nietaktowną uwagę i spojrzał jeszcze raz na zegarek.

— Dłużej już nie możemy czekać. Będziemy musieli zastosować wariant B.

— To znaczy?...

— To znaczy, że podejmiemy działania nie oglądając się na Bosmanna i Kiwajłę.

— We dwóch?

Alek poczuł, że dziwnie cierpnie mu skóra i włosy jakby stają mu dęba na głowie.

— Może poczekamy jeszcze pięć minut?

— Ani chwili dłużej! Za pięć minut ci dranie zaczną operować Marka. Musimy temu przeszkodzić za każdą cenę!

— Bez Bosmanna, bez Kiwajłły?! — jęknął Alek. — To się nie może udać, to szaleństwo!

Detektyw spojrzał na Alka podejrzliwie.

— Możesz się jeszcze wycofać... nie będę miał pretensji, ale się chyba nie boisz? Nie obleciał cię strach?

— Jasne, że nie! — odparł dzielnie młodzieniec, acz głos zdrzął mu zgoła nie po męsku.

— No, to bierz się do roboty! Wiesz, co masz robić?

Alek zdjął z półek i załadował do wózka parę kompletów bielizny pościelowej, nadto detektyw wydobyl ze swych przepastnych detektywistycznych kieszeni dwa pistolety gazowe, jeden z nich wręczył Alkowi. Na koniec detektyw polecił mu wyszukać dwa worki plastikowe i dwa największe prześcieradła oraz położyć je luzem na wierzchu.

— Po co to?

— To materiały obezwładniające i dezorientująco-dławiące, którymi zaatakujemy zaskoczonych ochroniarzy, gdy pojawią się z Markiem na wózku w pobliżu sali operacyjnej.

— Zaatakujemy ich prześcieradłami?! — Alek spojrzał na detektywa jak na wariata.

— Zarzucimy im na głowy, owiniemy ich, skrępujemy jak mumie, a na koniec nasadzimy im worki...

— Myśli pan, że nam się uda?

— Jasne. Pistoletów użyjemy tylko w ostateczności. Gaz mógłby zaszkodzić Markowi.

Alek pokręcił głową, zupełnie nie przekonany do pomysłu.

Omali się nie spóźnili. Na korytarz prowadzący do sali operacyjnej dotarli akurat w momencie, gdy już z przeciwnej strony nadjeżdżał pomału wózek z uspio-nym pacjentem o bladej dziecięcej twarzyczce i jasnych włosach. Serce załomo-tało im w piersi. Nie ulegało wątpliwości, to był Marek! Jak ważną musiał być dla „Ruatonimu” osobą, świadczył fakt, że konwojował go osobiście sam szef ochro-niarzy — Fastryga. Był chyba na dobrej bańce i na niezłym cyku, bo prowadził wózek dziwnym zygzakowatym kursem i bełkotał coś sam do siebie.

Hippollit Kwass dał znak Alkowi, aby był gotów... Zgodnie z planem mieli zacząć akcję w momencie, gdy wózek z Markiem znajdzie się na linii ostatniego okna korytarza, trzy metry od drzwi sali operacyjnej. Ale wypadki potoczyły się znów w sposób nie przewidziany przez znakomitego detektywa. Nabuzowany Fastryga nie potrafił wziąć zakrętu korytarza i rąbnął wózką w ścianę. Gwałtowny wstrząs obudził Marka. Usiadł na łóżku przerażony i na widok kancerowatej, upiornej twarzy Fastrygi chciał uciec, ale złoczyńca w ostatniej chwili chwycił go wpół i, wierzgając, rzucił z powrotem na wózek. Detektyw z Alkiem chcieli

doskoczyć z prześcieradłem, lecz w tej samej chwili pechowo nadjechała gruba salowa ze stosem bielizny do prania i zagroziła im drogę.

— To brudy dla mnie? — wyrwała bez ceregieli prześcieradło z rąk detektywa i Alka, nim zdążyli zaprotestować i odjechała.

Fastryga próbował uspokoić wrzeszczącego Marka potrząsając nim jak workiem ziemniaków, a gdy nie pomogło sięgnął po strzykawkę. Zapewne chciał chłopcu zaaplikować obezwładniający narkotyk.

— Ratunku! — krzyknął Marek.

— Stój, ty fastrygowana mordo! — rozległ się nagle chrypliwy, basowy głos.

Jedna żelazna dłoń w czarnych rękawiczkach zacisnęła się na szyi złoczyńcy, a druga powstrzymała jego rękę ze strzykawką.

Detektyw Kwass i Alek odetchnęli. To Bosmann! Teofil Bosmann! Był w pełni formy, jakby sobie chciał powetować porażkę w starciu z Dionizym Kiwajłłą. Zdążył w ostatnim momencie. Ale Fastryga nie dawał za wygraną, próbował wyrwać się z uchwytu natężając wszystkie siły. Jego pokiereszowana kostropata twarz zaczęła przybierać siną barwę, szramy i blizny uwidoczniły się jeszcze szpetniej na jego nabrzmiałych policzkach.

Marek patrzył struchlały na to widowisko. Bał się Fastrygi, ale w równym stopniu przerażał go ten drugi czarnopalcy siłacz, w którym rozpoznał Teofila Bosmanna. Przed oczyma stanęły mu straszne poczynania tego złoczyńcy, których napatrzył się aż nadto w czasie pobytu w lochach pod kościołem Świętego Jacka.

Nierówna walka szybko zmierzała do końca. Przewaga Bosmanna była oczywista. Fastryga słabł z każdą sekundą, flaczał, brakowało mu tchu. Z jego zduszonego gardła wydobywał się rozpaczliwy charkot. Bosman z łatwością wyjął mu ze zwiotczalej dłoni strzykawkę.

— No, to skończmy tę zabawę — powiedział i z widoczną przyjemnością wbił igłę w lewy pośladek gangstera. Zastrzyk podziałał błyskawicznie. Gangster osunął się nieprzytomny na podłogę. Bosmann popatrzył na niego ze wstrętem.

— Gotowy! — mruknął do Kwassa i Alka.

— Zabiłeś go! — wybełkotał przerażony detektyw.

Bosmann zaśmiał się rechośliwie.

— Nic mu nie będzie. Prześpi się trochę. Zabić takiego gnoja to byłaby zbyt mała satysfakcja. Niech żyje w ciągłym strachu, że kiedyś naprawdę z nim skończę. Na razie mi wystarczy, że skończy z nim Flasz. Po tej kompromitacji na pewno wyrzuci szczura na bruk. No, chodź, przystojniaczku! — dźwignął nieprzytomnego Fastrygę. — Teraz ty pojedziesz sobie na operację. Zawsze marzyłeś, żeby zrobić sobie nową gębę — rehocząc ułożył opryszka na wózku, tuż obok przerażonego Marka, po czym wyjął z kieszeni płaską buteleczkę z benzyną i zaczął czyścić rękawiczki.

— A ty co tak rozdziawiłeś dziób? — zagadnął do wystraszonego chłopca. — No, nie bój się, chodź, pogłaskam cię! — podniósł łapę w czarnej rękawicze.

Marek skulił się, nie wytrzymał nerwowo, zeskoczył z wózka i zaczął uciekać co sił w nogach.

— Stój, dokąd pędzisz, wariacie, oszalałeś?! — krzyknął Alek. — Nie poznajesz nas? To my, pan Hippollit i ja. . .

I wraz z detektywem rzucił się w pogoń za Markiem.

Teofil Bosmann stał przez chwilę w rozterce, a potem zaklął pod nosem, pchnął wózek z Fastrygą w stronę sali operacyjnej a sam dołączył do pościgu.

* * *

Zdenerwowany opowieściami Bosmanna stryj Dionizy, stracił ochotę na dalsze popisy, zdjął łyżworolki i ruszył w stronę swojej pracowni; chciał zadzwonić stamtąd do matki Marka i uzyskać potwierdzenie, że chłopca faktycznie porwano. Bo rzecz wydawała mu się absurdalna. Profesor Albert Flasz, prezes Fundacji, znany kolekcjoner i miłośnik sztuki miałby być gangsterem?! On, który powołał do życia agencję „Minotaur” właśnie po to, by zwalczać gangsterstwo?!

W połowie drogi, jak zwykle gdy był wzburzony, poczuł wilczy głód i zбочzył do pustej o tej porze jadalni, by zafundować sobie mały posiłek w postaci pięciu hamburgerów z automatu. Spalaszował je z apetytem, a po krótkiej (i przegranej) potyczce z ogarniającą go żarłocznością wpakował jeszcze cztery (!) żetony w brzuch automatu z ciastkami drożdżowymi z serem i apetyczną posypką. Właśnie gdy na zwolnionych już obrotach kończył czwartą sztukę i zastanawiał się, czy nie zjeść jeszcze jednej, jego senny wzrok padł na ścianę naprzeciwko. Czy mu się zdawało, czy do niechlujnych bazgrołów dołączył jeszcze jeden wyjątkowo paskudny, nieudolny napis, jakby ktoś nasmarował go palcem umocznym w pomidorowym keczupie. Dionizy zaprzysięgły wróg tego rodzaju artystycznej twórczości na ścianach, jak zresztą w ogóle amatorszczyzny w sztuce, parsknął gniewnie, podszedł bliżej, aby zbadać w imię jakiego hasła dokonano nowej profanacji ściany. Keczupowy napis był w dużym stopniu zamazany i jakby przez kogoś umyślnie zatarty, ale Dionizy, jako archiwariusz z zawodu, miał dużą wprawę w odczytywaniu trudnych rękopisów i w kilka minut zdołał odtworzyć przerażający tekst:

*TU PISZE MAREK
PIEGUS.
RATUNKU!
CHCĄ MI ZROBIĆ
DZIURĘ W GŁOWIE*

Dalej napis był już całkowicie zamazany i nieczytelny. Zapewne konwojenci zauważyli, że Marek coś skrobie i odciągnęli go od ściany, a potem próbowali zetrzeć to, co nagryzmolił.

Dionizy przygryzł wargi. A więc Bosmann nie kłamał. To jest ten ślad w jadalni, o którym wspominał. Ten cholerny gangster rodem z filmowej kreskówki nie kłamał. A jeśli powiedział prawdę o Marku, to chyba również o Albercie Flaszu. Dionizego ogarnął gniew. . . Wielka złość na Flasz, ale jeszcze większa na siebie samego, że dał się uwieść pięknym słówkom fałszywego profesora. Przyjął pracę u gangstera. Co za hańba! Tego jeszcze nie było w poczciwym rodzie Kiwajłów. Co za hańba i kompromitacja!

Która to godzina? Dionizy spojrzął gorączkowo na zegarek. Dochodziła druga, a zatem ani chwili do stracenia. Wybiegł z jadalni i popędził po schodach w dół za strzałką, która wskazywała drogę do pralni. Niestety, ani w pralni ani w przyległym do niej maglu już nikogo nie było. Z pewnością detektyw Kwass nie mogąc się doczekać przybycia sprzymierzeńca, na którego tak liczył, postanowił podjąć działania na własną rękę. Zdenerwowany Dionizy pognął co sił w nogach do lewego skrzydła gmachu, gdzie, jak wiedział, znajdowała się sala eksperymentalnych operacji.

* * *

Właśnie z tejże sali wyjrzała na korytarz dyżurna pielęgniarka.

— Już jest! — powiedziała na widok wózka z pacjentem.

— Dawaj go! — rozległ się z sali nieco przepity głos.

Genialny były chirurg Bidon ze znakomitym byłym anestezjologiem Biglem i z niezawodną byłą siostrą instrumentariuszką Alberyną, wszyscy wyrzuceni z zawodu przez nadgorliwych i nieużytych formalistów z Izby Lekarskiej z powodu alkoholizmu i patologicznych zmian w mózgu, odstawili szklanki.

— Do roboty, moi drodzy — powiedział były chirurg Bidon. — Musimy dzisiaj uporać się z gościem szybko, bo za pół godziny mam wizytę u psychiatry. Wczoraj w nocy znów widziałem na łóżku pełno pełzających krabów i czarnych pajaków. Na stół z tym gnojkiem! — wytarł ręce o kitel i zakasał rękawy.

Pielęgniarka podjechała z Fastrygą na wózku.

— Co takiego? Jeszcze nie rozebrany?! — zdenerwował się Bidon. — Prędko rozbierać go, sestro!

Pielęgniarka zaczęła zdzierać z opryszka ubranie. Robiła to dość brutalnie, szarpiąc go i przewracając to na brzuch to na plecy. Fastrygą przebudził się i spojrział zdziwiony na zamaskowanych ludzi, którzy go otaczali.

— Co się stało? — usiadł przerażony. — Gdzie ja jestem? Skąd się tu wziąłem?

— Spokojnie — anestezjolog wsadził opryszkowi rurkę do nosa, ale opryszek wyrwał ją sobie ze złością.

— Sam sobie wpakuj! — warknął do lekarza.

— Ależ zrozum, człowieku, to dla twojego dobra — anestezjolog próbował powtórnie podłączyć Fastrygę do tlenu.

— Powiedziałem, bez takich numerów — zdenerwował się oprych. Chwycił zaskoczonego lekarza w oba łapska, wepchnął jego głowę pod swoją pachę. — Ja też potrafię — zasapał i chciał mu wsadzić do nosa wtyczkę od walkmana, ale eks-chirurg Bidon przytomnie ostudził zapalony krewkiego gangstera tnąc go w ucho skalpelem.

— Połóż się grzecznie! — rozkazał z nożem podniesionym groźnie do powtórnego ciosu.

Przerażony gangster wyciągnął się na stole.

— Co mi zrobicie? — jęknął płacząco.

— Wytniemy ci co nieco. Co tam jest w skierowaniu, siostrze? Wyrostek? Woreczek?

— Globus, panie ordynatorze.

— No, więc słyszałeś, globus! Coś nie w porządku z twoją głupią pałą. Musimy zajrzeć do środka. Być może małe przemeblowanie dobrze ci zrobi.

— Przemeblowanie? — zaniepokoił się opryszek.

— Coś się przestawi, przykroi... przyfastryguje...

— Ale po co... po jakie licho?!

— Z pewnością znajdzie się jakiś powód — ziewnął były anestezjolog. — Należy podejrzewać, że masz skłonności przestępcze, przyjacielu. Zgadza się?

— Dokładnie... — wycedził ponuro gangster — ale zostawcie mój łeb w spokoju. Lubię moje skłonności.

— Prawdopodobnie w tym właśnie cały problem — zamruczał anestezjolog — i dlatego mała korekta na pewno wyjdzie ci na zdrowie. Uwolnimy cię od zbrodniczych instynktów. Będziesz innym, lepszym człowiekiem!

— Dziękuję, ale nie chcę, nie życzę sobie — oprych zaprotestował stanowczo. — Dobrze mi z moimi instynktami, jestem przywiązany do moich instynktów!

— Dość tych dyskusji — przerwał zniecierpliwiony eks-chirurg Bidon. — Nie masz tu nic do gadania, czarusiu. Zamówiona została operacja mózgu i będziesz poddany takiej operacji, morduchno! Niech siostra ogoli mu łepkę! — rzucił do Albertyny.

— Nie! Nie! Nie pozwalam! — wykrzyknął gangster. — To pomyłka! To jakieś nieporozumienie! Owszem szykowałem się na operację, ale miała to być operacja plastyczna. Powiem krótko: chodzi o zmianę twarzy. Macie tu wszystko, co potrzeba, machnijcie mi taki zabieg, skoro już jestem na stole. Co wam szkodzi panowie?! Dobrze zapłacę. Zbieram forszę na tę operację już od czterech lat! — wyrwał z rąk pielęgniarki spodnie i wyciągnął z nich żółtą wypchaną kopertę. — Proszę, tu jest dwanaście tysięcy dolców. Noszę je stale przy sobie, tak jest bezpieczniej, bo wszędzie pełno złodziei. Zaraz pokażę, jak chciałbym wyglądać,

panowie. — Nerwowo zaczął szperać po kieszeniach marynarki i wydobyl pęk wycinków z kolorowych czasopism oraz kilka ulotek reklamujących usługi różnych „klinik” chirurgii plastycznej, tudzież „instytutów” piękności. Jedna z nich przedstawiała zdjęcia jakichś zgredów o zakazanych mordach przed operacją i po operacji plastycznej. Fastryga wskazał palcem na uśmiechniętego przystojniaka o obliczu gładkim jak niemowlęca pupa.

— Panowie zrobią mi twarz taką jak u tego picusia. . . Co jest? — zaniepokoił się nagle. — Co tak patrzycie? Czemu nic nie mówicie? Nie bójcie się, ja zapłacę. . . połowę teraz, połowę po zabiegu. . . błagam. . . przecież widzicie, jaką mam facjatę. . . czy chcielibyście mieć taką?

Ale nie doczekał się odpowiedzi. Eks-chirurg Bidon z eks-anestezjologiem Biglem i z byłą siostrą instrumentariuszką wymienili znaczące, jak się Fastrydze zdawało, spojrzenia i uśmiechy, po czym przenieśli swój drapieżny wzrok na kopertę z pieniędzmi.

Fastrygę zdjęły złe przecucia.

— Panowie, doktorzy, co wam chodzi po głowie? Co wy knujecie, do licha?! — wybełkotał i zamilkł przerażony, bo w ręku eks-anestezjologa Bigla pojawił się pistolet. Prawdziwy czy gazowy, nie miał już czasu rozważyć, bo w tym momencie zapiekły go oczy i ogarnęła ciemność. . .

Eks-chirurg Bidon dopadł spieszenie do koperty i wyłuskał jej zawartość. Śliniac palce przeliczył fachowo dolary, jakby był zawodowym kasjerem. Banknoty migały mu błyskawicznie w ręku. Eks-anestezjolog Bigiel i była siostra instrumentariuszka, Albertyna, śledzili czujnie tę operację patrząc Bidonowi uważnie na ręce. Gdy skończył, podzielili kwotę na trzy części, po równo dla każdego.

— A co z nim? — zapytała Albertyna wskazując na wyciągniętego na stole opryszka.

— Napiszemy protokół. . . — chrząknął Bidon. — Guz kalafiorowaty w czaszce i rozmięczenie mózgu. By rzecz uprawdopodobnić trzeba mu zrobić dziurę w głowie, wykrajać kawał substancji szarej, posiekać, ugnieść i ukrećić na kogel-mogel, ewentualnie dodać wody i rozbełtać, po czym wlać z powrotem do czaszki. . .

* * *

Na schodach sektora „C” w lewym skrzydle gmachu Dionizy zadyszany zatrzymał pielęgniarkę z wózkiem szpitalnym.

— Tu mieli przywieźć na operację mojego małego kuzyna. Zaszła, tragiczna pomyłka. Pomyłono skierowania. Zabieram go. . .

— Za późno — powiedziała pielęgniarka. — Właśnie go operują.

— A niech to wszyscy diabli! — Dionizemu zimny dreszcz przeszedł po plecach. Ruszył biegiem wzdłuż białego korytarza. . .

Nad szerokimi drzwiami sali operacyjnej pulsował czerwony napis:

*Nie wchodzić!
Operacja w toku*

Dionizy zaklął po raz wtóry i nie zważając na zakaz wtargnął na salę. Stół operacyjny otaczało troje ludzi, wszyscy w zielonych maskach i kitlach. Chirurg rzucił na tacę zakrwawione, zębate, podobne do piły narzędzie i otarł spocone czoło. Asystentka podała mu młotek i dłuto.

— Nie to! Czy siostra się upiła?! — zbeształ ją operator. — Skalpel, siostro! Instrumentariuszka sięgnęła po skalpel.

— Stać! Przerwać operację! Zabieram chłopca! — zagrzmiął Dionizy i wyrwał asystentce skalpel.

— Co pan wyrabia?! Pan oszalał?! Kim pan jest?! — krzyknął oburzony Bidon.

— To zbrodnicza intryga! Wylądujcie wszyscy za kratkami. W dodatku zje od was alkoholem, konowały, jesteście w stanie upojenia! — ryczał Dionizy, pociągając wielkim nosem. — Chodź, biedne dziecko — zwrócił się łagodnie do uśpionej ofiary eks-chirurgów — wszystko będzie dobrze, stryj cię zabierze i ocali... — to mówiąc uniósł do góry omotanego w prześcieradło Fastrygę i jęknął zaskoczony:

— Co u licha?! Ile ty ważysz, kochasiu?

Szarpnięcie wywołało senną reakcję opryszka, westchnął i objął szyję Dionizego w jakimś serdecznym uścisku...

— Mamo — wybełkotał — przytul mnie, ucałuj!

Dionizy ściągnął gazę przykrywającą twarz operowanego i osłupiał. Zamiast miłej buzi Marka zobaczył odrażającą twarz gangstera, pozszywaną z kawałków i napiętowaną ohydnyymi bliznami...

Ze wstrętem rzucił z powrotem na stół oprycha; ten na dobre rozbudzony usiadł na stole trzymając się za krwawiącą głowę.

— Co za gnój mnie tak urządził?! — charknął rozżłoszczony. — Gdzie moi ludzie?! Ochrona do mnie! — zakomenderował. — Atakujemy, naprzód. Kick-boxingiem, panowie! Hurra! — zamachnął się i ugodził pięścią eks-anestezjologa w żuchwę. Biedak zatoczył się aż pod ścianę, stuknął głową w kaloryfer. Okulary spadły mu z nosa.

— No, no — krzyknął do Fastrygi. — Co ty wyrabiasz, gorylu?! — eks-chirurg chwycił za lancet. — Kładź się z powrotem, no jazda...

Nie dokończył, bo Fastryga kopnął go w żołądek. Operator jęknął głucho, zgiał się w pół jak złamany badył i osunął na ziemię.

— Jak ty uśpiłeś tego bydlaka, Bigiel? — wybełkotał z pretensją do eks-anestezjologa, gramoląc się ciężko z podłogi.

— Nie wiem, co się stało, powinien spać jak trup. Jak Boga Kocham zaaplikowałem mu podwójną dawkę — odparł Bigiel szukając na czworakach okularów po omacku. — To niewrażliwy potwór, cholerne monstrum. . . O. . . moje szkła — ucieszył się. — Nie. . . to tylko pusta butelka — stwierdził po chwili z zawodem. — Wszędzie tylko puste butelki. . .

Stryj Dionizy przyglądał się zde gustowany tym scenom.

— To ja już sobie pójdę — oznajmił. — Zostawiam panów we własnym gronie wraz z tym sympatycznym opryskiem. Doskonale wszyscy pasujecie do siebie panowie. Operujcie dalej w tym stylu!

To powiedziawszy z ulgą wydostał się na korytarz. Tu ogarnęły go ambiwalentne uczucia. Cieszył się, że szczęśliwie nie doszło do operacji Marka, ale z drugiej strony pełen był niepokoju co do dalszych losów chłopca. Czy nie stało się z nim coś strasznego, czy jeszcze żyje? Co robić w tej sytuacji? Zawiadomić policję? Lecz w końcu, jakie ma dowody, że Marek został porwany, uprowadzony przez ludzi Flasz i że jest przetrzymywany tutaj? Oświadczenie starego kryminalisty Bosmanna? Keczupowe gryzmoły w jadalni? Należy wątpić, czy jeszcze tam się znajdują. Miotany złymi przeczuciami zajrzał do jadalni. . . No, tak! Oczywiście!

Można się było spodziewać. Wszystkie napisy na ścianie zniknęły. Zdążono je sprawnie zniweczyć. Cała ściana błyszczała nieskalaną bielą.

Dionizy zasepił się. Co teraz pozostaje? Iść do Alberta Flasz i zażądać uwolnienia Marka? To nic nie da! Flasz z pewnością wyprze się wszystkiego, co gorsza uzna, że Dionizy stał się niebezpieczny i postara się zlikwidować go po cichu. To zimny morderca. Zdemaskowany nie cofnie się przed niczym. Zabije bez wahania!

Nie, nie, po co od razu takie czarne myśli — Dionizy otrząsnął się. Niepotrzebnie martwi się z góry. Może Kwassowi z Alkiem udało się odnaleźć Marka i kryją się z nim gdzieś w pobliżu? To byłoby wspaniale, byle tylko nie próbowali sami przeprowadzić chłopca za bramę. To by się na pewno skończyło tragicznie. Trzeba szybko nawiązać z nimi kontakt! Ale jak? Może uda się przez Bosmanna. Kto wie, czy Bosmann nie ukrył ich właśnie w pracowni Dionizego przy galerii. Tak, to bardzo możliwe! Dionizy postanowił zadzwonić z pracowni do niego. Telefony są tu wprawdzie na pewno na podsłuchu, ale dobierając oględne słowa uda się nie budząc podejrzeń umówić z Bosmannem na spotkanie w cztery oczy. Tak, trzeba szybko do pracowni. . .

Dionizy przyspieszył kroku. W pracowni było pusto. Dionizy znalazł w notesie numer telefonu Bosmanna, podniósł słuchawkę. I w tym momencie usłyszał cichutki metaliczny brzęk. Dobiegał z przeciwległego kąta. Stała tam zbroja rycerska z piętnastego wieku.

Obejrzał się odruchowo. Zobaczył, że pancerna ręka zbroi jakby drgnęła. „Bzdura — pomyślał — zmęczony jestem. To przywidzenie”. Jednak w tej sa-

mej chwili rozległo się głośne kasłanie. To już nie mogły być omamy. Dionizy dopadł do zbroi i wyciągnął z niej... wystraszonego Marka.

— Coś takiego! Marek?!

— O, raj, stryj Dionizy! — ucieszył się Piegus.

— Co ty tu robisz?

— Uciekłem, jak Fastryga wioził mnie na operację. Skorzystałem z okazji, bo... bo Bosmann pobił się z Fastrygą. To ja w nogi. Pędziłem na drugie skrzydło do sektora „A”. Byle dalej od tych rzeźników z chirurgii. Zobaczyłem strzałkę: „do galerii”, a potem drzwi do tego pokoju. Zajrzałem. Pomyślałem, że to jest dobre miejsce, żeby się schować...

— Nie widziałeś detektywa Kwassa i Alka?

— Nie, nikogo nie widziałem.

— Na pewno nikogo?

— Tylko dwu pielęgniarzy. Jeden był mały, drugi duży. Gonili mnie, ale ich wykołowałem. Udawali detektywa Kwassa i kuzyna Alka, ale nie dałem się nabrać.

Dionizy chrząknął.

— Chyba nie udawali, to byli moim zdaniem naprawdę Kwass i Alek przebrani za pielęgniarzy. No nic, i tak miałeś duże szczęście... Ale powiedz mi, czemu siedziałeś w tej zbroi jak trusia i nie wylazłeś z niej, kiedy wszedłem tutaj?

— Nie wiedziałem, że to ty... do głowy mi nie przyszło, że ty pracujesz tutaj, u tego gangstera Flaszka!

Dionizy zakłopotany poprawił kołnierzyk, jakby go dusił.

— Mam tu do wykonania pewną misję, chłopcze — oświadczył.

— Jesteś wywiadowcą, stryju? Wtyczką w świat przestępczy?

— Można by tak określić — mruknął Dionizy i szybko zmienił temat. — Do głowy by mi nie przyszło, że ty możesz schować się w zbroi. Dobrze, że zakaszałeś, bo zaraz miałem stąd wyjść. Zostałbyś zamknięty tu na resztę dnia i noc.

— Musiałem zakaszać, bo tam w tej zbroi śmierdziało czymś takim... drapało mnie w gardle. Swędziło i wierciło w nosie. Chyba jestem zatruty, to była jakaś trucizna.

— Nie bój się, to tylko zapach preparatu przeciw insektom mojego pomysłu zmieszany z naftaliną. Musiałem użyć tych środków, ponieważ w zbroi załęgło się robactwo...

— W zbroi?

— A mówiąc ściślej w kaftanie, który rycerze wkładali pod zbroję, żeby ich nie uwierało żelastwo — Dionizy spojrział na zegarek. — Mamy niewiele czasu — powiedział — jeśli mam cię wydostać z tej kabały zdrowo, musimy zaraz przystąpić do akcji. Najpierw charakteryzacja, mój chłopcze.

— Co chcesz zrobić, stryju?

— Skorzystać z pomocy grupy Aikido, która ćwiczy tu adeptów walk dalekowschodnich — odparł Dionizy i po chwili namysłu wy dobył z szafy duży japoński miecz. — Tak, to powinno wystarczyć. Piękna sztuka, nie uważasz Marku? Zostawię cię teraz na pięć minut, bo muszę zobaczyć się z panem Takamurą. Przez ten czas pokrzep się tym wspaniałym owocem — podał Markowi wielkie apetyczne jabłko. — Dobrze ci zrobi na nerwy, a będziemy wkrótce potrzebować nerwów silnych jak postronki!

ROZDZIAŁ XIV

UCIECZKA • PANU RADŻAPUTRZE NARESZCIE UDAJE SIĘ
SZTUKA • CZY TO NAPRAWDĘ JUŻ KONIEC?

Punktualnie jak co dzień grupa treningowa Japończyków odzianych w szaty dżudo zakończyła szkolenie narybku „Minotaura” i o godzinie czternastej czterdzieści pięć wymaszerowała z sali ćwiczeń na dziedziniec Fundacji, w ustalonym porządku. Najpierw chłopcy-juniorzy, specjaliści w szkoleniu małaolatów od dziesięciu do szesnastu lat, za nimi trenerzy młodzieży starszej, a na końcu podłysiali i brzuchaci superszkoleniowcy z nadzoru. Wszyscy sprężystym, sportowym krokiem kierowali się do mikrobusu, który czekał na nich na dziedzińcu przed bramą wewnętrzną. Z bramy tej wjeżdżało się w aleję ogrodu otoczonego dookoła wysokim murem i zaopatrzonego w pancerną bramę z wartownią i strażnikiem na posterunku.

Uważny obserwator zanotowałby zapewne, że tego dnia Japończyków było nie dwudziestu, ale dwudziestu trzech, lecz ani portier przy bramie, ani dwaj ochroniarze nie zwrócili na to uwagi zajęci oglądaniem nowych kuloodpornych kamizelek, w które wkrótce mieli być zaopatrzeni wszyscy ludzie „Minotaura” i „Ruatonimu”. Dyskutowano, czy ta decyzja szefa oznacza, że niebawem szykuje się jakaś niebezpieczna wielka akcja. Tak więc zaaferowany strażnik bez liczenia zlustrował tylko pobieżnie okiem usadowionych w mikrobusie ludzi w białych strojach i bez słowa otworzył bramę. Chwilę później mikrobus opuścił dziedziniec Fundacji.

Stryj Dionizy wydał westchnienie wielkiej ulgi i ściągnął z siebie dżudowskie szaty. Chciał zaproponować to samo Markowi, ale chłopiec zaprotestował.

— Pochodzę jeszcze trochę w tym stroju — powiedział. — To twarzowe kimono — z zadowoleniem przejrzał się w lusterku. — A w ogóle, stryju, czy mógłbym zatrzymać je na pamiątkę? Zrobiłbym jutro furorę w budzie!

— Jest twoje! — roześmiał się Dionizy.

— I Japończycy mi nie odbiorą?

— W żadnym wypadku — uspokoił go stryj. — Zawarłem z tymi panami interes. Zaoferowałem im specjalny prezent, za podarowanie nam strojów i wywiezienie nas oraz pana Radżaputry z tego miejsca.

— Radżaputry? Tego magika? Stryj go zna?

— Zaprzyjaźniłem się z nim na bazie wspólnych zainteresowań kulturą wschodu.

— On tu był?

— Dopiero dziś dowiedziałem się, że niezupełnie z własnej woli. Więc postanowiłem oddać mu tę przysługę i zabrać go z nami. To bardzo sympatyczny człowiek.

— Czy... czy drogo cię to kosztowało stryju... ten interes z Japończykami?

— Nie bardzo, dałem im miecz samurajski z moich zbiorów.

— Miecz?! Samurajski?

— Widziałeś go, pokazywałem ci.

— I to był prawdziwy samurajski miecz?

— No, powiedzmy... częściowo prawdziwy. Znakomita kopia wykonana na Targówku u pewnego zapalonego płatnerza-hobbisty — stryj nie dokończył, bo mikrobus zahamował nagle. Okazało się, że na słupie przed nimi zapaliło się czerwone światło, a brama zewnętrzna była zamknięta i strzeżona przez specjalnego uzbrojonego portiera. Był to ulizany picuś o wyglądzie galanta z operetki w przesadnie zdobnym mundurze z czerwonym sznurem, grubym i plecionym spuszczo-
nym z ramienia aż do kieszeni, podobnym do naramiennych sznurów, jakie noszą harcerze i wojskowi. Wskazywało to, że picuś ma stopień starszego strażnika. W rękę trzymał wielki „lizak” do zatrzymywania pojazdów.

— Nie podoba mi się to — zamruczał Dionizy. — Chyba będziemy mieli kontrolę specjalną.

— Co to znaczy, stryju? — zaniepokoił się Marek.

— To znaczy, że strażnik sprawdzi po kolei wszystkie osoby w mikrobusie — powiedział Dionizy i spojrzał zdenerwowany na Japończyków, ale oni bezradnie wzruszyli ramionami.

— Nie ma innej rady — mruknął stryj — będę musiał zrobić małą przykrość temu gogusiowi i sprowadzić go do parteru. Szkoda mi tylko jego białego mundurka — zaczął rozcierać ręce.

— Niech pan tego nie robi — zaprotestował Radżaputra — lepiej ja się tym zajmę — oświadczył niespodziewanie.

— Pan? — stryj spojrzał z niedowierzaniem na nikłą postać magika. — Co pan kombinuje do licha?

— Wypróbuję moją moc czarnoksięską! — oświadczył magik wiążąc szybko turban na głowie i narzucając na chude ramiona pelerynę (profesjonalną choć dziurawą).

— Ależ, biedny Mefisto — przestraszył się Dionizy — pan nie da rady... pan jest jeszcze niedouczoney... nie ma pan praktyki, nie wyjdzie panu... To szaleństwo!

Ale Radzaputra nie słuchał go. Porwał swoją tajemniczą torbę z rekwizytami i w pełnym rynsztunku wyskoczył z mikrobusu wprost przed oblicze zaskoczonego dandysa-wartownika.

— Stój! A to co?! Kim pan jest? — goguś w mundurze poruszył zabójczym czarnym wąsikiem i wycelował pistoletem w brzuch iluzjonisty.

— Jestem adeptem czarnej magii — oznajmił Radzaputra.

— Co takiego?! — strażnik-laluś zakasłał i pociągnął nosem.

— Oho, jesteście, widzę, niedysponowani. Jakież kłopoty z drogami oddechowymi? — zauważył magik — wyraźnie zatkany nos. Ciekawe, co pan tam ma?

— Tylko katar — odparł wartownik.

— Tylko? — Radzaputra pokręcił głową. — Zaraz zobaczymy, co tam masz, kolego — to mówiąc złapał oniemiałego gogusia za nos i ku zdumieniu wszystkich wyciągnął mu z nosa... żywego, czarnego, tłustego, wijącego się robaka. — Oto co ci siedziało w nosie, kolego. To obleniec! Żywy! Patrz jaki długi! — demonstrował osłupiałemu strażnikowi.

— Ja to miałem? — strażnik patrzył ze wstrętem na robala.

— Od razu ci ulżyło, prawda?

— No tak... tak jakby... ale...

— Ale niezupełnie — dokończył Radzaputra — bo czujesz, że wciąż coś jeszcze siedzi ci w nosie. Zaraz pozbędziemy się tego. Wysmarkaj mocno nos... — podał mu czystą chusteczkę.

Strażnik zawahał się.

— No, śmiało, zuchu! Pokaż, co potrafisz!

Strażnik smarknął potężnie. Z nosa wyleciała wielka brzydka kosmata larwa.

— Piękny okaz — zauważył Radzaputra. — Zabiorę go na pamiątkę — zwinął chusteczkę i schował do peleryny. — Co ci jest, przyjacielu? — spojrzał na pobladłego gogusia, który miał bardzo niewyraźną minę.

— To... to od tych robali... mdli mnie — wykrztusił goguś.

— Coś ci podchodzi do gardła?

— Właśnie.

— Pokaż! — magik poprawił pelerynę i zajął wartownikowi do ust. — Tak, coś masz w ustach, to jest długie, spłaszczone. Ciekawy obiekt. Czyżby ezoteryczna plazma? Nie, to po prostu tasiemiec! Ty masz pasożyta w sobie, chłopcze — rzekł z widocznym współczuciem i na oczach zafascynowanych widzów centymetr po centymetrze ostrożnie zaczął wyciągać z ust wartownika białawocielistą wstęgę — to jeszcze młody okaz, siedem metrów zaledwie — zauważył. — Szczęście, że już się go pozbyłeś, co za przyjemne uczucie, prawda? I mdłości przeszły...

— Tak — odparł goguś.

— No widzisz, jak to dobrze, żeśmy się spotkali. Napij się teraz wody, spocznij, ochłoń — Radzaputra powachlował go końcem peleryny — i zrób tutaj trochę porządku. Kto widział hodować drób w budce strażniczej!

— Ja drób?! — oburzył się goguś — co też pan? . . . — urwał nagle, bo w budce rozległo się wyraźne kwakanie.

— Ty tutaj trzymasz kaczkę! — krzyknął wzburzony magik.

— Ja, kaczkę? Nic podobnego! — wartownik poruszył nerwowo wąsikami.

— Przecież słyszę, nie kłam. Schowałeś kaczkę w szufladzie ze służbowymi papierkami. . .

— Kaczkę? — jęknął strażnik.

— W szufladzie stolika. Wypędź ją stamtąd, bo zje smaczniejsze dokumenty, a resztę zapaprze. . . No, rusz się! Co tak wytrzeszczasz oczka?

Ogłupiały wartownik szarpnął szufladę. Z szuflady wyleciała żywa kaczka i przerażona zaczęła biegać po izdebce z papierami w dziobie.

— Moje instrukcje! — krzyknął płacząco strażnik.

— Łap ją!

Strażnik zaczął gonić kaczkę i próbował ją schwytać, ale nadaremnie, w końcu wyłożył się na podłodze jak długi. Japończycy w mikrobusie, Marek, stryj Dionizy wszyscy wybuchnęli śmiechem.

— Dosyć tej zabawy! Wszyscy na miejsca! Odjeżdżamy! — zawołał mistrz czarnej magii. W jego ręku pojawił się mały czarny przedmiot zapewne elektroniczny przełącznik — pilot do otwierania i zamykania bramy, bo w tej samej chwili zgasło czerwone światło i żelazne wrota zaczęły rozsuwać się bezszmerowo.

Mikrobus ruszył z miejsca. Na ten widok portier-goguś oprzytomniał.

— Stać! — krzyknął rozpaczliwie i sięgnął po pilota, żeby zatrzasnąć bramę. Nosił go zwykle w kieszeni na piersiach, zawieszony na owym ozdobnym czerwonym sznurze, lecz z przerażeniem stwierdził, że pilot zniknął! Koniec sznura był zgrabnie ucięty!

Roztrzęsiony chwycił za pistolet.

— Stój! Będę strzelać! — zagroził, a widząc, że mikrobus ani myśli się zatrzymać, wypalił celując w opony, lecz z osłupieniem zobaczył, że z pistoletu miast pocisku wystrzeliła tylko strużka różowej cieczy o przyjemnym kwiatowym zapachu. I, nieszczęsny, zrozumiał, że trzyma w ręce imitację pistoletu, dziecienną zabawkę do robienia śmigusów-dyngusów w lany poniedziałek. A prawdziwy pistolet gdzieś wyparował.

Zdesperowany wyszarpnął z kieszeni telefon komórkowy.

— Alarm! — Tu posterunek przy drugiej bramie — wyjąkał zachrypłym głosem. — Melduję, że właśnie ucieka mi nie skontrolowany mikrobus z podejrzanymi Japończykami. Nie mogłem nic poradzić, bo jeden z nich jest magikiem.

Wszystko pomieszał, pozamieniał jakimś diabelskim sposobem, a instrukcję, co robić w wypadku nadzwyczajnych wypadków — kaczką zjadła... — w tym momencie urwał nagle i obejrzał nerwowo swój aparat. — No, nie... tego już za wiele! — zapłakał i osunął się na podłogę, bo dopiero teraz zauważył, że cały czas zamiast do telefonu przemawiał do czerwonego... kalkulatorka, który sprytny sztukmistrz podłożył mu do kieszeni.

* * *

Tymczasem mikrobus był już poza bramą.

— Brawo, mistrzu — Dionizy uściśnął szczupłą dłoń Radżaputry tak mocno, że magik aż jęknął z bólu. — Był to najlepszy, najbardziej trzymający w napięciu czarodziejski występ, jaki widziałem w życiu!

— Widział pan! — krzyknął uradowany prestidigitator — wszyscy widzieliście i jesteście świadkami! Zrobiłem to! Nareszcie mi się udało. Wszystko mi wyszło, nawet numer z kaczką! Dotąd wylatywała mi z peleryny najwyżej żaba albo wróbel! A teraz sami widzieliście...

— Tak, świetnie panu wyszło — potwierdził stryj Dionizy klepiąc magika po chuderlawych barkach. — Osiągnął pan pełną biegłość w zawodzie. Mógłby pan już występować w każdym cyrku! Widzę wielką karierę przed panem...

— Co tam cyrk! — wtrącił podniecony Marek — pan zrobiłby furorę występując ręką w rękę z detektywem Kwassem. Mógłby pan z łatwością poskramiać różnych opryszków i robić na szaro nawet najzręczniejszych doliniarzy! A właśnie — zreflektował się nagle — powinniśmy zadzwonić do pana Kwassa i zawiadomić go, że szczęśliwie przejechaliśmy obie bramy... Czy zabrałeś z sobą „komórkę”, stryju?

Dionizy zaczął obszukiwać kieszenie.

— Niech pan się nie fatyguje — rzekł z uśmiechem Radżaputra — niech pan posłuży się naszym zdobyczym trofeum — to mówiąc wyciągnął gdzieś spod peleryny... czerwony aparat wartownika.

— Ja znam numer pana Hippollita — Marek porwał telefon i połączył się z detektywem Kwassem.

— To ja, Marek. Udało się. Już jesteśmy daleko za tą piekielną Fundacją. Koniec akcji.

— No, to kamień z serca — odpowiedział ucieszony Kwass. — Ale jakim sposobem, u diaska, udało wam się wydostać przez drugą bramę? Przecież zarządzono alarm i kontrolę.

— Pan Radżaputra nam pomógł, potem opowiem, jak się spotkamy, mam nadzieję, że już niedługo.

Detektyw chrząknął zaaferowany.

— To potrwa jeszcze parę godzin — rzekł zagadkowo — a teraz daj mi pana Dionizego.

— Stryju, pan Hippollit chce z tobą mówić — Marek oddał aparat Kiwajlle.

— To wspaniale, że wyrwaliście się szczęśliwie, ale nad Markiem wciąż wisi niebezpieczeństwo, trzeba szybko przewieźć go do domu i pilnować — ostrzegł detektyw. — Nie wolno panu tracić czujności i rozluźnić się przedwcześnie. Bez fanfar i tromtadracji! Nie dałem jeszcze komendy „spocznij”!

— Pan komendę?! Mnie?! — stryj poczuł się urażony. — Bardzo przepraszam, ale pan mi nie będzie dyktował, kiedy mam spocząć a kiedy nie! Sam wiem, co mam robić.

— To by się zgadzało — zamruczał detektyw.

— Co by się zgadzało?

— Słyszałem, że ma pan okropny charakter. Niestety tak się ułożyły sprawy, że muszę prosić pana o opiekę nad Markiem jeszcze przez parę godzin. Odbiorę go wieczorem.

— Pan nie będzie mi go odbierał — wycedził stryj.

— Co takiego? Proszę wybaczyć, ale Marek jest pod moją opieką.

— Już nie. Od dzisiaj ja się zajmę jego sprawami, bo widzę, że źle idą.

— Pan nie ma doświadczenia, pan jest archiwariuszem, żadnej praktyki w walce z przestępcami. A tu wkraczamy w dziedzinę kryminalistyki, drogi panie.

— Ja nie mam doświadczenia, ja nie mam praktyki?! Ja, który wyprowadziłem w pole samego Kadrylla z Nieszczególnym w dodatku — stryj zaśmiał się pogardliwie. — Jestem specem w postępowaniu z trudną młodzieżą, szanowny baletmistrzu. Założyłem klub włóczykiów. Przeprowadziłem chłopaków przez trzysta dramatycznych przygód, o których pan nie ma pojęcia! A pan kwestionuje moje kwalifikacje?!

— Niestety jestem zmuszony. Fakty niedawne świadczą przeciw panu. Pan się skompromitował. Podjął pan pracę u Alberta Flaszka, największego aferzysty naszych czasów, okazał pan dziecięcą naiwność, i aż do dzisiaj nie miał pan pojęcia, u kogo się pan zatrudnił!

— Drobne faux pas — zbagatelizował stryj — ale to ja uwolniłem Marka, nie pan!

— Czyżby? Po prostu miał pan szczęście, że był z panem prestidigitator. Posłużył się pan tym człowiekiem. . .

— No i dobrze, a pan tymczasem wykazał rażącą nieudolność jako detektyw. Zarówno na terenie „Phoeniksa”, jak i na terenie fundacji Flaszka. Już lepiej, żeby zajął się pan tańcem towarzyskim, tam można najwyżej połamać klientom nogi, a tu chodzi o życie, mój panie!

— Niech pan się puszy! Niech pan się nadyma! I tak wszyscy wiedzą, że to ja wymyśliłem i zorganizowałem plan oswobodzenia Marka. Pan tylko odegrał rolę, jaką panu wyznaczyłem!

— Mnie? Rolę? Nikt nigdy nie ośmielił się wyznaczyć mi roli! Jestem wolnym, niezależnym człowiekiem. To, co pan powiedział, znieważa mnie. Żądam satysfakcji. Będę czekał na pana w knajpie Darzbór w Laskach. Tam sobie porozmawiamy za pół godziny... w cztery oczy i... i, dalibóg, jeśli pan nie odwoła tych insynuacji dojdzie do sprawy honorowej! Ostrzegam pana! Daję panu pół godziny...

— Przepraszam — przerwał spokojnie z nadzwyczaj zimną krwią detektyw. — Z powodów ode mnie niezależnych ten termin jest zupełnie nierealny.

— A czemuż to?

— Zatrzymano mnie.

— Aresztowano?! A to dopiero heca!

— Zatrzymano mnie jako hydraulika — wyjaśnił Kwass. — Jeszcze trochę praktyki, a będę miał trzeci zawód, kto wie, czy nie najbardziej intratny. Pomału staję się złotą rączką w tej specjalności, wprawdzie na razie zrobiłem potop w Fundacji. I wszystko tu raczej... hm., pływa, ale do wieczora z pomocą Alka mam nadzieję opanować sytuację.

— A to ładnie! — zasapał stryj — tylko panu może się coś podobnego przytrafić. Bagatelka! Na pana miejscu ulotniłbym się stamtąd jak najprędzej i nie czekał do wieczora.

— Ba, to nie takie proste. Pilnuje nas ten goryl, Teofil Bosmann...

— Bosmann? Jak to? Wiem, że po cichu spiskuje przeciw Flaszowi i „Ruatonimowi”, sądziłem więc, że w tej sprawie jest z panem po jednej stronie.

— Owszem, jest.

— Czemu więc pana tam więzi i zmusza do prac hydraulicznych?

— Bo dostał takie polecenie od Cherlawego — odparł detektyw. — On i Cherlawy chcą na własną rękę dobrać się do Centralnego Sejfu, a Cherlawy boi się, że bym go nie uprzedził i pierwszy tam się nie włamał. Łobuz wie, że groźny ze mnie przeciwnik — dodał nieskromnie — i dlatego tak mu zależy, bym jak najdłużej ciapał się tutaj w plugawej wodzie i zdobywał, jeśli tak można powiedzieć, ostrogi hydraulików. Oto całe rozwiązanie zagadki. Ale nie martwię się, nasze przepustki o ósmej tracą ważność i o tej godzinie zostaniemy stąd „urzędowo” wyrzuceni. Przyjdą po nas strażnicy i pod eskortą zostaniemy odprowadzeni aż do bramy, bo po ósmej nikt z zewnątrz nie ma prawa przebywać na terenie Fundacji. Muszę kończyć, bo Bosmann właśnie tu idzie. Oddaję telefon Alkowi.

W słuchawce zachrobotało, po czym rozległ się niewyraźny szept:

— Tu Alek. Muszę mówić cicho i z głową w ręczniku, żeby Bosmann mnie nie przyłapał. Wprawdzie w tej spółce z Cherlawym, to Cherlawy jest mózgiem, a Bosmann tylko brutalną pięścią, ale ja i mój nos wolelibyśmy nie wchodzić z nią w żaden kontakt... rany, chyba się z wami nie nagadam, bo ta głupia kupa mięśni zauważyła... — nie dokończył. Rozległo się głośne plaśnięcie, a potem nieludzki krzyk bólu i straszny jakby zwierzęcy jęk.

— Halo, Alek, co się tam stało? Słyszysz mnie? — denerwował się Dionizy.
— To się stało, że dostał ode mnie w szczękę — oznajmił gruby głos Bosmanna.

— Łobuzie — krzyknął stryj — zostaw tych ludzi, to moi przyjaciele, masz ich puścić natychmiast. . . i jeśli włos z głowy im spadnie. . .

— Spokojnie, dyrektorku, nic temu dryblasowi nie będzie, polechtalem go tylko w podbródek, ząbki ma całe i na miejscu. A zostanie tu z łysym do wieczora. Tak będzie najlepiej, postanowił Chryzostom.

— Nie chodź na pasku Cherlawego, on cię doprowadzi do zguby. Zerwij z nim, z czystej sympatii ci radzę. . . wiesz, jak cię lubię. Ale, jak mi Bóg miły, gdy mnie zdenerwujesz, uduszę cię, a dusić umiem, przekonałeś się wczoraj.

— Co też dyrektorze, nie mamy żadnych złych zamiarów, ani ja ani Chryzostom. Przeciwnie chcemy zrobić z wami duży interes.

— Interes z nami? Co wy sobie wyobrażacie? . . . Jak w ogóle śmiesz wystąpić z podobną propozycją? To bezczelność. Nie załatwiam interesów z przestępcami.

— Chryzostom kazał wam powiedzieć, że to jest propozycja nie do odrzucenia. Nie chcecie chyba, żeby coś przytrafiło się Markowi. To pechowy chłopiec, a wypadki chodzą po ludziach, zwłaszcza po takich narwanych szczylach jak on! Byłoby nam bardzo smutno, jakby mu się coś przytrafiło. Cześć! — Bosmann przerwał połączenie.

— Stryju, oni chyba tylko tak straszą? — przeraził się Marek.

— Obawiam się, że nie.

— I może mi się znów coś przytrafić?

— Nie dopuścimy do tego, drogi chłopcze, ale ty sam przez jakiś czas musisz też bardzo uważać. To ludzie opętani żądzą zawładnięcia skarbem Wielkiego Sejf-u. Nie cofną się przed niczym. I nie chodzi tylko o Cherlawego i Bosmanna, ale o. . .

— O ludzi z „Ruatonimu” i „Phoeniksa”? — dokończył Marek.

— Właśnie. Przekonałeś się już o tym na własnej skórze. To świetnie wyszkoleni, dysponujący najnowszą techniką profesjonalistów. . .

— Ale nie boimy się ich.

— Tak, Marku. Nie takim dawałem radę.

— I pan Hippollit Kwass nam pomoże — rzekł z przekonaniem Marek, ale stryj Dionizy zabalgotał pod nosem lekceważąco:

— Ten śmieszny stary detektyw? Niech lepiej trzyma się swojej szkoły tańca. W czym taki grzyb może nam się przydać?

— On ma dużo wiadomości encyklopedycznych — oświadczył Marek.

— Wiadomości przestarzałych. . . lub wręcz fałszywych, zweryfikowanych bezlitośnie przez życie — mruknął Dionizy. — Ale dobrze, ten safandula może nam wyświadczyć pewną przysługę. Wykorzystamy go do zmylenia tropów. Niech ściągnie na siebie i swoje nieporadne przedsięwzięcia śledcze uwagę obu

gangów. To może być pożyteczne, natomiast liczę na to, że prawdziwą pomoc otrzymam ze strony moich młodych przyjaciół: Teodora i całej rodziny Pirydionów.

— Teodora i Pirydionów? To stryj też ich zna? — zdziwił się Marek.

Dionizy roześmiał się.

— Oczywiście. Przeżyliśmy kiedyś razem niezapomniane przygody, a było ich trzynaście, podczas włości po Polsce. To była pyszna zabawa, założyliśmy klub włóczykijów... Och, kapitalne przygody. Ta pasjonująca rozgrywka z Wieńczysławem Nieszczególnym i Bogumiłem Kadryllem, do dziś nie zakończona... Właśnie teraz zamierzam ją dokończyć.

— Rozgrywkę?

— A co myślisz. Nie będziemy biernie czekać, aż zaatakują. My zaatakujemy pierwsi. Ci bezczelni dranie ośmielili się parę dni temu ukraść podstępnie mój zabytkowy kufer... kufer dziadka Hieronima! Dobierzemy się do nich...

— My?! — jęknął Marek.

— Nie bój się, ty nie będziesz w to wplątany. Nie miałbym sumienia, drogi chłopcze — uspokoił go Dionizy. — Wiem, że masz już silnych wrażeń po uszy. Bądź spokojny, roztoczmy nad tobą parasol ochronny. Tobie nic już nie grozi, tę akcję poprowadzę razem z moimi genialnymi chłopakami z Teodorem na czele. Więc nie myśl już o rzeczach przykrych. Kłopoty zostaw mnie.

— Dobrze, stryju.

— I powiedz sobie: „jestem wielkim szczęściarzem! I na dobre opuścił mnie pech! Nic złego już mnie spotkać nie może...”

— Jestem wielkim szczęściarzem i nic złego już mnie spotkać nie może — Marek powtórzył zakłęcie. Co prawda, ledwie wypowiedział te słowa stanął mu przed oczyma Teofil Bosmann i jego pogrożki, ale zaraz zepchnął je na samo dno świadomości; wszak stryj Dionizy zapewnił go, że ludzie Teodora roztoczą nad nim parasol... tak ładnie powiedział „parasol ochronny”. Stryj ma rację, dosyć już przygód, w każdym razie na ten rok wystarczy — Marek przymknął senne oczy. Teraz miał już tylko jedno pragnienie: jak najszybciej znaleźć się w domu, wśród rodziny i spokojnie wyciągnąć się na własnym łóżku...

Kto mógł wtedy przypuszczać, że już najbliższe minuty przyniosą nagły i niewiarygodny zwrot akcji i na spokojny sen w wygodnym łóżku Marek musi jeszcze trochę poczekać...

KONIEC